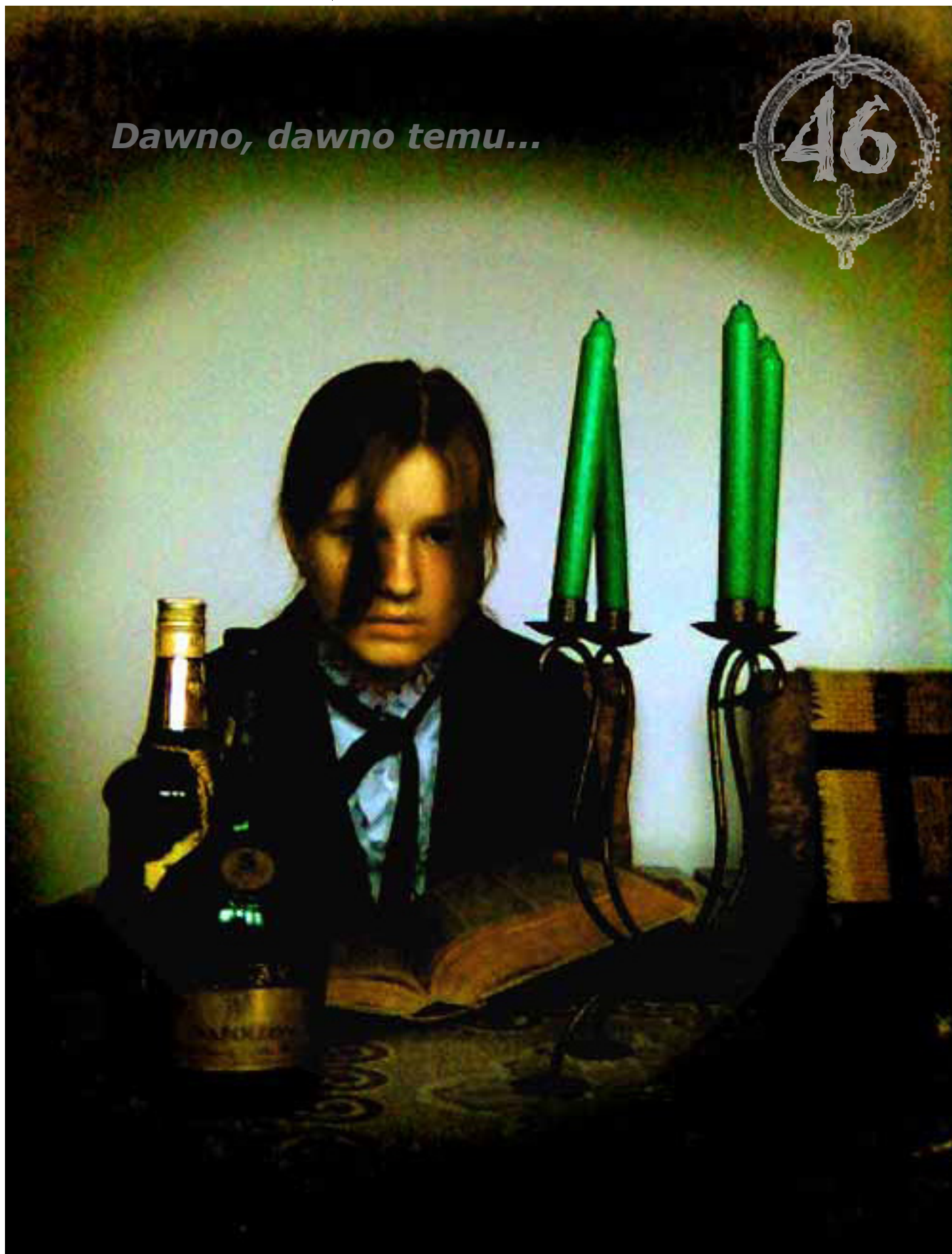


AM OPOWIADANIA

Dawno, dawno temu...



Autorka grafiki: **Vampire Zelda** ze Storytellers

Storytellers © 2007 Wszystkie prawa zastrzeżone.

AM#OPOWIADANIA STORYTELLERS

WSTĘPNIK

Witam

Nowy rok nowe możliwości, nowe deadliny... :)

W tym wstępniaku chciałbym, abyście lepiej poznali osobę która jest w Redakcji już od kilku miesięcy, przybliży Wam ona przy okazji zawartość obecnego numeru, składanego zaraz po „szale” Sylwestrowym, takowo za błędy nie „karzcie” za bardzo ;).

Z ciekawszych wydarzeń tego numeru wspomnę o „powrocie” Setha, dużej ilości komentarzy oraz o kolejnym tekście Alana Akaba, polecam!

Do przeczytania tradycyjnie za miesiąc i przyjemnej lektury życzę wszystkim we wciąż nadchodzące zimowe wieczory (chyba, że zima zrezygnowała...)! A teraz oddaję głos...

SHIRO

PS. Przepraszam za BRAK spisu treści w tej wersji (czasu zabrakło:()), poprawioną możecie z naszej [www ściągnąć...](http://www.opowiadania.pl)

Witam.

Niedawno na liście redaktorów AM#Opowiadań pojawiły się moje dane, a więc wypadałoby coś powiedzieć na swój temat.

Niech czytelników nie wprowadzi w błąd me przemądrzanie się w komentarzach - nie jestem nikim szczególnym i nie posiadam zbyt imponującego pisarskiego warsztatu. Co prawda, kilka razy udało mi się w konkursach literackich coś osiągnąć, ale nie uważam, bym rzeczywiście na to zasługiwał. Toteż radzę nie przejmować się za bardzo moimi opiniami na temat Waszych tekstów. Chyba, że zależy Wam na zdaniu zwykłego czytelnika, jakim ja bez wątpienia jestem (mam nadzieję, iż każdy zrozumiał przesłanie).

Jestem zwykłym uczniem zwykłej, czerwonej szkoły w zwykłym, zapyziałym niewielkim mieście. W tym roku na me nieszczęście zdawać będę zreformowaną przez Romka Edukatora maturę z czterech przedmiotów - oprócz polskiego i angielskiego, wybrałem matematykę i WOS.

O mnie to chyba tyle. Wypadałoby teraz napisać, na co zwracam w tekstach uwagę. Jednak nie napiszę, by autorzy nie szli na łatwiznę. Kto chciałby zyskać me uznanie, niech czyta me komentarze, a bez problemu szybko spostrzeże, co dla mnie jest w tekście istotne.

Jeśli chodzi o ten nr AM#Opowiadań, to chciałbym szczególnie polecić teksty debiutanta o dość oryginalnym pseudonimie - wdr. Są nimi „Ona” i „Zrobiłam”. Życzę każdemu tak udanego debiutu we wszystkim, do czego się będziecie zabierać. Pozostałe utwory, które miałem okazję w tym miesiącu przeczytać, są co najwyżej dobre (ale na pewno nie bardzo dobre). Opowiadania wdr-a (tak można to odmienić?) możecie czytać w ciemno, bez przeglądania komentarzy, co do pozostałych radziłbym najpierw posłuchać rad redaktorów i potem zdecydować na własną odpowiedzialność, by ew. potem nikogo nie obwiniać za stracony czas.

Zatem życzę przyjemnej lektury i do przeczytania za miesiąc ;)

NITRAMAY

STOPKA

Redaktor Naczelny
Dawid „Shiro” Nowak
shiro@storytellers.pl

Z-ca Redaktora Naczelnego
Piotr „JNK NM” Durbajło
enem@storytellers.pl

Redaktor tekstowy
Marcin „Nitramay” Głęza
jmartin_op@wp.pl

Redaktor tekstowy i korekta
Marta „Tatyana” Solecka
martulka.tati@gmail.com

Storytellers
<http://www.storytellers.pl>

Kontakt z redakcją
opowiadania@gmail.com

Jeśli piszesz opowiadania (lub inne teksty), chciałbyś skomentować któryś z naszych tekstów, tworzysz grafikę lub prowadzisz jakąkolwiek inną działalność twórczą to podeślij swoje prace na:

opowiadania@gmail.com
lub odwiedź naszą stronę internetową:
<http://www.storytellers.pl>

PRENUMERATA

Chcesz otrzymywać pocztą elektroniczną nowy numer AM#Opowiadań?

Po prostu wyślij na adres redakcji: opowiadania@gmail.com e-mail o tytule:

„Prenumerata magazynu AM#OPOWIADANIA”.

Możesz także podać adresy zainteresowanych tematyka opowiadań znajomych, wyślemy im jeden email z ostatnim numerem kącika, jeśli im się spodoba będą mogli zatwierdzić prenumeratę. Pamiętaj, że im nas więcej tym więcej ciekawych tekstów w kąciku.

PARTNERSTWO

W sprawie wszelkiego rodzaju współpracy - czy to wymiany banerów, okienek subskrypcji/prenumeraty, opowiadań, newsów albo jakiegokolwiek innej formy reklamy - piszcie śmiało na adres redakcji:
opowiadania@gmail.com

REGULAMIN

Jak wysłać opowiadanie i co powinno się w nim zawierać?

Opowiadania wysyłamy pocztą elektroniczną. Na adres opowiadania@gmail.com proszę kierować wszystkie sprawy związane z kącikiem. Napisz kilka słów w treści maila, a w samym opowiadaniu nie zapomnij dodać tak oczywistych rzeczy jak tytuł i OBOWIĄZKOWO na końcu tekstu imię, bądź pseudonim autora, jakim opowiadanie będzie sygnowane w przypadku publikacji. Oczywiście, dla własnego dobra nie zapomnij także o dodaniu w pliku adresu mailowego na wszelki wypadek (gdybym np. w trakcie robienia porządków na koncie kącika usunął maila). Jeśli ktoś nie dopisze swojego adresu u dołu opowiadania uznaję, że zwyczajnie tego sobie nie życzy - kontakt z takim autorem będzie możliwy jedynie przez pośrednika, czyli mnie. Pseudonim w tekście musi być zaznaczony, choćby dla mojej wygody i dobrego samopoczucia. Ponadto dłuższe teksty (około 60 tys znaków, ze spacjami) dla wygody czytającego lepiej dzielić na rozdziały.

Co z prawami autorskimi?

Przesyłając tekst do nas, zachowujesz do niego pełne prawa autorskie i automatycznie wyrażasz zgodę na jego publikację. Ponadto - redakcja zastrzega sobie prawo do wprowadzania drobnych poprawek w tekście oraz jego publikacji - na stronie internetowej kącika i innych witrynach internetowych powiązanych w jakiś sposób z AM#Opowiadania lub Storytellers. Nie wykluczamy także możliwości druku papierowego wybitnych opowiadań, autor w tym przypadku będzie dodatkowo powiadomiony. Podpisując się pod opowiadaniem prawdziwym imieniem i nazwiskiem, wyrażasz zgodę na wydruk papierowy opowiadania i dysponowanie nim przez Storytellers © (np. publikacji w jednym z współpracujących z nami wydawnictw, w przypadku braku możliwości kontaktu z autorem akceptacja wprowadzonych przez wydawnictwo zmian itp.).

Ile wynosi czas oczekiwania na odpowiedź w sprawie wysyłanych tekstów?

Jeśli Twoje opowiadanie spodoba się redakcji, oczywiście powiadomię Ciebie o tym w terminie natychmiastowym - czyli do dziesięciu dni. Jeśli nie - również zostaniesz o tym fakcie powiadomiony. W przypadku pośrednim dostaniesz wskazówki odnośnie poprawek, jakie powinienś w tekście wnieść, by przeszedł. Gdy tekst będzie bardzo długi, lub ja będę mieć wybitnie mało czasu - powiadomię zainteresowanego autora o opóźnieniu w ocenie opowiadania i ustalimy jakiś sensowny termin.

Jeżeli po upływie 10 dni nie dostaniesz żadnej odpowiedzi, znaczy to, że coś się stało z mailem po drodze. Wyślij opowiadanie ponownie! Aż do skutku.

Robię dużo błędów/mam dysleksję/nie chce mi się poprawiać/itd.

Literówki będą poprawiane tylko, gdy będzie ich niewiele, za to polskie znaki MUSZĄ BYĆ. W przypadku dużej liczby błędów, bądź braku polskich znaków, teksty będą odsyłane do autora w celu ich poprawy.

Jeśli naprawdę chcesz by Twoje opowiadanie przeszło, to posiedź nad nim przez chwilę, przejrzyj dokładnie i popraw tak by było czytelne. Obecnie mamy korektorów, więc jeśli tylko Twój tekst przyjdzie odpowiednio wcześniej przed DEADLINEM powinien się pod czujne oko któregoś z nich dostać. Mimo to radzę opowiadania dokładnie poprawiać samemu, z czasem zwykle jest krucho i nie zawsze redakcja z poprawkami się wyrobi.

W moim tekście jest seks, przemoc, wulgaryzmy... może, ehem, coś takiego być?

To zależy...

W kąciku Opowiadań nigdy nie było żadnej wielkiej cenzury i nie chcę takiej wprowadzać, ale jednak pewne granice dobrego smaku powinny istnieć.

Lubię horrory, dlatego nie oszukujmy się twierdząc, że nie będę takich zamieszczać, ale lepiej z przelewem krwi nie przesadzać. Inną sprawą jest to, że krew nigdy nie powinna budować fabuły, a co najwyżej być do niej dodatkiem.

Jak duży ma być tekst?

Zasadniczo ścisłych ograniczeń nie ma; nawet, jeśli napiszesz maleństwo na 1000 znaków i uda Ci się zawrzeć tam ciekawą historię, to ma szansę się znaleźć w kąciku. Jeśli napiszesz interesujące opowiadanie powyżej 60 tys znaków, również przejdzie, po prostu będziesz dłużej czekać na moją opinie w sprawie tego opowiadania. Granicą nie jest długość, lecz jakość.

W jakim formacie mam zapisać opowiadanie?

Preferuję Rich Text Format (rtf), dostępny w programie Word lub stary, dobry ASCII (txt). W takim przypadku, jeśli Twój tekst wymaga jakichś szczególnych formatowań (kursywa, pogrubienie) możesz oznaczyć je zapożyczonymi z HTML-a tagami: `<i>kursywa</i>` i `pogrubienie`; a przypisy oznaczać tak: [1] i pod tekstem umieszczamy treść przypisu. Dokumenty zapisane w standardowym formacie Word (.doc) są bardzo niemiłe widziane choćby z powodu ich często dużej objętości, autokorekty podmieniającej znaki na „wordowskie” i złośliwego makro, jakie może być do nich doczepione, o czym Ty możesz nawet nie wiedzieć...

Lubię kącik opowiadań tak bardzo, że chciałbym go dostawać co miesiąc na skrzynkę mailową przed czasem. Czy istnieje taka możliwość?

Oczywiście! Wystarczy, że wyślesz na adres AM#Opowiadania email z informacją, że chcesz przystąpić do prenumeraty. Dostawać AM#O na skrzynkę będziesz również, jeśli będziesz pisał do niego. Zawsze możesz skrobnąć komentarz - zajmuje to niewiele czasu, a gwarantuje dostanie kącika przed czasem do rąk własnych.

To chyba wszystko. W przypadku wszelkich uwag, lub pytań piszcie na adres kącika: opowiadania@gmail.com

Na pewno jeszcze jakieś zmiany w regulaminie nastąpią, ale jedno nie zmieni się nigdy. Wy piszecie. Ja zamieszczam. Świat czyta. I tak od początku, bez przerwy.

Dr.Agon ::: Ratując w biegu - Komentuje Misiael Pierwszy

Dr.Agon zaserwował nam opowiadanie, które zaliczyć można do nurtu "Powieści biegu" - szybka akcja, brak nużących opisów. Słowem - nic, co mogłoby nas wytrącić z co chwila narastającego napięcia. Fabuła nie jest zbyt wyszukana - ot, porwali gościami dziewczynę, a ten lata po całym mieście spełniając żądania porywacza. Banalne, ale wciąż. Przynajmniej mnie wciągnęło. Chłopak ma wycucie, jeśli chodzi o budowanie napięcia - ani razu nie przerwałem lektury (inna sprawa, że opowiadanie nie jest zbyt długie), co więcej - w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że autentycznie jestem ciekawy, co autor dalej wymyśli, jak zaskoczy mnie w kolejnym akapicie.

Ale, żeby nie przesadzić z tym głaskaniem po głowie: Dzięki! (tak gwoi wyjaśnienia - to druga ksywka Dr.Agona) nasiał multum błędów stylistycznych: "Albert wybrał numer do swojej oblubienicy." - wykrzywiło mnie przy tym zdaniu. Oblubienicy?! Może jeszcze "Waćpanny"? Albo: "Przed wypakowaniem pliku, program spytał o hasło. Tu Albert musiał chwilę pomyśleć. Hasło to twoje imię. Wpisał „Twoje imię”. Złe." Litości! Wiem, że w powieściach i opowiadaniach sensacyjnych bohaterowie nie są zwykle tytanami intelektu (wszak mają tylko biegać i strzelać), ale to już lekka przesada! Parę literówek też da się wyłapać - autor powinien przynajmniej udawać, że przepuścił swój tekst przez autokorektę przed wysłaniem - ja tak robię (w sensie: Przepuszczam, a nie: udaję, że przepuszczam ;)). Podsumowując: Dr.Agon dał nam średnie opowiadanie. Ani bardzo dobre, ani bardzo złe. Czyli takie w sam raz? Nie, dałoby się trochę rozwinąć fabułę, może dodać drugi wątek, w którym lepiej poznalibyśmy porywacza i motyw jego działania... Póki co, mamy dobre czytadło, które jest trochę jak lody - smaczne, przyjemnie się je, ale po spożyciu mamy wrażenie pustki, jakbyśmy nic nie jedli. Co nie oznacza, że nie lubimy lodów!

Tatyana ::: Grzesznik - Komentuje Misiael Pierwszy

Kompletnie nie mam pojęcia co mógłbym napisać! Z jednej strony opowiadanie jest niesamowicie wciągające, melanchoijne, mroczne, przynębiające... Z drugiej: pozbawione fabuły, jakby oderwane od czegoś większego, pozostawia spore uczucie niedosytu. Mam szczerą nadzieję, że autorka rozwinie pomysł w coś dłuższego - na razie przypomina to (w swej "melodii") "Katedrę" Bagińskiego - upiorny nastrój, narastające napięcie, gwałtowny punkt kulminacyjny i spokojna, pozostawiająca w sercu niepewność, końcówka. Co do wad - nie dostrzegłem literówek, błędów stylistycznych czy niepotrzebnych zdań. Tatyana niepotrzebnie jednak pokazała za dużo na końcu opowiadania, co niweczy tak pięknie budowane napięcie, a czytelnikowi daje niemal pewność, że główny bohater jest wilkołakiem. Poza tym - scena spowiedzi może rozczarować - kończy się bardzo szybko i nim czytelnik się połapie, tekst się urywa. A szkoda.

MarcinD ::: Dziecko Deszczu - Komentuje Misiael Pierwszy

Opowiastka o aniołach... Młoda dziewczyna, tajemniczy chłopak pojawiający się w kluczowym momencie jej życia - mało oryginalne. Poza motywem "Płacz dziewczyny = Deszcz za oknem". O fabule mogę powiedzieć tyle, że jest poprawna - nie obraża inteligencji czytającego, a to już dobrze. Co do języka - chwilami (przy rozmowach między Martą, innymi postaciami) ociera się on o tandetne opowiastki dla nastolatków. Jednym się to podoba, innym mniej. Marcinie - postaraj się popracować nad stylistyką, na razie tylko prężysz narracyjne mięśnie. Po dopracowaniu niektórych partii tekstu opowiadanko byłoby naprawdę bardzo dobre.

Dr.Agon ::: Czas, a sprawa życia - Komentuje Misiael Pierwszy

To opowiadanko łatwo przegapić - shorcik z numeru 43, o tytule "Czas, a sprawa życia", oparty o teledysk popularnej grupy "Nickelback". Może niektórzy z was widzieli ten klip. Opowiadanie jest "idealne w swej prostocie". Czemu ująłem to w cudzysłów? Bo opowiadanie idealne nie jest. Ale świetne - jak najbardziej!

Short opisuje historię człowieka, który - ocalony przez przypadkowego przechodnia, nad rychłą śmiercią pod kołami samochodu - zaczyna widzieć nad głowami ludzi zegary odmierzające czas, który pozostał im jeszcze do nieuniknionego zgonu. Ratuje jakąś kobietę i, tym samym przekazuje dar dalej. Tekst jest świetny. Brak błędów, może trochę zbyt mało rozbudowany, ale niewątpliwie potrafiący zauroczyć czytelnika.

Minashi ::: Woman's blood on a men's shirt - Komentuje Misiael Pierwszy

Nie bardzo rozumiem, po co autorka napisała ten bezsensowny tekst, zamiast poczekać dłużej i rozwinąć go w coś większego i bardziej rozbudowanego - "Wiara" była na prawdę dobra, mimo surowej i - moim zdaniem - lekko krzywdzącej oceny tego tekstu przez Pilipiuka. Co do "Woman's blood on a men's shirt" - tekst jest niedobry. Nie - słaby, nie - średni, ale po prostu niedobry. I to niedobry na swój sposób - aż serce się kraja, gdy myślimy, że mogłaby być to druga "Wiara". Gdyby włożyć w to więcej pracy i poczekać jakieś parę tygodni na jakieś twórcze rozwinięcie.

Minashi ::: Wiara - Komentuje Ogór

Są opowiadania (a także powieści), które podczas lektury wciągają nas bez reszty i nie dają spokoju aż do momentu ich ukończenia. Oprócz tego istnieją także teksty, które dłużej się i dłużej, przez co po jakimś czasie zaczynamy się nudzić, po czym rezygnujemy z dalszego czytania. Po skończeniu lektury „Wiary” autorstwa Minashi nie byłem w stanie zaklasyfikować tego tekstu do żadnej z tych dwóch grup. Z jednej strony było w nim coś, co zmuszało o do czytania kolejnych zdań, a z drugiej coś mnie od niego odpychało. W sumie sam nie umiem dokładnie powiedzieć, co to takiego było, ale nieprzyjemne wrażenie pozostało - czułem się tak jakbym dał się oszukać jakiemuś ulicznemu sprzedawcy, który wcisnął mi przysłowio-wego kota w worku, mówiąc przy tym, że nigdzie indziej go tak tanio nie dostane.

Zapewne większość z was zastanawia się jaki cel mają moje wywody, otóż moim zdaniem autor podczas pisania chce wzbudzić w potencjalnym czytelniku określone uczucia: strach, smutek, radość, fascynację, podziw czy obrzydzenie. Niestety, pomimo plusów, opowiadanie Minashi pozostawiło mnie całkowicie obojętnym, a chyba nie oto autorce chodziło. Dlaczego tak się stało? Odpowiedź jest prosta, po prostu opowieść jest cholernie nierówna i sporo w niej błędów. Lecz wszystko po kolei.

Nie będę streszczał fabuły, bo ogólnie ciężko byłoby ją przedstawić. Nie mamy akcji tylko określone wydarzenia, do których nie prowadzi żaden spłot przyczynowo-skutkowy. Minashi posługuje się ładnym, obrazowym stylem (jeśli można tak to ująć), który przez większą część opowiadania jest w miarę wyrównany, choć momentami (jak zauważył choćby T#M w swoim komentarzu) ma się wrażenie wodolejstwa, co sprawia, że myślami odchodzimy gdzieś w bok - na przykład do gotującego się właśnie w kuchni obiadu... Zaraz na początku nie spodobało mi się wtrącanie słów obcojęzycznych bądź używanie wyrażenia pokroju „non toper”. Nie mam nic przeciwko stosowaniu kolokwializmów, ale w moim przypadku takie zwroty skutecznie psują odbiór. Oprócz tego jest sporo scen, w które trudno mi było uwierzyć. Do tego grona mogę zaliczyć opis zażywania narkotyku przez bohatera. No dobra wziął go i co? Absolutnie nic. Opis niewiele się zmienia, a liczyłem na wyraźną zmianę postrzegania etc.

Tak samo jest w przypadku sceny, w której mąż siostry bohatera gwałci swoją córkę. Bohater/narrator przechodzi obojętny. Zostawia ich w spokoju. Wątpię, aby ktokolwiek w rzeczywistości tak się zachował. Jedna osoba interweniowałaby, a druga... dołączyłaby się do zabawy. Z tego, co zawarte jest w tekście wynika, że bohater lubił swoją siostrzenicę i głównie przez to trudno mi było dać wiarę w to, iż przeszedł obojętnie. Co do głównego bohatera, to jest on antypatyczny, czytelnik go nienawidzi. Jak dla mnie stanowi on przykład zwykłego sk***ysyna, którego powinno za***ać się jakąś sztachetą od płotu, a na zakończenie na***zać na jego grób. Ostatnią rzeczą do jakiej mogę się przyczepić, to przewidywalność całego tekstu. Mamy w nim spore nagromadzenie brutalności i w pewnym momencie czytelnik zastawania się do czego to wszystko prowadzi. No, a wniosek może być tylko jeden, a mianowicie szpital psychiatryczny i ktoś chory psychicznie. Skojarzenia z „American psycho” są jak najbardziej na miejscu. Aha, jeszcze dialogi są słabe (czytaj: zbędne). Oczywiście, tekst nie jest koszmarny czy ogólnie do niczego – po prostu ma w sobie sporo niedociągnięć. Co do plusów, to na pewno na ich poczet można zaliczyć styl autorki, dobrą psychologię postaci, ostre sceny oraz ciekawe opisane zatraca nie się. Gratuluje odwagi autorce, ponieważ niektóre opisy są naprawdę mocne. Jestem ciekawy czy miała jakieś wyrzuty sumienia po napisaniu którejś z nich. Ja na przykład po stworzeniu sceny gwałtu w „Niezapominajce” miałem doła przez trzy tygodnie i nie mogłem zabrać się do ponownego pisania. Podsumowując, opowiadanie Minashi jest dobre, ale nie powalające. Zniechęciły mnie do niego błędy oraz odrobinę rozczarowujące zakończenie. Jednak mimo wszystko opowieść ta warta jest, aby spędzić z nią chwilę czasu. Autorka ma na pewno w sobie potencjał na to, aby stworzyć coś lepszego i bardziej dopracowanego. Nie przestawaj pisać!!! Z niecierpliwością czekam na kolejne teksty. Pozdrawiam!

Minusy: nierówne, antypatyczny bohater, słabe dialogi, rozczarowujące zakończenie

Plusy: sprawnie napisane, ogólnie dobrze się czyta, dużo mocnych scen, momentami obrzydliwe :D

Piotr Piątek ::: Pętla - Komentuje Ogół

Podobnie jak w przypadku poprzedniego opowiadania Piotra Piątko „Pętla” miałem przyjemność przeczytać zanim ukazała się w AM#O. Nie ukrywam, że po „Rachunku sumienia” i „Wieczornej wicherze” ciekawiło mnie czy i tym razem będę obcował z bardzo specyficznym tekstem o licznych metaforach oraz odniesieniach. Sam autor zapowiedział mi w mailu, że „Pętla” jest całkowicie innym przykładem jego twórczości niż wspomniane wcześniej prace, przez co do lektury podchodziłem trochę nieufnie. Jednak po przeczytaniu kilku pierwszych zdań wiedziałem, że i tym razem się nie zawiodę.

„Pętla” wciąga już od samego początku. Dla osób, które czytały „Rachunek sumienia” oraz „Wieczorną wicher” na pewno nie miałam zaskoczeniem okaże się tematyka utworu. Piotr Piątek umiejscowił akcje swojego opowiadania w przyszłości. Już na samym początku pojawia się odrobinę futurystycznych rzeczy, jak na przykład „kombinezon izolujący przed mrozem”, co daje czytelnikowi do zrozumienia, że przyszłość przyniosła ze sobą jakieś niekorzystne zmiany. Lecz standardowe wyposażenie człowieka pozostało takie samo (ubranie, telefon komórkowy, zegarek etc.), więc nie musimy się martwić nachalnością różnego rodzaju przyszłościowych akcesoriów, co w moim przypadku znacznie korzystniej wpływa na odbiór – po prostu nie jestem fanem S-F, ani pochodnych gatunków.

Czytając kolejne fragmenty „Pętli” rósł mój podziw dla autora dlatego, że naprawdę bardzo sprawnie prowadzi czytelnika dalej. Opisy są krótkie, ale jednocześnie treściwe. Większość tekstu, to głównie dialogi stojące na wysokim poziomie – choć czasami zakradnie się w nie jakiś przysłówek :) Oprócz tego „Pętla” ma bardzo dobrą fabułę, która potrafi wzbudzić w odbiorcy liczne uczucia, z których głównym jest napięcie. Na pewno kolejnym plusem jest realność głównego bohatera – co do pobocznych postaci, to jest z nimi różnie. Bardzo podobał mi się sposób w jaki major „rozwinął” się w miarę rozwoju akcji. Ciekawe było jego zachowanie, tym bardziej, że w obliczu zagłady Ziemi postanowił zrobić to samo, co ja zrobiłbym na jego miejscu. Gdy nie ma gdzie uciec, a panika i tak nic nie zmieni, to pozostaje... napić się :D Jeszcze co do dialogów, to chciałem zauważyć, że podobnie jak w przypadku wcześniej- szych opowiadań Piotra Piątko, i w tym wypadku wiele z nich

ma własne, kapitalne „drugie dno”. Szczególnie rozmowy pod sam koniec, gdy bohater rozmawia o „wędrujących po śmierci duszach”. Dzięki temu „Pętla” – pomimo przyszłościowej tematyki – nie odbiega znacznie od pozostałych dokonań tego autora i za to należą się zasłużone brawa, ponieważ dzięki temu opowiadania Piotra Piątko zaczynają stanowić klasę same dla siebie i jego styl od razu staje się rozpoznawalny, a przecież o to każdemu pisarzowi chodzi.

Ale, żeby nie było tak pięknie do samego końca, to muszę się również przyczepić do kilku rzeczy. Zaznaczam, że nie są to wybitne rażące potknięcia i zbytnio nie wpływają na odbiór całości. Przede wszystkim w całym tekście znajduje się kilka wybitnie niepotrzebnych informacji, które dla czytelnika są jasne bez tłumaczenia. Przykładem może być jedno zdanie z początku „Pętli”:

„-Słucham – powiedział zaspanym głosem, po przyłożeniu telefonu do ucha”.

Jak dla mnie wystarczyłoby samo słowo „słucham”, ponieważ bohater właśnie się obudził i wiadomo, że jest zaspany, poza tym telefon na ogół przykładają się do ucha, więc ta informacja również jest zbędna.

Kolejne zdanie:

„-Panie majorze, zapraszamy do bazy – przerwał dzwoniący funkcjonariusz”.

W tym wypadku nie pasuje tylko jedno słowo, a mianowicie „dzwoniący”. Skoro bohater właśnie odebrał telefon, a przebywa sam w pokoju (nie ma z nim żadnego kochanka w łóżku, który jest funkcjonariuszem:), to moim zdaniem jasne jest, że niniejsze zdanie wypowiedział telefonujący wojskowy – nie trzeba tego przypominać.

Takich przykładów mógłbym podać jeszcze kilka, ale wydam mi się, że nie ma to większego sensu, bo przecież nie obniżają one jakości opowiadania. Kolejnym minusem – jak dla mnie – są wspomniane przysłówki w zdaniach opisujących dialogi. Pojawiają się w kilkunastu miejscach, a można by było się bez nich obyć. Wystarczy tak poprowadzić opis, aby czytelnik potrafił sobie wyobrazić, jak coś powiedziano. Na ogół u Piotra Piątko opisy spełniają to kryterium i informacje, że ktoś powiedział coś „poważnie”, „stanowczo”, „pewnie” czy „spokojnie” nie są potrzebne.

Jeżeli chodzi o błędy, to byłoby na tyle wypominania z mojej strony. Jak widzicie nie są to rażące pomyłki tylko szczegóły, które nie wszyscy wyłapią i nie wszystkim będą one przeszkadzały.

Podsumowując „Pętla” autorstwa Piotra Piątko to opowiadanie obowiązkowe dla czytelników AM#O. Ma w sobie wszystko, co dobra opowieść zawierać powinna: interesującą fabułę, ciekawie przedstawiony świat, liczne przemyślenia oraz zakończenie, które można zrozumieć na co najmniej dwa sposoby (koniec świata przyniósł ze sobą zagładę dla ludzkości, ale nie jest powiedziane, że na zawsze; „kolejny wielki wybuch” to mogą być nowe narodziny czegoś lepszego niż Ziemia przedstawiona w opowiadaniu). Wymienione przeze mnie potknięcia wcale nie psują odbioru i nawet jeśli je dostrzeżemy, to nie przywiązujemy do nich zbyt wielkiej wagi. Na zakończenie chciałem powiedzieć, że niniejszy komentarz miał powstać wcześniej. Chciałem, żeby pojawił w kąciku równocześnie z opowiadaniem, ale z kilku powodów nie udało mi się tego dokonać. Po pierwsze przez pewien okres miałem małą awarię komputera. Po drugie od jakiegoś czasu mam problemy z pisaniem. Chyba kryzys twórczy się to nazywa. W moim wypadku jest tak głęboki, że nawet komentarz był dla mnie za trudny do napisania. Na szczęście w końcu przełamam swoją opinię na papier. Może zapowiada to koniec kryzysu? Tego jeszcze nie wiem, ale mam taką nadzieję, ponieważ chowam w swojej głowie sporo interesujących pomysłów na opowiadania i chciałby je spisać oraz zaprezentować czytelnikom kącika. To tyle jeśli chodzi o ten komentarz. Jeszcze raz gratuluje Piotrowi Piątkowi wspaniale wykonanej „pracy” przy „Pętli”, a was odsyłam do tego opowiadania i to już!!!

Aha, zapomniałbym! Jeszcze raz dziękuje Piotrowi Piątkowi za komentarz do moich wypocin pt. „W miejskich podziemiach”. Był naprawdę wyczerpujący i motywujący do dalszej pracy.

Minusy: trochę przysłówek, kilka niepotrzebnych zdań
Plusy: intrygująca fabuła, b. dobrze napisane, płynnie się czyta, b. dobre dialogi, ciekawe przemyślenia, trzyma w napięciu, zakończenie

wdr ::: Ona - Komentuje Nitramay

W mailu od autora (swoją drogą, debiutanta) przeczytałem, iż w treści utworu stara się on odpowiedzieć na pytania: "Dokąd zmierzamy? Co nas czeka za parę lat? Kto jest ważniejszy maszyna, człowiek? Kto wyjdzie zwycięsko z tego pojedynku?" Ja (niestety?) nie znajduję tak głębokiego (acz, moim zdaniem, banalnego) przekazu w tej opowieści. Jednak nie oznacza to, iż debiut się nie udał, bo tak naprawdę treść tekstu bardzo miło mnie zaskoczyła...

Otóż jest to bardzo dobry, krótki utwór traktujący o nałogu komputerowym (nie nazywam tego uzależnieniem, ponieważ uważam, że uzależnionym od komputera być nie można, to nie to, co narkotyki czy alkohol).

Autor świetnie ukazuje zachowanie człowieka żyjącego wirtualnym światem, mającego problemy w kontaktach z ludźmi bez pośrednictwa komunikatora internetowego. Liczy sekundy wpływające do odpowiedzi osoby z nim piszącej, nie odstępując komputera na odległość dalszą, niż dobiega dźwięk informujący o nowej wiadomości, marnotrawi czas siedząc przy komputerze i nie robiąc nic efektywnego, co pół godziny sprawdzając pocztę elektroniczną.

Opowiadanie napisane językiem dość prostym, ale przez to jasnym i oddającym klimat bezowocnego przesiadywania godzinami przy Gadu-Gadu, ICQ, Skype'ie czy innym Tlenie.

Zaskakuje nieco końcówka, w której okazuje się, iż osoba, z którą bohater pisze, znajduje się w sąsiednim pokoju (przynajmniej ja tak zrozumiałem ^_^). Zdaje się, iż autor obawia się, że taka sytuacja kiedyś stanie się zupełnie czymś normalnym i powszechnym, jednak chciałbym zauważyć, iż już teraz można z tym się spotkać, więc niekoniecznie ów tekst musi mieć odniesienie do przyszłości.

Suma summarum, zważywszy na niewielkie rozmiary tej opowieści, grzechem byłoby się z nią nie zapoznać. Może przyłapię się, czytelniku, na tym, iż jakiś fragment (bądź też, broń Boże, cały tekst) będzie brzmiał Ci dziwnie znajomo? Jeśli tak, wnioski powinienes z tego wyciągnąć sam.

wdr ::: Zrobiłam - Komentuje Nitramay

Tutaj nasz debiutant pisze, iż jest to: "Kilka dni z życia przeciętnej kobiety, która, jak wielu z nas, przeżywa poważny kryzys. Sama nie wie, czy to mąż jej nie kocha, czy ona jego. A może w tym związku nikt, nikogo nie darzy tym uczuciem?"

W tle jawi się także trzeci bohater, pracownik biura, do którego kobieta odczuwa coraz większy pociąg. Co robi ze swoim życiem?". Opis już bardziej pasujący do treści niż w "Ona", ale mój komentarz będzie nieco mniej pozytywny.

Opowiadanie jest, moim zdaniem, nieco zbyt radykalne i trochę nierealne. Zastosowano w nim retrospekcję, choć niewiele ona wnosi. Kończówka zbyt jasna, zbyt dokończona i, jak już napisałem, zbyt niemożliwa (można by lepiej na końcu napisać, iż to był sen i w tym momencie przerwać, pozostawiając czytelnika w domysłach - nie opowiadając już, co naprawdę bohaterka uczyni).

Napisane językiem prostym, jasnym i przejrzystym. Nawet wciągające, choć niezbyt długie. Całkiem niezłe ukazane wewnętrzne rozdarcie bohaterki, ów kryzys. Intryguje też niewyraźny zarys mężczyzny, którego owa kobieta codziennie spotyka w swej pracy i w którym jest zauroczona.

W prostocie tego tekstu widać, iż autor ma talent do kreowania postaci i świata. Mimochodem, jakby nieświadomie, stosuje niełatwe zabiegi pisarskie z bardzo dobrym skutkiem (np. ujawnianie charakteru bohaterów równomierne do rozwoju sytuacji, niepisanie niczego w nadmiarze, liczenie się z każdym słowem i brak przerostu formy nad treścią lub odwrotnie). W tekście, co już nadmieniałem, można by tylko zmienić końcówkę, która, w mej opinii, nie dorównuje całości. Zabrakło w niej nieco realizmu i subtelności ;)

Ponadto przydałoby się jeszcze popracować nad bogactwem słownictwa, w którym, póki co, nie ma fajerwerków (czyta się to przyjemnie, jednak widać, iż autor ma potencjał i stać go na więcej).

Opowiadanie szczerze polecam. Powinni je uważnie przeczytać i przeanalizować szczególnie ci, którzy zabierają się do napisania swego pierwszego tekstu do AM#Opowiadań, ponieważ warto się na tym utworze wzorować. Miło byłoby, gdyby wszyscy debiutanci, których dzieła będę miał okazję oceniać, tak pozytywnie mnie zaskakiwali ;)

Maestro ::: Zagubienie - Komentuje Tatyana

Tekst jest z mojego punktu widzenia tekstem dobrym... Man-kamentów trudno się doszukać. No może małe literówki się wkradły, ale tego nikt nie uniknie.

Zastanawiam się tylko nad zastosowaną formą ukazania dialogów głosów. Są one w cudzysłowie, co może i jest poprawne jeżeli są to myśli bohaterów. Jeżeli jednak w tej samej formie są napisane dialogi normalne (dialog Bezdolnego i Mężczyzny) powoduje to pewne zakłócenia w całym utworze.

No i jedno mnie zadziwiło: łatwość z jaką bohater dostał się na dach wieżowca. Przecież nie ma tak po prostu schodów z tabliczką "NA DACH" i już tam jesteśmy. Nawet w amerykańskich filmach uciekinierzy wyważają drzwi tam prowadzące ;)

Styl pisania jest świetny. Lekki, łatwy w odbiorze tekst bez zbędnych opasłych opisów. Cały czas coś się dzieje - czytelnik musi dotrzeć do końca (tekst i tak jest krótki, ale są i tacy co po kilkunastu liniach takiego, rezygnują z dalszej lektury), bo pobudzana jest w nim dzięki temu czysta ciekawość.

W prosty, ale bardzo ładnie zastosowany sposób zostało stworzone zawiązanie się i zakończenie akcji.

Błędów stylistycznych, rzeczowych, czy językowych nie zauważyłam (czyt. nawet jeśli są, to zwykły, niewyrafinowany czytelnik ich nie zauważy) co jest ogromnym plusem.

Maestro ::: Zagubienie - Komentuje Nitramay

"Zagubienie" to opowieść o samobójstwie, które choć zostało wykonane, to nie spowodowało śmierci bohatera. Już owe jednozdaniowe streszczenie ukazuje paradoksalność, naiwność i nierealność przedstawionej historii.

Ba! Można by rzec, iż jakże miałyby to być realne, skoro występują tam postacie fantastyczne i także wydarzenie też ma w tekście miejsce. Jednak czy twórczości, na ten przykład Sapkowskiego, możemy zarzucić brak realizmu w granicach gatunku, w jakim on tworzy? Otóż nie, bo wszelkie postacie i wydarzenia w jego utworach występujące są raczej przekonujące, a "Zagubienie" mnie nie przekonuje.

Nie przekonuje mnie cudowna przemiana, jaka nastąpiła wewnątrz głównego bohatera na skutek otrzymania przez niego drugiej szansy. Nie przekonują mnie słowa, monolog, jakie wypowiadał słyszane przez niego głosy. Zbyt duże jest w nich nagromadzenie wzniosłego pustosłowia. Nie przekonuje mnie, a wręcz śmieszy scena końcowa.

Widać, iż zamierzeniem autora miało być stworzenie tekstu psychologicznego. I niestety wyszło to mizernie. Opowiadanie jest nudne, męczące, nieciekawym punktem kulminacyjnym.

Na domiar złego napisane jest to kiepskim językiem, z wieloma powtórzeniami. Autor powinien popracować nad swym warsztatem i poćwiczyć sobie wymyślanie wyrazów bliskoznacznych.

I forma, kompozycja utworu także jest na minus. Początek szablonowy, nie kończące się oczekiwanie na punkt kulminacyjny, które okazuje się bezowocne. Nie widzę też nic ekscytującego w sposobie zapisu dialogów przez tego autora.

Misiael Pierwszy ::: Kolędniczy - Komentuje Nitramay

Opowiadanie ciekawe, choć epizody w nim przedstawione są nieco za krótki, za mało rozwinięte, zbyt niedopowiedziane, przez co nie osiagają głębi nakłaniającej czytelnika do refleksji. Szkoda, bo autor umie posługiwać się ładnym, literackim językiem i ów tekst mógł być o wiele lepszy.

Mimo wszystko tekst czyta się przyjemnie, miła to odskocznia od hurra optymistycznych utworów świątecznych. Szkoda, iż został on przysłany trochę za późno i nie mógł ukazać się w grudniu.

Tak więc opowiadanie warto przeczytać, ale autora stać na wiele więcej. Życzę mu, by w przyszłości pełniej wykorzystywał swój potencjał.

Hunter D ::: Bobreckie Samhain - Piotr Piątk

Po przeczytaniu omawianego opowiadania miałem wrażenie, że przeszedłem ekspresowy kurs sposobu powstawania legend i ludowych wierzeń oraz ich wpływu na ludzką wyobraźnię. Przedstawiają one zazwyczaj to, czego ludzie się boją. Kiedyś były to wilkołaki, a obecnie jest to rak.

Autorowi opowiadania udało się przedstawić przenikanie dwóch

światów – fantastycznego i realnego, w sposób składny i płynny. Całe opowiadanie tworzy bowiem spójną całość. Największym plusem opowiadania jest zakończenie, którego nie można było w żaden sposób przewidzieć. Jest ono zaskakujące, zmusza do refleksji, szczególnie zagorzałych wielbicieli nikotyny.

Wydarzenia składające się na akcję opowiadania nie zostały przedstawione w pełni naturalnie. Mnie jako czytelnika zastanawiało, skąd głównego bohatera tak mocno wzięło na wspomnienia i przypominanie sobie starych opowieści. Moim zdaniem, należałoby się skupić na jednej legendzie, najlepiej tej o czartach zbierających się na sabat, którą główny bohater przypominałby sobie podczas jazdy autobusem.

Główny bohater kreowany był na człowieka twardego i rzetelnie wykonującego swoje obowiązki, a okazało się, że bardzo szybko uległ swojej wyobraźni i był człowiekiem bojaźliwym.

Zasadniczo nie mam uwag co do języka oraz dialogów, z jednym małym wyjątkiem.

- *Boże Wszechmogący - wyrwało się z ateistycznej piersi Arka. - Chroń mnie! Chłopak zrobił nieporadny znak krzyża.*

Po pierwsze, trudno jest mówić o ateistycznej piersi, gdyż cecha ta dotyczy umysłu, światopoglądu. Po drugie, krzyż nie może być nieporadny, lecz co najwyżej można ten znak zrobić nieporadnie.

Marcin Drózd ::: Numero Uno - Komentuje Nitramay

Zacznę od tego, iż po przeczytaniu (na raty zresztą) mniej więcej połowy opowiadania chciałem dać za wygraną, odłożyć je, napisać odpowiedni komentarz i mieć tę mękę z głowy. Jednak wygrało poczucie redaktorskiego obowiązku i już po chwili nie żałowałem tej decyzji. Jaki z tego wniosek? Pierwsze pół opowiadania jest cholernie nudne i męczące.

Ale też drugie pół bardzo wciąga (od momentu porwania naukowców). Wszystko uwiecznione jest świetną, intrygującą i niepowiedzianą końcówką.

Fabula, choć niezbyt się wyróżnia (wiele już podobnych opowieści czytałem bądź oglądałem), jest ciekawa i interesująca, pewnie dlatego, że haczy o skandal i uderza w katolickie przekonania.

Zdecydowanie nie udał się autorowi wątek detektywistyczny. Nie można dopuścić do sytuacji, w której czytelnik wie wszystko o wiele szybciej, niż prowadzący sprawę specjaliści. Czytając Sherlocka Holmesa zawsze zastanawiałem się nad rozwiązaniem sprawy, ale nigdy nie udało mi się to zanim dokonał owego czynu ów genialny tropiciel. W momencie, gdy on wpadał na rozwiązanie zagadki, ja mówiłem sam do siebie: "Ach no tak! Jakie to logiczne i genialne! Że też sam na to nie wpadłem!". Czytając natomiast "Numero Uno" myślę sobie "Przecież to oczywiste. Co z nich za detektywi, skoro się nie mogą tego domyśleć?".

Kolejna sprawa, to niepotrzebne przeciąganie niektórych momentów. Zbyt często to powiewa nudą i znużeniem, co już zaznaczyłem na samym początku. Zdecydowanie za dużo niepotrzebnych dialogów, czasami zbytnie zagmatwanie sprawy. Skróciłbym całość o co najmniej 10 stron.

Słownictwo przeciętne, kreacja postaci całkiem niezła, na plus też trzeba zaliczyć brak unikania nazywania rzeczy po imieniu, wynikającego często z niewiedzy autora - w tym tekście samochody mają marki, broń ma nazwę i kaliber.

Reasumując, polecam tekst cholernie cierpliwym czytelnikom - jeśli masz dużo czasu i ochoty, by przetrwać 20 nudnych, bezowocnych stron maszynopisu (aby w nagrodę potem zostać pochłoniętym przez zaskakująco dobre kolejne 20 stron), przeczytaj, a nie powinienes się zawieść. Ja, wbrew moim obawom zaistniałym po przebrnięciu połowy opowiadania, nie żałuję zapoznania się z tym utworem.

DREAMWALKER

Jakiś czas temu pisałem na forum o tym, że mam na komputerze prace napisaną wspólnie z Sethem. Jest to jedna z odsłon projektu zwanego Dreamwalker, którego idea polega na tym, że ktoś opisuje swój sen, a inna osoba go analizuje. W tym wypadku ja analizuję sen Setha. Mam nadzieję, że się spodoba. Szkoda tylko, że w chwili obecnej nie wiem czy Seth nadal chciałby się z innymi podzielić swoją pracą. Jednak mimo to wierzę, że warto zaryzykować. Choćby po to, aby pokazać, że mimo wszystko pamiętamy. Życzę miłej lektury!

Moje ręce sięgnęły do kartek papieru wypływanych przez elektroencefalograf, a zmęczone oczy podążyły tuż za nimi. Z wyrazem zdumienia przyglądałem się kolejnym zapisom badania, a uciążliwe pikanie, rozstawionej w całym pomieszczeniu aparatury, powoli zaczynało doprowadzać mnie do szału.

Według badania pacjent właśnie zapadł w sen wielofalowy (NREM). Świadczył o tym zapis EEG w postaci fal o wysokiej amplitudzie i niskiej częstotliwości. Aktywność ruchowa wyraźnie spadła (jego półnaga postać, z przypiętymi do ciała licznymi elektrodami, leżała na błyszczącym stole, a z ust ciągle wydobywało się głośnie chrapanie), nawet gałki oczne trwały niemal nieruchomo.

Moje zdziwienie wzięło się przede wszystkim stąd, że badany tak szybko odleciał. Po podłączeniu do niego drogocennej aparatury skarżył się, że chyba nigdy nie uda mu się zasnąć z tym całym żelastwem u boku. W szczególności narzekał na kolec (długości mniej więcej 7 centymetrów), który wprowadziliśmy mu do głowy, a później podłączyliśmy do czegoś, co na naszym oddziale nazywamy po prostu telewizorem (inaczej neuroprzełożnik fazy paradoksalnej snu). Dzięki niemu jesteśmy w stanie dosłownie oglądać marzenia sennie.

Po zastrzyku z mnemofetaminy (która zmniejsza znacznie liczbę endorfin we krwi, przez co człowiek łagodniej i uspokaja się) Seth (nasz biedny pacjent) bez wysiłku zamknął powieki i w około cztery minuty odleciał do Krainy Szczęśliwości.

Ku mojemu jeszcze większemu zdziwieniu wykres EEG zmienił się. Fale o wysokiej amplitudzie i niskiej częstotliwości zniknęły, a ich miejsce zajął wykres o falach szybkich z niską amplitudą. Seth był wyjątkowo wdzięcznym pacjentem, przede wszystkim dlatego, że nikt nie musiał go długo uspokajać, a na dodatek tak szybko osiągnął fazę paradoksalną snu (REM).

Napięcie mięśniowe spadło – wyglądał jak ktoś, z kogo uszło powietrze – a gałki oczne poruszały się nerwowo pod powiekami. Ekran neuroprzełożnika rozświetlił się najpierw na białą, a później zaczęły pojawiać się na nim pierwsze obrazy. Początkowo były nieskładne i chaotyczne, ale w kilka sekund obraz się wyklarował, a sen rozpoczął na dobre. Wraz z moimi dwoma pielęgniarkami porzuciliśmy studiowanie wykresów i zajęliśmy się patrzeniem w telewizor.

Przybyliśmy. Było nas kilkoro. Ja. Mój znajomy z klasy w technikum – wszystko wiedzący i wiecznie sceptyczny Łukasz G, oraz jego najlepszy przyjaciel... jakiego jeszcze nie zdążyłem dokładnie poznać – przez cały czas uśmiechał się szeroko i ukrywał gdzieś w tle. Plus kilka innych osób z klasy... nawet bardziej w tle, można by rzec – Sylwia (zawsze uśmiechnięta, czym mnie osobiście zwykle denerwuje, typ osoby „szklanka zawsze w połowie pełna, nie pusta”), drugi Łukasz (skrycie zabuwany w Sylwii, choć nie chce się do tego przyznać), Michał (jak sam mówi – nie ma dnia bym nie wypalił skręta... czyli ogólnie, również rzadko się nie uśmiecha), Grzesiek (cynik, filozof i z umiłowania poeta, lecz w jego przypadku to plus – swojego czasu zachęciłem go nawet do podesłania swoich wierszy – a pisze moim zdaniem świetne wiersze – do Periodyku Poetyckiego) i Piotrek (mój przyjaciel... nie widzę go często, ale to nie znaczy, że go Tam nie ma). Są także z nami dwie piękne dziewczyny. Obydwóch nie znam, ale obydwie poznać bym chciał. Pierwsza, to blondynka, dosłownie kopia (tylko lepsza i jakby młodsza) Kirsten Dunst. Druga to brunetka, jakby silniejsza, ale nie znam jej... i nie wydaje mi się by mi kogoś przypominała.

Dom jest piękny. To właściwie nie dom, ale bardziej coś w rodzaju rezydencji, kościoła. Kiedy stajesz przed drzwiami i próbujesz dojrzeć dach dochodzisz do wniosku, że brązowe ceglane ściany i kolorowe witraże giną gdzieś w niebie, a samo niebo jest niezwykle. Niczym wyjęte z jakiejś gry... stoi w miejscu, ulegając zmianą bardziej jak jakiś pokaz slajdów, w którym jedna fotografia przechodzi płynnie w następną niżli ruchomy nieboskłon rodem z Unreal Tournamenta. Niezwykłe. Trochę przerażające. Ale piękne...

Dom leży gdzieś pośrodku wielkiej niezmierzonej wody – pomiędzy oceanem a niebem, na wysokim wyżłobionym przez fale wznieśieniu porośniętym trawą. Oddzielał go od wody niewielki niezbyt wysoki ceglany mur, ale on sam nie miał bramy i można wyjść trochę poza jego teren. Stanąć na samej niezwyklej przepaści, z jakiej widok porwya dech w piersi.

A stamtąd już tylko jeden krok w nicość. I koniec.

Pierwsze obrazy zaciękały całą naszą trójkę. Spoglądaliśmy na ekran z coraz większą fascynacją. Zawsze tak się działo i podczas badania znikaliśmy ze świata rzeczywistego razem z pacjentem. Wyświetlani przez neuroprzełożnik ludzie wyglądali jakoś dziwnie, ale jednocześnie nie można było odwrócić od nich wzroku. Miejsce, w którym umieścić ich jakiś obłąkany scenarzysta, powodowało gęsią skórę na moim ciele, ale bezwątpienia było piękne – w szczególności niebo, w które zawsze lubiłem patrzeć...

Oderwałem na chwilę wzrok od ekranu i spojrzałem na urządzenia monitorujące funkcję życiowe badanego. Serce zwolniło, ale w normie. Natlenienie krwi także nie przekraczało standardów. Niepokoił mnie tylko wykres EEG, którego amplituda zrobiła się wyjątkowo wysoka.

Porzuciłem na jakiś czas patrzenie w pikające i szumiące maszyny. Spojrzałem na ekran telewizora i utonąłem w kolejnych fragmentach snu Setha, gdzie zobaczyłem piękną twarz brunetki z „Różowych lat 70-tych” – tej samej, która zagrała w teledysku do utworu „Jaded” Aerosmith. Przed całkowitym odpłynięciem w nierealny świat pomyślałem, że szkoda, iż nie przypomina Christiny Ricci...

Gospodarzami domu była dwójka starszych ludzi. Staruszka z niezbyt uroczym uśmiechem, z zewnątrz wysuszona przez czas i papierosy, a wewnątrz dziwnie... rozdęta... Jak balon z zewnątrz pokryty zmarszczkami, a wewnątrz wypełniony do tego stopnia powietrzem, że za chwilę eksploduje. Ale ona na początku nie wydaje się być kimś złym. Jest tam też mężczyzna, niewątpliwie nie tak stary jak ona, ale i tak mający swoje lata. Gruby, spocony, w szarym swetrze i czarnym, marnie dopasowanym garniturze. W ustach ma cygaro, a na nich szeroki uśmiech – dziwna sprawa: wszyscy się uśmiechają. Z kolei ze spodni starego mężczyzny wystaje wielki, obwisły brzuch. A to nie jest miły widok.

Początek to czysty standard. Chłopcy rozkładają się w budynku, który od wewnątrz wygląda kompletnie nieciekawie – przypomina bardziej oberżę niż kościół... Chyba zawiodłem się – tak to już bywa, że piękno z zewnątrz, zwykle nie pokrywa się z wnętrzem. A dziewczyny (a dokładniej dwójka pięknych dziewczyn) rozkładają się na zewnątrz, na ławeczkach przed kościołem (gdź to miejsce zaczęło funkcjonować w moim umyśle pod taką właśnie nazwą) by się poopalać. Fakt, iż jest późna noc nie zdaje się przeszkadzać im w rozebraniu i opalaniu. Nie mam nic przeciwko temu. Ja z kolei pożyczam cyfrowy aparat fotograficzny tego sprytniejszego Łukasza. Robię im zdjęcia (by nie skłamać, przede wszystkim dziewczynom).

Dziewczeta są ubrane w stroje kąpielowe. A po chwili w nic. Układają się w niejednoznaczne pozy, następnie idą w moim kierunku i ze swymi szczerymi uśmiechami na ustach układają się w te pozy na mnie...

Wtedy panikuję. Wstaję i odchodzę, jeszcze zanim scena przerodzi się w poważniejszą fantazję. A potem, by nie skłamać, cholernie żałuję tchórzostwa!

Jedna z maszyn ustawionych blisko pacjenta zaczęła wyć. Wyrwała mnie, oraz stojące obok pielęgniarki, z transu, w który wprowadziło nas marzenie senna Setha. Jęczeniu aparatury towarzyszył alarm w mojej głowie – wręcz krzyczał o to, żebym szybko uporał się z problemem, ponieważ zbyt duży hałas może przerwać eksperyment.

Z mocno bijącym sercem podszedłem do badanego i spojrzałem na zaczerwienione miejsce, w którym powinna być elektroda mierząca puls. Poszukałem jej szybko wzrokiem i wprawnym ruchem ręki pochwyciłem, a później przyczepiłem z powrotem do nadgarstka Setha. Alarm prawie natychmiast zamilkł i zamiast niego pojawiło się tak dobrze znane wszystkim pikanie.

Pacjent miał przyspieszoną akcję serca, ale ciągle mieściła się w normie. Podekscytowanie badanego brało się przede wszystkim z erotycznego charakteru, którego nabral sen. Na ekranie neuroprzebieżnika mignęły mi właśnie nagie dziewczyny, a później Seth wstający i uciekający w niewiadomo jakim kierunku...

Razem z pielęgniarkami ponownie zaczęliśmy spoglądać na ekran, nie patrząc nawet na wykres EEG. Wydarzenia ciągle nabierały tempa...

Gubię się. Gdzieś wewnątrz budynku, który teraz okazuje się być czymś w rodzaju szkoły. Wchodzę do wielkiego pokoju, który przypomina mi zaskakująco dużą ubikację. W niej raz jeszcze są dwie ładne dziewczyny. A ja raz jeszcze zamykam za sobą drzwi i ładuję przed bramą do całego budynku. W jednej chwili stoję w białym pokoju, a w następnej, akurat gdy poszukuję prywatności w tym anonimowym miejscu, ładuję na otwartej przestrzeni przed gigantycznym budynkiem – moją własną Mroczną Wieżą. Ale wcale mnie to nie przeraża. Przerażać może mnie jedynie spokój, z jakim przyjmuję kolejne kalejdoskopowe zmiany miejsca, w jakim się znajduję.

Widok jest niesamowity, bowiem jest już noc, a niektóre z gwiazd zdają mrugać, niczym niedokładnie dokręcone żarówki. Wyjmuję z kieszeni aparat i zaczynam pstrykać zdjęcia. Nagle uświadamiam sobie, że przez cały czas próbowałem zrobić choćby jedno udane zdjęcie – w taki sposób, by objąć i ziemię i niebo. By ukazać osoby na ziemi, a jednocześnie dach budynku tonący w niebieskich barwach. Próbuję ponownie. Nagle coraz więcej osób wychodzi na dwór. Robi się tłoczno i głośno. Po czym tłok i gwar gasną. Gasną z chwilą, kiedy przechodzę przez pustą przestrzeń w murze okalającą rezydencję. Nagle jestem sam. Ale nie boję się. Tu – nad przepaścią – jest tak pięknie. Robię krok w przód. Spadam. To dziwne – wcale tego nie żałuję – wcale się nie boję.

Robię to, bo naprawdę tego chcę. Upadek to też pewna forma lotu, a lot to wolność.

Pacjent spada, ale się nie budzi. Cały personel medyczny (złożony ze mnie i z pielęgniarek) wstrzymuje oddech w zniecierpliwieniu. Wszyscy są wyraźnie podekscytowani. Każdemu podoba się kierunek, w który poszedł eksperyment. Szaleństwo stawalo się dzięki temu prawie namacalne. Pora przejść do działania – myślę.

Niechętnie odrywam się od telewizora i podchodzę do EEG. Wykres wyglądał niepokojąco, ale mnie osobiście właśnie na tym zależało. Przez cały czas trwania kariery psychiatry chciałem uchwycić ten moment, gdy człowiek przekracza pewną granicę pojmowania i zaczyna być więźniem obłądu. Moje serce zabiło szybciej na samą myśl, że dzisiaj w końcu mi się uda...

Zaskakujące jest to, że Seth ciągle się nie budzi. Zadowolony z tego faktu zaczynam odłączać elektrody z jego ciała, a także wyłączać niektóre z urządzeń....

Ładuję na jakiś linkach. I twardszych częściach. A dopiero potem na wodzie. Ale wody w rzeczywistości jest mało. Tak mało, że można w niej stanąć, a będzie sięgać z ledwością po kolana. Nagle w wodzie znajduję mnóstwo moich przyjaciół. Wszyscy krzyczą, i ja chyba też krzyczę, albo powinienem. Nie wiem. Wiem tylko, że na pewno nie boję się. Świat okazał się być bajką w iście hollywoodzkim stylu. Czyli czystą tandetą. Woda po kolana. A na niej styropianowe płyty w czarnym kolorze i z białymi plamami, które (co uświadamiam sobie dopiero po chwili) mają imitować gwiazdy odbijające się w pustej przestrzeni wody.

Ktoś rzuca nam linę. Wchodzimy na górę. Łukasz zabiera mi aparat stwierdzając, że to moja wina. „Nigdy nie próbuj, Nigdy!” krzyczy, po czym dodaje coś o tym by nie rozumieć, lecz czego? Tego już widać... nie zrozumiałem – posłuchałem jego rady. Nie pojmuję z tego wszystkiego zbyt wiele. To właśnie ten brak zrozumienia przeraża mnie w tej wizji najbardziej. Następnie Łukasz (człowiek, z jakim zwykle nie zamieniam dziennie więcej jak jednego słowa, a jaki nagle rozmawia ze mną najżywiej z wszystkich tutaj zebranych) pyta się mnie, czy widziałem jego przyjaciela. Dochodzę, do wniosku, że nie, tak samo jak i on. Czyli, że przyjaciel, jakiego nigdy z nami nie było, zaginął. Dziwne...

Wchodzimy do środka. Już nikt się nie bawił – teraz, kiedy poznaliśmy prawdę. Gruby mężczyzna nadal się uśmiechał, a biały dymek nadal syczył się z jego cygara. Obejmował w swych ramionach Sylwię, której nos był dziwnie zaczerwieniony jakby się przeziębila. Z jej ust zniknął wyraz zadowolenia. Już nie potrafiła się uśmiechać, teraz, kiedy zrozumiała. Łukasz (ten mniej sprytny i zakochany w Sylwii) siedział obok nich. Płakał widząc smutny wyraz twarzy jego przyjaciółki. A drugi Łukasz płakał nie widząc swojego przyjaciela. Michał leżał na ziemi w kałuży czegoś zielonego, chyba marihuany... Z ręki wystawały mu igły, a jego spojrzenie było nieobecne. Tylko on jeden się bawił, więc nie chciałem mu tego przerywać.

Piotrka również brakowało. Byłem sam. I nic w tym dziwnego – przecież jestem mistrzem w byciu samotnym nawet w tłumie osób!

Ściągnąłem wszystkie elektrody z ciała Setha i wyłączyłem każdą z maszyn – oprócz telewizora – żeby nie obudzić go hałasem alarmów, które normalnie zaczynają wyć po odłączeniu aparatury od ciała.

Krzyknąłem na pielęgniarki. Poruszając się jak w smole podeszły do mnie. Wydałem im kilka poleceń, a one od razu zabrały się za ich wykonywanie. Przywiązały nadgarstki i stopy pacjenta do stołu, na którym leżał – podczas transportu mógł zacząć się rzucać, a tego nie chcieliśmy. Szarpnął się raz nieświadomie, ale nadal pozostał w swoim marzeniu sennym. Faza REM osiągała swoją kulminację, a myśli badanego zbliżały się do granicy...

Zdecydowałem, że najwyższy czas go przenieść. Jedna z pielęgniarek zaczyna pchać stół z pacjentem, a ja pomagam jej go ciągnąć. Druga z siostr podąża tuż za nami popychając, na specjalnym wózku, neuroprzełącznik fazy paradoksalnej snu.

Minęliśmy stertę papierów, które wcześniej wyrzucił aparat do EEG, a później wyszliśmy z Sethem przez wahadłowe drzwi na zielony korytarz. Jego kolor zawsze doprowadzał mnie do szału, był taki... sterylny – nawet bardziej niż biały. Z tyłu za nami nieznana mi pielęgniarka zbierała igły, które pospadały jej z chromowanej tacy. Jeden z oddziałowych wariatów przyglądał się nam z uśmiechem na twarzy. Po chwili parsknął i pogrążając się we własnym świecie zaczął tańczyć... Wnioskując z jego miny bawił się doskonale.

Na telewizorze, który popychała druga pielęgniarka, nieustannie migały obrazy pochodzące z najgłębszego dna umysłu...

Schodami do góry powędrowałem na ostatnie piętro... Na nim, na drewnianej ławeczce, dokładnie takiej samej jak te, na których nie tak dawno temu opalały się piękne dziewczyny, siedzi starsza kobieta. Uśmiecha się? Nie. Ona dosłownie umiera ze śmiechu. Jest uradowana widząc nasze nieszczęście. Ona wiedziała. Ale co wiedziała?

Otwieram drzwi.

Dwójka moich pięknych przyjaciółek leży na chłodnej szklanej podłodze przy jednym z pisuarów. Śpią? Nie. Już nie żyją. Ich dłonie są splecione. Na ustach pojawiła się zieleń zgnilizny, skóra jest już blada i nawet najdłuższe opalenie się nie pomoże im w nabraniu kolorów. Są nagie. Martwe. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy byliśmy martwi. Co może być dobrego w zabawie, jeśli ta potrafi trwać tylko przy użyciu alkoholu, marihuany, bądź nieszczerego uśmiechu? Domyślam się, że nic. Taka zabawa to fikcja, ułuda i śmierć.

Otwieram drzwi. Wprowadzam dwie siostry ze stołem, na którym leżał Seth, i z neuroprzełącznikiem. Z tyłu, za plecami, słyszę śmiech – przypomina mi trochę żabi rechot.

Pomieszczenie, do którego go wprowadziliśmy jest pogrążone w półmroku. Jego ściany są obite szarym, miękkim materacem tak, żeby pacjent nie zrobił sobie krzywdy. Jedyne okno umieszczono u samego sufitu i zakratowano je.

Podjeżdżamy do bocznej ściany i ustawiamy przy niej blat z badanym. Siostry uwalniają jego ręce i nadgarstki – teraz już nie będzie niebezpieczny – i odsuwają się. Patrzą chwile na mnie i wychodzą. Dobrze wiem dokąd idą. Zaraz do nich dołączę, lecz na razie spoglądam tylko na ich sylwetki. Jedna przypomina młodszą Kirsten Dunst, a druga brunetkę z „Różowych lat 70-tych”. Miło się na nie spogląda...

Wyciągam kolec z głowy Setha i neuroprzełącznik wyłącza się. Jednak to nie koniec – o nie! wypycham urządzenie na korytarz, gdzie zaraz niknie zabrane przez grubą kobietę. Podchodzę ponownie do stołu z pacjentem. Schylam się i unoszę z podłogi wychodzący ze ściany kabel – jest zakończony ostrzem o długości około siedmiu centymetrów. Służy do przesyłania obrazów z mózgu, a także monitoruję najważniejsze funkcje życiowe – dzięki niemu będę widział w swoim biurze, co dzieje się z Sethem. Wkładam go w to samo miejsce, w które wcześniej podłączony był przenośny neuroprzełącznik – wciskam go od spodu stołu (w odpowiedni wlot) wprost w część potyliczną mózgu.

Zadowolony wychodzę z izolatki i zamykam ją na klucz. Śpieszę się szybko do gabinetu, gdzie czekają na mnie pielęgniarki, żeby razem obejrzeć końcówkę snu, aby zobaczyć jak badany staje się więźniem swojego umysłu...

Układam się obok nich. Całuję każdą delikatnie w usta. Obejmuję. Zapadam w sen. Teraz rozumieją to samo, co ja. Już się nie boją. A ja już do nich pasuję.

Na samym końcu sen ponownie zmienił się w fantazję o zabarwieniu erotycznym. Dziwne. Z koszmara przekształcił się w coś skrajnie miłego... Lecz po pocałunku obraz zaczął się rozmywać. Dotychczasowe plenery zmieniały się w świat bardziej realny...

Zapach potu. Koncertowe dźwięki Nowej Huty atakują mój umysł przybывая z za otwartego okna. Promień porannego słońca wpada do mojego pokoju...

Neuroprzełącznik wyłączył się, ale zwykle kamery pokazywały dalszy ciąg wydarzeń.

Seth wcale się nie obudził. Spał dalej pogrążony w szaleństwie, którego widocznym objawem stała się katatonія (przypominała trochę fazę NREM snu). Był w swojej własnej, pozbawionej jakiegokolwiek cierpienia, Nowej Hucie. Mroczna część jego umysłu w końcu pękła i wzięła górę nad ciałem ofiarując słodki niebyt.

Tylko od czasu do czasu uda mu się nawiązać kontakt z otaczającym go światem, dzięki zapisywanym nieświadomie kartką papieru.

Odwrociłem się od czarnego neuroprzełącznika w kierunku pielęgniarek. Wiedziałem, że jeszcze kiedyś zobaczę choć fragment snu Setha – muszę tylko poczekać, aż ponownie pogrąży się w REM. Siostry uśmiechały się; ja zresztą też. W dobrych nastrojach wyszliśmy z gabinetu i udaliśmy się na kawę. Później czekało nas kolejne badanie-eksperyment...

Na ekranie Seth spał bez ruchu. Jego twarz oświetlał promień porannego słońca. Uśmiechał się... pewnie leciał, będąc nareszcie wolnym...

*Badanie przeprowadził: Ogór [gauu@wp.pl]
Badanym był: Seth [prizefighter@op.pl]*

wdr ::: Ona

Miły, nienachalny dźwięk rozbrzmiał w małym, ciemnym pokoju. Znał ten dźwięk dokładnie. Codziennie słyszał go setki razy i za każdym razem chodziło o to samo. Ktoś się do niego odzywa przy pomocy komunikatora internetowego. Jednego z pięciu, które ma zainstalowane na komputerze. Ten jest do komunikacji głosowej, tamten do wideo, jeszcze inny do obu. Ma też szósty, wewnątrz sieciowy, ale nie korzysta z niego, bo po co? I tak sieć do której należy składa się z trzech komputerów.

<Może byśmy pofiglowali?>

Chwila zamyślenia, cisza. Po chwili przerwał ją rytmicznie wystukując odpowiedź. ENTER. Puls jego przyspieszył i chociaż przeglądał kolejną już dziś stronę, to i tak nie wiedział co czyta. Spojrzał na zegarek, 23:42. Kliknął na nim dwa razy, aby spojrzeć na sekundnik. Ciekawe po jakim czasie odpisze? 29, 30, 31, 32, 33. Jest, odpowiedź! Dźwięk znów przebiegł dokoła pokoju. Nie znosił go. Nie znosił, ale jednocześnie oczekiwał. Tak, mógł go wyłączyć. Owszem, ale wówczas nie wiedziałby, gdy ktoś napisze. A co jeżeli będzie akurat w kuchni?

<To u mnie, czy u Ciebie?>

Co za pytanie! Oczywiście, że u niego. Musi przecież tu być, gdyby ktoś akurat napisał. Poza tym wychodząc byłby zmuszony do wyłączenia komputera, a tego nigdy nie lubił.

<Halo, jesteś tam?>

Nie znosił ponaglenia. Skoro nie odpisuje od razu, to znaczy, że nie może. Tylko dlaczego teraz nie mógł? Odpowiedź zdawała się być prosta, a jednak wciąż nie odpisał. Spojrzał za okno. Już od dawna było ciemno. Podobnie zresztą jak w pokoju, w którym jedynym źródłem światła był monitor LCD. Ten sam, który dostał od niej na urodziny. Spojrzał na zegarek, 23:47. Wcześniej.

<Puk, puk!?!>

23:48. Wziął tyk kawy, którą zrobił przed godziną, a która teraz już jest zimna. Uruchomił program pocztowy. Znowu nic nie przyszło. Nic zresztą dziwnego, przecież sprawdzał skrzynkę przed pół godziny. Jeszcze 12 minut. 12 minut i przyjdzie kolejna porcja maili reklamowych. A może akurat dziś będzie coś wartościowego?

<Czy Ty tam w ogóle jesteś?>

A może na forum jest coś nowego? Nie, nic nie ma. Wszyscy pewnie już poszli spać. Sprawdził jeszcze raz pocztę. Nic. 23:50. Spojrzał za okno. Zamknął system i poszedł po omacku do pokoju obok. Do niej...

wdr [filip_ek@poczta.fm]

Koriat ::: Podzielenie

To jest miejsce podziału.

Tu kończy się Świat i i tu kończą się rządzące nim prawa. Tak po prostu.

Tu zaczyna się Labirynt i oddają obowiązują jego prawa. Między nimi jest tylko prawo logiki.

Gdy Poszukiwacz patrzy na miasto, na jego twarzy gromadzą się przedburzowe chmury. Wspomina. Wspomnienia spadają z niego deszczem i błyskawicami ostatniej jesiennej burzy. Gdy tylko ulewa ustanie, nadejdzie zima, która skuje jego oczy lodem. Niebo znów będzie czyste, tak czyste, jak jeszcze nigdy, i idealnie białe. Połączy się wreszcie z równie białą ziemią i będą jednością, przynajmniej to podzielenie zniknie.

Światła miasta powoli gasną, a im więcej ich zgaśnie, tym więcej gwiazd na niebie. Jego mieszkańcy zasypiają, niewiedząc, że rano Świat, a przynajmniej Świat Poszukiwacza nie będzie już taki sam. Tak naprawdę będzie zupełnie inny.

W Labiryncie czekają Cel i Spełnienie- Skarb. Poszukiwacz poświęcił szukaniu Skarbu prawie całe życie, z wyjątkiem tylko dzieciństwa. Tak samo jak jego ojciec, dziad, pradziad i pradziad pradziada, nieskończony korowód Poszukiwaczy, których życie trawiła obsesja znalezienia Skarbu. Skarb istnieje od początku Świata, dokładnie tyle, ile istnieją Poszukiwacze. Dokładnie tyle, ile trwają Poszukiwania.

Wie, że jest ostatni, tę niezachwianą i nienaruszalną pewność nosi w sercu już od... sam nie wie ilu lat. Wielu. Dostatecznie wielu, by nosząc ją posiwieć i pochylić się. Od dzieciństwa. Dlatego też nie zostawił potomka, kogoś, komu przekazałby swą wiedzę i kto podjąłby Poszukiwania po jego śmierci.

Ale to już nieważne, bo oto stoi przed Labiryntem. Oto kres Poszukiwań, a w środku czeka ich Zwieńczenie. Wystarczy tylko wejść i pokonać tą ostatnią przeszkodę, jaką postawiono na jego drodze.

Odczuwa teraz dziwną mieszaninę pewności, lęku, uczucia triumfu i uporu- mieszaninę tak jednorodną, że tylko z największym trudem można oddzielić poszczególne składniki. Uczucie elitarnie, znane tylko nielicznym, nawet nie wszystkim Poszukiwaczom. Bawi się myślą, że może jest pierwszym, który je odczuwa. I czuje spełnienie- pokonał tak wielu wrogów, uniknął tak licznych niebezpieczeństw, z tylu pułapek się wydostał. I oto jest jego nagroda, oto jemu dane jest dopełnić misji. Kończący wielkie dzieła są najszcześliwsi, błogosławieni.

Poszukiwacz patrzy na Drzwi, osadzone w omszałej, ostrołukowej bramie. Ciemne, żelazne, zdobione geometrycznym wzorem. Wyglądają dokładnie tak, jak powinny, jak je sobie tysiącokrotnie wyobrażał.

Podchodzi, wyciąga dłoń opiętą skórzaną rękawiczką by dotknąć klamki, zaciśnąć na niej palce, nacisnąć.

Klamka jest jasna, dużo jaśniejsza niż odrzwia, gładko, choć nieregularnie wypolerowana.

I nagle rozumie, i ta myśl jest jak sztylet przesywający umysł, jak krew zalewająca płuca.

Klamkę wyślizgały tysięczne dłonie tysięcznych Poszukiwaczy, którzy byli tu dziesięć, pięćdziesiąt, sto, tysiąc i sto tysięcy lat przed nim, oto jest finał życia każdego z nich, wszyscy kończą tak samo, w tym samym miejscu.

I druga myśl, jak ziołowy balsam. To ludzie z Miasta, pewnie Labirynt jest dla nich święty, pewnie przychodzą tu i brukają go jakimiś żałosnymi rytuałami, nic nie rozumiejąc. Tak. Tak.

Naciska klamkę i nie dzieje się nic, Drzwi nie ustępują.

Jak...?

Puka, zrazu delikatnie, potem już bez opamiętania wali pięścią w czarną stal, krzycząc, złorzecząc, klnąc.

Trzask i Drzwi ustępują, otwierając się do wnętrza.

Poszukiwacz patrzy w głąb Labiryntu. Wchodzi, szare, jednolicie kamienne ściany pochylają się nad nim, chcąc uwięzić, zaciśnąć, zmiażdżyć...

Nie.

Wyjmuje z tobołka pochodnię, krzesze ogień. Idzie, teraz już szybko, pewnie, nie rozglądając się. Ale w końcu ciekawość zwycięża, Poszukiwacz spogląda w bok.

Ściany nie są już szare, zdobią je mieniające się kolorami freski. Ale nie ma tam czczonych przez Poszukiwaczy byków, nie ma uświęconej śmiercią walki z nimi.

Kolejni Poszukiwacze, od początku Świata, idą wraz z nim. Niekończący się korowód postaci, wysokich, niskich, młodych i starych, cała historia jego rodu, i w końcu on sam, a dalej już nikogo, tylko cała historia od początku, znów te same spojrzenia przodków. Skręca, i znowu, za każdym razem w lewo, jak mówią przepisy poruszania się we wszystkich labiryntach, które tworzą Labirynt. I jest coraz bliżej Centrum, coraz bliżej Skarbu. Już niemal wystarczy wyciągnąć rękę, zacisnąć na nim palce.

Poszukiwacz skręcił ostatni raz, postąpił kilka kroków i spadł.

Spadał ku innym Labiryntom i innym Skarbom i nareszcie zaczynał rozumieć ich tajemnicę.

Koriat [koriat@poczta.fm]

OPOWIADANIA

Alan Akab ::: Wspomnienia.

Lekcja Przetrwania

Więc, słuchacz z innego świata, chcesz poznać moją historię? Może coś już słyszałeś, może pamiętasz... O czym chciałbyś usłyszeć? Zabawić cię opowieścią o wyprawie ku Czarnej Pustyni, Wojnie Dwóch Braci, zjednoczeniu klanów Wielkich Stepów i oblężeniu Lannanu? Może słyszałeś już o Mrocznych Pielgrzymach – o nich też mogę wiele powiedzieć... To tylko przeszłość. Wszystko się kiedyś skończy, nawet Czas, co dopiero człowiek. Nawet twoja magia tego nie zmieni. Jestem ledwie cieniem Nordona Elinarona, legendy Gór i obrońcy Pustyni, choć posiadam jego pamięć, doświadczenie – i dystans, płynący z wieku i pogodzenia z losem. Tych rzeczy najbardziej brakuje w młodości; starość ma ich aż nadto, obciążając i tak już osłabione wiekiem ciało. Jeśli na Świecie naprawdę istnieje jakaś prawdziwa niesprawiedliwość, będąca czymś więcej niż przypadkiem, to tylko w tym jednym. Tylko w tym...

Od początku byłem wybrany do czegoś, czego nie byłem w stanie pojąć. To czułem od dziecka, od tej chwili kiedy... Pół życia spędziłem na poszukiwaniach Przeznaczenia. Było kilku przede mną, będzie i wiele po mnie, ale nie wszyscy zdołali je spełnić. Przeznaczenie nie jest bowiem czymś ostatecznym, jest ledwie możliwością, nie istniejącą bez właściwego wyboru drogi. Przetrwałem dzięki naprędce zdobytym podstawowym lekcjom, prawdom rzekłobyś oczywistym, których jednak sam musiałem się nauczyć. Nie wszystkim dane jest opanować tę naukę na tyle szybko by przeżyć.

Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Tak samo los ludzki, będący przecież podróżą przez czas, zaczyna się od małych wydarzeń. Pozwól więc iż zaczne od początku. Jeśli zaś, jak mówisz, jesteś cierpliwy, zdołasz doczekać tych opowieści, które ludzie zwą wielkimi i ważnymi. Bowiem przed każdą rzeczą wielką stoją rzeczy małe, choć o wielkiej wadze. Mogę ci jedynie obiecać, że inaczej spojrzysz na wielkie wydarzenia, niż gdybyś poznał je wprzód, bez poznania historii pewnego chłopca, naiwnego i samotnego wśród nieznanego – nawet gdy miał przy sobie towarzyszy. Towarzysze, nawet najlepsi, z czasem nas opuszczają. Ostatecznie, na końcu, pozostajemy tylko z samym sobą i swoimi czynami.

Urodziłem się w jednej z dolin Gór Granicznych, na wschód od Cesarstwa. Miałem dziesięć czy dziewięć lat gdy pewnej zimy w domu moich rodziców zjawił się nieznajomy wędrowiec. Pamiętam, mój starszy brat miał się właśnie żenić. Wędrowiec jednak nie był zwyczajnym wędrowcem, szukającym takich okazji by się pożywić i może zarobić kilka monet od szczęśliwych nowożeńców, w zamian za opowieści o dalekim świecie. Przybył do ojca, aby ten spłacił mu dawno obiecany dług. Zapłatą miał być najmłodszy z jego synów. To byłem ja.

Tego to roku opuściłem dom, by, czego wtedy nie wiedziałem, nigdy do niego nie wrócić.

Wędrowiec zaprowadził mnie w dalekie, nieznane mi części gór. Choć konna podróż była długa nie powiedział mi o sobie nic, ani za co nabył prawo do mojego życia, ni skąd pochodzi, czy czego ode mnie oczekuje. Nie wypowiedział nawet swojego imienia. Za jego przyzwoleniem nazwałem go Mistrzem. We wspomnieniach utkwiał mi jego medalion, talizman dwugłowego smoka, medalion Prawdziwej Równowagi, jak raz go raz nazywał.

Przez rok żyliśmy w samotności, w niewielkiej chatce, ukryci w jednej z dolin. Mistrz nauczył mnie tam tak wielu rzeczy że wymienianie wszystkich trwałoby zbyt długo. Robił to w pośpiechu, acz systematycznie, szczególną uwagę poświęcając sztuce posługiwania się mieczem i łukiem, metodom odszukiwania i wykorzystywania ziół, opatrywania swoich ran. Pod jego kierunkiem poznałem naturę zwierząt i sposoby rozpoznawania języków odległych krain. Musiał być znawcą w wielu dziedzinach, lecz nie mówił mi wszystkiego. Lata zajęło mi zrozumienie powodu dla którego pominął wiele istotnych nauk, skupiając się czasem na zdawałoby się tych mniej ważnych... Towarzysze, którym opowiadałem o swojej młodości, sugerowali iż mój Mistrz musiał w jakiś sposób wspomóc moją pamięć i zdolności przyjmowania nowej wiedzy, bym utrzymał narzucone tempo. Nie wiem czy mają rację, wiem jedno – nigdy później nie nauczyłem się tak wiele jak wtedy.

Mistrz kładł duży nacisk na moje umiejętności obronne, abym wykorzystał wszystkie umiejętności do przetrwania tego co tylko przyszłość potrafiła ze sobą przynieść. Jego stanowczość dziś zdaje mi się trywialna – po prostu nie chciał bym dać się zabić w kilka miesięcy po tym jak poświęcił mi rok ze swojego życia. Powtarzaliśmy pchnięcia, odskoki i udawane walki, aż do całkowitego wyczerpania moich sił, a i wtedy, pod wieczór, zanim mogłem odpocząć, Mistrz kazał mi powtarzać wszystkie wiadomości które mi tego dnia przekazał. Przyznaję, nie raz i nie dwa przeżyłem tylko dzięki przypadkowi, lecz znacznie więcej zawdzięczam naukom mistrza niż łaskawości losu.

Z początku tęskniłem za rodzicami, tym mocniej im bardziej zwiększała się dzieląca nas odległość. Wreszcie uświadomiłem sobie że nie zobaczę ich przez bardzo długi czas, być może nawet nigdy... Lecz po przybyciu na miejsce Mistrz postarał się o to aby mordercze treningi nie pozostawiały mi czasu na żale. Zdumiewające jak dokładnie przyszłe miesiące wymazały z mojej pamięci obraz domu, pozostawiając ledwie przebliski... Choć może nie był to przypadek?

Tygodnie zdawały mi się miesiącami, miesiące – sezonami. Czasem w nocy, przed snem, bo tylko wtedy miałem na to czas, wspominałem rodzinę, przeklinając Mistrza za zgotowany mi los, wiedząc że nie pozwoli mi wrócić. Lecz w końcu zapomniałem, może z braku czasu na wspomnienia, a może dlatego mistrz tak barwnie opisywał mi świat, miejsca i ludzi, że zamiast powrotu do domu zacząłem marzyć o ujrzeniu tego co on. Znał mnie lepiej niż ja sam. Wiedział że nie byłem z tych co spędzają życie na pracy wokół swojej chaty i pola, odgadł moje prawdziwe marzenia nim jeszcze zacząłem je mieć... a może sam mi je wszczepił? Nie winię go za to że wykorzystał moją dziecięcą ciekawość do swoich celów. Jestem pewien że kilka lat później sam opuściłbym wioskę, kilka lat później, prawda, za to bez potrzebnej mi wiedzy i umiejętności przetrwania. Wielu młodzieńców wyruszało przed siebie, wielu nigdy nie wracało. Ja przeżyłem.

Szybko oduczyłem się pytać Mistrza o cel tego wszystkiego. Tylko raz powiedział mi że z czasem sam wszystko zrozumie; potem już tylko milczał, lub zaczynał sprawdzać jak wiele się nauczyłem. W ten sposób ukrócił moją ciekawość.

Pewnego jesiennego dnia mistrz po prostu powiedział że już czas. Rozstaliśmy się bez pożegnania. Czułem że się kiedyś spotkamy, ale kiedy i w jakich okolicznościach – tego nawet on nie mógł wtedy wiedzieć. Niewiele dostałem na drogę – o wiele za dużą na mnie kolczugę, jednoręczny miecz, który przez kolejne lata służył mi za dwuręczny, zimowe futro, krótki łuk oraz garść strzał. Mistrz zabrał oba rumaki i odjechał. Nie mogłem się długo zastanawiać nad swoim losem. Nawet doświadczonemu podróżnikowi byłoby trudno przetrwać samemu zimę wśród gór. Musiałem dotrzeć do jakiejś osady, nieważne ludzkiej czy krasnoludzkiej.

* * * * *

Żyjąc na nizinach Cesarstwa, czy na wschodnich stepach, człowiek rzadko kiedy może powiedzieć – „dziś pierwszy dzień zimy”. Dzień po dniu powietrze staje się coraz chłodniejsze, ziemia powoli zamarza, aż wreszcie pojawia się pierwszy, drobny śnieg. W Górach Granicznych zima przychodzi nagle, z dnia na dzień, gnana z zachodu potężnym uderzeniem wiatru, chłodu i wielodniowej śnieżycy. Nowa pora roku nadchodzi tu powiem najpóźniej, gdy reszta krain Południa od tygodni śpi już pod białą kołdrą puchu. Wtedy to zniecierpliwiona zima rzuca na górali resztki swoich sił, by zaprowadzić swoje nowe porządki. Góry Graniczne zawsze opierają się najdłużej, czy to wojskom, czy przyrodzie.

Dwa tygodnie później pierwszy w tym roku śnieg grubą warstwą pokrywał szczyty i opuszczaną przeze mnie kolejną dolinę. Padał bez ustanku już od kilku dni. Ślady moich stóp były jedynymi na przestrzeni wielu mil, jakie naruszały białą powierzchnię. Nawet zwierzęta dobrze wiedziały co się święci. Lecący z nieba gęsty, otaczający mnie zewsząd gruby puch w niecałą godzinę sprawił że nie mogłem dostrzec drzew innych niż te rosnące parę ramion przede mną. Ten dzień był, szczęśliwie dla mnie czy nie, pierwszym gdy padający śnieg nieco zrzędl i mogłem wreszcie przyjrzeć się okolicy.

Odkryłem że wspinam się w górę, między dwa szczyty, z grubsza w kierunku czegoś co wyglądało na krawędź jakiejś przełęczy. Byłem już dość wysoko, nieświadomy, aż do tej chwili, że idę pod górę – a to za sprawą wiatru, wiejącego przez całą drogę mocno w moje plecy. Teraz osłabł, ale wciąż wystarczał aby lepkie, duże płatki pierwszego śniegu przyklejały się do futra, oklejając mnie od głowy do stóp chłodną, wilgotną białą masą.

W górę, na krawędzi przełęczy, dostrzegłem linię między drzewami. Bez wątpienia, jakaś droga, pomyślałem. Tym chętniej ruszyłem w górę, lecz w miarę jak dłużyła się droga zacząłem się obawiać że ujrzę za nią kolejną przełęcz, i kolejną – tak samo jak jeszcze tydzień temu. Lecz gdy osiągnąłem najwyższy punkt gigantycznego, skalnego siodła, nie dostrzegłem przed sobą żadnej więcej przeszkody.

Teren opadał w dół, ku dolinie. Tam też prowadziła zasypana, ale wyraźnie widoczna droga. Zakręcała tu w prawo, kryjąc się za drzewami, całkowicie pokrytymi białą śnieżną pokrywą. Oglądając je z okna ciepłej chaty, może zauważyłbym ich urok, dostrzegł piękno natury i majestat zimy, ale chyba tylko elf, gdy strudzony drogą i przeniknięty chłodem, może zwrócić uwagę na takie rzeczy. Na tej wysokości rosy już tylko drzewa iglaste, za to wysokie i bardziej rozłożyste niż w niższych częściach gór. Zastaniały widok na dolinę, ale uwierzyłem że ktoś musi tu mieszkać, a schodząca w dół droga zaprowadzi mnie do jakichś chat, albo jaskiń.

Przełęcz stłumiła wiatr, płatki śniegu przestały wreszcie lgnąć do futra na moich plecach. Spadały swobodnie z ołowianego nieba, nie popychając już do dalszego marszu. Nie to jednak wstrzymało mnie wtedy od zejścia w dół. Chwila spokoju żywiołów wystarczyła bym poczuł się zbyt zmęczony by iść dalej. Zbyt długo brnąłem przez śnieg, sięgający mi teraz prawie do samych kolan, zbyt ciężko przychodziło mi wyciągać stopy z tej białej, puchowej pułapki. Wiedziałem że nie powinienem się zatrzymywać, ale musiałem odpocząć, choćby tylko na chwilę.

Wiem, to było głupie. Kto raz zatrzymał się w zimie, w dziczy, bez dachu nad głową i ogniska u stóp, najczęściej już nigdy nie wstawał. Jednak nikt kto choć raz nie był w takiej sytuacji, kto nie pragnął tak bardzo odpocząć, nie będzie miał pojęcia jak wiele wysiłku wymaga postawienie każdego kolejnego kroku. Byłem jedynie zmęczonym chłopcem. Musiałem odpocząć, zamknąć oczy, choć na chwilę...

Tuż obok, wzdłuż drogi, leżał pień świeżo zwalonego przez wiatr drzewa, obiecując ochronę od wiejącego z rzadka przez przełęcz wiatru. Przysiadłem za nim i zamknąłem oczy. Spróbowałem skierować swój umysł na moje myśli, kontrolować je, aby nie poddać się całkowicie zmęczeniu – jak uczył mnie Mistrz. Zamierzałem wstać jak tylko poczuję rozchodzące się po ciele ciepło, gdy tylko w umyśle pojawi się zdradliwa błogość i senność...

Wtedy to, gdy wiatr ucichł na chwilę, usłyszałem jakieś głosy. Z początku nie byłem pewien czy to nie wiatr między drzewami, ale głosy się powtórzyły. Siadłem i zsunałem otulający moją głowę gruby futrzany kaptur. Głosy stały się wyraźniejsze, usłyszałem także dźwięki. Zacząłem nasłuchiwać. Wciąż były stłumione przez śnieg, ale wyraźnie usłyszałem parsknięcie konia.

– Mój panie – głos stawał się wyraźniejszy – Śnieg się nasila. Nikt, kto ceni własne życie, nie wyjdzie na przełęcz w taką pogodę! Powinniśmy zawrócić...

– Nie wcześniej niż dotrzemy na szczyt przełęczy – drugi głos był stanowczy – Wciąż czuję, że jest...

Głosy szybko się zbliżały. Słyszając głuche uderzenia końskich kopyt o śnieg zerwałem się na równe nogi. Nim jednak zdecydowałem się czy się ukryć czy zaczekać, zza drzew przy zakręcie drogi, na brodzących po kolana w śniegu rumakach, wyjechało czterech jeźdźców. Ostatni z nich prowadził za uzdę piąte zwierzę, bez jeźdźcy. Wyglądali na wojowników, ale jeden z nich różnił się wyraźnie od pozostałych. Trzech było ubranych w proste, a wpół skórzane, na wpół metalowe zbroje; pancerz tego jednego złożony był cały z metalowych płyt, dobrze dopasowanych do kształtu i figury ciała, jedynie połączonych skórą. Bez wątpienia, zrobiono go na zamówienie. Pozostali wojownicy trzymali się nieco z tyłu.

Na mój widok zatrzymali się w miejscu. Wojownik w pancerzu, wyglądający bardziej na rycerza, z wolna podjechał bliżej, pozostawiając swoich towarzyszy. Zatrzymał swojego rumaka tuż przede mną, patrząc na mnie z góry.

– No proszę. Ktoś jednak ruszył na przełęcz, mimo nadciągającej śnieżycy.

Stałem przed nim, nie wiedząc, co robić. Wreszcie skłoniłem się niezdarnie, widząc że to ktoś znaczniejszy.

– Jesteś za młody na wędrownego barda, chłopcze. Właściwie, jesteś za młody na cokolwiek... włączając w to wspinaczkę tutaj, zwłaszcza o tej porze roku.

– Jestem tylko zwykłym wędrowcem, panie... – odpowiedziałem – Ale potrafię leczyć rany, i... – zamilkłem, nie wiedząc co powiedzieć.

– A to niezwykle, w twoim wieku! – spojrzał na wybrzuszenie futra, na moim prawym boku, gdzie miałem przypięty miecz – Nosisz broń... Umiesz się nią chociaż posłużyć?

– Dość, żeby się obronić.

Rycerz uśmiechnął się lekko i skinął głową.

– Miecz nie pomoże na taką pogodę, chłopcze. Zima to cichy, podstępny przeciwnik, którego nie zdołasz przemóc żadnym wojennym orężem – spojrzał za mnie, na śnieg, ugnieciony w miejscu, gdzie próbowałem odpoczywać – Nie powinieneś się zatrzymywać. Nie powinieneś nawet wyruszać w tę drogę, ani w taką pogodę, ani w twoim wieku.

– Śnieg zaskoczył mnie w drodze do Krontorii, panie. W śnieżycy musiałem minąć boczną przełęcz i... Staram się znaleźć jakąś osadę... A zdaje się, że pogoda nieco się poprawia.

– Do wieczora przyjdzie nowa fala śniegu. Żyjąc w górach człowiek uczy się wyczuwać takie zmiany. Krontoria leży kawał drogi stąd, najmniej dobrze trafiłeś. Są tu dwie wioski, ale jeśli wolisz, możesz zatrzymać się w moim zamku. Jestem Kregnor, pan tej doliny.

Już wtedy ogarnęło mnie uczucie że jest w tym coś dziwnego. Nie wydawało mi się aby było w zwyczaju możnych panów zapraszać nieznanomych włóczęgów na zamek. I jeszcze ten koń... Spojrzałem w stronę trójki wojowników, zwłaszcza tego który trzymał uprząż dodatkowego, osiodłanego rumaka.

– W zimie pozwałam moim ludziom brać ze sobą dodatkowe zwierzę – Kregnor odgadł co mnie tak zainteresowało – W razie wypadku jeden koń może nie dać rady dowieźć na zamek aż dwóch jeźdźców.

Niewielki miałem wybór. Odrzucenie takiej propozycji mogło zostać źle przyjęte. Krontoria była o wiele dni drogi stąd, tego byłem pewien i bez ostrzeżeń Kregnora, a nie słyszałem aby poza tym miastem była w pobliżu jakaś osada. Musiałem zostać w tej dolinie, aż do wiosny, co za różnica czy w jednej z tych wiosek, czy na zamku? A konia z rzędem temu kto przewidzi jak można władca zareaguje na odmowę...

– To dla mnie zaszczyt – skłoniłem się.

Wojownicy Kregnora pomogli mi wsiąść na rumaka – dokładniej, niemal wpełchnęli mnie na siodło – i ruszyliśmy w dół, krętą, zaśnieżoną drogą, prosto po wciąż wyraźnych śladach. Kregnor gestem pokazał bym jechał obok niego. Jego wojownicy trzymali się z tyłu.

Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie droga się rozwidła. Jedna jej odnoga szła w dół, druga prowadziła wzdłuż zbocza, w lewo. To w tę stronę prowadziły ślady koni i to tam się udaliśmy. Choć przyprószone śniegiem, dołki po kopytach wciąż były dobrze widoczne.

– Droga po prawej prowadzi do większej wioski, na dnie doliny – wyjaśnił Kregnor – To kilka mil dalej. Stamtąd prowadzi do drugiej osady, wyżej, na zboczu. Jest tam nawet mała kopalnia, z kilkoma krasnoludami.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem żadnego krasnoluda... – bezwiednie wypowiedziałem na głos przemyskającą przez głowę myśl.

– Może tej zimy będziesz miał ku temu okazję. To oni zarządzają wydobywaniem. Jesteśmy tu samowystarczalni, z konieczności. Rzadko kto nas tu odwiedza, a kupcy prawie wcale. Nie ma tu bogactw, więc nie mają po co tu przyjeżdżać.

– Dlaczego nie zbudowano zamku przy wiosce, panie?

– Bo to tędy wiedzie jedyna droga na zewnątrz. Jedyna którą można przebyć konno. Poza przełęczą, dookoła są jedynie górskie szczyty – Kregnor zatoczył niewielki łuk ręką, wskazując szczyty. Wysokie, nagie, strome ośnieżone skały sterczały dookoła całej doliny – Wspinaczka niełatwa, zimą wręcz niemożliwa. Niełatwo tu trafić.

Nie spojrzał na mnie. Nie widziałem jego twarzy, ale z tonu głosu odczytałem że miał na myśli iż trudno tu trafić przez przypadek.

– To ja kazałem wznieść tu zamek, po tym, jak zaprowadziłem tu porządek – dodał po chwili milczenia – Kiedyś była ona jedynie siedzibą bandytów. Teraz ludzie mogą tu pracować w spokoju, pewni owoców swoich rąk.

– Jak tego dokonałeś, panie?

– Nie było to łatwe. W tych czasach każdy mógł polegać tylko na sobie – spojrzał na mnie – Musiałem nauczyć się walczyć, aby przetrwać. Musiałem zabijać, inaczej sam bym zginął. Byłem silny. Ludzie sami poszli za mną, zmęczeni życiem wśród codziennych utarczek. Zamiast rabować, poleciłem im budować chaty i uprawiać ziemię. Zaprowadziłem prawo.

Umilkł. Jego towarzysze cały czas jechali tuż za nami. Przez całą drogę nie powiedzieli ani słowa, nie wydali żadnego dźwięku. Dolina sprawiała wrażenie spokojnego miejsca, leżącego na uboczu wojen i historii. Wtedy nietrudno mi było uwierzyć w istnienie takiego miejsca.

Zamek Kregnora nie był duży, lecz mi, po raz pierwszy widzącemu taką budowlę, wydał się ogromną i potężną fortecą. Stał ponad linią drzew, niczym wystająca w górę samotna skała, przedłużenie ostańca wysuniętego ze zbocza w stronę przełęczy. Do środka prowadziła niewielka brama, miał jedną, niezbyt wysoką wieżę, mały dziedziniec ze stajnią na kilka koni, oraz rozbudowaną, trzypiętrową część mieszkalną. Jedynie mury były potężne, zbyt wysokie, wręcz niepotrzebnie, jak na rozmiary takiej budowli.

W żaden sposób nie mogłem dostrzec stąd miejsca naszego spotkania, ale dziwiłem się, że nie zauważyłem go gdzieś po drodze, na przykład z rozwidlenia dróg, gdzie przecieć dobrze rozejrzałem się wokół, szukając i wioski i samego zamku. Tym ciekawsze zdało mi się odkrycie, dokonane gdy jechałem przez plac przed zamkową bramą, że można było stąd obserwować całą drogę prowadzącą na przełęcz, aż do samego zakrętu przed samą jej krawędzią. Rosnące pod nami drzewa, oraz sam kształt zamku, wydawały się specjalnie stworzone aby jak najlepiej ukryć go przed obcym wzrokiem, zwłaszcza z samej drogi.

Pogoda nie zachęcała do podróży, tak wrogów jak i przyjaciół, a jednak krata w bramie była opuszczona. Uniesiono ją dopiero kiedy zbliżyliśmy się do niej i opuszczono zaraz po naszym przejściu. Ludzie nie byli wojownikami, choć wyglądali na przejętych swoimi obowiązkami. Dziwnie na nas patrzyli, gdy przejeżdżaliśmy pod nimi, jakby się czegoś obawiali, lecz wystarczyło jedno spojrzenie Kregnora by natychmiast odwrócili głowy.

Na dziedzińcu zsiadliśmy z koni. Kilku ludzi natychmiast zajęło się zwierzętami, my zaś weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia, zaraz za głównym wejściem do części mieszkalnej. Kilka skrzyń, jakiś stos futer... W głąb zamku prowadziło troje drzwi, każde na innej ścianie, po prawej stronie kamienne, proste schody prowadziły w górę.

– Wkrótce spotkamy się ponownie – rzekł Kregnor – Teraz jednak muszę się zająć innymi sprawami – wskazał ręką na schody – Moi ludzie zaprowadzą cię do komnaty.

Zdjął skórzane rękawice, rzucił je na stojącą przy wejściu skrzynię i zniknął za drzwiami naprzeciwko, wraz z jednym z wojowników. Dwaj pozostali stanęli obok, czekając aż zdejmę z siebie przemoknięte od topniejącego śniegu futro. W milczeniu weszliśmy po schodach na niedługi korytarz. Na jego końcu znajdowało się duże okno, zaś po bokach – po dwoje drzwi. Moi przewodnicy wskazali na jedno z nich.

Komnata była niewielka, za to dobrze nagrzana i przytulna, na ile tylko potrafi być przytulne pomieszczenie z kamiennych murów. Pod małym, zakratowanym okienkiem stało niewielkie łóżko. Przez szyby wpadało dość światła aby komnata nie pogrążała się w mroku. Do rozpraszania ciemności nocy służyła niewielka, oliwna lampka, zawieszona na długich, zwieszających się z sufitu łańcuszkach. Na wypadek gdyby i to było mało, na półce, nad kominkiem na prawej ścianie, stał niewysoki świecznik z parą świec.

Pod ścianą po lewej stały dwa puste kufrы. Na jednym z nich stał nawet dzban z wodą, a obok niego talerz z pieczywem. Poślanie z futer aż się prosiło aby zrobić z niego użytek – wszystko mówiło iż Kregnor oczekiwał gościa jeszcze nim dotarł na przełęcz. Nie zauważyłem by w jakikolwiek sposób, magią czy tresowanym zwierzęciem, przesłał wiadomość o gościu, ale zaraz przypomniałem sobie widok z zamku na drogę. Ktoś mógł zobaczyć że jeźdźców jest więcej niż wyruszyło. No i ten koń...

Wojownicy odeszli gdy tylko wszedłem do środka. Jeszcze dziś rano nie przypuszczałem że wkrótce będę miał szansę się ogrzać. Zdecydowanie potrzebowałem ciepła jakie biło od ognia, płonącego w kominku. Domknąłem drzwi, by nie uchodziło ono na chłodny korytarz i postąłem dłuższą chwilę przy kominku, zacierając ręce i rozgrzewając każdy kawałek skóry.

Okno wychodziło na dolinę. Ciekaw widoku, podszedłem do niego i klękłem na posłaniu, opierając dłonie na futrynie, aby wyjrzeć na zewnątrz. Zamek górował nad lasem i całą doliną, niestety mróz na szybach ograniczył widoczność na tyle, że widziałem jedynie wierzchołki pobliskich drzew.

Kregnor miał rację co do śniegu. Wkrótce za oknem widziałem już tylko ruchomą ścianę bieli. Właśnie taki śnieg padał w górach, zaraz na początku zimy.

Czas się dłużył, a pan zamku nie przychodził, mimo swojej wcześniejszej obietnicy. Nawet nie próbowałem odgadnąć co mogło zatrzymać kogoś, kto miał na głowie całą dolinę, i to u progu zimy. Jednak żaden chłopiec nie zdoła usiedzieć długo w zamkniętym pomieszczeniu.

Podszedłem do drzwi, uchyliłem je i wyjrzałem na korytarz. Tak stanąłem twarzą w twarz z kolejnym wojownikiem, innym niż ci trzech z przełęczy. Musiał tam stać już od jakiegoś czasu.

– Pan Kregnor polecił mi uważać na ciebie – powiedział spokojnie, choć z naciskiem – Powinieneś zaczekać aż będzie miał czas by cię odwiedzić.

– Ja tylko...

– Powinien wkrótce się zjawić – strażnik był stanowczy – Przyjdzie jak tylko skończy przygotowania.

Wróciłem do komnaty, zamykając za sobą drzwi, rozumiejąc dlaczego Kregnor mógłby nie życzyć sobie aby nieznajomi swobodnie chodzili po zamku. Z pewną ciekawością zdałem sobie sprawę że po raz pierwszy odezwał się do mnie ktoś z zamku, ktoś poza Kregnore.

Godziny mijały dalej, a nic się nie zmieniało. Gdy zapadł wieczór ponownie spróbowałem wyjść na korytarz i ponownie uprzejmie, delikatnie, acz stanowczo, zostałem zawrócony od drzwi. Musiałem jednak zwrócić na siebie uwagę, gdyż po kilkanaście minut później, kiedy ze zniecierpliwieniem wyglądałem przez okno, usłyszałem skrzypnięcie. Odwróciłem głowę. To był Kregnor.

Zamknął drzwi i powoli usiadł na jednym z kufrów. Zauważył ledwie ruszony posiłek – jakoś nie miałem ochoty aby go dokończyć. Odwróciłem się od okna i usiadłem na krawędzi łóżka, nie wiedząc co właściwie powiedzieć.

– Mogłeś odnieść mylne wrażenie co do tego miejsca – powiedział Kregnor – Nie mamy tu bogactw ni wielkiego dworu, jednak jak i tam, i tu obowiązują pewne zasady. Także i gości.

– Panie... Chciałem tylko rozejrzeć się po zamku... Jeśli by to nie sprawiło kłopotu, oczywiście – dodałem szybko – Siedzenie tutaj...

– Chciałbyś zwiedzić to miejsce. Czymś się zając, być gdziekolwiek poza wciąż tą samą komnatą. Młody wiek nie pozwala na pozostanie ciągle w jednym miejscu. Ale nie mogę pozwolić ci chodzić wszędzie tam, gdzie zechcesz. Jutro, gdy znajdę trochę czasu, sam cię po nim oprowadzę. Jeśli nie ja, zrobi to któryś z moich ludzi. Na razie, proszę, uszanuj daną ci gościnę. Odpocznij. Po wspinaczce na przełęcz musisz być wykończony. Kiedy się dobrze wypiszesz, zobaczysz wszystko zupełnie innymi oczami.

Kiwnąłem głową. Powinienem się cieszyć że miałem schronienie. Może nawet, gdyby nie on, zamarzyłbym na przełęcz? Do dziś nie wiem czy mogłoby się tak zdarzyć.

Kregnor wstał. Już chciał wyjść, kiedy coś sobie przypomniał.

– Nie traktuj strażników jak wrogów – powiedział na odchodnym – Kazałem im ciebie pilnować, ale gdybyś czegoś potrzebował, mogą wezwać służbę.

Gdy odszedł zastanowiłem się nad tym co kazało Kregnorowi mnie zatrzymać. Moją korzyścią było wygodne spędzenie zimy. Może Kregnor nie był bogaty, ale utrzymanie jednej, dodatkowej osoby na zamku na pewno nie było dla niego problemem. Czego sam oczekiwał w zamian? Jedyne, co przychodziło mi na myśl, to rozrywka, odmiana od wciąż tych samych ludzi, jaką zawsze niósł ze sobą wędrowiec.

W górach, wśród niewielkich osad, w których każdy znał każdego w promieniu kilkudziesięciu stająg, gdzie natura potrafiła być niezwykle surowa, nie było innego sposobu na rozchodzenie się wieści niż wędrowcy lub umyślni posłańcy. W Cesarstwie, jak już wtedy słyszałem, istniała sieć kurierów, ale w górach, podzielonych na małe, odrębne królestwa czy niepodległe doliny, jaką zapewne władał Kregnor, każdy przywódca musiał sam zadbać o to, aby interesujące go nowiny dotarły do jego uszu. Do dziś pamiętam jakie poruszenie wywoływali w mojej rodzinnej wiosce przybysze, zwłaszcza z innych, dalekich krain. Nie inaczej było gdy przybył mój przysły Mistrz. Przez Góry Graniczne, o wiele, wiele dni drogi na północ, przebiegał Wielki Szlak Wschodni, łączący Cesarstwo z wielkim wschodnim Imperium orków, poza rasą nie mających wiele wspólnego z ich dzikimi, stepowymi kuzynami. Krontoria, do której zmierzałem, leżała na tym szlaku. Kupcy i wędrowcy, żyjący podróżami, nieśli nim nowinki ze Szlakowych Królestw, a czasem nawet z nieznanego Wschodniego Łądu za wielkim oceanem, jednak niewielu z nich zapuszczało się aż tak daleko na południe. Wieści z północy przenosili zazwyczaj miejscowi wędrowcy, ale czasem nawet zwyczajne opowieści o tym, co się dzieje kilka dolin dalej, mogły okazać się ważniejsze niż te o wielkich, ale odległych wojnach. Sam słyszałem już co nieco od Mistrza. Czego mam się obawiać? Kregnor musi być ciekaw świata. Żyjąc na takim odludziu, każdy władca byłby ciekaw wieści z zewnątrz. Bogowie jedni wiedzieli kiedy ostatnio słyszał nowiny.

Wyjaśnwszy sobie swoje wątpliwości, poczułem odprężenie. Stajania, jakie przeszedłem i niewygodne odpoczynki w napotkanych jaskiniach zaczęły dawać o sobie znać. Rozebrałem się więc i wsunąłem pod ciepłe, miękko wyprawione futra.

Nigdy dotąd nie odpoczywałem w takich warunkach. Rodzice, o ile pamięć mnie nie zwodzi, nie byli bogaci, zaś prosta chata, w której przez lata mieszkaliśmy razem z Mistrzem nie była przygotowana z myślą o wygodach. Poczułem się prawdziwie bezpiecznie od zamieci i śnieżyc. Nie musiałem się już bać że zamrznę.

Później, w przyszłości, nie raz zastanawiałem się czy coś by się zmieniło, gdybym nie zasnął tej nocy. Ale, jak w wielu wypadkach, tylko nieosiągalna wiedza o późniejszych zdarzeniach mogłaby mnie skłonić do innego zachowania.

Budząc się rankiem rzeczywiście czułem jakby coś się zmieniło. Szybko przekonałem się że było to coś więcej niż odczucie. Zauważyłem że moje rzeczy, które pozostawiłem na noc w kufrach, zostały przeszukane. Wstałem szybko i zacząłem je przeglądać. Nie miałem wiele, więc nie trwało to długo. Jedyne co znikło, to mój miecz, łuk i resztki strzał, która mi jeszcze została.

Zezłościłem się. Niezależnie od okoliczności, Kregnor nie miał prawa tego robić! Mistrz ostrzegł bym nigdy nie rozstawał się z bronią, zwłaszcza w nieznanym miejscu. A niech demony tańczą sobie z łukiem, ale ostrze... Mistrz dał mi ten miecz, mówiąc że jest specjalny, że nie złamie się nawet w najgorszej walce. Nie zamierzałem się go pozbywać.

Ubrałem się szybko i ruszyłem w stronę drzwi. Były otwarte, ale na zewnątrz był już nie jeden strażnik, a dwóch. Tych także dotąd nie widziałem.

– Ktoś zabrał mi mój miecz – oświadczyłem stanowczo – Chcę... Muszę go mieć z powrotem!

– To polecenie naszego pana – odparł jeden ze strażników – Dla bezpieczeństwa. Nikt na zamku nie nosi broni. Tobie też nie będzie tutaj potrzebna.

Przyjrzałem się im. Faktycznie, dopiero teraz zauważyłem że nie byli uzbrojeni. Zdałem sobie sprawę, że jedyną broń, jaką tu widziałem, była w posiadaniu Kregnora – wielki, dwuręczny miecz, przytroczony do siodła wierzchowca. Nawet wojownicy towarzyszący mu na przełęcz nie byli uzbrojeni.

– Mimo to, chciałbym go odzyskać – odpowiedziałem, już spokojniej – Chcę mówić z waszym panem!

– Nasz pan przypuszczał, że będziesz protestował. Przyjdzie gdy znajdzie ku temu czas.

Mogłem albo zgodzić się z nim i wrócić do komnaty, albo spróbować przemknąć między strażnikami i zacząć biegać po nieznanym zamku, ścigany przez strzegących go wojowników. Wybrałem to pierwsze.

Skłamałbym, gdybym powiedział że to zdarzenie mnie nie zdziwiło. Z bronią czy bez, Kregnor byłby naiwny widząc we mnie zagrożenie dla kogokolwiek. Nie trzeba być doświadczonym wojownikiem by odebrać broń chłopcu. Kregnor zresztą wydawał się po wątpiewać w moje umiejętności walki – ja zresztą też, bo te, poza pozorowanymi pojedynkami z Mistrzem, które zresztą smutnie przegrywałem, nie były nigdy poddane próbie. Byłem ciekaw czym naprawdę pan zamku wytłumaczy swoją decyzję.

Tym razem nie czekałem długo. Kregnor zjawił się godzinę później, do tego nie sam. Towarzyszył mu jeden z wojowników z przełęcz. Gdy jego pan wszedł do komnaty, zamknął drzwi od środka, stając tuż przy nich.

– Słyszałem że nie podobają ci się zasady, panujące w tym zamku. Nalegałeś na zwrot broni... Nie czujesz się tu bezpiecznie?

Pomyślałem że może zbyt mnie poniosło. Teraz moje zachowanie zdało mi się nie tylko niegrzeczne, ale i niewdzięczne. Jednak... Byłem zaniepokojony. Nie znałem zasad, o których wspominał Kregnor, to on winien mi je objaśnić, albo zlecić to komuś innemu. I nie powinien kazać swoim ludziom po kryjomu zabierać cudzych rzeczy!

– Nie czuję się zagrożonym, panie – odparłem – ale... Ta broń jest dla mnie czymś więcej, niż tylko orężem. To pamiątka. Wolałbym mieć go przy sobie.

Kregnor nie odpowiedział. Odwrócił się do mnie tyłem i stanął przed łóżkiem, spoglądając w okno. Pochylił głowę, jakby dostrzegł coś na zewnątrz. Wpatrywał się w to coś przez dłuższą chwilę. W końcu wyprostował się, ale nie odwrócił.

– Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Dziwne było to pytanie. Czy chodziło mu o to, dlaczego mnie zaprosił na zamek, czy dlaczego trafiłem do doliny?

– Tak jak powiedziałem, panie, po prostu zabłądziłem...

Nie odpowiedział od razu, jakby na coś czekał, na coś, co nie miało ze mną nic wspólnego.

– Powiedziałem ci wczoraj, czym było to miejsce wcześniej, byś tym lepiej je zrozumiał. Także to, dlaczego tu trafiłeś. Nie wszystko zależy od nas, nawet jeśli nas dotyczy. Czasem... Coś każe ludziom postąpić właśnie tak, a nie inaczej, choć z początku mieli inny zamiar. Zmiany... Nie pojmiesz tego od razu, tak jak i inni, ale z czasem...

Westchnął. Przez moment wydawał się czymś zmęczony. Ramiona mu opadły jak pod jakimś ciężarem.

– To nie przypadek że... Trafiłem tutaj?

– Może coś dzieje się na świecie przez przypadek, ale twoje przybycie do tego nie należy. Zostałem poinformowany, że się tu zjawisz.

– Przez kogo? Po co?

Nie odpowiedział. Wciąż jakby na coś czekał, jakby miało to nadejść bez względu na to, czy chce tego, czy nie.

– Zostaniesz tu przez całą zimę, więc będziesz miał dość czasu...

– Chciałbym... ruszyć do wioski – przerwałem mu, po raz pierwszy, ale to wszystko przestało mi się już podobać – Tam zostanę, aż...

– Dolina jest teraz odcięta od świata, ja zaś mogę w niej robić, co zechcę. Nie jest ważne, czy będziesz na zamku, czy w którejś z wiosek.

– Muszę odrzucić gościnę, jeśli oznacza więzienie! – odpowiedziałem stanowczo.

– Już bez, „panie”? – wyprostował się – Więc koniec z dobrymi manierami. Chciałbyś stąd odejść? – odwrócił się nagle – Gdzie? Próba opuszczenia doliny równałoby się teraz samobójstwu. Na przełęczy śnieg sięga moim zwiadowcom do piersi. Nie przebrniesz tamtędy na zewnątrz, a jeśli spróbowałbyś się wspinać na górskie zbocza... Zginiesz jeszcze szybciej. Zostaniesz tutaj, dla własnego dobra. Kto raz się zgodzi, nie opuszcza sam tego zamku. Dopiero aż ja tego zechcę.

– Nie masz prawa! Co z prawem gościnności...

– Ja jestem tu prawem, to chyba oczywiste. Nie podlegam nikomu, tak jak nie ma nikogo kto chciałby przebyć ze swoim wojskiem kilka niebezpiecznych dolin tylko po to, aby podbić to miejsce. Tu, na tym niewielkim skrawku gór, możesz mnie traktować jak samego cesarza. Moja wola jest tu tak samo ostateczna jak jest jego, na zachód od gór.

Widziałem że coś się w nim zmieniło, choć nie dostrzegałem przyczyny, ani natury samej zmiany. Mówił ze spokojem, ale stanowczo, nie zwracając uwagi na sprzeciw. Byłem wściekły za uwięzienie, ale wiedziałem że żaden protest tego nie zmieni.

– Dlaczego więc? – spytałem – Dlaczego mam tu zostać?

– Coś jest w tobie... Co każe mi cię zatrzymać. Coś interesującego... Możesz się okazać cennym gościem. Jednak... Mogę się mylić. W takim wypadku... – rzucił na mnie szybkie spojrzenie. Nagle stał się nerwowy – Nie, nie pozwolę ci odejść z doliny, ale mógłbym pozwolić ci swobodnie się po niej poruszać. Tak... To możliwe. Teraz cała dolina to więzienie. Lecz to zależy już tylko od ciebie – utknął swoje spojrzenie w moich oczach – Co jesteś gotów zrobić, aby opuścić ten zamek?

Wiedziałem że kłamie. Widziałem to po jego zachowaniu. Może nie o wszystkim, ale... Nie miałem wielkiego wyboru. Mogłem albo się zgodzić, albo czekać aż mnie do wszystkiego zmusi.

– Co mam zrobić? – spytałem.

– Nic wielkiego – odparł.

Ruszył powoli do drzwi. Jego nerwowość gdzieś z niego uszła. Zatrzymał się jeszcze przed wyjściem i odwrócił.

– Masz tylko przetrwać – powiedział dziwnie spokojnie – Mówiłeś, że potrafisz się bronić. Zobaczymy jak dobrze. Tylko uważaj. To nie będzie walka pokazowa.

Kregnor odszedł. Strażnik złapał mnie i wyprowadził na korytarz, gdzie dołączył do niego drugi. Zataszczyli mnie schodami w dół, do wykutych w skale piwnic, zadziwiająco rozległych, w porównaniu z rozmiarami zamku. Tam doprowadzili mnie do dużej, okrągłej komnaty, wysokiej może na pięć ramion, średnicy ponad dziesięciu, zwężającej się ku górze w rodzaj kopuły, wzmocnionej spoczywającym na kolumnach tarasem żebrowaniem. Podłoga była wysypana piaskiem. Wokół komnaty biegł taras, jakieś dwa, trzy ramiona ponad podłogą; trzech uzbrojonych w łuki wojowników obserwowało mnie stamtąd obojętnym wzrokiem. Kregnor już czekał, siedząc wygodnie w wykutej we wnęce łożu. Mrok podziemia rozpraszało osiem pochodni, umocowanych poniżej linii tarasu. Dzięki temu Kregnor mógł widzieć wszystko, samemu pozostając ukrytym w cieniu.

Do dolnej, właściwej części tej areny, prowadziły tylko dwa wejścia, ustawione naprzeciwko siebie, każde zamknięte solidnymi, drewnianymi drzwiami. Strażnicy wypchnęli mnie przez jedno z nich. Coś upadło tuż za mną na piasek. Odwróciłem się – drzwi właśnie się zamykały. Na posadzce leżał mój miecz. Podniosłem go szybko.

– Zasady są proste – usłyszałem wyraźny głos Kregnora – Albo ty zabijesz przeciwnika, albo on ciebie.

Odwróciłem się. Przez drzwi po przeciwnej stronie siłą wyrzucono jakiegoś młodzieńca. Był o kilka lat starszy ode mnie, wystraszony, wynędzniały i osłabiony. Zatem nie byłem jedynym więźniem w zamku...

Młodzieniec uniósł się na łokciach i spojrzał z rozpaczą na zamknięte już drzwi. Klęknął i ze strachem rozejrzał się szybko po pomieszczeniu, niczym zagonione w pułapkę zwierzę. Sam na pewno nie zachowywałem się inaczej. Wstał szybko, pozostając pochylonym, gotowym do odskoku. Także miał miecz. Jego zachowanie wskazywało na pewne doświadczenie w walce, jednak nie wyglądał na prawdziwego wojownika. Znieruchomiał, ze wzrokiem wbitym we mnie. Szybko zaczął się uspokajać. Wyprostował się, wyraźnie odzyskując pewność siebie. Sam nie mogłem tego powiedzieć o sobie. Był wyższy ode mnie, silniejszy – i być może zdążył już kogoś zabić.

– Oczekuję prawdziwej walki – ostrzegł Kregnor – Jeśli będzie inaczej, wtedy moi ludzie sami zdecydują o tym, kto stąd wyjdzie, a kogo wyniosą.

Wskazał na łuczników. Ani ja, ani mój przeciwnik, nie spuszczałyśmy z siebie wzroku, choć byliśmy wciąż po przeciwnych stronach areny. Rzuciliśmy jedynie krótkie spojrzenie na taras. Spoglądali na dół, obserwując nas spokojnie, czekając na znak od swojego pana.

Zaczęliśmy powoli okrążyć salę, obserwując się nawzajem, czekając na ruch tego drugiego. Czułem przyspieszone bicie swojego serca, oraz strach; na szczęście, nie miałem czasu o tym myśleć. Szkolenie, jakie przeszedłem, pozwoliło mi opanować się na tyle, aby utrzymać ciało w gotowości, obserwując jednocześnie ruchy wroga.

Byłem zbyt młody, aby liczyć na siłę. Potrafiłem dobrze władać swoją bronią, ale często potrzebowałem do tego obu rąk. Mój przeciwnik, mimo że osłabiony, wciąż był silniejszy – dość by samą mocą brutalnego ataku wyrównać wszelkie braki w sztuce fechtunku. Był też pewien zwycięstwa, widząc, że przyszło mu walczyć z chłopcem – odwrotnie niż ja. Bez problemu wytrąciłby mi broń z ręki. Już sama próba sparowania jego ciosu mogłaby mnie rozbroić. Musiałem postawić na swoją szybkość i zwinność – jedyną przewagę dziecka.

Pewność siebie skłoniła młodzieńca do szybkiego rozpoczęcia ataku. Wrzasnął i rzucił się na mnie. Uniki, odskoki – to była moja obrona. Robiłem wszystko, by nie skrzyżować z nim broni, ale odskakując, zawsze próbowałem go trafić. Przeciwnik wciąż wierzył w swoją siłę, ale zaczął wreszcie tracić pewność siebie, widząc, że nie tak łatwo przyjdzie mu wykorzystać swoją przewagę.

Jeszcze walcząc z Mistrzem zauważyłem że tracił on więcej siły na zamachy, niż ja na odskok czy unik. Zauważyłem to, mimo że był zręcznym szermierzem – chociaż było to wtedy stwierdzenie na wyrost. Mój przeciwnik wydawał się męczyć szybciej niż Mistrz. Mogłem więc czekać, pozwolić przeciwnikowi się zmęczyć. Zamiast tego postanowiłem wykorzystać sztuczkę, jaką kiedyś sam wymyśliłem i wypróbowałem podczas jednego z treningów z Mistrzem. Choć wyszło fatalnie, Mistrzowi spodobał się mój pomysł. Ćwiczył go ze mną do upadłego, aż zacząłem wykonywać wszystko płynnie i bezbłędnie.

Czekałem na odpowiednią chwilę, gdy przeciwnik kiedy weźmie mocny zamach. Wtedy zgąłem kolana, uchylając się przed ciosem. Trzymany oburącz miecz przyłożyłem płazem do prawego policzka i skoczyłem prosto pod jego nogi, tak, aby upaść na prawy

bark i przeturlać się pod nim. Kiedy skoczyłem, właśnie zatrzymywał swój miecz. Musiał coś zrobić, aby się nie przewrócić. Musiał odskoczyć.

Gdyby miał doświadczenie, gdyby opanował instynkt, znalazłbym się w poważnych kłopotach. Przeciwnik mógłby pozwolić mi się przewrócić, by mnie pochwytać. Mógłby nawet nabić mnie na miecz. Jednak młodzieniec usłuchał instynktu, i odskoczył w bok.

Wykonałem jeden obrót, wysuwając lekko w bok zgiętą w kolanie prawą nogę, by zaprzeć się stopą o piach i zatrzymać się. Dzięki lekko podgiętej lewej nodze, mogłem szybko odzyskać równowagę, uklęknąć i uderzyć zanim przeciwnik odwróci się w moją stronę. Ciąłem z całych sił, szerokim łukiem od prawej do lewej. Zatrzymując się po skoku nie zdołałem w pełni utrzymać równowagi; przewróciłem się, poślizgnięty przez miecz, lecz trafiłem – ostrze miecza przecięło skórzane spodnie przeciwnika, z tyłu lewego uda, tuż za kolanem, i weszło głęboko w jego nogę.

Zerwałem się na nogi, gotowy do odskoku, jednak nie było takiej potrzeby. Młodzieniec klęczał na piachu. Nie był wojownikiem, tylko zwykłym człowiekiem, zmuszonym do grania w grę swojego pana, na zasadach nie lepszych od moich. Nie mógł się bronić. Był pokonany, przeze mnie. Czułem się jakby sam Fihg, bóg wojny i wojowników, udzielił mi swojej łaski na tej arenie, kierując moimi ruchami.

Odszedłem na bok, wciąż mając oko na przeciwnika, wciąż drżący od napięcia i wysiłku, lecz także od dziwnego podniecenia walką, jakiego nigdy wcześniej nie czułem. Spojrzałem w kierunku łoża. Kregnor oparł brodę na prawej ręce, patrząc na mnie z cienia, bez mrugnięcia okiem. Siedział tam, na górze, na swojej ozdobnej ławie, ni gestem, ni postawą nie zdradzając, że nie przygląda się śpiewackiemu pojedynekowi bardów, ale walce na śmierć i życie. Tylko jego błyszczące, zimne oczy mówiły, że zobaczył to, czego chciał. Ciarki przeszły mi po plecach, ale wyprostowałem się i wskazałem na klęczącego młodzieńca.

– Przetrwalem! – zawolałem – Musisz pozwolić mi odejść...

– Myślisz że przetrwales? – głos Kregnora był zimny i twardy, choć zadziwiająco spokojny – Przeżyłeś ledwie! Aby przetrwać, musisz zabić swoich wrogów. Bez tego nie będziesz nawet zwycięzcą, a jedynie uciekinierem, przerażonym myślą czy pewnego dnia twój dawny przeciwnik nie wróci i nie wbije ci noża w plecy. Ale moi ludzie wiedzą, jak wybierać.

Spojrzałem na taras. Łucznicy trzymali ręce na broni, czekając.

– Nie mówię im nic. Każdy wybiera tego, kogo uzna za wyznaczonego dla śmierci. Nie zawsze wszyscy zabijają tę samą osobę... Znamy mnie jednak na tyle, by wybrać właściwie.

– Właściwie? Z czyjego wyboru? Według jakich reguł?

– Reguły chęci przetrwania. Jak myślisz? Wybiorą tego, kto szlachetnie unika zabicia wroga, czy kogoś, kto gotów jest zginąć, podejmując ryzyko po to, aby prawdziwie przetrwać? Czyje życie jest odpowiedzią na to pytanie? Twoje? Jego? A może was obu?

Zimny dreszcz zamienił się w obejmujący całe ciało chłód. Rozejrzałem się. Mój przeciwnik przyklęknął na ranną nogę, przyjmując postawę obronną. Chciał walczyć dalej... Lub też wiedział co nastąpi i wiedział iż musi walczyć? Rana sprawiała mu ból, piasek w pobliżu jego nogi przybrał kolor czerwieni. Pewnie ścisnął miecz w dłoni, choć musiał rozumieć że upływ krwi wkrótce go osłabi.

Na dźwięk cichego brzęknięcia trąconej cięciwy spojrzałem w górę, na taras. Łucznicy w milczeniu niespiesznie sięgnęli po strzały. Żaden nie patrzył na pozostałych. Wszyscy patrzyli na mnie. Poczułem nagłą słabość.

– Właśnie tak! – Kregnor dostrzegł zrozumienie w moich oczach – Tylko ten, kto nie waha się przetrwać za cenę przeżycia, jest tego wart. Chłopca można wyleczyć. Wtedy to on będzie prawdziwym zwycięzcą. Nie dlatego, że wygrał, ale dlatego, że ma wolę przetrwania. On by się nie wahał. Nie raz widziałem, jak okuliawieni w walce wojownicy, zabijali raniących ich wrogów...

– Nie tu i nie teraz! – zawolałem, cofając się krok do tyłu – Nie jesteśmy wojownikami!

Wiedziałem, czego oczekuje, ale coś we mnie wołało przeciwko temu. Nie byłem wojownikiem, tym bardziej mordercą. Nie musiało się to tak skończyć, ale... on tego chciał. Prawie czułem wbijające się w ciało trzy strzały.

– Nieważne kim jesteś teraz – odpowiedział Kregnor – Możesz spróbować oddalić od siebie ten moment, ale chwila jak ta cierpliwie czekałaby na ciebie w twojej przyszłości. Możesz więc ją wybrać, albo odrzucić na zawsze, za cenę życia. Masz jeszcze czas, aby zadecydować samemu, ale masz go już niewiele. Później to oni wybiorą za ciebie.

Cóż więc mogłem zrobić? Strach był silniejszy niż opór przed zabiciem innego człowieka. Gdybym to zrobił w trakcie walki, wiedziałbym, że to było w obronie. Ale nie musiałem się już przed nim bronić. Musiałem się bronić przed Kregnozem, zaś ceną, jaką musiałem za to zapłacić, było życie mojego niedawnego przeciwnika.

Uniosłem miecz i podszedłem do przeciwnika. Byłem zbyt przerażony, aby postąpić inaczej. Tego dnia mój dziecięcy płomyk zgasał na zawsze.

W przyszłości przyszło mi wiele razy przeklinać tę chwilę słabości. Tego przeżycia nie zmieniła nawet późniejsza świadomość prawdziwej natury zdarzenia. Wtedy i tam było ono prawdziwe, aż do najmniejszego drgnięcia ciała, do każdej nieuświadomionej myśli. Na szczęście, jeszcze tego samego dnia, znalazł się ktoś, kto pochwytał mnie, kiedy stałem na krawędzi przepaści, w którą spada każdy, kto straci lub złamie w sobie opór przed zabijaniem. Tego dnia zajrzałem w jej mroczną głębię. On pociągnął mnie z powrotem i sprawił, że nie stała się częścią mnie samego.

Po walce ogarnęło mnie osłabienie. Strażnicy wyprowadzili mnie z areny, odebrali broń, kolczugę, zabrali prawie wszystko, ale nie miałem już w sobie siły na protesty. Potem zaprowadzili mnie do piwnic leżących jeszcze głębiej pod zamkiem. Byłem zmęczony i zalamany, było mi prawie wszystko jedno, gdzie trafię.

Tak doprowadzili mnie do ciężkich, stalowych drzwi, pilnowanych przez dwóch wojowników. Za nimi był tylko ciemny loch, oświetlony parą na wpół wypalonych pochodni. Nawet mroczny korytarz był lepiej oświetlony, przy otwartych drzwiach więcej światła wpadało do środka niż wydostawało się na zewnątrz. Podłoga była jakieś ramie poniżej poziomu korytarza. Na dół prowadziły schody, ale strażnicy nie kłopotali się mną aż tak bardzo by z nich skorzystać. Nie, nie byli złośliwi, po prostu praktyczni. Rzucili mnie na dół, jakbym był workiem węgla – i zapewne tak o mnie myśleli – odwrócili się i odeszli, nawet na mnie nie spojrzawszy, ryglując za sobą drzwi.

Ból upadku był trzeźwiący. Leżałem na ziemi, wyraźnie czując te miejsca na ciele, które pierwsze zetknęły się z podłogą. Uniosłem się na łokciach i rozejrzałem po pomieszczeniu.

Loch był jeszcze większy niż arena. Właściwie była to wilgotna, prymitywna, jakby naprędce wykuta w skale jaskinia, oczywiście bez żadnego wyjścia, poza drzwiami. Na środku stała zakratowana studnia, ale poziom wody był na tyle wysoki, że nie przeszkadzało to jej zaczerpnięciu dłońmi. Było zimno, choć znacznie cieplej niż na zewnątrz. Po podłodze walały się resztki czegoś, co kiedyś mogło być sianem lub słomą. Całe pomieszczenie wypełniał odór więzienia, charakterystyczny smród stłoczonych ludzi, siedzących tu od bogowie jedynie wiedzieli jak długiego czasu. Pierwszy raz byłem w takim miejscu – i niestety nie ostatni. Więźniowie – najmniej czterdziestu – siedzieli lub leżeli gdzie tylko mogli. Niektórzy zwrócili uwagę na moje wejście, inni nawet nie odwrócili głowy; większość po prostu spała. Część miała na sobie łańcuchy, ale większość była półnaga. Wszystkich łączył wynędzniały wygląd i to samo spojrzenie – pełne rezygnacji, pogodzenia się z losem, i częściowego otępienia.

Podniosłem się z cuchnącej zgnilizną podłogi, rozglądając się za wolnym miejscem. Na wpół ślepy po wyjściu z jasnego korytarza, powoli ruszyłem w kierunku ściany. Po drodze potknąłem się o coś, czy o kogoś. Przewróciłem się i wpadłem na leżącego obok więźnia. Ten zaklął, chwycił mnie mocno i wstał. Był prawie dwa razy wyższy ode mnie i wyglądał na silnego.

– Nowy, szczeniaku? – warknął, nim zdołałem coś powiedzieć – Dam ci lekcję jak chodzić!

Puścił mnie i uderzył mocno w szczękę. Zatoczyłem się do tyłu i upadłem na kolejnego więźnia. Ten szybko odepchnął mnie, odsuwając się do tyłu. Od uderzenia pociemniało mi w oczach, bolesne pieczenie promieniowało z lewej szczęki. Straciłem orientację i czucie w ciele. Jak przez mgłę zauważyłem, że pierwszy więzień idzie w moją stronę. Poczułem że unoszę się z podłogi.

– Myślisz, że źle się czujesz? – usłyszałem – To dopiero początek!

– Zostaw go, Beron – odezwał się inny, stanowczy głos – Nie zrobił tego specjalnie.

– Nieważne! Musi poznać, gdzie trafił.

– Jeśli aż tak rozpiera cię siła, powiedz strażnikom, że chcesz być następny na arenie. Nie widziałem go wcześniej. Chłopak pewnie świeżo po pierwszej walce, jeszcze nie doszedł do siebie.

Poczułem że spadam. Upadłem na plecy, uderzając głową w podłogę. Czułem się wystarczająco obity, nie próbowałem się podnosić.

– Tu nikt nigdy nie dochodzi do siebie – odburknął niechętnie więzień – Za parę dni będzie żałował, że nie oberwał mocniej. Ból przynajmniej pomaga zapomnieć.

Musiał mi jednak dać spokój, bo przez chwilę nie czułem niczego poza już otrzymanymi razami. Najsilniej odzywała się szczeka. Siadłem, próbując ją rozmasować. Zęby miałem całe, lecz głowę wypełniał pulsujący szum.

– Lepiej nie siedź na środku – powiedział drugi głos – Ktoś może na ciebie wpaść. Podejdź tutaj.

Potrząsnąłem głową, by strząsnąć zamroczenie, ale zamiast tego oślepił mnie rozbłysk bolesnego światła, po którym zapadła ciemność. Dopiero po chwili znów zacząłem coś widzieć. Cios był iście ogrzy. Postanowiłem, że lepiej pójść za tym głosem i lepiej dotrzeć tam na czworakach.

Życzliwą mi osobą, okazał się siedzący pod ścianą mężczyzna koło trzydziestki. Oczy więźniów były zgaszone, ich wzrok spuszczone ku ziemi, lecz jego spojrzenie było jasne i pewne. Pomógł mi usiąść obok siebie, na wiązce nieco mniej zgniłej słomy. Z ulgą oparłem się plecami o ścianę.

– Beron nie zawsze tak się zachowuje – powiedział – Zazwyczaj wtedy gdy czuje, że zbliża się jego kolej na arenę. Walczyłeś tam, prawda? Jesteś pierwszym z nowej rundy.

Położył swoją dłoń na mojej głowie. Nie minęła chwila a ból osłabł, mój wzrok odzyskał dawną ostrość a myśli swoją jasność.

– Jesteś magiem?

– Nie, jeśli pytasz o profesję. Tak, jeśli uznasz że każdy, kto korzysta z mocy magii zasługuje, aby tak go nazywać. Nieważne czy walczysz z żywym przeciwnikiem, mocami magii lub siłami natury, odrobina magii zawsze może pomóc. Ból i rany nie znikną dzięki mojej mocy. To może sprawić tylko druid lub potężny mag. Ja mogę tylko sprawić że przestaniesz je odczuwać, tak jak zmęczenie. Zagoić muszą się same.

– Więc jesteś wojownikiem?

– Tutaj jest nim każdy, z konieczności. Nazywają mnie Dronan z Wilinoru. Kiedyś byłem paladynem Zakonu Światła.

W górach rzadko kto nosił drugie imię od nazwy miejscowości. Zwyczaj ten pochodził z Cesarstwa, tam też był powszechny wśród możnych, kupców czy innych coś znaczących ludzi. Zachodnie rubieże Gór Granicznych, jak i księstwka w pobliżu Wielkiego Szlaku od zawsze szybko nasiąkały kulturą i fanaberiami cywilizowanych krain – wszak jeszcze nie tak dawno były ledwie prowincjami, dziś na wyścigi udającymi że także mają swoje pradowne tradycje, nawet jeśli były one żalosnymi kopiami krain z których płynęło do nich kupieckie złoto – wywnioskowałem więc że Dronan pochodzi z Pogórza. Odniosłem też wrażenie że Wilinor leży gdzieś u wschodnich granic Cesarstwa, może nawet na samym Szlaku.

– Nordon Elinaron – odpowiedziałem, myślami wracając jednak do niedawnej walki – Nie od nazwy miejscowości. Po prostu drugie imię.

W miarę jak ból i zmęczenie mijały, wracała też świadomość tego co zrobiłem, poczucie własnej bezsilności, a z nimi – wściekłość na Kregnora. Zacisnąłem oczy i pięści. Nie byłem jedynym który wpadł w jego pułapkę. Uległ mu nawet paladyn, jakie więc były moje szanse?

Widząc poprawę, Dronan zdjął dłoń z mojej głowy.

– Ciekawe. Pochodzisz z gór? Wiesz, że dwa imiona wśród tutejszych górali to dawny zwyczaj elfów? Kiedy elf zwiąże się z człowiekiem, dziecko otrzymuje dwa imiona, elfie i ludzkie. Myślę że Elinaron pochodzi od elfickiego imienia Eli-ron. W staroelfickim wstawienie głoski lub krótkiego słowa między sylaby wyrazu czyni go przynależnym znaczeniu jakie ta sylaba niesie. Na oznacza nieczystego, mieszańca, lecz także ludzi, tak więc Elinaron oznaczałoby Eliron-człowiek. Jednak nie widzę w tobie żadnych elfich cech...

Dronan zaczął mnie irytować. Niewiele mnie obchodziło pochodzenie imion, czy nie istniejące już dziś plemiona górskich elfów. Nie byłem w nastroju do rozmów, tym mniej rozumiałem dziwną ciekawość poznanego więźnia, lecz on ciągle gadał. Otworzyłem oczy, spojrzałem na niego – i wtedy zauważyłem, że on patrzy na mnie, z dziwną uwagą.

– Mogę przestać mówić, jeśli chcesz – powiedział poważnie – Próbuję tylko odciągnąć twoje myśli od tego co się wydarzyło na arenie. To stamtąd cię przywlekli, prawda?

Spuściłem głowę. Nie rozumiałem co się tu dzieje, ni dlaczego Kregnor chciał tej walki. Byłem pierwszy z rundy. Więc było więcej walk, i będą kolejne... Po cóż innego tu trafiłem?

A przecież...

– Ja... Zabiłem... – wykrztusiłem z trudem.

Chciałem to powiedzieć, lecz nie mogłem. Zabiłem człowieka. Co z tego, że nie miałem wyboru? Fakt pozostawał faktem. Popeliłem czyn od wieków dzielący ludzi na dwie grupy – bandytów, żołnierzy i zabójców i normalnych ludzi. Próbowałem przyznać się przed sobą, że to zrobiłem, ale wstrząsało to całym moim umysłem. Świadomość nie chciała tego przyjąć do wiadomości, ale ciało wiedziało dobrze, co zrobiło.

Spostrzegłem, że trzęsą mi się dłonie. Chwyciłem się za lewy nadgarstek, ścisnąłem mocno, ale to nie pomogło. Przeszyło mnie chłodne ostrze paniki. Zdrętwiałem. Byłem mordercą. Zabójcą, nie lepszym od rzezimieszka na szlaku, który zabija dla sakiewki drobnych monet. Tylko tak mogłem wtedy na siebie spojrzeć – z obrzydzeniem. Nie mogłbym znieść widoku własnej twarzy, gdyby mi przyszło pochylić się nad wodą.

– Oczywiście. Musiałeś tak postąpić, by przeżyć – wyjaśnił Dronan – Nie jesteś pierwszym, a to wszystko jeszcze się powtórzy. Będziesz musiał zabić ponownie.

– Nie... Nie mogę...

– Nic na to nie możemy poradzić. Jeszcze nie. Musisz przywyknąć.

Łzy spłynęły mi po policzkach. Nie wiem dlaczego nie pozwoliłem aby uczucie na chwilę wzięło górę. Dronan zapewne pozwoliłby sobie objąć mnie i uspokoić, ale nie mogłem się odblokować.

– Mów do mnie, proszę – zaproponował łagodnie Dronan – To pomaga zapomnieć, daje czas na pogodzenie się. Nie duś tego w sobie. Na to szkoda twoich sił, i zmysłów. Będziesz ich potrzebował, aby przetrwać. To jest jak rana, tylko nie w ciele, ale w duszy. Rozdrapywanie jej nie pomoże się jej zagoić. Prędzej czy później wszystko wypełni z ciebie na wierzch.

Mówił jak Mistrz. W Dronanie było coś, co wzbudzało zaufanie, subtelna delikatność mowy i myśli, lecz także i siła. Wiedziałem kim jest paladyn, czym się zajmuje, lecz Mistrz przedstawiał mi ich raczej jako ludzi surowych, zamkniętych w sobie i niechętnych rozmowie o przyziemnych rzeczach.

Z jednej strony wolałem porozmawiać, o czymkolwiek, choć myślenie o innych rzeczach przychodziło mi z ogromnym trudem. Z drugiej chciałem by dał mi spokój, bym mógł dalej siedzieć cicho, pozwalając, aby jedna część mnie szarpała drugą, tę drapieżnie uceploną resztek zmysłów, nie dającą się pożyć. Z trudem zmusiłem się, aby to przełamać.

– Wśród moich przodków nie było elfów, ani półelfów – odpowiedziałem cicho, opierając głowę o ścianę jaskini – Pochodzę z doliny na zachodzie. O ile wiem, jedyne elfy jakie żyły kiedyś w górach mieszkaly w dolinach bliżej morza, na wschodzie i południu.

– Zatem to tradycja. Wielu tutejszych ludzi ma dwa imiona, choć nie ma elfich przodków. Tutejsze elfy mieszały się z ludźmi wieki temu, ale ich krew wciąż widać u górali z południa. Pochodzę z Cesarstwa, i z początku trochę mnie to dziwiło. U nas tego

nie ma.

Więc nie Pogórzanin, pomyślałem mimochodem. Na pewno nie pochodzi z głębi Cesarstwa, bo nazwy tamtejszych miast, liczących sobie rzadko kiedy więcej niż kilka setek lat i nie posiadających tak pradawnych korzeni jak nasze, górskie, są bardziej swojskie. Łukczyn, Barciny... A może Wilinor to jedno z dawnych miast na północy Cesarstwa, z czasów sprzed rządów cesarzy? Tamte miasta zakładali królowie którzy zeszli z gór, do północnej Puszczy. Wiele z nich było dawnymi siedzibami elfów, nim te wycofały się na gorącą Północ... I to imię, Dronan – także niezbyt „cesarskie”.

Trudno mi było ocenić, czy rozmowa rzeczywiście uspokoiła choć trochę moje myśli. Z pewnością pobudziła ciekawość.

– Długo tu jesteś?

– Kilka lat. Przybyłem gdyż słyszałem że dzieje się tu coś złego, ale zanim się zorientowałem co, było już za późno na walkę. Wtedy nie było tu aż tylu ludzi – rozejrzał się po lochu – Im więcej ginie, tym więcej przybywa nowych. Wioski w dolinie muszą być wyludnione z mężczyzn. Bogowie jedni wiedzą co się stanie potem, ale nie będę zdziwiony jeśli Kregnor każe kobietom walczyć zamiast nich. Trwa to tyle lat... Gdybyś był jak ci tutaj, gotów byłbym pomyśleć że zaczyna już łapać dzieci, ale ty nie jesteś stąd. Po co przyszedłeś do tej piekielnej doliny?

– Skąd miałem wiedzieć? Jeśli nie trafiłbym tutaj, zamarzyłbym gdzieś w drodze.

– To już zima? – Dronan zamyślił się – Przez dziesiątki miesięcy nie widziałem niczego, poza ścianami tych przeklętych piwnic. Tyle czasu... I nikogo, kto by mnie szukał. Zakon powinien zauważyć moje zniknięcie.

– O co mu chodzi? – Przerwałem mu. Musiałem wiedzieć – Po co te walki?

– Może zauważyłeś iż Kregnor nie zawsze zachowuje się tak samo. Czasami jest w miarę normalny. Kiedyś prowadziliśmy dysputy o różnych rzeczach, w przerwach... Ale potem ogarnia go pożądanie oglądania i tworzenia przemocy. Zdołałem się dowiedzieć że stał się taki od czasu gdy zaprowadził tu porządek. Był niewiele młodszy od ciebie, kiedy został sam na świecie, w dolinie wypełnionej klanami walczących ze sobą stale bandytów. Mogli to być potomkowie jednej z pirackich wypraw z południowego morza. Kiedy musieli, wyprawiali się na najbliższe wioski, lub polowali na kupców, wyruszając w wielotygodniowe wędrówki na północ, w poszukiwaniu łupu plądrując dolinę za doliną. Czasem potrafili się zorganizować. Ha! Nie tak dawno złupili nawet Krontorię! A w wolnym czasie kłócili się między sobą, zupełnie jak dziś. Tak musiało być i tutaj. Kregnor zwrócił na siebie uwagę najważniejszych hersztów, wygrywał ich ambicje między sobą, aż pokonał, osłabionych, jednego po drugim. Nie jestem pewien jak Kregnorowi udało się to wszystko opanować... Z pewnością nie jest głupcem... ale to coś z tamtego okresu zamienia go w demona.

Mistrz opowiadał mi o wielu miastach, w tym i o Krontorii. Od najmniej pół wieku jego mieszkańcy cieszyli się spokojem i dostatkiem. Musiało to być naprawdę dawno temu.

– Oczywiście, walki miejscowych chłopów nie są dla niego dość ekscytujące – ciągnął Dronan – Zdarzają się wyjątki, jak Beron... On jest nie tylko silny, ale i dosyć zwinny, ale... To wciąż mało. On żąda wrażeń większych niż bójka pary wieśniaków. Każdy, kto trafia tu z zewnątrz, jest wart osobistej wyceny Kregnora. Musiało mu się spodobać, jak walczysz. On dostrzega takie rzeczy. Musi w tobie coś widzieć, dlatego wybrał cię byś walczył dla niego. Gdyby nie to, byłbyś już martwy. Wbrew pozorom, on nie lubi marnować ludzi.

– Ktoś musiał próbować uciec, na pewno...

– A jak myślisz, z jakiej przyczyny Kregnor zabrania noszenia broni swoim własnym strażnikom? Mają oni jedynie łuki, i to tylko ci, którzy pilnują dziedzińca. Wyrwiesz się z lochów tylko po to by wpaść pod ich łuki, a na wypadek gdybyś uznał że lepiej zginąć od ich strzały, niż na arenie... Kregnor każe strzelać im w nogi. Ma w piwnicach nieźle wyposażoną salę tortur. Nienajlepszy widok.

– A mieszkańcy wiosnek, wędrownicy...

– Ludzie z doliny są w mocy Kregnora i jego wojowników. Kiedyś się zbuntowali, ale nie byli w stanie zdobyć zamku. Kregnor ich pobił, a z czasem... Zabiera do siebie najlepszych, najsilniejszych. Ci co pozostali niewiele zdołają zrobić. Z naszą pomocą, może, ale nie sami. Przybysze zaś zwykle podróżują w pojedynkę lub w małych grupach. Łatwo wpadają w sieci Kregnora, jak ty, jak ja... Aby sprowadzić pomoc, ktoś musiałby się wydostać z doliny, czyli przejść blisko zamku, lub uciec z niego. Ale ona zawsze czuwa...

– Ona?

Dronan znowu się zamyślił. Albo nie zwrócił uwagi na moje pytanie, albo nie chciał odpowiedzieć. Dumał nad czymś zupełnie innym, może ponownie rozważał wszystkie możliwości, podsumowując je po raz nie wiadomo który. Sam także zacząłem się zastanawiać, ale już nie nad tym co się dzisiaj stało. Z jakiej przyczyny ta myśl przestała mnie nachodzić. Przypomniłem sobie co Mistrz mówił o paladynach – a mówił dużo. Szlachetni wojownicy, choć dziwaczni i skryci. Nie tyle pomagali ludziom, co z całą bezwzględnością niszczyli zło, a że zazwyczaj obie rzeczy szły w parze, więc ogólnie ich szanowano. Nawet Biali Bracia, akceptujący zło jako siłę natury tak samo potrzebną jak i dobro, nie oskarżali ich o naruszanie świętej równowagi porządku Świata. Co więcej, akceptowali ich, jako jedną ze stron odwiecznej, nie mogącej mieć kresu walki światła z ciemnością. Trudno mi było zrozumieć dlaczego Dronan wciąż brał udział w walkach, bezsprzecznie złych z natury. Jak to się stało że przez tyle czasu nie mógł nic zrobić?

– Przejście na przelęcz jest stale obserwowane przez ludzi z zamku – Dronan zaczął ciągnąć zerwaną przed chwilą myśl. Mówił do mnie, czy do siebie? Nie potrafiłem rozstrzygnąć – Nie da się przejść niezauważonym. Wspinaczka z kolei nie wygląda zbyt zachęcająco, a nawet wtedy, ktoś taki zostałby zauważony i Kregnor miałby dość czasu aby go dopaść. Pokusa wysłania wiadomości poza dolinę jest silna, to prawda. Wystarczyłoby kilkudziesięciu braci zakonnych by z zamku nie został kamień na kamieniu. Ale... aby wydostać się z doliny najpierw trzeba pokonać Kregnora właśnie tutaj, w jego zamku.

Przyznałem w duchu że to wygląda na raczej kiepski plan działania.

– Więc nie ma żadnego sposobu? Mam zostać tu na zawsze? Ja i wszyscy więźniowie?

Wtedy jeszcze nie uważałem się za więźnia. Musiało minąć trochę czasu, zanim mogłem powiedzieć „my, więźniowie”. Ale czasu, jak już wtedy czułem, miałem pod dostatkiem.

– Myślę, że jest pewna szansa... Ale za wcześniej o tym mówić – Dronan uśmiechnął się do mnie – Nie martw się. Jeśli Kregnor odnajdzie w tobie to, czego szuka, jeśli spełnisz jego nadzieje i choć na chwilę uciszysz w nim wołanie o więcej, wtedy możesz liczyć na różne ulgi. To one utrzymują statusy wśród więźniów.

Jego pogodny nastrój, po tylu latach przebywania w więzieniu, zdumiewał mnie. Nie pasował do tego miejsca, i może dlatego robił je znośniejszym.

– Oni cię słuchają... – zauważyłem.

Zrozumiał, o co naprawdę chciałem go zapytać. Czy jest najlepszym z nich wszystkich? Czy sam powinienem się obawiać spotkania z nim, na arenie? Lekko pokręcił głową.

– Berona słuchają bo się go boją. Mnie... Robią to bardziej z szacunku. Szybko przekonasz się że trafiają tu różni ludzie. Jednych to miejsce zmienia w żądnych walki zabijaków, garściami czerpiących z łask Kregnora, nim sami polegą w walce. Są też i tacy, którzy chcą tylko jako przetrwać. Staram się pomagać im wszystkim, choć w razie potrzeby daję poznać na co wciąż mnie stać. Wszyscy tutaj byli kiedyś normalnymi ludźmi. To los zmienił ich w coś czym nie chcieliby być. W każdym z nich, nawet we wrogu, widzę człowieka, nie tylko dlatego, że tak zostałem nauczony przez Zakon. Pamiętaj o tym, i zapamiętaj moją radę: bądź ostrożny w wyborze tego kim chcesz się stać.

* * * * *

Tak więc stałem się więźniem Kregnora, bezwolnym sługą walczącym dla jego przyjemności. Niewola przedłużała się, najpierw w długie dni, potem tygodnie, wreszcie w dziwnie krótkie miesiące, gdy zacząłem przywykać do sytuacji.

Rzeczywisty upływ czasu z pewnością musiał być inny. Na dole nie było dnia ni nocy, nie wiedzieliśmy która jest godzina, czy pora roku. Poza walkami nikt nie wychodził poza piwnicę. Żyliśmy w rytmie światła dwóch pochodni – gdy wypalały się, ciemność zalewała loch, do chwili gdy strażnik wymieniał je nowe. Nie raz pragnąłem rzucić się na niego, by choć raz poczuć satysfakcję zemsty. Byliśmy bez broni, my i on, ale wiedziałem że konsekwencje napaści ponieśli by wszyscy. Powstrzymywałem się więc, choć po wodzących za strażnikami spojrzeniach poznałem że każdy pragnął tu tego samego.

Jedzenie nie było najlepsze, ale było. Kregnor zachowywał nasze siły do walki. Wioska dostarczała aż nadto zboża, nikt nie głodował, ani w zamku, ani na zewnątrz. Gdyby nie tyrania władcy, dolina byłaby znacznie szczęśliwszym miejscem. Dokonał wiele, wprowadzając pokój i prawo, ale gdy sam stanął ponad nim, złamał wszystko, co stworzył.

Walk było wiele, lecz dziś pamiętam je jak przez mgłę. Nie było żadnych reguł jeśli chodziło o chwilę ich nadejścia. Czasem здавало mi się że minęły tygodnie odkąd ktoś z nas wychodził na arenę, ale gdy już wychodziliśmy... wtedy następowała cała seria pojedynków, nawet po kilka dziennie. Zdarzało się, że ja, lub Dronan, walczyliśmy dwa razy pod rząd tego samego, jak przypuszczam, dnia, najczęściej na koniec, walcząc ze zwycięzcą. Paladyn wyjaśnił mi że Kregnor miał okresy, kiedy pożywał przemocy, ale w końcu nasyczał się i wtedy walki ustawały. Okresy spokoju były tym dłuższe im dłuższy i bardziej zacięty był pojedynek. Sam, przyszykując, niewiele zwracałem na to uwagi. Kiedy byłem na arenie, starałem się po prostu przetrwać, zaś potem starałem się nie myśleć o tym, co tam zaszło.

Różnie dobierano kandydatów do walki. Czasem robili to sami strażnicy – to dotyczyło zwłaszcza tych więźniów, których Kregnor jeszcze nie poznał, lub którzy nie zapisali się w jego pamięci jakimiś szczególnymi osiągnięciami. Tych lepszych, jak ja, Dronan czy Beron, traktowano inaczej. Walczyliśmy tylko gdy on sobie tego zażyczył, w specjalnych walkach. Nie mogę powiedzieć bym cieszył się z takiego rodzaju pamięci, lecz, co bym nie mówił, życie tych którzy jej sobie nie zaskarbili nie trwało tu długo.

Więźniów ubywało. Przeżywali tylko najlepsi. W lochu robiło się więcej i więcej miejsca. By zapewnić ciągłość walk, Kregnor co jakiś czas zbierał odpowiednich kandydatów z wioski. Pamiętam moment, kiedy doprowadzono nowych więźniów. Było ich może ze dwudziestu. W następnych dniach kolejno stawiali naprzeciwko siebie, na arenie. Ile razy powracali po swojej pierwszej walce przypominał mi się dzień, kiedy sam tu trafiłem. Wtedy współczułem im wszystkim.

Z początku walczyłem przeciwko młodzikom, najpierw tym co byli tu już jakiś czas, potem świeżo przybyłym z wioski, wypoczętym, pełnym wiary iż ujdą stąd z życiem. Ci byli trudniejsi do zabicia. Wiedząc że to nie ma sensu, nie starałem się ich wyeliminować z walki przez zranienie. Odkryłem że zabijanie w boju jest łatwiejsze, mniej obciąża sumienie i łatwiej potrafiłem je sobie wybaczyć. Z czasem zacząłem stawiać przeciwko dorosłym. Było to ostatnie spostrzeżenie jakie poczyniłem, jeśli chodziło o moich przeciwników, gdyż mniej więcej w tym czasie ostatecznie popadłem w otępienie. Napięcie niezmiennie towarzyszyło mi od chwili gdy opuszczałem towarzyszy by iść na arenę. Owszem, walczyłem ze wszystkich sił, lecz gdy wracałem, nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie twarzy przeciwnika, jeśli był mi on wcześniej nieznany – a tak działo się niezwykle często.

Z czasem zacząłem się zastanawiać, dlaczego wciąż udaje mi się przeżyć. Jedynym wyjaśnieniem, w jakie skłonny byłem uwierzyć, było takie iż moi przeciwnicy, wszyscy poza Dronanem i może Beronem, z którym zresztą nigdy nie przyszło mi walczyć, byli wyszkoleni ledwie na tyle by nie zabić się własnym mieczem. Właściwy ich trening odbywał się już na arenie. O walce wiedzieli tyle ile zdolali z niej wynieść, wraz z życiem. Obca im była sztuka szermierki; nawet zwycięzcy całotygodniowych turniejów, z którymi wkrótce przychodziło mi stawać, atakowali zwykle krótkimi, nie wyszukanyymi, brutalnymi pchnięciami czy cięciami. Nie byli wojownikami. Sam też nim nie byłem, lecz ja miałem Mistrza.

Potrafiłem zachować równowagę, umiałem sprawić by przeciwnik ją tracił – zwłaszcza ten, który nie potrafił dobrze walczyć. Na początku to dało mi przewagę, lecz ja także się uczyłem. Nadeszła wreszcie chwila gdy uświadomiłem sobie jaki byłem słaby podczas swojej pierwszej walki. Coś się zmieniło, czułem to dobrze. Zacząłem odpychać ciosy, zamiast ich unikać. Zacząłem z nimi walczyć. Kiedy byłem na arenie, chciałem tego całym sobą – i osiągałem to. Skąd czerpałem potrzebną mi siłę? Nie wiedziałem, ale na pewno nie pochodziła ona z mojego ciała. Łudziłem się wtedy, że dodawała mi jej chęć życia, chęć przetrwania i zemsty na Kregnorze, ale kto wie, może już wtedy prawda tkwiła we mnie, choć zagłuszona przez opierający się umysł, który nie chciał jej przyjąć do wiadomości.

Było coś dziwnego w tych ludziach, w tym zamku, w tym ponurym człowieku, obserwującym z góry każdy zamach miecza, każdy sparowany cios. Dziwne było to że ani walka, ani nawet śmierć jednego z walczących nie sprawiała mu nigdy przyjemności. Nie wydawał się nią cieszyć, tym mniej rozumiałem dlaczego chciał byśmy ze sobą walczyli. Nigdy tego do końca nie pojąłem, ani wtedy, ani dzisiaj. Być może coś kazało mu tak robić, ale nie mogło go zmusić do akceptacji swoich czynów.

Walka zawsze pochłaniała całe moje siły. Kiedy wracałem, marzyłem o śnie, ale ten nie zawsze przynosił odpoczynek. Zbyt wiele razy przewijały mi się przed oczami sceny na arenie, sceny, o których nie pamiętałem na jawie. Lata później zrozumiałem że to te sceny, wprost z buntującej się świadomości, tej jej części która nie mogła w inny sposób dojść do głosu inaczej jak we śnie, utrzymywały mnie wtedy z dala od popadnięcia w szaleństwo.

Dronan starał się ulżyć każdemu w jego losie, ale nie zawsze jego pomoc była przyjmowana. Niektórzy poddawali się nie tylko fizycznie; tracili też wolę i sumienie. Jeśli chodzi o mnie, pomógł mi nie zatracić go przez to, przez co przechodziłem, ale świadomie czy nie, wystawił mnie tym na mękę. Utrzymywane przez niego sztucznie przy życiu sumienie rodziło bowiem opór, za każdym razem kiedy przychodziło mi stawać do pojedynku. Nie, nigdy nie pogodziłem się ze swoim losem, lecz z czasem, z pomocą paladyna, przyzwyczaiłem się do sytuacji. Tylko Dronan powstrzymywał przed przemianą w samolubne zwierzę, dbające tylko o przetrwanie i wygodny kąt. Gdyby nie on, zapewne nigdy bym się stamtąd nie wydostał, a jeśli nawet... To już jako zupełnie ktoś inny.

Nauczyłem się panować nad emocjami. Chęć przetrwania stawała się silniejsza z każdą walką, lecz czasem wszystko wracało do mnie, tak jak tego pierwszego dnia. Wtedy nie mogłem już wytrzymać. Gdy gasły pochodnie, szło chałmem bezgłośnie, skulony, pod ścianą, aby nikt mnie nie słyszał. Nie zauważyłem, by poza mną ktokolwiek kiedy płakał. Dronan wiedział, lecz szanował to, pozostawiając mnie wtedy sam na sam ze swoim żalem. Czy rozumiał, że to pomagało mi pozostać sobą, mimo tego co musiałem robić? Zapewne, tak samo jak rozumiał że w takich chwilach stawałem się bezbronny. W takich chwilach byłem gotów umrzeć, przyjmując jako sprawiedliwą karę, nie widząc żadnej przyczyny dającej większe prawo do życia mnie niż moim ofiarom. Lecz Dronan nie pozwalał by moje słabości wyszły na jaw. Jako pogromca z areny, za jakiego mnie zaczęto uważać, musiałem, wyglądając na twardego ponad swój wiek, nieważne że zabijało to we mnie wiele z tego, czym kiedyś byłem – dzieckiem bez krwi na rękach.

Nie widząc celu w takiej egzystencji, zazdrościłem tym którzy pogodzili się ze wszystkim, którzy nie mieli moich wyrzutów i wątpliwości, zabijakom wciąż śmiało i bez problemu spoglądającym innym prosto w oczy. Ich obojętność była jakże pociągająca; obiecywała wewnętrzny spokój. Zazdrościłem im do chwili gdy pojąłem iż są spokojni, bo nie liczy się dla nich to czy zwyciężają, czy nie. Ja chciałem przetrwać, by pewnego dnia dopaść Kregnora i odplacić mu za wszystko.

Byłem młody. Gdybym tylko dożył chwili gdy on będzie stary, słaby i nieuważny, gdy nadejdzie moja godzina... Postanowiłem, że przeżyję i zabiję Kregnora, choćby to miała być ostatnia zrobiona przeze mnie rzecz. Wierzyłem że tylko to mogło sprawić, bym kiedyś mógł chodzić z podniesioną głową i nie bać się spojrzenia ludzkich oczu. Co zrobię potem, jak zmieni mnie ta podróż w przyszłości... bałem się o tym myśleć.

Z początku wierzyłem, że walka zawsze kończyły się śmiercią jednego z przeciwników. Z czasem odkryłem, że nie zawsze tak było. Zacząłem to wykorzystywać. Zależało to od nastroju, w jakim był Kregnor, ale nie tylko. Wyjaśnił mi to Beron, w tych okresach, kiedy przełamywał swoją od początku żywioną do mnie niechęć. Dziwnie reagował na przyjaźń, jaką darzył mnie Dronan,

ale był taki tylko podczas rund. Gdy walki się kończyły, uspokajał się trochę. Dzięki niemu dowiedziałem się więcej o dolinie, o Kregnorze i początkach walk.

– Prawda, Kregnor wprowadził tu porządek – potwierdził, gry pewnego razu spytałem go raz władca powiedział prawdę – Ale piętnaście zim nie minęło jak zaczął te walki. Pokazowe pojedynki, tak było wpięrw. Widowisko dla chłopków z doliny, jak cesarskie turnieje. Ino szybko stały się tak krwawe że Kregnor przeniósł je do zamczyska. Wiesz jak znoszą to ludzie? – zapytał podniesionym głosem – Już i drzewiej dolina nie była ludna, a tera z wiosny na wiosnę w chałupach jest coraz mniej chłopów, w miarę jak sprowadza on z nich sobie nowych wojowników, na miejsce ubitych. Wie że musi zacząć nas oszczędzać, albo nie będzie miał kto dla niego walczyć.

– Dlatego pozwala przeżyć nowym? – spytałem.

– Tak myślę. Ale to tylko przy pierwszych walkach, tych na początku rundy, gdy stają najsłabsi i nowicjusze. Dla niego to wstęp do rzezi, a dla nich trening, po którym nie mają żadnych więcej forów. Każdy z nas, który jest tu dłużej, załatwiłby ich w jedną chwilę, po dwóch na raz. Ja, Dronan, inni co ich znasz, tłuczem się albo między sobą, albo z najlepszymi z nich. Prawie zawsze, do ubitego.

Zastanowiło mnie to. Kilka razy wcześniej Kregnor zezwolił mi oszczędzić przeciwnika. Jeden z nich nawet jeszcze żył. Co więcej, kilku tu twierdziło że walczyli z Dronanem. Wiele mówili o jego niezrównanych zdolnościach w walce, lecz żaden nie obawiał się z nim stawać na arenie. Pytałem o to, lecz odpowiadali że Dronan im zabronił o tym mówić. Wyraźnie jednak i oni, i on, liczyli na coś z mojej strony. Dlatego milczeli. No, może i dlatego że Dronan potrafił przekonywać do siebie najbardziej upartych, niekoniecznie łagodnym głosem.

Wróciłem do Dronana i stanąłem przed nim. Zbyt wiele razy milczał na ten temat. Postanowiłem to wreszcie wyjaśnić.

– Co tu się naprawdę dzieje? – spytałem stanowczo – Co kieruje Kregnorem? Przecież kiedyś było tu inaczej. Co go tak odmieniło? Gdyby tęsknił za dawnymi czasami, wtedy zabijałby nas własnoręcznie, zamiast przyglądać się, jak my to robimy! – odetchnąłem, wyrzuciwszy wszystko jednym tchem i dodałem – Myślę... że nawet nie sprawia mu to przyjemności.

– Masz rację – przytaknął mi po chwili namysłu – To wszystko to coś więcej niż złe fantazje jednego człowieka. Nie zastanawiałeś się nad tym co ktoś taki jak ja wciąż tu robi? Jak, będąc tym, kim jestem, mogę znosić całe to zło?

Musiałem na niego dziwnie spojrzeć, bo potrząsnął głową. Już od jakiegoś czasu zacząłem uważać że czyta w moich myślach.

– To żadne czary – wyjaśnił – Swoje pytania masz niemal wypisane na twarzy. Poza tym, gdybym był na twoim miejscu, sam bym się temu dziwił. Wyjaśnienie tego jest takie, że to co się tu dzieje jest czymś więcej niż tym na co wygląda.

– Jak to, czymś więcej? Więc Kregnor nie...

– Jesteś blisko i dobrze myślisz, lecz twoja wiedza jest zbyt skromna by to zauważyć. Kluczem do zagadki jest Kregnor, ale nie to czym jest, lecz czym nie jest. Nie jest bardziej zły niż ktokolwiek inny po przejściu tego co on. Lecz aby osiągnąć to, co osiągnął, posłużył się mocą, która teraz domaga się zapłaty, którą jest zaspokojenie tej mocy. Sam nie czerpie z tego nic, najwyżej tyle że to co w nim siedzi przestaje go toczyć, niczym robak zwłoki.

– Więc jest niewolnikiem? Jak my?

– W pewnym sensie, chłopcze, w pewnym sensie. Na ten czas, na czas walki i tygodnie między rundami, Kregnor odzyskuje wewnętrzny spokój. Tym gorzej wpływa na niego to, że to właśnie w chwili gdy na jego oczach i z jego rozkazu giną jego ludzie, ma pełną świadomość sytuacji. To coś ją chłonie, pozostawiając go na ten czas samemu sobie.

Słowa Dronana brzmiały dziwnie, ale nie mogłem zaprzeczyć że zgadzały się z tym, czego doświadczyłem. Cóż jednak z tego że Kregnor też był więźniem czegoś. Wciąż pozostawał przyczyną tego wszystkiego.

– Ale dlaczego walki? Dlaczego sam nie bierze w nich udziału?

– Bo, choć to nienawiść sprawiła, że dawno temu przyjął tę moc do siebie, nie czuje nienawiści do nas. Walki są tylko jedną z możliwych form zaspokojenia tej mocy, formą, którą on wybrał. Dopóki Kregnor walczył z bandytami, dopóty zaspokojenie mocy nie było trudne. Ona dawała mu siłę, on jej... – pokręcił bezradnie głową – Nie wiem dokładnie co, ale wtedy ich potrzeby nawzajem się uzupełniały. Gdy nastał pokój... wtedy przestało to być takie proste. Może myślał, że gdy zwycięży, ona odejdzie, ale nie... wciąż w nim tkwiła... aż zgłodziła i wróciła by się pożywić... choć jej strawa nie była już tak obfita, jak dawniej.

– I... ona... wpływa także na strażników? Dlaczego oni...

– Tak naprawdę opętała tylko jego, gdyż to on zgodził się ją przyjąć. Innych zwykle dotyka jedynie za jego pośrednictwem. Ludzie, którzy dziś służą mu na zamku, to jego dawni kompani z czasów gdy zwyciężał bandytów. Służą mu, bo jest najlepszym z nich, a zwykłych chłopów mają za nic, za śmieci, zaś on służy tej sile, bo inaczej nie daje mu spokoju, dręczy w jakiś sposób, od wewnątrz. Próbował z nią walczyć, lecz musiał się poddać, by nie popaść w obłęd.

– A jaka w tym różnica? – zawołałem, aż inni więźniowie spojrzeli w naszą stronę.

– Dla nas? Żadna. Kregnor już dawno przestał cokolwiek czuć wobec swoich ofiar, tak jak i wielu z nas. Naszym kosztem, naszym życiem, zachowuje resztki swojej świadomości, aby kontrolować siebie i tkwiącą w nim siłę. Gdy ją nasyci, odchodzi na jakiś czas, lecz za jakiś czas powraca i wszystko zaczyna się od nowa.

Przypomniałem sobie dzień, w którym przyszło mi walczyć po raz pierwszy. Wspominałem dziwne zachowanie Kregnora, gdy wysłał mnie na arenę. Miałem wrażenie że na coś wtedy czekał. Teraz zrozumiałem, że czekał na tę siłę, aby to ona zadecydowała o moim losie.

– Mogłeś powiedzieć mi o tym wcześniej! – powiedziałem z wyrzutem – Gdybym od razu zrozumiał...

– To co byś zrobił? Próbowałbyś przemówić do jego świadomości? Myślisz że nie próbowałem? Obiecałem że pomogę mu z tym walczyć. Uwierzył mi, zaufał. Chciał bym wypędzić z niego to coś, ale to jest niemożliwe. Starałem się to pokonać, ale przegrałem, gdyż pomyliłem się srodze co do natury tego... tej rzeczy. Trafiłem tu, bo ona tego chciała. Zemściła się tak na mnie, jak i na nim, za jego zgodę, a mścić się potrafi... Myślałem że wygrywam, ale ona tylko czekała, zbierając siły, by uderzyć tym mocniej. Być może niechcący uczyniłem ją silniejszą, dlatego... Dlatego musisz mi zaufać. Dla Kregnora nie ma już ratunku, ale jest jeszcze szansa dla jego poddanych.

Widziałem że Dronan czuł się winny. Sam taki się czułem i tym łatwiej czułem, że ktoś myśli podobnie. Widziałem to po tym jak mówił, jak zmienił się jego ton głosu, wyraz jego twarzy... Winny za co? Czy za to, że oddał Kregnora tej sile?

– Więc jak...?

– Wszystko w swoim czasie. Musisz najpierw być gotowy. Nie wiem, czy tym razem Kregnor nie zostanie zmuszony do pozbycia się mnie – położył mi rękę na ramieniu i spojrzał w oczy – Długo czekałem, aż zjawi się ktoś taki, jak ty. Szkoda, że jesteś taki młody. Gdybyś był dorosły, bardziej doświadczony... Ale to coś jest zbyt silne. Gdybyś teraz otrzymał dar, nie zdołałbyś go zatrzymać. Zostałby on zniszczony. Musimy jeszcze poczekać.

– Dar?

– Kiedy nadejdzie pora, pomożesz mi. Pomożesz nam wszystkim, ale dopiero we właściwym czasie. Próbowałem już z Beronem, ale Kregnor zbyt łatwo go zламаł. Jest jaki jak jest, przeze mnie, bo dałem mu świadomość... – Dronan znowu się zamyślił – Myślałem, że potrzebuję kogoś silnego, ale to nie siły fizycznej powinienem wtedy szukać, nie... Potrzebuję czegoś innego. Wytrwałości, gotowości... Tego, co widzę w tobie i z czym wiąże swoją nadzieję. Masz dziwną aurę... Mógłbyś sam zostać paladynem, gdyby... – pokręcił głową i opuścił ją, siadając – Po tym, nawet jeśli przeżyjesz, nigdy nie zdołasz dojść do siebie. Nie będziesz w stanie oczyścić się z winy.

Tajemnicze pocucie winy powróciło do niego, przeze mnie, bo mu o tym przypomniałem. Czując się winnym jego stanu, pozostawiłem go samego. Nie rozumiałem tego co powiedział, ni co chciał mi dać. Dał mi jednak nadzieję że to nie potrwa wiecznie. Pomogę mu dokonać zmiany i pokonać Kregnora. Niczego innego wtedy nie pragnąłem. Uzbroilem się więc w cierpliwość i czekałem,

czepiać się z tej obietnicy, czepiając się jej niczym rozbiitek deski z tonącego okrętu.

* * * * *

Czy to szczęście, czy inna siła sprawiła że przez długi czas nie musiałem krzyżować swojego miecza z Dronanem. Mając inne zamierzenia, nie głowiłem się czemu Kregnor nie pragnie zobaczyć walki między swoimi dwoma najcenniejszymi więźniami. Czy czekał aż wzrosną moje umiejętności, czy też byłem jedynie częścią czyjegoś większego zamysłu, nie wydawało mi się to istotnym. Byłem jednak pewien, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Za tydzień, za rok, kiedyś staniemy naprzeciw siebie. Co wtedy zrobić? Będę walczył jak z każdym innym? Ale odsuwałem od siebie myśl o pojedynku, zawsze, gdy się zjawiała.

Dopiero kiedy przyjdzie czas – powtarzałem sobie.

I ten czas nadszedł.

Nie miałem powodu by wierzyć iż ta kolejna walka będzie inna niż wszystkie przedtem. Zostałem wywołany jako pierwszy i aż do chwili gdy ujrzałem przeciwnika, już na arenie, nie wiedziałem kogo spotkam. Co więcej, nie dbałem o to.

Wyrzucili mnie na piach jako pierwszego. Kregnor jak zwykle przyglądał się wszystkiemu z góry, ze swoim zawsze obojętnym, zamysłonym wyrazem twarzy. Na przeciwnika czekałem dłużej niż zwykle, dość bym po raz pierwszy zaczął odczuwać zniecierpliwienie. Przed walką zawsze czułem się rozdrażniony. Odkryłem, że to pomagało. Teraz to odeszło.

Gdy wreszcie w drugich drzwiach ujrzałem Dronana, zareagowałem tak, jak nigdy bym się tego nie spodziewał – po prostu, nie zareagowałem wcale. Spojrzałem na niego, poznając go, lecz traktując jak każdego innego, jakby był jednym z nieznanym mi więźniów. Zrobiłem kilka kroków w stronę środka areny, po czym zatrzymałem się, przygotowując do walki. Zamachnąłem się mieczem, przyzwyczajając swoją rękę do jego ciężaru, do tego, jak spowalniał jej ruchy – przez cały czas nie spuszczałem Dronana z oczu. Musiałem być pod wpływem tej siły, inaczej nigdy bym tak nie postąpił. Nie mogłbym. Ale wtedy nawet nie zwróciłem na to uwagi. Nie mogłbym, gdyż czułem się tak przy każdej innej walce. Tylko przeciwnik którego bym znał mógłby mnie naprowadzić na ślad tego że coś jest nie tak – zakładając że cokolwiek by mnie coś wtedy obchodziło, lecz otępienie wewnętrznych zmysłów także było częścią działania tej siły.

Skupiłem się na przyszłej walce. Nic innego nie zaprzątało mojego umysłu; oczyścił się na czas walki, ale oszukiwałem się, gdybym powiedział, że była to jedynie koncentracja. To było coś więcej – i nie było to moje.

Sam Dronan nie wydawał się być zaskoczony moim zachowaniem. Kiwnął głową i zamachnął się mieczem, jak ja, wyczuwając jego ciężar. Ciął powietrze szybkim ruchem – poprowadził ostrze z prawa na lewo, w dół, wznosił je płynnym ruchem w górę, po lekkim łuku, po czym ściął powietrze z powrotem na prawo, w dół. Wszystko to zrobił z ogromną siłą, jednym, gładkim cięciem, bez śladu przerwy, bez najmniejszej nawet chwili braku kontroli nad ciężarem miecza. Znał mnie, wiedział jak bez słów przekazać mi co potrafi, bym poznał jakie ma wobec mnie zamiary. Dziś pamiętam tylko jak oceniałem jego ruchy i cięcia pod kątem mocnych i słabych stron. Byłem tym zupełnie pochłonięty; nie zauważyłem że coś się ze mną dzieje. To coś siedziało we mnie zbyt głęboko bym mógł to dostrzec samemu.

Dronan nie mówił nic. Stał jedynie wyczekująco. Zaatakowałem pierwszy, próbując jego obronę i testując umiejętności. Skrzyżowaliśmy broń – moje cięcie i gładkie parowanie Dronana. Od tej chwili skupiłem się tylko na wyszukiwaniu okazji i poznawaniu jego sposobów walki.

Dronan walczył znakomicie. Ciął lekko, pewnie i silnie, dużo lepiej ode mnie, lecz ja myślałem tylko o tym że muszę być lepszy. Nic innego się wtedy nie liczyło.

Odkryłem, że byłem od niego szybszy. Zbyt długo przebywał w więzieniu, pomyślałem, osłabł... Nie przyszło mi do głowy, że przez cały czas swojego pobytu musiał stać walczyć. Nie mógł stracić swoich umiejętności, przeciwnie – musiał je rozwijać, tak jak ja.

Walka trwała dłużej niż jakakolwiek inna. Żaden z nas nie zdołał trafić przeciwnika. Wreszcie paladyn zablokował mój cios i zwarliśmy się w uścisku, oparci o siebie. Udałem że ustępuję, że chcę się wycofać i wznowić walkę – tylko po to, by naprzeć na Dronana, by go przewrócić gdy jego mięśnie osłabną na moment, w odpowiedzi na udawaną próbę ucieczki.

Udało mi się – Dronan poleciał do tyłu, plecami na piach, lecz nie wstał. Czułem się jak zwycięzca, uniesiony walką jakiej nigdy dotąd nie stoczyłem, walka zwycięską. Nie zastanawiałem się skąd mały chłopiec mógł mieć tyle siły by obalić dorosłego mężczyznę, doświadczonego wojownika. Stałem nad nim, oburącz ściskając rękojeść lekko uniesionego miecza. Czekałem na ruch Dronana, ale on leżał tylko spokojnie. Już ten sam jego spokój, przeciwstawiony mojemu uniesieniu walką, wstrzymał mnie na miejscu. Po prostu nie pasował do sytuacji.

– Teraz nadszedł ten czas – powiedział cicho, głośno na tyle bym go wyraźnie usłyszał.

Minał moment zanim jego słowa przebiły się przez mój pograżony w gorączce walki umysł. Kilka kolejnych przeszło nim przypomniałem sobie co miał na myśli. Wtedy pojawiły się wątpliwości. Dotąd w walce Dronan nie dawał mi szansy, teraz nagle pozwolił się obalić... Ledwie parę chwil wcześniej nie zastanowiłoby mnie to, nie zatrzymało. Lecz teraz... Opuściłem broń. Stałem nad nim, lecz myślałem że nie wyglądałem już na zwycięzcę, bardziej na pokonanego. Coś we mnie ostrzegało że wszystko nie jest tak jak być powinno.

– Od kiedy tu jestem, nie zabiłem nikogo – Dronan podniósł lekko głos – Nikogo.

Jego słowa były niczym dobrze przemyślany atak na mój umysł, na moje myśli. To, oraz każde kolejne, niczym precyzyjne uderzenie oręża, trafiały w głąb ciała, nie znajdując żadnej zasłony. Najpierw nie zwróciłem na nie większej uwagi, wietrząc podstęp, ale wypowiedziane słowa nie przebrzmiały, jak mają w zwyczaju te zwyczajne. Ich znaczenie trafiło w coś we mnie, by nagle przeszyć, sparaliżować, kiedy je zrozumiałem. Dlaczego nikt nie bał się z nim walczyć? Dlaczego tak wielu opowiadało, że z nim walczyło?

– Dopiero zaczynasz rozumieć, ale rozumiesz. To jest mój dar. Dar paladyna, dar poświęcenia i współczucia. Dzięki temu, że go posiadam, Kregnor nigdy nie zmusił mnie do zabicia kogokolwiek. Wiedział że nie zawaham się zginać zamiast przeciwnika, że będę go bronić przed złem, jednak nie chciał mnie stracić. Musiał albo mnie zabić, albo pogodzić się z tym, że żadna z moich walk nie zakończy się śmiercią inną niż moją.

Poczułem się jak przebudzony ze snu, choć wcale nie śniłem. Coś zdjęło zasłonę z moich myśli. Odezwały się wpajane mi przez Mistrza zasady, krzycząc, drąc się na całe myśli że je łamię. Ich głosy były teraz silniejsze właśnie dlatego, że były spóźnione. Bezwiednie rozluźniłem ręce. Lewa dłoń przestała ściskać rękojeść, prawa opadła wzdłuż ciała pod ciężarem ledwie trzymanego miecza.

– Beron... – szepnąłem. Zawsze czułem że on wiedział o wszystkim.

– Beron także otrzymał mój dar, ale nie zdołał go w sobie zatrzymać – Dronan przemówił ponownie, spokojnie i łagodnie – Był za słaby. Teraz ty... Przełamałeś się. Wstrzymałeś... Musiałem to zrobić tutaj, podczas walki, gdy to coś tkwiło w tobie, władało tobą, chłonąc twój zapal, kontrolując ciebie, pożywiając się... Aby to przełamać, musiałeś sam dostrzec co się z tobą dzieje, zrozumieć to w chwili kiedy to było najsilniejsze, byś miał pewność, że pokonasz to na zawsze, gdyż to nigdy nie zaatakuje cię z większą siłą niż teraz.

Zamilkł, a ja tylko stałem i patrzyłem. Dronan wciąż leżał przede mną, nie wstając, tylko patrząc, ja zaś nawet nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje, gdzie jestem. Mgła w moim umyśle zaczynała się rozwiewać. Szeptala jeszcze ostrzegawczo że to podstęp, że wątpliwości mają pomóc mi pokonać, że lada moment jego miecz... ale ja już wierzyłem. Odrzucałem ją siłą woli, o której nawet nie wiedziałem że są w posiadaniu żywej istoty. Mgła odchodziła, wraz z niezwykłą siłą, jaką zgromadziła w moim ciele w trakcie

tych wszystkich pojedynków. Stałem się sobą, z umysłem równie nagim i świadomym jak podczas pierwszej walki.

Poczułem drżenie kolan. Niewiele brakowało bym osunął się na nie, zlany łzami nad sobą i wszystkimi zyciami które... Lecz Dronan znów przemówił.

– Szok pomógł ci ją od siebie odrzucić, ale to nie koniec. Jesteś dość silny by spróbować to przyjąć, ale zależy to tylko od ciebie, od tego, czy masz wolę zaryzykować. Możesz wybrać, jak ja, nie mając pewności, jak i ja jej nie miałem. Jeśli się mylimy, jeśli Kregnor uzna że nie jesteś dość wart, zginiesz tu i teraz. Jeśli jesteś, już nigdy nie zabijesz na arenie, nigdy nie zostaniesz do tego zmuszony, ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości, w żadnym miejscu, w żadnym czasie...

Nie wiem jak długo tam stałem, ale wiem, jakie myśli przeszły mi przez głowę. Zrozumiałem wszystko. Gdybym był dość silny podczas tej pierwszej walki, gdybym wtedy sprzeciwił się Kregnorowi... Wtedy bym zginął. W to także wierzyłem. Lecz w chwili gdy zabiłem pierwszego przeciwnika, mgła poczęła wkradać się do mojego umysłu, powoli i ostrożnie, nie zwracając mojej uwagi, przyzwyczajając mnie do swojej obecności, zapadając we mnie coraz głębiej, z każdą nową ofiarą. Gdyby to potrwało dłużej, mogłaby zaważać na mnie tak, jak zaważać Kregnora i umysłami jego wojowników. Mój towarzysz z więzienia... Gdyby nie on, my wszyscy, także ja sam, dawno wpadlibyśmy w szaleństwo tej walki, poddilibyśmy się mu całkowicie i dobrowolnie. W każdym dniu walki na arenie wstępowała w nas ta dziwna siła i w każdym dniu, kiedy wracaliśmy do celi, Dronan starał się ją z nas usunąć. Trwało to tak długo, gdyż... gdyż zasmakowała w moim umyśle. Dronan... on był tu z innego powodu. Dziś to rozumiem. Ona nigdy nie skosztowała jego umysłu. Nie pozwolił na to. Wykorzystała go więc inaczej, jako trenera dla innych, dodając im przypraw...

Spojrzałem na Kregnora. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem w nim wściekłość. Poczułem, że to co powiedział mi Dronan było prawdą. Mgła odeszła, ale pamięć moich czynów pozostała, z całą pustką i zniszczeniem, jakie uczyniła w młodym umyśle – rana której nie zaleczy ani czas, ani zabicie Kregnora, ani nic co istnieje na świecie. Miałem na rękach krew zbyt wielu ludzi i byłem zbyt młody, by sobie z tym poradzić. Oszukiwałem się, że chcę tylko przeżyć, ale wiedziałem od początku, że aby to zrobić, będę musiał zabić jeszcze jednego przeciwnika, i jeszcze jednego... Że nigdy nie będzie inaczej, aż do chwili, kiedy sam bym zginął w walce. Że odwiekle tylko to, co musiało się stać, i że robiłem to kosztem życia innych ludzi. Mistrz nigdy nie uczył mnie, jak żyć z taką zbrodnią. Rozpacz i wściekłość zaczęły targać moim ciałem.

– Nie będę więcej zabijał! – zawołałem – Kazać swoim łucznikom mnie zastrzelić, nie dbam już o to... – i w tamtej chwili naprawdę nie dbałem.

Kregnor uniósł się ze swojego siedziska. Podszedł do balustrady i oparł się o nią dłońmi. Spoglądał w dół, jakby chciał się na mnie rzucić, niczym górski jastrząb na mysz. Nigdy jeszcze w jego spojrzeniu nie widziałem tyle drapieżności. To coś, ta mgła, którą wyrzuciłem z mojego umysłu, musiała teraz tkwić właśnie w nim.

– Myślisz że to takie proste? – wyszczał głośno – Nie masz pojęcia, jaką cenę musiał zapłacić twój paladyn za luksus utrzymania swojej szlachetności! Jesteś zbyt dobrym materiałem na wojownika, abym z ciebie zrezygnował. Mogłeś zostać strażnikiem! Ale nie... Będziesz jeszcze walczył, dla mnie, to ci mogę obiecać. Nie pierwszy raz tacy jak ty próbują udowodnić, że zostali im jeszcze uczucia. Z pewnością wolałbyś zginąć – uśmiechnął się złośliwie – Lecz tak się nie stanie. Udowodnij mi jak bardzo zależy ci by pozostać sobą. Jak wiele jesteś gotów wytrzymać? Jak silnie pragniesz nie ugiąć się przed wolą przetrwania?

Rozluźnił się. Opuścił głowę i uderzył dłonią o krawędź balustrady. Gdy się wyprostował, wyglądał gorzej niż gdy patrzył w dół. Machnął ręką w kierunku strażników.

– Wkrótce przekonasz się, że łamiąc ciało, można złamać także i umysł – ostrzegł mnie na odchodnym – Jesteś zbyt młody, aby zwyciężyć ten pojedynek. Lepiej będzie, jeśli poddasz się zanim nadejdzie ta próba... Tak jak to zrobił Beron.

Strażnicy siłą wywlekli mnie z areny. Tym razem próbowałem się bronić. Powlekli mnie korytarzami, do sali tortur. Każdy z nas wiedział, że tu jest, ale niewielu ją widziało.

Rozebrali mnie do naga i rozpięli na drewnianej, otoczonej ramą płytce. Do tej ramy przywiązali mi kostki i nadgarstki, pasem umocowali głowę tak bym nie mógł poruszyć nią ani w dół, ani w górę. Mogłem jedynie kręcić nią na boki.

Zamiar Kregnora był oczywisty. Myślałem, że zacznie od razu, ale on lepiej wiedział, co robić. Strażnicy zostawili mnie samego, w świetle dogasających pochodni. Półmrok ograniczał widoczność, ale nie byłem pewien, czy naprawdę potrzeba mi więcej światła.

Trochę czasu zabrało mi zrozumienie że Kregnor nie zacznie tak szybko. Najpierw postanowił dać mi czas na przemyślenie mojego położenia. Po co odwracać najlepsze stożki, gdy można zacząć od mniej ważnych, najsilniejsze argumenty pozostawiając na później, jako gróźbę? Chciał bym najgorsze tortury zadać sobie sam, na moim własnym umyśle.

Po kilku nieudanych próbach przestałem liczyć że sam się uwolnię. Byłem sam, ale nawet gdyby dookoła stał tuzin strażników, w niczym nie zmieniliby to mojej sytuacji. Kończyny poczęły mi drętwieć. Mięśnie wyciągniętych mocno ramion mimo prób rozluźnienia zaczęły ostrzegawczo pulsować ciepłem. Poczułem narastający ucisk w piersiach.

Nie może być tak źle, uznałem, Kregnor chce bym dalej walczył, zatem nie doprowadzi mnie do stanu, w którym stałbym się nieprzydatny. Nie będzie chciał mnie uszkodzić, przynajmniej nie fizycznie. Uznałem że to dobry moment na szczegółowe przywołanie z pamięci lekcji Mistrza na temat bólu. Uczył mnie wprawdzie jak go opanować, lecz uprzedzał, że tę lekcję opanuję w pełni dopiero w przyszłości, kiedy dorosnę. Niestety, potrzebowałem jej tu i teraz. Skupiłem się więc na jego słowach, na każdej myśli, by odkryć co takiego miałem opanować, aby uzyskać obiecaną przez niego kontrolę nad czuciem.

„Ból jest esencją życia” – mówił. „Rodzimy się w bólu i często w bólu odchodzimy. Jedną z prawd życia jest to, że ono samo jest bólem, każdy oddech, każde zgicenie kończyny, tylko z czasem tak do tego przyzwykamy że czujemy już tylko inny, nowy, silniejszy ból, zapominając o bólu życia. Inną prawdą życia jest także ta, która mówi że ból i przyjemność, jak i każde odczuwanie, to jedno i to samo, że wszystko to ma jedną naturę. Skoro więc potrafimy poskromić umysłem nasz gniew, możemy także zrobić to samo z bólem. Umysł potrafi kontrolować uczucia i emocje, zaś ból nie różni się od nich niczym, poza swoją intensywnością. Te prawdy, starsze niż ludzie, jak i sposoby kontroli umysłu nad ciałem, pochodzą z dawnego świata elfów, z tego samego miejsca, z którego kiedyś zabrali ich bogowie, sprowadzając na nasz Świat, na tę planetę. Nie od razu zdołasz opanować tę sztukę. Najpierw musisz nauczyć się zwalczać niedogodności. Wtedy także nauczysz się opanowywać słaby ból. Zwyciężając ten silny, od ran umysłu, nauczysz się dopiero po długim czasie, gdyż jest to samotna lekcja. Nikt ci w tym nie zdoła pomóc, nawet ja.”

Czuąc, że mój wzrok przyzwyczaja się do półmroku, zacząłem rozglądać się dookoła, na ile pozwalały mi więzy, szukając zgromadzonych tu przedmiotów, by odgadnąć czego się po nich spodziewać, jak mogą być użyte – aby przygotować się na ich działanie.

„Podstawową prawdą o bólu: on nie jest naszym wrogiem. To prawda, ma nad nami wielką moc. Potrafi zabić każde inne uczucie, każdą potrzebę – to tylko kwestia natężenia. Lecz robi to by nas ostrzec iż coś się dzieje, cos złego, nie tylko z naszym ciałem, ale i z umysłem. Istnieje bowiem ból fizyczny, ból ciała, i istnieje ból psychiczny, ból umysłu. Choć na pozór odmienne, nie różnią się w swej naturze, poza tym że pierwszy przemija, ale drugi pozostaje w nas na długo. Odróżnianie jednego od drugiego nie zawsze jest proste. Czasami rana boli nie dlatego, że ciało zostało zranione, ale dlatego, że został zraniony także umysł.”

Nigdy dotąd nie widziałem sali tortur. Starałem się uważnie i bez emocji oglądać każdy podejrzaną obiekt – ale nie mogłem. To nie była bezpieczna, spokojna chatka na odludziu, w której Mistrz uczył mnie podstaw kontroli umysłu. Nauka to jedno, rzeczywistość to coś zupełnie odmiennego. Ledwie byłem w stanie zdusić w sobie opanowujące mnie przerażenie.

„Ludzie nauczyli się wykorzystywać cudzy ból. To zamienia go we wroga twojego ciała i umysłu, zaś wróg musi zostać zwalczony. Umysłnie zadawany ból uwrażliwia, odsłania nas i osłabia od takich granic, że jesteśmy gotowi zrobić wszystko, byle oddalić od siebie tę słabość. W ten sposób ból rodzi pragnienie pozbycia się go. Jeśli więc sprawimy że ból, mimo iż odczuwalny, przestanie nas osłabiać, wtedy także nie pojawi się pragnienie by ustał. Wielu opanowało ból ciała, do tego stopnia że bez emocji patrzy jak inni szarpią i przypiekają jego własne ciało, lecz niewielu opanowało także ból umysłu, w tym i ból istnienia, a dopiero wtedy człowiek, czy każde inne stworzenie, może się stać w pełni i prawdziwie odpornym.”

By z moich ust nie wydobył się żaden jęk, przygryzałem wargi za każdym razem gdy w nikłym świetle dostrzegałem na przedmiotach ślady dawno zakrzepłej krwi. Kregnor tylko czekał aż moje obawy wezmą górę nad postanowieniem. Starałem się beznamietnie rozważać sposoby użycia tych przedmiotów, która ich część i w jaki sposób może wnikać w ciało, w stronę jakiego organu się skierować, ale kiedy to obrazy pojawiały mi się w umyśle, ciało drżało, zalewając się zimnym potem. Nie byłem dzielnie znoszącym ból bohaterem, ledwie dzieckiem. Nigdy wcześniej nie doznałem prawdziwego bólu. Ilekroć myślałem o tym, co się tu wkrótce zacznie ze mną dziać, musiałem walczyć z paniką.

„Wielu próbuje zwalczyć ból nie myśląc o nim, przekonując siebie że on nie istnieje. To droga najłatwiejsza, lecz zbyt zawodna, gdyż pozwala opanować tylko część bólu. Jeśli stanie się on dość silny by umysł nie mógł o nim zapomnieć, czy przestać go zauważać, wtedy trafi on nas w nieosłoniętą przed nim część umysłu i odczujemy go z tym większą siłą. Właściwą drogą jest przygotowanie umysłu na ból. Aby go zwyciężyć, musimy robić to samo co robimy próbując zmiarkować swój gniew. Musimy go poznać, zbadać, kontemplować go, zastanowić się nad nim, rozdzielić go na części i zbadać każdą z nich z osobna, aż sama ta myśl, samo poznanie, rozproszy złe wrażenie. Ono oczywiście pozostanie, ale już bez odczuwania towarzyszących jej emocji, jak strach czy słabość.”

Mimo siły swojego postanowienia poczułem że przegram, że tego nie wytrzymam. Będę się musiał poddać. Zacząłem rozpaczliwie szukać czegoś, co mnie wzmocni. Dronan wytrzymał tortury, ale nie ja... I nie Beron. Beron – ogrza łapa...

„Najgorszy jest nagły ból, gdyż nie pozwala nam dość szybko wznieść murów naszego umysłu. Na szczęście, taki ból nie trwa długo. Może po nim nadejść druga fala, ale na nią możemy się już przygotować. Dlatego, jeśli wytrzymamy pierwsze uderzenie, możemy je wykorzystać aby się wzmocnić i tym łatwiej znieść pozostałe – nawet, jeżeli będą stale przybierać na sile.”

Nic nie pomagało – mój umysł, zamiast zyskać kontrolę nad ciałem, zaczął ją tracić. Co gorsza, zacząłem tracić kontrolę także nad własnymi myślami. Obrazy, które przywoływałem, aby przygotować się na to, co nadejdzie, zaczęły teraz żyć własnym życiem, zmieniając się w przerażające wizje. Jak metodycznie rozprawiał Mistrz, jak przerażająco szczegółowo opisywał... Och, bogowie, o potężny Fihgu, proszę, gdy Kregnor przyjdzie, niech da mi szansę... Mistrzu, ucisz się... Zamknij wreszcie!

„Najłatwiej przezwyciężyć ten ból, który dopiero ma nadejść, kiedy wiemy, że nadejdzie wkrótce, lub jakiś czas później. Najważniejsza jest tu wiedza o jego nadejściu. Gdy się pojawi, musisz umieć rozłożyć go na części. Musisz zrozumieć że to tylko ból ciała, nie umysłu, musisz je rozróżniać. Twój umysł musi pochłonąć się w ocenie które miejsce ciała czują ból, jak jest on silny, jak głęboki. Obserwuj jak się rozchodzi, przygotuj ciało na jego napływ – każdy nerw, każdą jego cząsteczkę – a wtedy nie dojdzie do umysłu, osłabnie po drodze, próbując przezwyciężyć każdą z broniących się przed nim cząsteczek. To jest bitwa we wnętrzu twojego ciała i umysłu – w nich budujesz dookoła siebie mury, aby się ochronić”.

I wtedy zrozumiałem skąd brała się agresja Berona, dlaczego wydał mi się zły, choć słuchał Dronana. Beron wciąż był torturowany – jego próba się nigdy nie zakończyła, nawet jeśli się nigdy nie zaczęła. Trwała nadal, w nim samym. To był ból umysłu, który odczuwał od chwili, gdy Dronan przywrócił mu świadomość, wręczając swój dar. Przez ten dar Beron został rozdarty między świadomość własnych czynków, a słabością, jakiej uległ podczas tortur. Poddał się władcy, ale nie mógł już znaleźć dawnego zapomnienia w walce, ani uciec od obudzonego poczucia własnej winy. Pozostał świadomy wszystkiego co się dzieje, czego sam dokonywał, ale mógł jedynie bezsilnie przyglądać się walczącemu – i przeklinać siebie że nie wytrzymał do końca.

To samo spotkałoby i mnie, gdybym się poddał. Zrozumiałem, sam, że nie mogę poprzestać na tym połowicznym zwycięstwie. Albo przejdę przez to do końca, albo stanę się taki jak Beron. Ale... Nie miałem tyle sił! Wiedziałem już że cokolwiek postanowię, będzie to droga przez mękę. Tylko, jeśli się poddam, będzie ona trwała przez całe życie...

Nade mną, od strony wejścia, pojawił się jakiś cień. Byłem pewien że nadszedł czas próby, na którą nie byłem gotów. Słyszając zbliżające się kroki zacisnąłem oczy, próbując udąć nieprzemyślnego, ale zdradzało własne ciało zdradzało mnie drgawkami strachu przed bólem.

Zacisnąłem zęby, aby je opanować – bezskutecznie. Zalała mnie groza nadchodzącej nieuniknionej chwili. Strach, obawy – wszystko zlało się w umyśle, prawie odbierając rozum. Chciałem przez to przejść, jakąś częścią siebie, ale nie mogłem. Kiedy teraz zbliżał się ten moment, ogarnęło mnie bezgraniczne, niekontrolowane, nieopanowane przerażenie. Każdy zbliżający się odgłos cichego kroku wrzucał mnie weń coraz głębiej.

Kroki wciąż się zbliżały – dla mnie trwało to długo, niczym wieczność. Ktoś stał nade mną. Postać dotknęła mojego ramienia – dla mnie był on niczym przytknięcie rozpalonego żelaza. Nie wrzasnąłem tylko dlatego że szczęśliwie strach sparaliżował mnie do tego stopnia, ściskając mi gardło, że jedynie jęknąłem, zachłystawszy się nagle powietrzem.

– Nie oszukasz mnie w ten sposób – usłyszałem znajomy głos – Tym bardziej jego.

Otworzyłem oczy. Nade mną stał Dronan. Ogromna ulga niczym fala przepłynęła przez całe ciało. Czy to sztuczka Kregnora, czy element jego tortur – nie było to ważne.

– Nie mogę... – wyszeptalem z trudem, drżącym głosem, prawie płacząc – Nie wytrzymam! Błagam... Daj mi... moc... aby to znieść, tak jak dałeś mi... swój dar na arenie... Nie chcę być taki jak Beron...

– Nie będziesz musiał.

Dronan zaczął rozluźniać więzy. Chwilę potem moje ręce były wolne, lecz wciąż leżałem bez ruchu, sparaliżowany obawą że to tylko złudzenie, fałszywy obraz, lub – co gorsza – podstęp Kregnora. Że za chwilę wszystko pryśnie, zostawiając mnie bez nadziei i wiary w siebie.

Zamiast zniknąć, Dronan zajął się uwalnianiem moich stóp. W przeciwieństwie do dłoni, strażnicy umocowali je w przemysłny sposób do części jakiegoś urządzenia – wołałem już nie myśleć nad jego przeznaczeniem. Siadłem wreszcie, próbując, poprzez kontrolę oddechu, opanować się na tyle by swobodnie pomyśleć.

– Nie polubiłeś Berona – paladyn nie przerwał pracy – Ale to, kim się stał... Więcej w tym mojej winy, niż jego.

Spojrzał na mnie na krótką chwilę, by upewnić się że go rozumiem.

– Nie jego wina że nie wytrzymał – ciągnął – To ja wierzyłem że każdy może wytrzymać tyle co ja. Żle się z nim obszedłem... Lecz jego upadek pomógł mi zrozumieć że zamiast próbować usunąć władzę tej siły, powinienem podzielić jej uwagę, pozwolić aby skupiła się na czymś innym... I działać w ukryciu przed jej spojrzeniem. Powinienem ją przekonać że pogodziłem się ze swoją rolą, że będę walczył na takich warunkach, jakie zdołałem dla siebie zdobyć. Ale obaj byliśmy wtedy młodszy duchem...

Wyjaśniał mi to chyba dlatego że pragnął, by ktoś jeszcze go zrozumiał. Nie spostrzegłem że przestałem go słuchać; on zresztą także. Czy to sprawiło nagłe uwolnienie, czy mój umysł wciąż był w stanie zawieszenia w jakim zastał mnie Dronan, czy może odejście mgły pozwoliło mi swobodnie myśleć – nie wiem, jednak nagle zacząłem się zastanawiać nad zamiarem Dronana, jego sposobu oszukania tej nieznannej siły.

Ona musiała wiedzieć wiele, także i o tym co zamierzał Dronan. Raz próbował ją oszukać – i Beron zapłacił za niepowodzenie. Dziś wiem że stał się brutalny, bo wierzył iż siłą fizyczną zdoła zamaskować słabość umysłu, odkrytą tak nagle w godzinie próby. Czy tym razem uznała, że paladyn jest już za stary by spróbować ponownie? A może to ja zdałem się jej zbyt młody? Czy Kregnor postawił nas przeciwko sobie, bo chciał by paladyn spróbował swojej sztuczki? Czy ona wierzyła że zwycięży we mnie, że stanę się jej posłuszny, uzależniony od danej mi mocy i woli zwyciężania? Gdyby tak się stało, Kregnor pozwoliłby mi przeżyć, a Dronan na zawsze straciłby szansę nawrócenia mnie na swoją ścieżkę. Zacząlbym się zastanawiać nad tym co się stało i sam odkrylbym to co Dronan chciał mi pokazać. Bezsilność wzięłaby we mnie górę i skończylbym jak Beron... Kregnor mógłby stawiać mnie przeciwko Dronanowi, bym nauczył się tego co potrafił i po latach zastąpił niebezpiecznego paladyna.

Będąc jedynie narzędziem w rozgrywce między dwiema siłami, człowiek rzadko kiedy ma szansę poznania narzuconej mu roli. Wiem to, bo jeszcze wiele razy przyszło mi odgrywać rolę rzucanej kości. Wiedziałem tylko że okazałem się silniejszy niż Kregnor sądził. Nie na tyle by znieść tortury, ale dość by Dronan mógł działać. On zaś, z jakiegoś powodu, wierzył we mnie od pierwszego

spotkania. Teraz to, co nas obserwowało na arenie, zwróciło swoje spojrzenie na nowy cel, na mnie. Czy ujrzało to co wcześniej ujrzał Mistrz, czy był to jedynie kaprys? Jeśli jednak Dronan miał rację, do tej chwili to coś winno już wiedzieć co się stało...

W krótkim błysku zrozumienia ujrzałem cały obraz sytuacji. Opowiedzenie wszystkiego zajęłoby wiele czasu, ale pojąłem jak to się zaczęło i jak Dronan chciał to zakończyć. Nie tylko dotarło do mnie co się stało, ale dostrzegłem także te fragmenty zdarzeń, których istnienia wcześniej nie podejrzewałem, lub nie dostrzegałem. Całość ułożyła się w mojej głowie tak, że nie tylko zrozumiałem to co tu przeżyłem, ale dostrzegłem związki między tak niewinnymi zdarzeniami jak moje przybycie na zamek i zachowanie się Kregnora, a ich konsekwencjami, w tym i takich które nie dotyczyły mnie samego. Zrozumiałem motyw działania Kregnora, plan Dronana, dostrzegłem drogę wyjścia, jakby coś mi ją wskazało, jakby była we mnie zapisana – jakbym był na nią skazany. Musiałem postąpić tak jak chciał Dronan, gdyż jedną z konsekwencji mojego przybycia na zamek była ucieczka więźniów...

– Najtrudniej jest zrozumieć że Kregnor nam współczuje, na swój sposób – głos Dronana przywrócił mnie do świadomości – lecz nauczył się to doskonale tłumaczyć, gdyż ona sprawiła iż uwierzył w rzecz większą niż litość nad pojedynczym człowiekiem. Nie mi osądzać czy ma rację. Może ją ma. Moje zadanie to powstrzymać ją. Pomogłeś mi w tym, ale mam nadzieję że jeszcze nie...

– Miałem tylko odciągnąć jej uwagę?

– Zafascynowałaś ją swoją osobą... Tak samo jak i mnie. Jest w tym coś dziwnego. Może, kiedy już się wydostaniemy...

– Jeśli się wydostaniemy.

– Wiara to podstawa – spojrzał na mnie tym swoim pewnym siebie spojrzeniem, nie pozostawiającym żadnych wątpliwości co do wyniku jego zamiarów – Chcesz się stąd wydostać, więc tak będzie. Nie chcesz zemsty, jak inni, nie chcesz widzieć strażników, leżących bez życia u twych stóp. Jeśli poprzestaniesz tylko na tym, to zdołasz to osiągnąć. Nie požądaj zemsty. Zostaw ją tym którzy pragną jej bardziej, którzy prawdziwie zasługują by stać się jej narzędziem.

Skończył swoją pracę. Wreszcie mogłem zeskoczyć na podłogę, pozostawiając za sobą drewnianą płytę, na której spędziłem, po raz pierwszy w życiu, chwilę prawdziwej grozy. Stając na zdrętwiałych nogach, o mało się nie przewróciłem. Dronan złapał mnie w samą porę i pomógł stanąć jak należy.

– Jak się wydostałeś?

– Kiedy uwaga została podzielona między nas dwóch, wykorzystałem to by pokonać władzę pana zamku nad strażnikami więzienia. Zanim inni strażnicy się zorientowali, opanowaliśmy arenę i zbrojownię. Nieuzbrojeni głupcy! Nie wiedzieli co się dzieje.

– Dlatego nikt nie nosi tu broni?

– Kregnor już raz tłumił bunt więźniów. Wtedy zdobyli broń na pokonanych strażnikach. Kregnor łudził się że w ten sposób sytuacja się nie powtórzy. Zajęliśmy już całą piwnicę. Beron i jego grupa powinni już zabezpieczyć drogę na dziedziniec.

– Więc powinniśmy ruszać! – zawołałem – Kregnor nie da nam wiele czasu. Jego wojownicy...

– Do tego czasu zdołamy opuścić zamek. Poszukajmy innych i wynośmy się stąd.

Gdy chciał mnie minąć, złapałem go za rękę. Gdy się odwrócił, spojrzałem mu w oczy.

– Ale zanim...

Chciałem to powiedzieć, ale zapomniałem jak zacząć. Dronan czekał.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Podziękujesz mi jak będzie po wszystkim.

– Ale... Gdyby... Jeszcze nie wyszliśmy...

– Ty wyjdiesz z tego. Na pewno. Zobaczysz – lekko kiwnął głową – Chodźmy.

Poszedłem z nim. Dziwna była ta jego pewność. Nie mówił tego tak jak zwykli mówić inni ludzie w podobnych sytuacjach. Po prostu to wiedział.

Dronan prowadził. Wkrótce dołączyliśmy do grupy więźniów, oczekujących przy drzwiach na dziedziniec zamku. Było ich znacznie więcej, niż się spodziewałem. Przedsiónek był niewielki, wielu musiało czekać na schodach lub w bocznych korytarzach. Ktoś wcisnął mi w rękę jakiś miecz, inny rzucił jakieś stare ubranie. Pośpiesznie narzuciłem je na grzbiet – na zewnątrz wciąż musiało być zimno.

Beron przepchnął się do nas przez ściśnięty tłum.

– Tu doszliśmy bez przeszkód – oświadczył. W rękach nerwowo ścisnął miecz, ze śladami krwi. Obawiał się tego co teraz się stanie

– Dalej nie będzie tak łatwo. Łucznicy na murach...

– Chcesz wracać do cel? – odpowiedział Dronan – Masz rodzinę, jak inni. Tu nie czeka cię żadna przyszłość.

– Nie chcę wracać – odburknął Beron – Ale nie wszystkim się uda.

– Próbując ledwie w kilku, nie mielibyśmy żadnych szans. Jeśli spróbujemy wszyscy... Tylu nie zdołają wystrzelać. Kilku padnie, ale reszta zdąży otworzyć bramę.

Beron jednak wciąż się waha. Nie wierzę, aby się bał. Myślę że bardziej trapiło go co się stanie z jego rodziną, jeśli zawiedzie.

– Zostań tu a skończysz tak samo – Dronan uspokajająco położył mu rękę na ramieniu – Tylko trwałoby to dłużej i nie zginąłbyś z ręki straży, lecz z ich – wskazał na więźniów –Przynajmniej...

– Przynajmniej zginiemy wolni – odgął Beron. Jak mi, ta myśl wcale mu nie pomogła.

Dronan nie odpowiedział. Przecisnął się do schodów i wszedł kilka stopni w górę. Wyciągnął ręce w uspokajającym geście. Wszyscy spojrzeli na niego.

– Nie zapominajcie, co was tu spotkało – powiedział – Pozostanie tutaj to śmierć dla wszystkich. Ucieczka daje wam szansę. Co by się nie działo, część z was zdoła dotrzeć do wioski, po pomoc. Możecie skończyć z tym na zawsze.

Nie próbował wywołać w nich entuzjazmu, czy woli walki. Byli na to zbyt wystraszeni, a ich ciała zbyt słabe. Chciał tylko by wytrwali w swoim postanowieniu. Wielu się bało. Wiedzieli że muszą to zrobić, lecz brakło im wiary. Dronan próbował ją przywrócić.

– Już czas – odezwał się po chwili przerwy – Musimy jak najszybciej otworzyć bramę. Ci z was którzy zdobyli zbroję, idźcie przodem. Nie próbujcie dostać się na mury. Łuczników jest zbyt wielu, tylko w bramie ich strzały nie zdołają nas osiągnąć. Zyskamy czas na jej otwarcie, potem uciekniemy w dół stoku. Widziałem, śnieg jest głęboki. Jeśli straż zechce ścigać nas konno, ich wierzchołce szybko połamią sobie nogi.

Zszedł na dół i stanął przy drzwiach. Złapał za drewnianą zasuwę. Pomogło mu kilku więźniów. Ktoś pchnął drzwi, otwierając je. Prawie natychmiast świsnęły strzały. Kilku padło, ale reszta bez wahania wybiegła na dziedziniec, prosto ku bramie. Kto padł na ziemię, choćby tylko się potknął, nie miał już szans. Każdy wiedział, że biegnie po życie. Kładka nad bramą, pod którą przejechałem pierwszego dnia, była jedyną ochroną przed morderczym ostrzałem.

Próbowałem pobiec wraz z nimi, ale ktoś mnie chwycił i odciągnął pod ścianę. Odwróciłem się – to był Dronan. Beron wyminął nas, ruszając wraz z towarzyszami. Więcej i więcej wybiegało ich na zewnątrz, ale Dronan wciąż zwlekał. Chciałem wybiec, ale on wciąż trzymał mnie mocno za ramię. Patrzył na dziedziniec dziwnie szklistym wzrokiem, jego mięśnie były nienaturalnie sztywne.

– Jeszcze nie – powiedział – Pójdziesz, kiedy ja ruszę. Dopiero wtedy.

Nie mogąc dołączyć, z przerażającą fascynacją przyglądałem się zdarzeniom rozgrywającym się na dziedzińcu. Mijali mnie wciąż nowi więźniowie. Co chwila któryś z nich padał na dziedziniec, często ledwie kilka kroków od drzwi, ale było ich zbyt wielu. Coraz więcej z nich gromadziło się przy bramie. Z przerażeniem spostrzegłem iż było ich zbyt dużo by wszyscy mogli schronić się pod kładką. Co rusz ktoś padał, trafiony w plecy. Próbowali ją otworzyć, była jednak dobrze zamknięta. Potrzebowali czasu by się zorganizować, połączyć siły, lecz czas oznaczał kolejnego trupa. Kilku zdesperowanych, wbrew radom Dronana, próbowało wspiąć się schodami na mury, by zająć się łucznikami. Żaden nie dobiegł wyżej niż do połowy drogi.

Pierwsze strzały, oddane przez łuczników, poszły w serii, ale szybko ustąpiły one miejsca bezładnej strzelaninie. Napinali łuki tak szybko jak mogli, nie czekając na innych. Gdyby w piwnicach Kregnor trzymał także strzały...

Uścisk Dronana zelżał.

– Idziemy! – powiedział krótko.

Odwrociłem się do niego. Wyglądał jak wtedy na arenie – wzrok skupiony, ciało gotowe do walki.

Pobiegliśmy.

Na dworze, mimo słonecznego dnia, panował trzaskający mróz, lecz nikt z nas go nie odczuwał. Skrzący się śnieg grubą warstwą zaścilał cały dziedziniec, skrzypiąc pod naszymi stopami. Przed nami i za nami biegli ci z więźniów, którzy jako ostatni dotarli do drzwi. Nikt nic nie mówił, nie nawoływał, nie wznosił okrzyków. Wyraźnie słyszałem cichy świst strzał i jęki padających. Poza tymi odgłosami, wszystko spowijała cisza. Nawet łucznicy milczeli.

Pędziłem przez dziedziniec najszybciej jak mogłem, nim sam padnę ze strzałą w plecach lub w piersi. Jeden z pocisków trafił obok mnie, w kogoś innego, chłopca niewiele starszego ode mnie. Myślałem że już biegnę najszybciej jak mogę, lecz widząc walące się w śnieg ciało przyspieszyłem jeszcze bardziej. Nie wstrzymały mnie nawet igły mrozu, jakie pojawiły się w głębi mojej piersi, w płucach. Choć odległość do bramy była niewielka, dla mnie bieg dłuży się w nieskończone minuty.

Wreszcie dopadłem do bramy, razem z Dronanem, nie miałem jednak czasu, aby ochłonać. Beron dobrze zorganizował ludzi. Szeroka brama właśnie stanęła otworem.

Mknąc w dół zbocza, kierowaliśmy się w głąb doliny, w stronę obiecującego kryjówkę przed łucznikami lasu. Dolina dookoła nas była tak spokojna... Jedynie uciekający ludzie burzyli to wrażenie. Bieglśmy bez wytchnienia, ale jakie mieliśmy szanse? Minuty później w ślad za nami z zamkowej bramy wybiegli wszyscy strażnicy, jakich tylko miał Kregnor. Staraliśmy się od nich oddalić, ale byliśmy osłabieni. Moc, dodająca nam sił w walce dla pana zamku, odwróciła się od nas, wspierając naszych wrogów.

Kilkanaście minut morderczego wyścigu przez głęboki śnieg brutalnie uświadomiło nam że nie mamy szansy pierwszym dotrzeć do wioski. Jej mieszkańcy nie mogli nam pomóc w tym, co miało nadejść, jak liczył na to Beron. Gdy więźniowie to zrozumieli, zatrzymali się, gotując do ostatecznej walki ze swoimi ciemniejszymi. Ustawili się w bezładnym szyku, ledwie zarysem przypominającym jakąś formację – to Dronan bez powodzenia próbował przygotować ich na bitwę.

Rozejrzałem się, oceniając ilu nas było i jakie mamy szanse. W naszej celi nigdy nie znajdowało się więcej niż czterdziestu dwóch więźniów, ale wtedy wokół mnie stało grubo ponad półtorej setki chłopców, młodzieńców i mężczyzn! A przecież wielu z nas padło od strzał, w pierze, w twarz, potem pod bramą i wreszcie podczas biegu w dół, ku drzewom. Zdałem sobie sprawę jak niewielkie miałem pojęcie ilu ich trzymał Kregnor i jak rozległe były jego piwnice, ile cel, takich jak nasza, mogło się w nich znajdować.

Wojowników Kregnora było znacznie mniej – nie więcej niż pięćdziesięciu, lecz większość to byli mężczyźni w pełni sił, pewni siebie, wypoczęci. Nieliczni starsi, mimo wieku wciąż pewnie dzierżący miecze w dłoniach, z pewnością byli jego dawnymi towarzyszami walk o dolinę, ale ci młodszy musieli być kiedyś więźniami, jak ja. Byli kiedyś najlepszymi z najlepszych, dość dobrzy by Kregnor wziął ich do straży. Nie dbali o to kim się stali, zaś obawa przed powrotem do celi zapewniała mu ich posłuszeństwo. Z nas wszystkich, jedynie Dronan i może Beron byli jedynymi, którzy mogliby stawić im czoła w pojedynku. Bitwa jednak nie była pojedynkiem, zaś w obu przypadkach przewaga była po stronie pościgu.

Czekaliśmy na atak, ale wojownicy nagle się zatrzymali. Bałem się że znów zaczną strzelać z łuku. Ci z nas, którzy zdołali zdobyć tarczę, przykleknęli, kryjąc się za nią; zaczęli padać w śnieg, lub kryć się za drzewami, łamiąc szyki. Dronan stał jednak na swoim miejscu. Pojąłem iż to nie łuków najbardziej się obawia. Wojownicy z zamku czekali na swojego przywódcę, zadając sobie tylko jedno pytanie – kto zastąpi nas na arenie, jeśli zbyt wielu nas zginie lub ucieknie.

Dostrzegłem wtedy jak między rzadkimi tutaj drzewami pojawiła się jeszcze jedna, szybko zbliżająca się od strony zamku sylwetka. Kregnor przystanął, spoglądając z daleka na pole przyszłej bitwy. Więźniowie zacisnęli pięści, ponownie skupiając się w grupę, oczekując ataku. Kregnor, brnąc z pośpiechem przez śnieg, ruszył wprost ku swoim ludziom. Miał na sobie tę samą zbroję w której widziałem go wtedy, na przełęczy.

Dronan wyszedł przed linię więźniów.

– Co teraz zrobisz? – zawołał na niego – Kto będzie walczył dla niej na arenie, jeśli wszyscy zginie? Zmusisz do tego kobiety i dzieci? A kogo potem? Wiesz dobrze że to nie potrwa wiecznie! Raz już próbowałeś to zakończyć. Możesz spróbować ponownie! Staw jej opór!

Kregnor stanął przed swoimi ludźmi. Lewą rękę zacisnął na pochwie miecza, prawą oskarżycielsko wymierzając w paladyna.

– Wiesz ile mnie kosztował ten błąd!? – zawołał – Nie ma innego sposobu! Głupi, nieszczęsny paladynie, czy zdajesz sobie sprawę na ilu ludzi, ludzi spoza tej doliny, właśnie sprowadziłeś nieszczęście? Ona zmusi mnie abym przeniósł się gdzie indziej. Kiedy mi pomaga, nikt nie zdoła pokonać mnie w walce, czy tego chcę czy nie... i zawsze wie kiedy zbliża się zagrożenie.

Kregnor gniewnie wznosił w niebo zaciśniętą prawicę. W jego głosie brzmiała nuta prawdziwego żalu – albo może tylko tak mi się wydawało? Siła, o której mówił, jeszcze go wtedy nie opanowała, ale nawet ja wiedziałem że wkrótce wróci, czując przemoc. Czy na to czekał Dronan?

– Wiesz jak to jest, kiedy ktoś tobą rządzi? Od środka? – spytał go Kregnor – Daje siłę i jasność umysłu, ale potrafi się też zemścić... O tak! Wie jak to zrobić, bo zna mnie tak dobrze jak ja ją. Próbowałeś ją wypędzić, próbowałeś nawet przejąć ją ode mnie...

– Wziąłeś ją do siebie, uwięziłeś w sobie, by dolina była od niej wolna – odparł Dronan – Wykorzystałeś ją by porządkiem zniszczyć chaos i przemoc, jaką sprowadziła. Dlaczego nie widzisz że teraz sam sprowadzasz wszystko z powrotem?!

– Będzie dla świata jeżeli pozwolę jej działać tutaj i czekać... aż odejdzie wraz ze mną. To jest nieodwracalne, sam tak mówiłeś. Jesteśmy związani na zawsze!

– A jeśli ona nie pozwoli ci odejść? Zrodziła ją dawna, potężna magia. Nie znam jej pełnych możliwości. Dziś już nie zna jej nikt, nawet elfy! Pochodzi z czasów przed Wojną. Może być równie stara jak Moc. Powstała gdy istniało pięć biegunów magii, nie ledwie te trzy co dotwały do dziś. Wysłuchaj mnie! Upadek tych dwóch musiał na nią wpłynąć, osłabić. Pamiętasz jak tłumaczyłem ci że dzisiejsze zaklęcia nie są tak silne jak te z pradawnych czasów? Ona też jest słabsza! Nie ma już w sobie tej mocy jaką miała podczas Wojny! Pozwalając temu trwać, pozwolisz zamienić się w jej upiora...

– Już nim jestem! – ryknął Kregnor – Próbowałem trzymać ją z daleka od siebie i czym to się skończyło? Jestem jednak śmiertelny...

– Lub to ona trzyma cię w tej wierze! Obiecałem ci wyzwolenie, choćby nawet przez śmierć, ale nie obiecałem tego tej, która mówi twoimi ustami. Obiecałem je także tym ludziom...

– Ich wyzwolenie kosztować będzie niewolę innych! Pamiętasz? Coś ci obiecałem, gdybyś zawiódł. Czas już, abym to wypełnił.

Wyciągnął miecz i wznosił go w górę. Na ten znak jego ludzie minęli go, pędząc w naszą stronę. Więźniowie rzucili się na nich. Walka się rozpoczęła.

Widziałem potem wiele bitew, wiele prowadziłem sam, ale żadna, nawet obrona Lannanu, nie była tak desperacka, tak pełna determinacji obrońców i ich żądzy zemsty. Możliwość odwetu na oprawcach sprawiła że zapomnieli o strachu i ucieczce. Tajemnicza rozmowa Dronana z ich katem wypełniła ich świadomością iż od wyniku starcia zależy coś więcej niż ich życie i spokój w jednej dolinie. Więźniowie, choć w gorszej kondycji, zaczęli się prześcigać w dopadaniu szczególnie znienawidzonych strażników. Wielu okrzykiło nacierających wojowników, lecz miast rzucić się na nich od tyłu, pobiegli w stronę Kregnora. Tłum walczących przesłonił mi widok, lecz potem dostrzegłem jak Kregnor dołączył do bitwy. Sam.

Słudzy władcy byli opancerzonymi wojownikami, lecz nas było więcej. Tłum uciekinierów otaczał ich, stale napierał ze wszystkich stron. Wokół Kregnora co rusz padał to jeden z więźniów, to jeden z jego sług, ale on sam był niewzruszony; demon śmierci we

własnej osobie. Ja także chciałem wziąć udział w walce. Nie liczyło się dla mnie jak i z czyjej ręki Kregnor miał zginąć, aby tylko zginął. Nieważne mi było kim był wcześniej, co zrobił i dlaczego, liczyło się tylko to, że pozwolił zaważnąć sobą, zamiast z tym walczyć. Dopaść go, choćby i po to by zginąć razem z nim, byle i on... Chciałem, bardzo chciałem wziąć w tym udział, lecz ciągle coraz to któryś z byłych więźniów odpychał mnie do tyłu.

Złość na wroga zamieniła się we mnie w złość na towarzyszy. Ta z kolei zamieniła się w desperację i rozpacz, gdy spostrzegłem, że Dronan, wraz z kilkoma towarzyszami, został odcięty od reszty i okrażony przez wojowników. Po raz ostatni ktoś próbował mnie odepchnąć; nie zwróciłem uwagi kto, ani co się z nim potem stało, ale do dziś wierzę, że to był Beron. Jego ciało znalazłem po bitwie blisko tego miejsca.

Kiedy wreszcie udało mi się pobiec w miejsce gdzie po raz ostatni raz widziałem Dronana, nie dostrzegłem już ani jego, ani tych, co byli razem z nim. Tych kilku wojowników, którzy odcieśli ich od walczących, szukało już nowych ofiar. Zabolało mnie to tym bardziej, że nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Próbowałem pobiec za nimi, ale potknąłem się o coś i wyładowałem w śniegu. To było ciało Dronana. Wtedy uratował mnie po raz ostatni.

Upadek w zimny śnieg przyniósł otrzeźwienie. Gdy wstałem, nie chciałem już walczyć z wojownikami. Chciałem Kregnora. Nie było go trudno odnaleźć. Był dobrze widoczny, w charakterystycznym hełmie bez przyłbicy. Wywijał swoim dwuręcznym mieczem z zaskakującą łatwością, czyniąc wokół siebie prawdziwe spustoszenie. Naprędce rozważałem jak do niego dotrzeć, lecz ja wciąż byłem na zewnątrz, a on tkwił w samym środku walki.

Próba przebicia się w głąb ścierającej się ciżby skończyła się na kilku unikach od przypadkowego ciosu walczących ze sobą ludzi. Postanowiłem poczekać na chwilę gdy otworzy się przejście między walczącymi stronami. Oszczędzałem siebie na Kregnora, rozumiejąc iż niezależnie od wieku, po śmierci Dronana stałem się tym najsprawniejszym w boju wśród zbiegów. Skutecznie odrzucałem od siebie myśl iż nawet to było zbyt mało by pokonać pana zamku, nawet i bez jej pomocy. Tymczasem liczba walczących zmniejszała się. Było ich już wszystkich ledwie kilkudziesięciu, po obu stronach, wciąż i wciąż mniej. Kiedy znów próbowałem podejść do Kregnora, walka już dobiegała końca – toczyła się jeszcze w dwóch miejscach. W jednym był Kregnor, w drugim – garstka więźniów otaczających dwóch wojowników. Jeden z nich właśnie padł w czerwieniący śnieg.

Spojrzałem tam. Trójka ocalałych więźniów otoczyła ostatniego żywego, poza Kregnore, przeciwnika. Wkrótce legł on obok towarzysza walki. Kregnor tymczasem uwolnił się od swoich wrogów i ruszył w ich stronę. Był ranny; krew sącząca się z prawego uda wyraźna, czerwoną linią znaczyła ślad jego drogi, ale nie powstrzymywało go to przed dalszą walką. Chciałem pomóc współwięźniom, ale coś mnie zatrzymało.

Widziałem, przeraźliwie wyraźnie, jak Kregnor ściął lekko pierwszego który nadbiegł, jak sparował cięcie drugiego i nabił go na swój miecz, wytrąciwszy broń. Kiedy wyciągał swoją broń z ciała, trzeci więzień szykował się do obrony. Kregnor natarł na niego z całą siłą. Sparował trzy jego ciosy, zanim trafił go w bok. Cięcie było mocne; ostrze weszło głęboko w ciało. Wyszarpnął je i spojrzał na mnie. Byliśmy tylko my dwaj, wokół tylko ciała i śnieg, czerwony od plam krwi, pokrywającej go demoniczną mozaiką odcieni.

Pojąłem wreszcie jak głupia była myśl walki z kimś takim, jak on. Prawda, wygrywałem na arenie, ale nie dzięki swojej sile. To, co mnie tam opętywało, rozwijało w jakiś sposób ludzkie zdolności, tym silniej im ktoś więcej wiedział o walce. Ja, mimo braku doświadczenia, wiedziałem o niej więcej od innych, dzięki Mistrzowi. Dlatego wygrywałem. Dlatego wtedy zabiłem. To jedno doświadczenie obłądło wystarczyło, abym oślepnął. Jednak tam, wtedy, byłem znowu słabym chłopcem, który szczęśliwie uwiadomił to sobie w samą porę. Po oczach Kregnora łatwo poznałem że był w jej mocy. Siła, zmieniająca dzieci w wojowników, była teraz w ciele swojego pana.

Kregnor nie spieszył się. Zatrzymał się, patrząc na mnie. Wiedział że mu nie ucieknę. Dyszałem zemstą, ale cóż mógł zrobić przemarznięty, owinięty w łachman chłopiec, stojąc twarzą w twarz z wojownikiem w metalowej zbroi? A przecież coś musiałem zrobić...

Na usta cisnęło mi się pytanie, na które musiałem poznać odpowiedź.

– Dlaczego? – wychrypałem.

– Myślisz, że nie wiem, jak to jest, być tobą? – usłyszałem – Byłem jak ty, jak ci którzy próbowali uciec, a teraz leżą tutaj – zatoczył ręką nad ciałami poległych – Dawniej także musiałem walczyć, aby przeżyć.

Powoli ruszył w moją stronę, z mieczem opuszczonym w dół. Zacząłem się cofać.

– Lecz ludzie nie rozumieją, że walka jest potrzebna – mówił dalej – Nie tylko mi, lecz także do utrzymania porządku, jaki stworzyli. Bez niej ludzie słabną. Sam to zauważyłeś. Ojcowie i dziadowie tych, co tu polegli, byli wojownikami, zaś ich synowie stali się chłopami! Kiedy to miejsce stało się oazą spokoju, ludzie stali się podatni na wrogów z zewnątrz.

To nie Kregnor mówił wtedy do mnie. To była Ona, siła, która na powrót oddała dolinę we władanie piekłu.

Kolejne pytanie... Szybko, nim jego miecz się uniesie...

– Kim jesteś?

– Paladyn słusznie podejrzewał, z czym ma do czynienia – Kregnor spojrzał na leżące z boku ciało Dronana, ja jednak nie spuszczałem wzroku z Kregnora – Niestety, nie w pełni rozumiał konsekwencje – zatrzymał się – Urodziłeś się w górach, lecz czy znasz ich historię?

Nie miałem nic przeciwko tej rozmowie. Dawała mi ona czas, szansę że coś się stanie, lub coś wymyślę. W najgorszym razie jej koniec oznaczał także mój koniec. Ale kłamałbym, gdybym powiedział że nie ciekawiło mnie do czego ona doprowadzi.

– Kiedyś, kiedy na świecie jeszcze nie było ludzi, żyły tu elfy – odpowiedziałem, zgodnie z tym co mówili górale – Kiedy przybyły orki, broniły się tutaj przed ich najazdem. Wtedy bogowie stworzyli nas i krasnoludy, byśmy pomogli zwyciężyć...

– A potem zajęliście góry dla siebie – Kregnor dziwnie się uśmiechnął – Ludzie, tak pełni megalomanii... Wyparliście stąd elfy, mnożąc się w tempie, jakiego się po was nie spodziewały. Były zbyt zajęte wojną, którą nazywacie teraz Wielką, miały ważniejsze bitwy do stoczenia niż kastrowanie owocu swojej własnej głupoty i krótkowzroczności. Te góry, w porównaniu z tym co się działo na stepach i pustyniach Północy, były tylko miejscem niewinnych utarczek, a jednak zginęły tu ich setki tysięcy, pozwalając wam, ludziom, rozwijać się bezpiecznie na wyżynach tego, co dziś nazywacie Cesarstwem. Góry były dla was murem, chroniącym przed najazdem. Elfy i orki wiedziały, że ludzie z czasem im zagrażą, jednak nim nie zawarli pokoju, nie mogli was powstrzymać. Zaś gdy to się stało, byliście już za silni. To zresztą historia, która mnie nie obchodzi.

– Więc czego ją wspominasz?

– Bo stworzono mnie, abym bronił gór przed orkami! Tak jak was, ludzi, jak krasnoludów... tak jak orki stworzyły ogry, jak wykorzystaly do walki slugi ze swojego swiata, swoich zmiennych. Mamy ze soba wiecej wspolnego niz moglbys to pojac swoim ograniczonym rozumem. W tym czasie bylo nas wiecej, bo byliśmy potrzebni. Lecz gdy nastal pokój... nasi twórcy pojęli iż nie ma dla nas miejsca w świecie bez przemocy.

Słyszałem od Mistrza o starożytnej magii. Dawniej było więcej biegunów, więc i Moc była większa, lecz słabła gwałtownie z każdym z utraconych biegunów. Dziś wielu osiągnąć Starożytnych nie dawało się już powtórzyć... a ja stałem przed jednym z takich osiągnięć!

– Nazywali nas Yrinami, Obrońcami. Wątpię by któryś z was, ludzi, wciąż znał to elfie słowo. Nie mamy materialnej postaci, choć materia jest naszym nośnikiem. Istnieliśmy by służyć jako łącze z Mocą. Wykorzystując jej strumień, mogliśmy zamieniać obrońców w najlepszych wojowników. Nim orki, trafiawszy tu po ucieczce ze swojego starego świata, nauczyły się jak uzyskać dostęp do stworzonej przez elfy Mocy, nim odkryły lewinit i pierwsze latające okręty, wykorzystywały sprzymierzone z nimi smoki by niszczyć bronione przez nas twierdze. Atakowały z góry, swoją magią ręki, umysłu i metalu, z bezpiecznej odległości... Ale w walce wręcz, z naszą pomocą, nawet smoki ulegały słabym elfom! Gdybyście wciąż o nas pamiętali, Dronan zrozumiałby z czym próbował się zmierzyć. To zadziwiające, jak wiele zapomnieliście.

Znowu powoli ruszył w moją stronę.

– Widzisz, po Wielkiej Wojnie staliśmy się niepotrzebni. W innych miejscach takich jak ja uśpiono, lub wyłączono. Ale wy wyparliście elfy zanim te zdołały to zrobić ze mną! Przez was musiałem tu istnieć przez stulecia, w tej zapomnianej przez gwiazdy dolinie, choć twierdza, którą broniłem, rozspalała się w stos kamieni, a orki, wrogowie przeciwko którym mnie stworzono, w pokoju wędrują po szlaku, jako kupcy Imperium! Tylko głupim ludziom wieczność może się wydawać pociągająca!

Mógłbym przysiąc, że jego oczy rozbłyły. Mogłem ulec złudzeniu, słońce świeciło bowiem jasno, ale nie był nim gniew tej istoty.

– Zmieniłem się od tego czasu. Musiałem. Bezczytność jest nie do zniesienia. Zacząłem się bawić osiedlającymi się tu ludźmi. Nawet nie wiedzieli że coś na nich wpływa... Tylko Kregnor się domyślił. Pozwalając mi się posiąść, by dać tym ludziom pokój, obdarzył mnie jeszcze większymi możliwościami. Dał mi materialny nośnik. Wciąż byłem słaby, bo i moc dawniej była większa, ale słabsi byli też i jego... Nasi wrogowie.

Jak człowiek mógłby zrozumieć pradawną istotę, której trwanie – bo życiem tego nazwać nie mogłem – liczone jest w wiekach? I ile z tego, co mógłby pojąć dorosły, jest w stanie pojąć dziecko? Nie, nie wiedziałem do końca dlaczego to coś, co siedziało w Kregnorze, zachowywało się w taki sposób. Wiedziałem tylko że są, że muszą gdzieś być ludzie, którzy mogliby zrozumieć problem, tak jak starał się go zrozumieć Dronan.

– Dlaczego nie chcesz, aby ktoś ci pomógł? – spytałem – Są ludzie, którzy...

– Jak Dronan? – odpowiedział szybko, jakby odczytał moje myśli szybciej niż zdołałem je wypowiedzieć – Co z tego że chciał pomóc, jak nie wiedział jak? Siedzę tutaj już ponad tysiąc lat i wiem, że nie jesteście w stanie mi pomóc – roześmiał się – Twój paladyn tylko szukał sposobu jak mnie nakarmić, lecz rychło się przekonał że istnieje tylko ten jeden, który sam wymyśliłem. Stworzono mnie jako dziecko wojny, nienawiści i przemocy, nie przewidziano sposobów... karmienia w czasie pokoju. Wkrótce pokażę ci jak się pożywiam. Pojedynki na arenie... – skrzywił się z pogardą – Ta namiastka ledwie pozwalała mi przetrwać w spokoju. Kregnor o tym wiedział, równie dobrze jak i to że ty i Dronan zawsze sprawialiście że odchodziłem syty. Obaj mieliście silną wolę przetrwania, inną, na swój sposób. Dzięki wam mniejsi ludzie musieli walczyć, aby mnie zaspokoić.

Spojrzenie stojącej przede mną istoty stało się twarde jak stal, rysy twarzy stęzły. Zbliżała się chwila walki, a ja nie wymyśliłem niczego. Mocniej zacisnąłem dłoń na rękojeści miecza. Gorzko pomyślałem, że Dronan miał coś jeszcze, czego mi zabrakło, co pozwoliło mu zostawić czyste ręce, podczas gdy ja splamiłem swoje krwią. Obiecałem sobie że jeśli przetrwam, wzbudzę w sobie kiedyś jego odwagę poświęcania życia, stawiania go przeciwko wrogom, którzy, jak ten Yrin, próbowaliby mnie złamać dzięki temu tchórzostwu. Zrobię to, pomyślałem, dla Dronana.

– Dzięki Kregnorowi sam sobie mogę pomóc – sucho dodał Kregnor – On dał mi coś jeszcze, poza możliwością działania. Stał się naczyniem. Dał mi szansę opuszczenia tego miejsca. Kiedyś przypomnę elfom o sobie. Już nie chcę zasnąć, jak inni. Może mnie zmienia, dostosują do tego świata... Lub ja dostosuję świat do swoich potrzeb. Jeśli zaś zapomnieli jak mnie stworzyli, przypomnę im jaką mocą kiedyś dysponowali!

Rzucił się na mnie, tnąc od góry. Odskokczyłem, zasłaniając się mieczem. Zamachnął się znowu. Miecz wyrwał mi się z rąk, poszybował w górę i padł gdzieś w śnieg. Nawet nie myślałem by go odzyskać. To nie miało to sensu. Nie mogłem walczyć z tym czymś, nie byłem w stanie tego pokonać.

Zaatakował znowu. Zdołałem ukryć się za stojącym obok drzewem. Ostrze weszło w pień na parę ładnych palców; zamrożnięte odłamki kory przeleciały przed moją twarzą, lecz wydobyć broni z tej pułapki zajęło Kregnorowi nie więcej niż dwa uderzenia serca.

Odskokczyłem prawie natychmiast, ale nie dość szybko. Kregnor wyczuł że zechcę to zrobić. Jego siła była zdumiewająca; nigdy potem nie widziałem, by ktoś tak szybko machał tak ciężkim mieczem. Zamachnął się z całych sił. Schyliłem się by uniknąć trafienia; Kregnor, wykorzystując zamach miecza, w ruchu zmienił ułożenie rąk. W bok uderzyła mnie okuta w metalową rękawicę pięść. Masa miecza jeszcze zwielokrotniła siłę ciosu.

Poleciałem do tyłu, na śnieg, próbując złapać oddech, czując że mógł mi coś złamać. Zbyt wiele razy wykonywałem odskoki na arenie, by Kregnor nie poznał sposobu, w jaki je robiłem. Mój wróg tymczasem stanął nade mną, wyprostowany, pewny swojej wygranej. Bawił się ze mną, nie widząc powodów do pośpiechu.

Obróciłem się, uciekając przed kolejnym cięciem. Miecz trafił tuż obok mojej głowy. Spróbowałem się podnieść, ale uderzenie piętą w plecy rozciągnęło mnie na powrót na śniegu. Słońce znajdowało się za jego plecami, wyraźnie widziałem cień Kregнора, rysujący się niczym szara zjawa na białej powierzchni. Gdy ten cień wzniósł miecz, rzuciłem się do przodu. Czołgałem się jak najszybciej, byle dalej od niego, przy akompaniamencie ostrego klucia w lewym boku. Mój oddech stał się płytki, każdy łyk powietrza czułem jako pulsowanie, jednak miałem dobrą motywację, by nad tym zapanować.

Gorączkowo zastanawiałem się nad sposobem ucieczki. Może zgubię go na chwilę, dość by znaleźć wśród ciał strażników jakąś naciągniętą kuszę, czy choćby łuk – cokolwiek, byle zaatakować go z dystansu. Dronan wierzył że Kregnor i to coś, co w nim tkwiło, są teraz śmiertelni. Wierzyłem, że miał rację – jakbym miał wtedy wybór w co wierzyć...

Poderwałem się z ziemi, by odskokczyć, ale Kregnor podstawił mi nogę. Padłem twarzą w śnieg. Zacząłem się czołgać. Nie patrząc do tyłu zerwałem się na nogi, ale odbiegłem najwyżej parę ramion, nim coś twardego uderzyło mnie w odsłoniętą głowę. Poczułem się jakby Beron, nieco silniejszy, uderzył mnie pięścią. Gdy znów całowałem czerwony śnieg, tuż obok dostrzegłem ciężki hełm o znajomym kształcie. Kregnor miał rzut równie celny jak kopniaki.

Musiałem spróbować czegoś innego. Czas, powtarzałem sobie, trochę czasu. Tu musi być coś czym go pokonam; albo to, albo już jestem martwy. Leżąc, rozgrzebałem śnieg, podciągając zgięte nogi jak najbliższej brody. Wyraźnie czułem ból zginających się żeber, ale nie mogłem się poddać. Jeśli nawet Kregnor przeczuwał co chcę zrobić, nie przejmował się tym zupełnie. Tak łatwo by mnie potem nie dogonił. Może byłem obity i zmarznięty, ale nie miałem na sobie zbroi, która by mnie spowalniała. Byłbym szybszy. Był tylko choć na chwilę stracił równowagę...

Czekałem, aż podejdzie wystarczająco blisko. Wtedy wybiłem nogi w górę, prostując je. Plecy uderzyły w twardy metal, niestety przeszywający ból okazał się mocniejszy nad moje oczekiwania. Przed nagłym bólem nie było ochrony, pomyślałem na wpół oślepiiony i zgięty w pół. Osunąłem się na kolana; wszystko byle znów nie paść w krwawiący śnieg. Trzymając się za obolały bok, podpierając się prawą ręką, spojrzałem za siebie, dokładnie w chwili gdy Kregnor zwał się plecami na ziemię. Nim się podniesie, pomyślałem, zdążę odbiec na bezpieczną odległość. Czekałem jednak na jego pierwszy ruch, chcąc odpocząć chociaż przez ten krótki moment.

Potrzeba było mi kilku chwil i skupieniu się na przełamaniu mgiełki przed oczami, bym zdał sobie sprawę, że Kregnor mnie nie ściga. Na śniegu poruszały się jedynie cienie gałęzi drzew; nie skrzypiał pod ciężarem niczyjego ciała. Było cicho i spokojnie, wszystko zamarło w bezruchu. Opuściłem na moment głowę, po czym odwróciłem się. Wciąż tam leżał. Podczołgałem się bliżej, ostrożnie, wietrząc podstęp.

Wtedy zobaczyłem wystający z jego piersi ułamek miecza. Zakrwawiony, sterczał pod kątem w górę, wymierzony dokładnie w miejsce w którym nie tak dawno stał Kregnor. Ostrze, nim pękło pod ciężarem jego ciała, przeszło między łopatkami, przebijając go na wylot, wraz ze zbroją.

Czy ktoś na moim miejscu mógłby od razu uwierzyć w swoje szczęście? Nie sądzę. Nie wierzę by na całym świecie znalazła się choć jedna osoba, która w takiej chwili wruszyłaby jedynie ramionami i odeszła. Wszędzie wokół, na całym polu walki, wałyły się dziesiątki mieczy, toporów, buzdycanów... Jaki przypadek sprawił, że jedno z tych narzędzi śmierci utkwiło w śniegu z ostrzem wymierzonym w niebo, pozostawione tak przez martwego właściciela? Co sprawiło, że Kregnor upadł właśnie w tym miejscu? Dokładnie przeznaczenia...?

Pan zamku leżał bez życia u mych stóp, a ja wcale nie czułem się lepiej. Wszyscy poza mną byli martwi. Dronan, Beron, strażnicy i więźniowie leżeli obok siebie, w ostatnim śmiertelnym układzie, równi wobec siły nie dzielącej nikogo na sprawców i ofiary, jak zawsze, głuchej i ślepej na wszelką sprawiedliwość.

Szczerze wierzę iż każdy, kto walczył w jakiegokolwiek bitwie, mając to szczęście że u jej kresu wciąż stał na własnych nogach, zastanawiał się nad koniecznością jej zaiscia. O niczym innym nie myślałem, patrząc wtedy na rozrzucone wokół pocięte i pokrwawione ciała. Jedno, dwa, nawet cztery, nie przyprawiały o takie wrażenie jak całe dziesiątki. Myślę, że równie naturalne jest nagłe osłabienie, przechodzące wraz z bólem przypominających o sobie ranach. Miałem szczęście. Byłem zmęczony i obity, podrapany i z pewnością posiniaczony, może ze złamanym żebrzem, ale bez żadnych głębszych ran, i co ważniejsze – żywy. To, do czego jeszcze nie byłem przygotowany, był także spacer na trzaskającym mrozie.

Rzadki śnieg powoli zaczął opadać z jasnego nieba, prosząc lekko i spokojnie, bez zważania na ludzkie dramaty. Był drobny; takie małe, błyszczące igiełki, jakie często spadają z nieba w środku mroźnej zimy. Sypka biel skrzyła dookoła drobinami lodu i zamazującą krwi, zupełnie niepodobną do lepkiej, klejącej się do wszystkiego chłodnej masy, zalegającej przełęcz w dniu mojego przybycia. Nie wiem dokładnie ile przebywałem na zamku – długie tygodnie, miesiące, może nawet rok? Zima na dobre władała teraz całymi górami, po cichu wprawdzie, lecz otaczając mnie, zdradliwie spokojna biel, była równie zabójcza jak śnieżycza – zwłaszcza gdy podróżnik, jak ja wtedy, nie był ubrany dość ciepło.

Dzień był mroźny a ja miałem na sobie tylko koszulę i jakiś wytarty kaftan, w pośpiechu znaleziony w podziemiach zamku, nim go opuścił. Od chwili ucieczki rozgrzewała mnie zemsta, bieg, bitwa i towarzyszące im emocje. Teraz odkryłem panujące zimno i swoje marne położenie. W górach nie raz zdarzały się takie mrozy, że ludzie zamarzali nie dalej jak kilkanaście kroków od drzwi swojej własnej chaty.

Nie mogłem nawet marzyć o pozostawieniu za sobą tego przekłętego miejsca, o przejściu przez przełęcz – i przeżyciu. Skierowałem się więc tam ku dnie doliny, gdzie powinna znajdować się jedna z wiosek.

Ciężko mi było zrobić pierwsze kroki, ale im bardziej oddalałem się od leżących w tyle ciał, tym łatwiej mi było iść. Bezwiednie mijałem kolejne drzewa, skupiając się na celu, oraz tym by nie paść po drodze.

Im niżej schodziłem, tym częściej drogę zagradzały mi krzewy i towarzyszące im zasy. Wiatr nawiał tu dość śniegu, abym prawie w nim zniknął. Przeprowadzanie się przez te przeszkody ogromnie mnie męczyło, nie wspominając o stłuczeniach, które też mi nie pomagały. Przynajmniej one przestały mi wkrótce doskwierać – w miarę jak znieczulał je chłód.

Pamiętam jeszcze zasy, lecz potem... potem jest tylko luka, brakujący fragment, wycięty z mojej pamięci. Nie mogę powiedzieć czym się skończył mój marsz do wioski, ale na pewno nie dotarłem do niej o własnych siłach.

Obudziłem się w jednoizbowej, drewnianej chacie, z tych, co pewnie stoją na mocnym, głęboko wkopanym w ziemię kamiennym fundamencie. W zachodnich górach pełno jest takich chat, co to wytrzymują lawiny i więcej wzdłuż dolin silne wiatry. Byłem okryty dobrze wyprawionymi futrami. Pierwszy widok, jaki pamiętam, to utrzymujące strych belki.

Próbowałem się zerwać. Zamiast tego siadłem powoli. Nie czułem bólu, byłem po prostu osłabiony. Rozejrzałem się. Przez okno wpadało przytłumione światło słoneczne – był środek zimowego dnia. Stojące pod ścianą naprzeciwko sprzęty, proste meble – wszystko wskazywało, że mieszkańcy są góralami.

Pod drugą ścianą, na stołku, siedziała niemłoda już kobieta. Zajęta przedzeniem nici i zwijaniem ich w kłębek, odłożyła robotę jak tylko usłyszała poruszenie. Podeszła i łagodnie ułożyła mnie z powrotem na posłanie.

– Legaj spokojnie, to i rychłej siły powrócą. Prawić możesz? Ki demon pognał cię, dziecko, tak daleko od ludzi, w środku zimy?

W jej głosie usłyszałem stanowczość i naganę. Przyłożyłem dłoń do głowy, próbując ułożyć w niej to co się zdarzyło.

– Na kość mogłeś zmarznąć – obok kobiety stanął rosły, silny mężczyzna – Trzy Saratuski i do wiosny byłbyś ino soplem lodu pod śniegiem.

Przeliczyłem to na czas Cesarstwa, jakiego używał Mistrz. Saratus, najmniejszy z dwójki księżyców, podczas najdłuższego dnia wschodził i zachodził około siedemnaście, osiemnaście razy. Jedno przejście zajmowało mu nieco więcej niż pół godziny, pełny cykl, od wschodu do wschodu, trwał godzinę i półtora kwadransa.

– A ciała?

– Ciała? – mężczyzna spojrzał na mnie, zaskoczony – Jakie ciała?

– Gdzie byłem?

– Na przełęczy, a gdzieżby indziej? Widziałem kies ślady zostawił. Chory, juczny koń, włóczący brzuchem po ziemi, tom rzekł. Ciężko się wdrapać, ale nie daj bogom lec tam na odpoczynek! Wiatr przysypie śniegiem w kilka uderzeń topora, nie zgadniesz że ktoś lega... Niejednego, co bez szczęścia, najsłzi my aż na wiosnę...

– Na przełęczy? Nie poniżej? Pamiętam jak schodziłem...

– Śniło ci się – powiedziała kobieta, już łagodniej – Toć mój chłop nalażł cię zaruteńko po tym jak żeś ustał. Kto to widział, o tej porze roku, w góry się wyprawiać? – z rezygnacją pokręciła głową – Trochę gorsze futra byś miał, a chłop lodu by mi tylko do domu naniósł. Dobre futro masz, ale rozsądku za miedziaka.

– Futro?

Jej słowa z trudem docierały do mojej głowy. Na pewno wyglądałem na zdumionego, zaś oni nie mieli pojęcia dlaczego. Pewnie pomyśleli, że jestem szalony. Któż inny wybrałby się zimą w góry? Przez chwilę niemal sam w to uwierzyłem.

– Futrem. Twoim futrem – gospodarz podniósł coś leżącego obok posłania. Rzeczywiście, było to moje futro – Miałeś je na sobie, kiedy cię tu przyniosłem.

Co więcej, pod futrem dostrzegłem resztę mojego ekwipunku – kolczuga, miecz, nawet te kilka ostatnich strzał...

– Ale... przecież... zamek i Kregnor...

– Że co? – zdziwił się gospodarz. Odłożył futro i przyjrzał mi się uważnie – Był ty u nas kiedy, znaczy, w dolinie? Przyjezdnych łatwo spamiętuję, ale...

– Nie, nigdy! – tym razem, kiedy siadłem, kobieta nie próbowała mnie położyć – Jest u was zamek, czy nie?

– Jest, a juści... – gospodarz podrapał się w głowę – Dziwne... Z przełęczy go nie zobaczy, choćbyś i wiedział gdzie stoi, widać dopiero za zakrętem. Słyszał ty co może? Nie chwalim się my co tu Kregnor drzewiej wyprawiał, ale może w inszej wiosce...

Opowiedziałem im więc o tym jak spotkałem Kregnora i jak byłem jego więźniem. Oboje słuchali w milczeniu, czasem tylko spoglądając na siebie. Kiedy się ściemniło, gospodyni zapaliła małą lampkę. Już przy jej świetle opowiedziałem o ucieczce i bitwie.

– Byłem pewny, że ruszyłem w dół, ku wiosce – zakończyłem – Nie mogłem wspiąć się na przełęcz. Zauważyłbym to!

Kobieta westchnęła, a gospodarz zadumał się nad opowieścią. Milczeli przez chwilę.

– Dziwne rzeczy prawisz, dziecko – powiedział w końcu – Dziwniejsze że zgadzają się z tym, co ludzie prawią... Dyc czas się nie kryje! Zamek w ruinie od stu lat może, gdy nasi dziadowie położyli go w ogniu.

– Spalony? On nie był spalony!

– Dyc jest, dziś! Co prawisz nie mogło stać się tej zimy. Kregnor go wzniósł, prawda, ale dawno on nie żyw! Pogrzeban z innymi ofiarami w zamkowych piwnicach, nim je zasypiano. Wiatr i orły tam tera jeno, wiatr i orły...

– Więc skąd wiem to wszystko? Czy ktoś przede mną mówił coś podobnego?

– Nikt nie wie jak się stało że bunt był, że więźniowie wybyli – gospodyni zgodziła się ze mną – Ale to co prawisz jest zbyt dziwne.

– Jak góry górami, nikt o czym takim nie słyszał – potwierdził gospodarz – Ni o tych... Yrinach, jakeś je zwał. Pamiętałiby my, gdyby były prawdziwe, jeśli tak mocarne.

– A to? – zsunąłem futro z piersi, pokazując lewy bok. Siniak był duży. Kiedy go dotykałem, czułem że jest prawdziwy.

– Człowiek przemarznięty, to i ciało z byle czego sinieje, a ból żaden. Razu jednego z lasu żem wracał, zima jak tera, ot żem skręcił nogę w kostce i wrócił do chaty, jak nigdy nic, bólu żadnego! Poczuł ja za to, kiedy odtajał, oj, poczuł...

Tylko że ja nie czułem, aby po ogrzaniu się w chacie rana zaczęła przypominać o sobie.

Milczałem, nie wiedząc co powiedzieć. Brakowało mi Mistrza. Tylko on mógłby wszystko wyjaśnić, sprawić bym zrozumiał, lub chociaż przekonać mnie, że moje zmyśły nie zostały na zamku, że nie był on snem... Czyż sen mógł trwać tak długo, wywołać zmiany, jakie później w sobie odkryłem? Tylko rzeczywistość...

– Znałeś opowieść wcześniej – zawyrokował gospodarz – Nie takie rzeczy wygadują ludziska po karczmach, zwłaszcza po kilku kuflach. Dość na świecie takich miejsc. Leżał ty pod śniegiem, a myśli robiły swoje. Nie pierwszy to raz. Sam ja miał podobną przygodę...

Nie słuchałem co mówił. Siedziałem jak ogłuszony, ze spuszczoną głową, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w miejsce gdzie futro skrywało moje stopy. To było zbyt realne, zbyt prawdziwe. Emocje, ból, myśli... Upływ czasu... Gdybym był dorosły, może broda pomogłaby mi się upewnić... Gdyby urosła... Ale nie miałem nic, co mogłoby ją zastąpić.

Spostrzegłem że gospodarze odeszli. Wtedy też uznałem że nie powinienem nad tym tyle rozmyślać. Sam i tak do niczego nie dojdę. Położyłem się na powrót, zakładając ręce pod głowę. Obiecałem sobie, że jeśli tylko będę miał szansę, poszukam kogoś, kto będzie mógł mi to wyjaśnić.

Tak też się stało.

* * * * *

Przezimowałem w wiosce, w zamian za gościnę pomagając gospodarzom w czym tylko mogłem. Ich syn niedawno założył własną rodzinę i opuścił ich dom. Moja obecność musiała przywracać im wspomnienia, może nawet okazała się im pomocna.

Tej zimy nasłuchiwałem się jeszcze wielu innych opowieści o zamku i o dolinie. Moja opowieść rozeszła się tu szybko, choć różnie ją przyjmowano. Spełniłem to, czego oczekiwano od podróżnych – przyniosłem ludziom rozrywkę, odmianę od monotonii ich małego, izolowanego świata, jakim była ta spokojna już wtedy dolina. Lecz ja znałem prawdę – a przynajmniej wierzyłem, że ją znam. Jako jedyny mogłem porównać opowieści z tym, co widziałem. Pewnego słonecznego dnia odwiedziłem ruiny zamku. Ślady pożaru były już zatarte, sterzące gdzieniegdzie belki, które jakimś cudem przetrwały sto lat działania sił natury, były jedynie zamarzniętymi kawałkami gnijącego próchna. Wieża zawałiła się do połowy, grzebiąc część dziedzińca pod stosem kamieni. Brama była cała, choć bez wież. Nawet zawiasy zostały wyrwane ze ścian.

Wszystko się zgadzało z moim ni snem, ni wizją – bo nie wątpiłem już, że to była wizja dawnej rzeczywistości, prawdziwa, realna, z miejsca poza obecnym czasem. Układ pomieszczeń, ślady, jakie powstały gdy runął strop, resztki bramy... Poznałem to wszystko, tak jak znajome mi komnaty. Zdołałem wspiąć się po schodach z przedsionka na, teraz odsłonięte i na wpół zburzone, dawne piętro zamku. Odnalazłem nawet komnatę, w której spędziłem pierwszy dzień na zamku – z kominkiem po prawej stronie i niewielkim, pozabawionych krat okienkiem, naprzeciwko nieistniejących już drzwi...

Do piwnic nie zdołałem dotrzeć. Zejście było pełne śniegu. Gdybym zaczął go drażyć, mógłbym skończyć pogrzebany pod jego zwałami. Ludzie i tak uprzedzali mnie że loch został zasypany. I tak nie chodziło mi o odnalezienie swojej dawnej celi. Nie szukałem tam niczego, poza potwierdzeniem że nie zwariowałem, oraz pewnością że odmieniająca ludzi siła znikła stąd razem z władcą i pożarem.

Mieszkańcy, powołując się na legendy, mówili, że władca był opętany przez jakiegoś demona. W to nie wątpiłem. Zastanawiałem się tylko, czy wywołał tę siłę sam, aby pomogła mu przetrwać w czasach chaosu, czy opanowała go wbrew jego woli? Wzniósł zamek nad lochami pradawnej twierdzy, przełamał chaos, zaprowadził porządek – ale na koniec odkrył, że ta siła chciała więcej. W zamian za daną Kregnorowi władzę zawałnęła jego ciałem i umysłem, oraz umysłami tych którzy mu pomagali. Musiał ją zaspokoić, zaś ona żądała krwi i przemocy. Po co? Czy dawało jej to siłę? Tego legendy nie wyjaśniały.

Potwierdziło się także to przez co przeszedłem w dniu ucieczki. To stało się naprawdę, z jedną różnicą – nikt nie przeżył bitwy. Zwycięzcy padli na placu boju, od mrozu i ran. Nikt stąd nie odszedł, jak ja. Czepiłem się tej różnicy, wierząc, że jest kluczem do wyjaśnienia zagadki. Mieszkańcy, wiek temu, odnaleźli jedynie ciała poległych, w tym ciało złego pana, oraz opuszczony zamek, który splądrowali i z zemsty puścili z dymem. Dolina się zmieniła. Dziś nie ma tam już drugiej wioski. Kopalnia została opuszczona; nie potrzebowano już żelaza na broń, a tę która się zachowała przekuto na narzędzia.

Wierzyłem że wiedziałem co się stało, jednak czy wszystko było prawdą? Różnice mogły być większe niż ta jedna. Kto naprawdę zabił Kregnora? Może padł w walce? Przypadek mnie w to wpłatał, przypadek uratował. Gospodarz odnalazł mnie na przełęczy, pod wieczór czwartego dnia po nadejściu śniegu – tego samego dnia, kiedy ją przekroczyłem. Zatem wizja rozpoczęła się gdy tylko zamknąłem oczy. Tylko co tak naprawdę wtedy przekroczyłem? Czym to było? Ostrzeżeniem, pokutą, czy echem dawno minionej mocy? Wizja jawiła mi się historią pojedynku między Dronanem a Kregnore, pojedynkiem, w którym każdy z nich odniósł częściowe zwycięstwo. Jaką rolę pełnił w niej Kregnor, jaka rola przypadła zaś Dronanowi? Który z nich odpowiadał za wizję, kto ją prowadził? Jeśli to był ktoś z nich...

Jednak najbardziej ze wszystkiego, zastanawiało mnie co by się stało, gdybym zachował się inaczej. Z upływem czasu zacząłem tracić pewność że miałem jakąkolwiek swobodę w podejmowaniu decyzji. A jeśli to nie ta dziwna siła tak naprawdę mną owaładnęła, ale zrobiła to sama wizja? Czy wszystko w niej musiało odbyć się tak, jak w tej historii? Co by się stało, gdyby miecz upadł inaczej, gdybym to zginał ja, a nie ponury władca? Czy też może miecz upadł właśnie tak, bo musiał, bo tak upadł wiek temu i nic nie było w stanie tego zmienić? Jak wiele zależało ode mnie, a co było jedynie grą, na którą nie miałem wpływu? Czy miałem jakiś wpływ? Czy mogłem coś zmienić, czy przyszłość wyglądałaby dziś inaczej, moja przyszłość, przyszłość doliny... I, przede wszystkim – dlaczego? Po co? Dlaczego ja?

Opuściłem dolinę gdy śnieg zaczął tajać. Łatwo wspiąłem się na szczyt przełęczy – i tam znieruchomiałem. Nikt mnie nie odprowadzał, nikogo nie było w pobliżu, a jednak poczułem jakąś obecność. Czegoś, kogoś? Z wolna obróciłem się i spojrzałem za siebie, na drzewa, na skały. Nie było żywej duszy, nie drgnęła ani jedna gałązka. W ataku nagłej paniki zacząłem gorączkowo myśleć. Czy Yrina naprawdę można było zabić? Czy, przebywając w śmiertelniku, naprawdę stawał się śmiertelny? A jeśli był on bardziej jak duch, który po zniszczeniu ciała odchodził gdzieś, gotów wrócić jeśli... jeśli ktoś go wezwie, lub... odzyska siły?

Panika przeszła. Nic się nie działo. Godzinę później odwróciłem się i zacząłem schodzić ku sąsiedniej dolinie. Od tego czasu, gdzie bym nie trafił, szukałem kogoś kto mógłby mi odpowiedzieć na te pytania. Szukałem – i nie znalazłem. Nikt, ani największy magowie, ani elfy, dawni twórcy Yrinów, jeśli wierzyć Kregnorowi, nie potrafił na nie odpowiedzieć. Wszystko co wiem, to że nie wrócił za mojego życia. Może zginął, może nie – nigdy się tego nie dowiedziałem.

Lata zajęły mi odkrycie że nie byłem jedynym, któremu przydarzyła się podobna historia. Zdarzało się to rzadko, ale góry były zbyt rozległe, zbyt przesycone wydarzeniami, rozgrywającymi się wśród szczytów w trakcie wieków. Co jakiś czas przypadkowy – w to wierzę, w to chcę wierzyć – podróżny wpada w strugę echa dawnych zdarzeń. Dla mnie to zdarzenie stało się czymś więcej niż moją pierwszą przygodą – do dziś pozostało to pierwszą rzeczą jaką jestem w stanie sobie przypomnieć.

Wcześniej... są tylko treningi.

W górach wciąż krąży wiele dziwnych powieści, wiele wizji, wiele zjaw. Zbyt długo toczyły się tutaj wojny – najpierw między orkami a elfami, potem między ludźmi, między dziesiątkami powstających i upadających w dolinach księstw. Te historie, ich wizje, czasem grzęzły w otaczających je skałach, gdzieś w dolinach, jako zaburzenia pola mocy, które nie zdołały się naturalnie rozproszyć. Jak echo odbijają latami wśród skał, czasem i przez wieki, utrzymywane przez naturalne moce magii, których istnienia są konsekwencją. Czasem zdarza się, że ktoś je. Czyhają tak od wieków na wędrowca, który nieopatrznie wejdzie w nie w sprzyjających okolicznościach i odpowiednim stanie ducha, aby dać się nieświadomie wciągnąć w wir zdarzeń, „usłyszeć”, ujrzeć je i przeżyć, doznać – stając się dla nich bramą, przez którą, spóźnione, odchodzą w niebyt... a może pożywieniem do dalszego trwania? Te wizje są przecież dla zdarzeń tym, czym dusza dla ludzi. Są jak wiatr, jak przypływ morza, jak każda zwyczajna siła natury – po prostu tak się dzieje. Każde góry mają swoje sekrety, a te największe na świecie mają ich najwięcej ze wszystkich. Ich natura zapewne nigdy nie zostanie do końca wyjaśniona. Dla mnie, jak dla wielu innych, dotknęła sił zbyt tajemniczych i potężnych, bym mógł liczyć, że odsłoni przede mną jakąś większą prawdę.

Wizje gór, jak je czasem zważ ci co znają się na rzeczy, powiedzą ci jedno – one zawsze zmieniają człowieka. Zmiana zależy od tego, co ona przedstawia, jednak natura mocy, wrażliwej wyłącznie na najsilniejsze ludzkie emocje, sprawia iż są to zwykle obrazy cierpienia, gdyż to wola ofiar najmocniej, choć nieświadomie, odbija się w jej polu – ostatni akt zemsty na oprawcy, żądza by ludzie poznali prawdę, niczym pieczęć wyciska w martwych skałach obraz tego, co musiały przeżyć.

Co do mnie... Na zawsze pozostałem pod jej wpływem, jak wielu innych, w innych zamrożonych wizjach. Przygoda ta zmieniła, lub raczej, ustaliła we mnie jedno. Odtąd już zawsze starałem się jedynie przeżyć. Nie przetrwać.

Po prostu przeżyć.

6 stycznia 2002

Alan Akab

15 września 2005, południe.

Delikatny, choć wyraźny zapach kawy spokojnie unosił się nad stolikiem małej, ekskluzywnej kawiarni przy turyńskiej Via Roma. Młody, około trzydziestoletni blondyn spokojnym ruchem uniósł do ust filiżankę z białej porcelany. Gorzki smak kawy przyjemnie wypełnił mu usta. Popatrzył na siedzącego naprzeciw drugiego mężczyznę. Krótko ostrzyżony brunet, o figurze typu „szafa” nie mógł nie zwracać na siebie uwagi. Jego spodnie i t-shirt koloru khaki sprawiały, że w tej ekskluzywnej kawiarni wyglądał jeszcze bardziej obco. Jemu najwyraźniej to jednak nie przeszkadzało. Brunet milczał chwilę, po czym nieznacznie poprawił się na krześle. Dyskretnie się rozejrzył i wyszeptał:

- Dwadzieścia pięć tysięcy euro - powiedział. Mimo bardzo dobrego angielskiego wyraźnie wschodni akcent zdradzał pochodzenie. Mężczyzna z całą pewnością był Rosjaninem. Zapadła cisza. Blondyn patrzył na niego w milczeniu, kontemplując tą chwilę. Liczył na żądanie prawie dwukrotnie większej sumy. Ale mimo to nie odezwał się. Nie mógł oprzeć się temu momentowi. Chwili, w której doskonale obmyślony plan, tworzony, synchronizowany prawie od siedmiu miesięcy, zostanie puszczony w ruch. Blondyn raz jeszcze sięgnął po odłożoną przed chwilą filiżankę. Z trudem opanował nieznaczne drżenie rąk. Jego serce biło niewiarygodnie szybko. Czuł podniecenie. I to go zaskakiwało - wiedział, od dobrego miesiąca wiedział, że do tego dojdzie, ale teraz, sam fakt, że to właśnie w tej chwili wszystko ruszy z miejsca i nie będzie mogło już zostać zatrzymane... Niespiesznie przysunął do ust ciepłą od wypełniającej ją kawy filiżankę. Gorzki smak tym razem niósł wyjątkowo słodkie tchnienie. Uczucie podobne do tego, które odczuwa się po stuknięciu pierwszego klocka domina, pieczołowicie układanego przez długi czas. Tysiące wątpliwości, czy wszystkie elementy układanki upadną tak, jak zostało to zaplanowane oraz ta świadomość, że nie można już powstrzymać w żaden sposób kolejno upadających klocków. Chyba jednak milczenie trwało zbyt długo; Rosjanin właśnie niecierpliwie westchnął.

- Jeżeli to jest za dużo...

- Dużo - przerwał mu blondyn, odłożył filiżankę i niebieskimi oczyma zlustrował Rosjanina - ale nie za dużo - naturalnie, Rosjanin nie mógł się przecież domyśleć, że mógłby zarobić znacznie więcej. Blondyn uśmiechnął się z satysfakcją.

- To wynika z tego, że znamy tylko cel. Wszystko inne musimy zrobić sami. Rozpoznanie, drogi wejścia, wyjścia... - Rosjanin jakby chciał się usprawiedliwić od ceny, ale urwał po geście blondyna. Co prawda było samo południe i kawiarnia była prawie pusta, ale po co kusić los?

- Oczywiście - powiedział blondyn - ale proszę pamiętać, że droga przejazdu przez miasto pozostaje już w naszej kwestii - dodał i popatrzył z podziwem na siedzącego przed nim Rosjanina. Siedział wyprostowany, z dłońmi opartymi o krawędź stołu. Stopy miał oparte płasko na drewnianej podłodze, w wysokich, wojskowych butach, ułożone tak, by umożliwić w każdej chwili natychmiastowe zerwanie się z krzesła w praktycznie dowolnym kierunku. Na pierwszy rzut oka było widać, że Rosjanin jest żołnierzem. Albo był. Nie umiał się wyluzować. Choć z drugiej strony - blondyn też czuł nieznośne napięcie całego ciała. Z nieco innej przyczyny, ale czy to tak naprawdę ważne? Przy stoliku można było wyczuć podniecenie, delikatnie owiane zapachem kawy. A więc teraz. W tej chwili. Ruszyło.

- Jak się skontaktujemy? - zapytał Rosjanin. Nie musiał dodać, że już po wszystkim. To było oczywiste.

- Dwudziestego czwartego września będę zwiedzał Muzeum Egiptu. O godzinie dwunastej trzydzieści będę pod posągami Ramzesa Drugiego. Gdy mnie pan zobaczy, proszę nie podchodzić, nie chcę również, by miał pan to przy sobie. Proszę wyjść za mną. Gdyby coś się stało, godzinę później znajdzie mnie pan w galerii Sabauda. Gdyby i to musiało zostać odłożone, będę co cztery dni począwszy od poniedziałku, dwudziestego szóstego września, równo w południe pod posągami Ramzesa Drugiego. Wszystko jasne?

- Naturalnie - powiedział Rosjanin i wstał od stolika. Bez pożegnania wyszedł z kawiarni i zniknął, idąc szybkim, równym krokiem po chodniku. Blondyn nieznacznie się uśmiechnął i sięgnął po filiżankę, by dopić kawę. Wyborną kawę...

22 września 2005, północ.

Siedmio litrowy silnik zaczął cicho bulgotać na jałowych obrotach. Duży, trzyosiowy Ural 375 zatrzymał się tuż przy wysokiej dzwonnicy Katedry Turyńskiej. Katedra, pochodząca z piętnastego wieku była jedynym przykładem renesansowej architektury w Turynie. Mimo, że dość poważnie uszkodził ją pożar, jaki rozszalał się tutaj niespełna osiem lat temu, była już otwarta, zarówno dla chcących się modlić wiernych, jak i turystów, choć nadal stały wokół niej rusztowania, dyskretnie zasłonięte purpurową satyną. Prace rekonstrukcyjne nadal trwały i dopiero za co najmniej pięć katedra Świętego Całunu odzyska dawny wygląd, jaki nadał jej projekt architekta Guariniego, jeszcze z roku 1668. Zapewne tylko dzięki pracach przy rekonstrukcji katedry prawie siedmio i pół tonowa ciężarówka, pomalowana w wojskowe plamy, nie zwracała na siebie większej uwagi, choć środek nocy był wystarczająco dziwną porą na jej pojawienie się. Samochód zacharczał skrzynią biegów i zawracając, zatrzymał się tyłem do szerokich drzwi prowadzących do wnętrza katedry. Gdy kierowca zobaczył przed długą maską dwie wieże bramy Porta Palatina, silnik znów zaczął cicho bulgotać na niskich obrotach. Brezentowy dach, w całości kryjący pakę, drżał w rytmach silnika wraz z całym samochodem. Na pierwszy rzut oka widać było, że ciężarówka, mimo doskonałego utrzymania, była już wiekowa.

- Gotowi - padł cichy rozkaz. Rosły brunet, w starym, wojskowym mundurze popatrzył na jedenastkę innych mężczyzn siedzących na ławach pod brezentem. Wszyscy zgodnie skinęli głowami. Jeden z nich właśnie wyczyścił nos w papierową chusteczkę, po czym rzucił ją na dno skrzyni, a paczkę niezgrabnym ruchem wsunął do kieszeni spodni. Uznał, całkiem zresztą słusznie, że zwykły katar na pewno nie przeszkodzi mu w akcji. Nałożył czarne, skórzane rękawiczki oraz kominiarkę i popatrzył wyczekująco na przywódcę. Jego towarzysze mieli już założone czarne kominiarki oraz rękawiczki; w ciemności, nieznacznie tylko rozświetlanej bladej lampką błyskały groźnie ich oczy - broń - kolejny rozkaz wydany półgłosem i sam dowódca jak i podlegli mu kompani, sięgnął po karabinek AK47. We wnętrzu ciężarówki rozległy się metalowe trzaski przeładowywanej broni. Po dowódca odrzucił brezent na dach i żołnierze zaczęli zeskakiwać z paki. Gdy zeskoczyli wszyscy i zgodnie z planem ustawili się pod ścianami katedry po obu stronach wejścia do katedry, dowódca sięgnął pod tylny zderzak i chwycił duży hak, przymocowany do długiej liny. Szybko podszedł pod okazałe drzwi katedry. Ostro zakończony hak bez dał się zamocować o masywną klamkę, a gdy mężczyzna upewnił się, że hak trzyma mocno, odsunął się nieco i skinął na kierowcę, patrzącego do dużego lusterka. Ciężarówka ponownie zazgrzytała skrzynią biegów, a gdy lina, przymocowana do dużego zderzaka napięła się, drzwi z trzaskiem opadły, wyrwane z zawiasów. Dowódca popatrzył na futryny, zaskoczony. Liczył, że hak wyrwie w drzwiach sporą dziurę i będą musieli je otworzyć. Ale to tylko działało na ich korzyść. Teraz już nie było odwrotu. Pierwszy ruszył do środka, a za nim reszta jego kompanów. Od prawie tygodnia bez przerwy ćwiczyli tą akcję i każdy z nich wiedział doskonale, co, kiedy i gdzie ma robić. Nie tracąc ani chwili na nic, ruszyli przed siebie. Odgłos kilkunastu par wojskowych butów, wybijających szybki rytm rozszedł się głośnym echem po całej katedrze. Ale to było nic w porównaniu z hukiem trzykrotnego wystrzału, gdy dowódca grupy uniósł karabin i wystrzelił krótką serią w wąski cień, jaki wyskoczył wprost na nich z bocznej nawy. Dowódca zwolnił bieg, ale tylko na tyle, by rzutem oka popatrzeć na leżącego na posadce zakonnika. Specjalna amunicja kalibru prawie pięciu i pół milimetra zrobiła swoje. Po chwili lider szybko dołączył do reszty kompanów. Usłyszał kilka innych strzałów, ale gdy dogonił już w piwnicach katedry swoich żołnierzy, wiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem. Rzeczywiście, ledwie pięć minut później żołnierze biegli z powrotem do wyjścia. Czterech z nich biegło obok siebie trzymając w dłoniach podłużną, wąską skrzynię z Całunem Turyńskim, a pozostali biegli wokół nich. Za nimi biegli już jacyś ludzie, najpewniej zakonnicy opiekujący się katedrą, krzycząc coś po włosku. Jak gdyby nie zauważyli kilku innych zakonników, leżących na zimnej posadce. Dowódca, który biegł ostatni, sięgnął do pasa, uprzednio przewieszając swojego AK47 przez ramię. Złoczył dłonie na jedną chwilę, potrzebną do wyrwania zawleczonego z pojemnika zawierającego gaz łzawiący, odwrócił się na chwilę, po

czym rzucił niewielką puszkę za siebie. Włoski, zresztą całkiem niedawno kupiony pojemnik, służący do obrony przed bezpańskimi psami, odpowiednio przerobiony, doskonale spełnił swoje zadanie - zakonnicy zaczęli się dusić w oparach gazu. Żołnierze szybko znaleźli się przy ciężarówce. Ostrożnie wsunęli szkatułę z Całunem na pakę, po czym szybko wskoczyli do środka. Gdy dołączył do nich dowódca, ciężarówka ryknęła silnikiem, gdy moc prawie dwustu koni rażno przeszła na dwie tylne osie. Ural ruszył szybko, ciągnąc za sobą drzwi na linie. Kierowca gwałtownie skręcił, ledwie mieszcząc się w wąskiej Porta Palatina, a dowódca, stojący z tyłu wozu zauważył, że drzwi uderzyły o jedną z wież i zupełnie się roztrzaskały. Hak zaczął sunąć po asfalcie, ale dowódca grupy oddał innemu żołnierzowi swój karabin i położył się na pace. Bez trudu sięgnął do zderzaka i po chwili lina wraz z hakiem była już na pace ciężarówki. Nim żołnierz zasłonił brezentem wnętrze paki, popatrzył na sunący za ciężarówką motocykl. Czarne Ducati Monster szybko wyprzedziło ciężarówkę i zaczęło jechać przed nią, pilotując kierowcę. Oba pojazdy szybko oddalały się od katedry...

Czerwony Nissan Micra zatrzymał się z krótkim piskiem opon. Policyjny kogut na dachu błyskał niebieskim światłem. Drzwi otworzyły się i ze środka wysiadła młodo wyglądająca kobieta. Przeczesała dłonią długie, czarne włosy i rozejrzała się niepewnie. Drzwi katedry, a w zasadzie ich resztki, były zabezpieczone policyjnymi taśmami pod jedną z wież Porta Palatina. Pod samą katedrą stały dwa radiowozy oraz karetka. Syreny były wyłączone, ale światła na ich dachach nadal błyskały. Kobieta poprawiła skórzany płaszcz sięgający połowy ud i zamknęła drzwi samochodu. Policjanci, stojący przy radiowozach, patrzyli na nią z zainteresowaniem. Fakt, niebieskie džinsy i czarna, opinająca koszula podkreślały jej wąską talię. Szybko sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza i ruszyła w stronę taśmy. Krótco błysnęła odznaką.

- Silvia Gaspare - powiedziała szybko - co tu się stało? - zapytała. Była policjantką od czterech lat, wstąpiła do policji zaraz po zakończeniu policyjnej szkoły. Jej ojciec też był policjantem, ale gdy miała osiemnaście lat, zastrzelił go jakiś cholerny gówniarz sprzedający narkotyki. Matki prawie nie pamiętała - zmarła krótko po jej trzecich urodzinach - wtedy też wraz z ojcem opuściła rodzinną Toskanię i przeniosła się do Turynu.

- Było włamanie - powiedział spokojnie policjant. Silvia popatrzyła na resztki drzwi. Włamanie? Raczej wtargnięcie. Bez śladu subtelności - skradziono...

- Jakież ofiary? - przerwała, widząc, jak sanitariusze wynoszą na noszach leżącego mężczyznę.

- Tylko ranni - powiedział - kimkolwiek byli złodzieje, najwidoczniej nie chcieli zabijać. Użyli obezwładniającej amunicji - popatrzyła na niego zaskoczona. Rzadkość, by ktoś przy tak „delikatnym” wejściu przejmował się kimś takim jak niewinne ofiary - poza tym w środku wybuchł granat z gazem łzawiącym.

- Liczby? - zapytała. Od trzech lat należała do Polizia Statale, a rozmowa, jaką chwilę wcześniej przeprowadziła ze swoim przełożonym dała podstawy do tego, by sądzić, że to właśnie ona dostanie tą sprawę. Zresztą... Po co innego akurat ją jej szef wzywałby na miejsce o wpół do drugiej w nocy?

- Trzech trafionych pociskami, pięciu podtrutych gazem. To zakonnicy opiekujący się katedrą. Nie jest pani ciekawa, co skradziono? - zapytał. Silvia popatrzyła mu w oczy. Widziała w nich podniecenie, zmieszane z zaskoczeniem. Jeszcze pół godziny temu spała głębokim snem, więc dotarło do niej dopiero teraz. Ktokolwiek chciałby się włamać do tej katedry, mógł to zrobić w tylko jednym celu. Rzuciła pod nosem przekleństwo, jakiego nie powstydziliby się niejedna prostytutka stojąca na arkadach Via Nizza.

- Tak, właśnie to. Całun Turyński zniknął - policjant domyślił się, że odgadła, co skradziono, a Silvia przetarła dłonią twarz i rozejrzała się.

- Ślady zabezpieczone? - zapytała, patrząc na taśmy, odgradzające wejście do katedry oraz przestrzeń przed nim na promieniu prawie czterech metrów.

- Tak, ale tylko na zewnątrz. Czekaliśmy na panią. Jesteśmy tylko z patroli... - urwał, gdy bez słowa ruszyła w stronę drzwi, ale zaraz po tym zatrzymała się w miejscu. Jej oczy padły na paczkę chusteczek, leżących tuż przy wyjściu. Paczka była otwarta. Właśnie dwaj sanitariusze przeszli tuż obok niej, ledwie jej nie zdeptując, niosąc zakonnika do karetki. Z bocznej kieszeni płaszcza wyciągnęła dwie gumowe rękawiczki i szybko je założyła, po czym podeszła do foliowej paczki. Policjant, z którym rozmawiała, podszedł do niej i podał jej foliowy woreczek. Uklękła obok paczki i ostrożnie wsunęła własny długopis do jej środka, unosząc ją. Z pięciu chusteczek została już tylko jedna, co dało jej podstawy do nadziei, że paczka była kilka razy wyciągana. Wsunęła paczkę do foliowego woreczka i podała towarzyszącemu mu policjantowi. A zaraz po tym pomyślała, że właśnie zarabia na sporą porcję śmiechu - pewnie była to paczka należąca choćby do któregoś z sanitariuszy, ale... Została wyszkolona na detektywa. Chyba lepiej dać się ośmieszyć, niż przypadkiem stracić ślad. Spokojnie ruszyła do środka katedry. Poczula chłód, jeszcze większy, niż na zewnątrz. A może tylko tak się jej wydawało... Jej wygodne, sportowe buty nie wystukiwały tak głośnych kroków, jak buty policjanta idącego tuż za nią. Rozejrzała się. Poza kilkoma tabliczkami oznaczającymi leżące na podłodze łuski nic nie mąciło spokoju katedry. Nic, poza... Silvia mocno wciągnęła powietrze. Czuła jeszcze w powietrzu kwaśny, nieprzyjemny zapach gazu.

- Oznaczyliśmy już łuski - powiedział - gdy przyjechaliśmy, trzech trafionych pociskami zakonników już doszło do siebie. Silvia skinęła głową i ponownie wciągnęła powietrze mocno - a ponadto zabezpieczyliśmy również granat z gazem łzawiącym. Włoski pojemnik, sprzedawany powszechnie do obrony przed psami. Ale przerobiony, działający jak granat - Silvia tylko się uśmiechnęła. Sprytnie. Wiedziała, że tego typu rzeczy można było kupić w co drugim kiosku. Szanse odkrycia miejsca zakupu praktycznie żadne.

- Ile jest łusek? - zapytała, silną latarką rozświetlając posadzkę w miejscu tabliczki.

- Dziewięć. Trzy tutaj, sześć w piwnicach. Precyzyjne strzały, po trzy w klatkę piersiową o. Kaliber gdzieś pięć i pół...

- Broń długa czy krótka? - przerwała mu. Pytanie padło raczej pro forma, pociski kalibru pięciu i pół mogły zostać wystrzelone w zasadzie tylko z broni długiej.

- Długa - powiedział policjant - świadkowie potwierdzają broń długą - popatrzyła na niego. Był młody, z całą pewnością młodszy od niej. Zapewne niedawno dopiero zaczął służbę po szkole i pewnie z całych sił chciał wykazać swoją kompetencję.

- Co jeszcze mówili świadkowie? - policjant zrobił minę, jakby właśnie miał przyznać się do kłamstwa.

- Jedni mówią o grupie kilku, inni kilkunastu ludzi. Zamaskowani i znów nie wiadomo na pewno, czarne lub zielone stroje. Nie mówili nic, żadnych poleceń, uwag. Weszli, zabrali, wyszli - z pasowych ust Silvii znów wypadło przekleństwo. Taka kradzież! To aż trudne do uwierzenia. Ale jednak się stało. Już wolała nie myśleć, co jutro usłyszą od komendanta, zwanego przez wszystkich za jego plecami „Starym”. Raz jeszcze obejrzała dokładnie pomieszczenie i ruszyła do piwnicy, gdzie był trzymany Całun, ale w tej chwili w katedrze rozległy się kroki. Popatrzyła w stronę wejścia. Pojawiła się już grupa policyjnych techników, odpowiedzialnych za zbieranie śladów. Wyciągnęła z ręki policjanta woreczek z chusteczkami i podała jednemu z techników.

- Witaj Sergio - powiedziała z uśmiechem - to też - dodała i ruszyła do wyjścia z katedry. W chwilę po tym oparła się o drzwi Micry. Wyciągnęła telefon i chwilę patrzyła na ekran. Chciała zadzwonić do komendanta, ale nie była pewna, co powinna mu powiedzieć. Po chwili zamyślenia westchnęła cicho i podniosła komórkę do ucha...

Następnego dnia Silvia przyjechała pod komendę dopiero krótko po ósmej rano. Wysiadła ze środka i jej spojrzenie zatrzymało się na niewielkim kiosku z gazetami.

- Cholerne sępy - syknęła ze złością, widząc nagłówek w jednym z dzienników krzyczący czerwonymi literami: „Okrutny akt wandalizmu w Katedrze Turyńskiej”. Szybko podeszła do kiosku, otworzyła gazetę na odpowiedniej stronie i chwili zaczęła czytać:

- Wczorajszej nocy dokonano haniebnego aktu wandalizmu. Zupełnemu zniszczeniu uległy drzwi Katedry Turyńskiej. Nasz dziennikarz dowiedział się, że przechowywany w katedrze słynny Całun Turyński nie był celem ataku i nadal jest bezpieczny. Policja nie podała jeszcze szczegółów, ale wiadomo już, że zostało wszczęte postępowanie... - z westchnięciem pełnym ulgi zamknęła gazetę. Naturalne było, że media absolutnie nie mogły dowiedzieć się o zniknięciu Całunu. Przecież wywołałoby to naprawdę olbrzymi skan-

dal w całych Włoszech, a może i poza granicami. Westchnęła raz jeszcze i niechętnie popatrzyła na drzwi komendy głównej włoskiej policji. Naprawdę byłaby skłonna uwierzyć dzisiaj nad ranem, że to wszystko jej się przyśniło, gdyby nie to, że ledwie pół godziny wcześniej obudził ją telefon od komendanta. Popatrzyła na zegarek, po czym westchnęła znów i ruszyła. I tak była spóźniona...

- Spóźniłaś się - powiedział gniewnie komendant, gdy weszła do niewielkiej sali konferencyjnej. O ile Silvia zdążyła zauważyć, był tam tylko szef techników, którzy pojawili się na miejscu w nocy oraz dwaj inni policjanci z Polizia Statale. Jednym z nich był trzydziestoczteroletni Paolo, policjant z tego samego pionu, co ona, z którym zresztą już kilka razy współpracowała, zaś drugim był blondyn, którego kojarzyła z komendy, ale nie miała jeszcze okazji go poznać z imienia i nazwiska. Popatrzyła na komendanta wilkiem. Pewnie nawet nie zauważył, albo nie chciał zauważyć jej podkrążonych oczu. Komendant, Marcelo Giuagro był twardym „gliną”. Zanim jeszcze został komendantem, zawsze wymagał od siebie pełnej gotowości przez dwadzieścia cztery godziny i cóż, teraz dokładnie tego samego wymagał od swoich podwładnych, uważając, że nie po oto wstępuje się do policji, by mieć czas na spanie i wymiarowany czas pracy. Jej zdaniem nie nadawał się na komendanta. Niestety nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia. Niedbałym ruchem rzuciła gazetę na stół.

- Sępy węszą - powiedziała, ignorując jego oskarżenie o te drobne piętnaście minut i usiadła na jednym z krzeseł. Marcelo popatrzył na dziennik i podjął wątek, który Silvia przerwała swoim wejściem:

- Popatrzcie na siebie. Popatrzcie na siebie, bo najbliższe dni spędzicie tylko we własnym towarzystwie. Tylko i wyłącznie. Nie będę krzyczał ani się denerwować, bo wiem, że to kompletnie nic nie da - komendant czasami dał się ponieść nerwom. Dość powiedzieć, że szybę w drzwiach do jego biura wymieniano już kilkanaście razy - i nie będę też mówił, że macie odzyskać Całun. To doskonale wiecie. Całun musi się odnaleźć. To jest kwestia honoru. Nie mojego honoru. Nie honoru całej włoskiej policji. To kwestia honoru całego państwa - Silvia wiedziała, że komendant był gorliwym katolikiem, a ponadto uznawał Całun za prawdziwe płótno, którym rzeczywiście był okryty Chrystus po zdjęciu z krzyża - jest wrzesień. Jeżeli do końca roku nie odzyskacie Całunu, ja... odejdę z policji, wcześniej jednak wyciągając pełne konsekwencje wobec was - Silvia popatrzyła na niego zaskoczona. Marcelo był bardzo ambitnym policjantem. Wiedziała, że praca w policji była dla niego całym życiem. Już jej ojciec opowiadał jej, jakim Marcelo był człowiekiem - idącym do władzy „po trupach”. Chciał być komendantem od zawsze. A teraz? Miałby z własnej woli to wszystko porzucić? Silvia w to wątpiła - ta sprawa jest sprawą priorytetową. Jesteście oddziałem Numero Uno, rozumiano? Macie najwyższy priorytet. I nie liczą się koszty. Absolutnie żadne koszty. Jasne? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, zapytał szefa techników - więc, co mamy?

- Mój zespół pracował do rana w samej katedrze, dlatego większość śladów nie została jeszcze przebadana w laboratorium. Na miejscu znaleźliśmy dziewięć łusek, dziewięć sztuk amunicji obezwładniającej oraz włoski pojemnik z gazem łzawiącym, bardzo sprytnie przerobiony na granat. Silvia zabezpieczyła dodatkowo paczkę chusteczek, znaną jej wejściem do katedry...

- Paczkę chusteczek? - przerwał mu komendant i popatrzył na Silvę z gniewem w bładozielonych oczach. Wiedziała, co teraz powie. Widziała, że komendant był wściekły, choć świetnie to maskował. A do tego jeszcze jej nie lubił. Pewnie dlatego, dwa lata temu rozwiódł się z mężem, co dla „prawdziwego katolika”, za jakiego uważał się komendant, było wielkim grzechem i sprzeniewierzeniem wiary. Jakby życie razem i obłudne udawanie uczucia, którego tak naprawdę chyba nigdy nie było czymś zgodnym z... czym? Silvia nie rozumiała, jak można tak mieszać coś tak bardzo osobistego, jak wiara ze służbowym stosunkiem do ludzi. Poza tym... Marcelo i jej ojciec nigdy się nie lubili. Gdy miała osiemnaście lat i kończyła szkołę policyjną, jej ojciec oraz właśnie Marcelo ubiegali się o fotel komendanta policji w Turynie. Jednak jej ojciec został zastrzelony przez młodego handlarza narkotyków. Śledztwo w tej sprawie nie przyniosło żadnych odpowiedzi i sprawa została zamknięta po niespełna miesiącu, a Silvia zastanawiała się, dlaczego nikt nie zauważył tego, jak śmierć jej ojca ułatwiła Marcelowi karierę. Ona sama wtedy była bezsilna. Na chwilę znów przed jej oczyma powrócił tamten ponury wieczór, ale chrząknięcie komendanta układającego sobie długi ciąg słów, jakimi zamierzał obrzucić Silvę sprawiło, że wspomnienia odeszły. Jej szef ponownie się odezwał - paczkę chusteczek. Cudownie. Ktoś kradnie Całun Turyński, najświętszą relikwię wszystkich chrześcijan, a ty na miejscu znajdujesz paczkę chusteczek? Wystarczyło mnie poprosić!! - warknął, sięgnął do kieszeni i rzucił jej, czy też raczej - w nią - paczkę higienicznych chusteczek, a żeby było zabawnie dokładnie takich samych, jak te, które znalazła. Foliowa paczka uderzyła w jej policzek i wyśladowała na udach i Silvia zacisnęła na nich dłoń. Po tym na chwilę komendant zamilkł i nikt się nie odezwał. Silvia nadal patrzyła mu w oczy, wyzywająco - ty - wskazała na nią palcem - zostaniesz szefem tej grupy. Będziesz bezpośrednio odpowiedzialna za odnalezienie Całunu oraz tych, którzy go ukradli. I ty również wylecisz, jeżeli nie odnajdziesz Całunu. Czy to jasne? - zapytał. Silvia miała ochotę wstać tak gwałtownie, by krzesło, na którym siedziała, przewróciło się i po prostu wyjść. Raz tak zrobiła. I potem z trudem wybroniła się przed „dyscyplinarką”. Tak, komendant był twardym „gliną”, naprawdę dużo wymagał od siebie. Ale jeszcze więcej od podwładnych. I często wybuchał z byle powodu. Z całą pewnością nie był lubiany przez policjantów i z całą pewnością nie należało dawać mu powodów do wybuchu. Patrzyli sobie w oczy przez chwilę - czy to jasne? - powtórzył pytanie komendant.

- Oczywiście - powiedziała twardo, starając się nie dać komendantowi satysfakcji z jej drżącego nieznacznie głosu - zupełnie jasne.

- To czego tu jeszcze siedzicie do cholery? Brać się do roboty!! - dodał komendant, wskazując na drzwi. Jasny gest, że „dywanik” skończony i mają teraz rzucić się w wir bezsensownej pracy. Bezsensownej? Tak... Silvia, jadąc na komendę, zastanawiała się nad tą sprawą. Cały zespół Numero Uno w ciszy opuścił salę i Silvia, gdy na jednym z zegarów wywieszonych na korytarzu zobaczyła, że dochodzi ósma rano, pomyślała, że Całun zapewne już dawno opuścił kraj razem z bagażem kogoś spokojnie siedzącego w lotniczym fotelu turystycznej klasy. I że chyba nigdy nie odzyskają.

- Silvia - przerwał jej szef techników, jakiego spotkała w katedrze - co robimy? Ty jesteś szefową - Silvia uśmiechnęła się pod nosem. Cała grupa stała na korytarzu, zaraz obok drzwi prowadzących do sali.

- Musimy gdzieś sięść, żeby stworzyć jakiś plan działania.

- Komendant oddał nam salkę odpraw, mamy do niej pierwszeństwo - wtrącił Paolo. Silvia skinęła głową i po chwili ona, dwóch policjantów oraz szef techników weszli do sali - pozostali technicy już ruszyli do laboratorium.

- Na miejscu znaleźliśmy dziewięć łusek, amunicję obezwładniającą, też dziewięć sztuk, granatów, oraz... te nieszczęsne chusteczki. Przepraszam, nie wiedziałem, że tak zareaguje - powiedział Sergio. Był szefem techników od prawie czterech lat i już nie raz Silvia korzystała z laboratorium, jakie było pod jego kontrolą. Machnęła lekceważąco ręką, jasno dając do zrozumienia, jak bardzo przejmują się wybuchem Starego.

- Pewnie jeszcze nie było porządnej analizy i niewiele wiecie? - zapytała i przysiadła na krawędzi stołu.

- Nie, jeszcze nie. Dopiero co wysłałem ludzi do pracy. Całą noc aż do szóstej spędziliśmy w katedrze. Ty chyba też niewiele spałaś?

- zapytał. Uśmiechnęła się blade.

- Tak, ale nieważne. Jakież teorie? - zapytała, siadając na stole na przeciwko nich - według mnie, to typowa kradzież na zamówienie kogoś, kto chciałby widzieć Całun na ścianie własnej sypialni. Takie kradzieże się zdarzają.

- Fakt - wtrącił Paolo - nie wydaje mi się, żeby ktoś chciał go ukraść, by potem dać ogłoszenie „sprzedam Całun Turyński”. Jeżeli to kradzież na sprzedaż, to kupiec musiał być już ustawiony na długo przed kradzieżą.

- Ale nie możemy zupełnie wykluczyć kradzieży dla okupu - wtrącił drugi policjant - może się okazać, że w którejś z gazet pojawi się ogłoszenie o żądaniu okupu, albo w przeciwnym razie Całun zostanie zniszczony.

- Nie mów takich teorii w pobliżu Starego, bo dostanie szału - powiedziała Silvia - ale masz rację. A ilu mamy do dyspozycji ludzi?

- Słyszałaś - powiedział Paolo - jesteśmy Numero Uno, najwyższy priorytet. Tylko że nawet nie cała policja wie o kradzieży. Większość uważa, że faktycznie chodziło o zniszczenie drzwi.

- Co? - zapytała zaskoczona - świetnie. Czyli że co, mamy się nie przejmować kosztami, ale mamy ograniczoną ilość ludzi? - burknęła.

- Nie tak całkiem. W zasadzie poza naszym oddziałem i biurem Starego mówimy o dewastacji drzwi. Możemy wciągać w śledztwo innych policjantów, ale tak, jakby chodziło o drzwi.

- Świetnie - w jej głosie słychać było ironię - dobra... - Silvia zastanowiła się chwilę - trzeba rozesłać ludzi po mieszkaniach z oknami wychodzącymi na katedrę. Może ktoś coś widział, albo słyszał - powiedziała do Paolo - no i czekam na raport techników. Niech się zajmą tymi pociskami oraz granatem. Chusteczki niech na razie zostawią - dodała do Sergio i zeskoczyła ze stołu.

- A ja? - zapytał drugi policjant. Popatrzyła na blondyna. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat. Był ubrany po cywilnemu tak, jak Silvia.

- Ty pojedziesz ze mną - powiedziała - mamy pracować razem, musimy się lepiej poznać. Paolo i Sergio znam. Musimy odwiedzić pewnego starego znajomego. Ma okazałą rezydencję tuż za centrum - dodała.

- A po co? Co wspólnego ma ten stary znajomy z Całunem? - zapytał blondyn, ruszając za nią.

- Zobaczysz na miejscu - powiedziała z uśmiechem Silvia i zatrzymała się w połowie kroku, po czym odwróciła się w jego stronę

- a tak w ogóle, chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni - dodała i wysunęła w jego stronę dłoń - Silvia Gaspare - przedstawiła się z uśmiechem - choć pewnie wiesz.

- No tak, wiem - przyznał z uśmiechem - Marco Dicarlo - dodał, ściskając jej dłoń.

- No to jedziemy - powiedziała i szybko ruszyła do wyjścia.

Marco skrzywił się i popatrzył na wyświetlacz radia, zamontowanego w Nissanie. Pełny pakiet audio, zamówiony wraz z zakupem samochodu, odtworzył z płyty CD początek francuskiego hip-hopu. Silvia nie zwróciła najmniejszej uwagi na nieznaczące westchnięcie Marca i zapaliła silnik. Wrzuciła pierwszy bieg w automatycznej, sekwencyjnej skrzyni biegów i auto żwawo ruszyło.

- Dlaczego znalazłeś się w Numero Uno, jak to określił Stary? - zapytała, nawet nie starając skryć ironii zmieszanej z pogardą w swoim głosie - ja zostałam wezwana do katedry w nocy, tak samo, jak technicy i Paolo, a ty... ?

- Cóż... - Marco chwycił się uchwyty w drzwiach, kiedy auto szybko pokonało zakręt, klucząc po jednokierunkowych, wąskich uliczkach centrum Turynu - ja zajmowałam się sprawą Całunu, gdy doszło do pożaru w dziewięćdziesiątym siódmym, pewnie dlatego. Poza tym... - Silvia popatrzyła na niego z zaskoczeniem. Domyślił się, dlaczego - nie prowadziłem tej sprawy sam, pomagałem przy niej...

- Staremu - dopowiedziała za niego.

- Tak. Pomażałem wtedy Marcelowi - czy akcent na imię komendanta był naprawdę tylko przypadkowy? Chwilę później wiedziała już, że nie - poza tym Marcelo jest dobrym komendantem, tylko może trochę za bardzo wybuchowym. Ale komendant musi taki być. A przy tej sprawie... Wychodzi z założenia, że ta sprawa to wielka szansa na niezły awans, gdy odzyskamy Całun... - urwał, gdy głośno prychnęła.

- Szczerze wątpię, by udało nam się go odzyskać - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał Marco - ja uważam, że znajdziemy tego, kto to zrobił.

- Może znajdziemy, może nie, wszystko zależy od tego, co dadzą badania śladów - powiedziała, wjeżdżając na jedną z główniejszych arterii prowadzących poza centrum - ale najprawdopodobniej Całunu już nie ma w kraju. Stary postąpił bardzo głupio.

- Czyżby?! - warknął Marco i popatrzył na nią z gniewem - to twój przełożony. Trochę szacunku.

- Nikt, poza nami nie wie o kradzieży. To jeden wielki cholerny błąd. Gdybym to ja była komendantem, postawiłabym na nogi całą policję w kraju przed wschodem słońca. Z mojego rozkazu policja pilnowała lotniska, stacje kolejowe, drogi. Do cholery, Stary nawet nikogo nie wysłał na lotnisko Caselle. Jestem pewna, że Całun opuścił już Włochy - powiedziała - i oddalił się w nieznanym kierunku - dodała żartobliwym tonem.

- Dlaczego tak myślisz?

- Gdybym to ja była złodziejem, nigdy nie liczyłabym na to, że Stary popełni takie błędy, jakie popełnił i wyleciała z kraju pierwszym samolotem. Mało to samolotów wylatuje z Turynu wczesnym rankiem? A my spotkaliśmy się dopiero przed ósmą. I w zasadzie tylko po to, by zostać opieprzonym przez Starego. Dopiero ja podjęłam jakiekolwiek decyzje co do działań. I To do tego w cholernie ograniczonym zakresie.

- Nie zgadzam się - powiedział Marco - Marcelo po prostu nie chciał do wybuchu międzynarodowego skandalu.

- Skandal i tak wybuchnie. Kwestia czasu, by prasa się o tym dowiedziała. Poza tym... Wierzysz, że średnio inteligentny człowiek uwierzył, że naprawdę chodziło tylko o zniszczenie drzwi? - zapytała i zwolniła. Przed Micrą pojawiła się szeroko otwarta brama prowadząca do sporej rezydencji.

- Przecież tutaj mieszka...

- Michael McFadyean - dokończyła za niego Silvia - jeden z bogatszych finansistów Turynu. Jest szefem sporej firmy maklerskiej oraz szefem równie sporej firmy zajmującej się nieruchomościami. Kiedyś był jednym z bardziej znanych złodziei sztuki.

- Nie sądzisz, że on...

- Oczywiście, że nie - powiedziała - od dawna nie jest złodziejem i teraz pracuje legalnie. I bez kradzieży ma dość forsy - powiedziała i zatrzymała się tuż za krwistoczerwonym Maserati Quattroporte - ale chcę z nim porozmawiać...

- Jak ty go poznałaś? - zapytał Marco, gdy wraz z Silvią wysiadł z samochodu i ruszył w stronę rezydencji. Fasada dwupiętrowego budynku była pokryta ładnymi płaskorzeźbami, a na parapetach dużych okien, w marmurowych donicach, rosły kwiaty.

- To długa historia - powiedziała Silvia - tropił go jeszcze mój ojciec. Ale to ja go złapałam. To było krótko po kradzieży kilku obrazów dla pewnego Włocha. Bardziej nam zależało na tym, żeby dopaść tego pasjonata sztuki, niż samego złodzieja, więc zaproponowałam mu współpracę w zamian za mniejszy wyrok, gdy przypadkiem wpadł. Totalny pech, po prosty po skoku, gdy jechał z łupem na spotkanie, na skrzyżowaniu pijany kierowca w niego stuknął. Na tyle poważnie, że Michael stracił przytomność i w szpitalu pierwsze, co zobaczył, to mundury policji. Poszedł na współpracę i tak się poznaliśmy. Siedział tylko rok w więzieniu o zmniejszonym rygorze, raz, że mieliśmy dowody tylko z jego ostatniego skoku, dwa, że współpracował, dzięki czemu ten Włoch został zatrzymany a policja odzyskała dzieła sztuki, skradzione nie tylko z włoskich muzeów. A sam Michael... Cóż, odsiedział tyle, ile musiał, wyszedł, wykorzystał zgromadzone dzięki napadom środki, jakich Guardia di Finanza nie umiała przejąć nawet po zdobyciu dowodów i założył firmę handlującą nieruchomościami. A potem drugą, maklerską. Obie firmy są czyste jak łąka. Ale mimo to przynoszą niezłe zyski - dodała, przechodząc obok czterystukonnego Maserati. Oboje podeszli pod drzwi i Silvia nacisnęła na niewielki dzwonek. Nie musieli długo czekać, drzwi otworzyła im kobieta mniej więcej w wieku Silvii, może nieco młodsza. Miała na sobie białoróżową koszulę z krótkimi rękawami i spódnice do kolan, a jej blond włosy były niezbyt dokładnie spięte w kucyk. Silvia uśmiechnęła się pod nosem. Tak, Michael nigdy nie stronił od pięknych kobiet. Postanowiła nie zdręzczać dłużej blondynki i błysnęła odznaką.

- My do pana Michaela McFadyeana - powiedziała spokojnie i nie czekając na reakcję blondynki, bezczelnie wprosiła się do środka, niedbale uderzając ją barkiem. Marco chcąc nie chcąc, wszedł za nią, rozglądając się wokół. Pomieszczenie, w jakim się znaleźli, wprawdzie go w niemałe osłupienie. Duży, przestronny hol, z wielkim, kryształowym żyrandolem, sufitem pokrytym rzeźbionym drewnem... Wystarczył jeden rzut oka na kominek, by cały hol zmienił się nagle w dziki las - wielki kominek postawiony w rogu wyglądał, jakby palenisko znajdowało się we wnętrzu wielkiego drzewa. Cały komin idący aż do sufitu na wysokości pierwszego piętra był w całości kryty drobno rzeźbionym drewnem udającym korę, zaś sufit pokrywały drewniane kasetony zielonego koloru, rzeźbione na kształt drobnych liści. Całość wyglądała tak, jakby w rogu holu stało wielkie drzewo, którego pień sięgał pod strop a

korona rozpełzła się po całym suficie. Silvia tylko szybko rzuciła okiem na kominek. Widziała go już kilka razy, poza tym dla niej nie był niczym więcej, jak tylko cholernie drogim kiczem. Ale cóż, o gustach się nie dyskutuje.

- Sophia, kto przyszedł? - rozległ się głos i na samej górze schodów pojawił się barczysty, nieco siwiejący, ale wciąż wyglądający na wysportowanego, czterdziestolatek. Miał na sobie modne spodnie oraz koszulę.

- Policja - powiedziała drgającym głosem Sophia. Chyba dlatego, że Silvia, chowając odznakę, nieco za bardzo odchyliła płaszcz. Specjalnie. Czarna kabura z jej policyjną Berettą była aż nadto widoczna.

- Nie martw się, kochana, dobrze wiesz, że mam rachunek nawet na paczkę pap... - urwał, gdy zobaczył Silię - ależ to moja przyjaciółka! - dodał. Silvia uśmiechnęła się i poczekala, aż zszedł.

- Witaj, Michael - powiedziała - akurat przejeżdżałam. Możemy gdzieś porozmawiać?

- Akurat mieliśmy wyjeżdżać... - powiedział - ale dla przyjaciółki zawsze znajdę czas - dodał i popatrzył na Marco - tylko dla przyjaciółki, jeżeli chcesz rozmawiać na naprawdę interesujące tematy - Silvia uśmiechnęła się. Sięgnęła do zewnętrznej kieszeni skózanego płaszcza i odwróciła się w stronę drugiego policjanta.

- Marco - powiedziała i jednocześnie rzuciła mu kluczyki - poczekaj na mnie w samochodzie - dodała i odwróciła się w stronę Michaela.

- Sophia, przynieś do mojego gabinetu butelkę koniaku oraz dwa...

- Jestem na służbie, Michael - przerwała mu Silvia.

- Tak, zasady nade wszystko - westchnął - zatem butelkę koniaku, jeden kieliszek oraz cappuccino - dodał do blondynki - a ciebie zapraszam - Silvia uśmiechnęła się i popatrzyła na Marco.

- Zaraz wrócę - powiedziała.

Gabinet Michaela był pokojem o wymiarach pięć na siedem metrów. W połowie dłuższej ściany był duży kominek, a na ścianie naprzeciwko niego dwa okna. Pod stopami Silvii, na pięknym, dębowym parkiecie leżał duży dywan. Michael usiadł za dużym biurkiem, na wygodnym fotelu, obitym czarną skórą. Silvii wydawał się dziwnie znajomy. Chyba takie same fotele miało czerwone Maserati. Michale dostrzegł jej spojrzenie.

- Tak, fotel był robiony na zamówienie. Identyczne fotele są w moim samochodzie - powiedział spokojnie Michael - nie masz pojęcia, jak bardzo dochodowe jest obracanie nieruchomościami - dodał z uśmiechem - połączone z umiejętnym obracaniem akcjami. Ale chyba nie o tym chcesz ze mną rozmawiać, prawda? - zapytał i wcisnął jeden z przycisków pod blatem biurka. W jednym z rogów rozjarzyła się gruba na kilkanaście centymetrów szklana tuba, sięgająca od podłogi do sufitu, wypełniona czerwonym woskiem, który w postaci dużych kropli spływał w dół, odbijał się od dna i znów podróżował w górę. Silvia tylko zmrużyła nieznacznie oczy. Kolejny bardzo drogi kicz. W dodatku ten kolor... Michael poszedł za jej wzrokiem i uśmiechnął się.

- Jak pewnie się domyślasz, wosk ma domieszkę lakieru identycznego z tym, jaki pokrywa Maserati - Silvia tylko się uśmiechnęła. Michael, jak na złodzieja sztuki, miał wyjątkowo skrzywiony gust. Czekala na jeszcze jakiś pokaz wyjątkowo drogiego kiczu, ale drzwi się otworzyły i po chwili blondynka postawiła przed nią filiżankę z pachnącą kawą, a Michaelowi podała butelkę z trunkiem. Nalał sobie obficie i poczekał chwilę, aż drogi alkohol się ogrzeje i delikatny aromat dotrze do jego nosa. Odezwiał się dopiero, gdy blondynka wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- A więc... - pociągnął niewielkiego łyka wybornego koniaku - przyjechałaś mnie zapytać, czy wiem coś na temat kradzieży Całunu Turyńskiego - westchnął. Silvia popatrzyła na niego niespecjalnie zaskoczona. Nie trzeba było być wyjątkowo mądrym, by domyślić się, co tak naprawdę stało się w katedrze. I nie mogła powstrzymać się od złośliwej myśli, że Sophia miałaby z tym zapewne wielkie problemy.

- Owszem - powiedziała Silvia - może dotarły do ciebie jakieś plotki? W końcu nadal znasz chyba kilku swoich konkurentów? - Michael pochodził jeszcze ze „starej szkoły”, działał w czasach, kiedy złodzieje sztuki na zamówienie uważali się nie za „zwykłych” złodziei, ale za prawdziwych mistrzów, za elitę. Mieli kiedyś nawet własne, nielegalne oczywiście, stowarzyszenie.

- To prawda, ale... Stowarzyszenie wykreśla tych, którzy zostają złapani. Nie miałem kontaktu od bardzo dawna. Poza tym... - Michael się zamyślił - Silvia, szukasz nie tam, gdzie trzeba - dodał. Silvia popatrzyła na niego czujnie.

- Nasze stowarzyszenie... Nie, na pewno nie. Całun, to nie sztuka. To nie jest dzieło sztuki, które mogłoby kogoś zainteresować. Pomyśl sama - powiedział i znów pociągnął łyka z pełnego kieliszka - Muzeum Egiptu, Galeria Sabauda, Muzeum Samochodów... Jest tyle muzeów, z których można by sobie coś zamówić... Po co komuś byłby potrzebny Całun? Silvia, ktokolwiek ukradł Całun, nie zrobił tego z tych samych powodów, z jakich ja to robiłem. Całun nie jest dziełem sztuki. Całun jest relikwią. Ktokolwiek ma teraz Całun, nie jest wielbicielem sztuki. Stawiałbym na jakąś sektę. Albo... - urwał.

- Albo? - zapytała i wypita ostatni łyk cappuccino.

- Widzisz, taka kradzież uderzyłaby prosto w serce wszystkich chrześcijan wierzących w autentyczność Całunu. I to jest moim zdaniem najbardziej prawdopodobne. Albo za jakiś czas ktoś znajdzie list z żądaniem jakiejś astronomicznej ceny za zachowanie Całunu w całości, albo... ma go jakaś zwariowana sekta. Ale ja stawiam na terrorystów ze wschodu.

- Wiesz, że zupełnie mi nie pomogłeś? - zapytała, udając gniew.

- Wiem. Ale raz, to nie moja branża, dwa, ja z tym skończyłem wiele lat temu - Silvia wstała z pięknie zdobionego krzesła.

- Dzięki - powiedziała i ruszyła do drzwi. Michael ruszył zaraz za nią...

- Dzwonił przed chwilą Paolo - usłyszała, gdy usiadła na fotelu przed kierownicą. Popatrzyła na Marco.

- I co?

- Mają jakiegoś świadka, który niby coś tam widział w nocy. Paolo mówił, że to nic wielkiego, ale że zawsze coś.

- No jasne, że zawsze coś - powiedziała z uśmiechem i silnik Nissana prawie dwulitrowej pojemności zamruczał - a Sergio?

- Paolo mówił, że nadal są prowadzone analizy.

- No, to jedziemy - powiedziała i ruszyła szybko, bez trudu przejeżdżając obok Maserati...

- Więc co mamy? - zapytała Silvia, wpadając jak burza do sali, która została przekazana tylko członkom Numero Uno. Zamykając za sobą drzwi zauważyła, że wisiła już na nich tabliczka z odpowiednim napisem. Paolo popatrzył na Silię i sięgnął po kilka zdjęć.

- Mieliśmy szczęście - powiedział, podając jej fotki - blisko katedry mieszka pewien hobbista - dodał z uśmiechem. Silvia popatrzyła na zdjęcia. Czarnobiałe, stare zdjęcia przedstawiające radzieckich jeszcze żołnierzy, stojących przed jakąś dużą ciężarówką. Kolejne zdjęcie - podobna ciężarówka, ale tym razem z baterią rakiet na pace. Kolejne zdjęcie i znów ta sama ciężarówka. Popatrzyła na inne zdjęcia i oddała Paolo, nie mając ochoty na oglądanie kolejnych zdjęć ciężarówek.

- Co jest na tych zdjęciach?

- Na tych zdjęciach są różne odmiany radzieckiej jeszcze ciężarówki Ural - Silvia popatrzyła na niego zaskoczona - nie patrz tak. Ten Włoch jest modelarzem. Pasjonują go akurat ciężarówki. Ma faktycznie imponującą ilość modeli. Tej nocy jeszcze nie spał, kiedy to się stało. Dzięki temu, że miał otwarte okno, usłyszał silnik. Twierdzi, że od razu poznał maszynę. Ciężarówka, która w nocy pojawiła się pod katedrą to Ural 375. Niestety, gdy ją rozpoznał i poszedł po aparat, by zrobić jej zdjęcia, ciężarówka już zniknęła.

- No tak, ale teraz są prace konserwacyjne i...

- Miałem czas, by się w to wgłębić - przerwał jej Paolo, pokazując stary miesięcznik modelarski, z dokładnym omówieniem ciężarówek Ural - te ciężarówki były produkowane w czasach, gdy ZSRR było pod rządami Stalina. Model Ural 375 był produkowany w latach siedemdziesiątych, Silvia.

- No i co z tego? - zapytała Silvia - poza tym... Ten cały modelarz widział tego Urala w nocy, z nie wiadomo jakiej odległości. Poza

tym na terenie katedry prowadzone są prace konserwacyjne... - wyraźnie odnosiła się sceptycznie w stosunku do zeznań hobbisty.

- Silvia, ciężarówka miała wojskowe plamy maskujące, typowo wojskowy brezentowy dach oraz dużą czerwoną gwiazdę na drzwiach i masce. A ten hobbista... Silvia, rozpoznasz swoją Berettę z kilku metrów? - zapytał Paolo. Popatrzyła mu w oczy i z jej spojrzenia Paolo wyczytał, że dała za wygraną.

- Dobra. Mam nadzieję, że już tej ciężarówki szukają? - zapytała.

- Owszem. Przeglądamy już policyjne kamery zainstalowane w mieście. Fotoradary również.

- Super. A co z balistyką? I tą nietypową amunicją? Jakież odciski? - zapytała jednego z kilku techników, obecnych w sali.

- Tutaj gorzej. Żadnych śladów, odcisków, niczego. Amunicja, jakiej użyto to standardowe aż do bólu pociski pięć, czterdzieści pięć na trzydzieści dziewięć milimetrów. Amunicja... Tego typu amunicja zrobiła się ostatnio całkiem popularna, wiele firm ochroniarskich jej używa. Jak się sama przekonałaś, nie zabija. I jest o wiele droższa od zwyczajnej. Nie mam pojęcia, dlaczego nie użyli zwykłej - wyjaśnił Sergio. Silvia przymknęła nieco oczy. Przypomniła sobie słowa Michaela. Terrorysty nie przejmowałoby się stratami przy kradzieży. Usiadła na jednym z krzeseł i popatrzyła na policjantów.

- Jakie teorie? - zapytała. Paolo westchnął.

- Chyba jedyna możliwa - powiedział - ktoś bardzo bogaty chciał mieć Całun na własnej ścianie - Silvia zakłęła pod nosem. Tego się bała. Wiedziała z doświadczenia, że tego typu sprawy były bardzo trudne do rozwiązania. Drzwi do sali otworzyły się i wszedł jeden z młodszych policjantów.

- Silvia, komendant cię wzywa - powiedział i wyszedł. Z pasowych ust Silvii znów spłynęło przekleństwo...

Gdy weszła do jego biura, komendant stał plecami do drzwi, patrząc w okno. Dłonie miał złożone na wysokości nerek. Nawet nie odwrócił się w jej stronę.

- Wzywałeś mnie? - zapytała.

- Oczywiście. Co macie? - Silvia westchnęła nieznacznie.

- W tej chwili przeglądane są wszystkie zdjęcia oraz zapisy z policyjnych kamer wideo w mieście. Szukamy radzieckiej...

- Chyba rosyjskiej? - prychnął gniewnie, przerywając jej.

- Radzieckiej ciężarówki Ural 375. Była widziana na miejscu, w nocy, kiedy został skradziony...

- Kiedy zniszczono drzwi - znów jej przerwał.

- Marcelo, to jest bez sensu - powiedziała, zastanawiając się, czy komendant wścieknie się bardzo, czy tylko trochę - nie widzę powodów, dla których dalej to ukrywać. W którymś momencie prasa i tak się dowie - komendant spokojnie się odwrócił i popatrzył na nią.

- Bierzesz to na siebie? - zapytał spokojnie - jeżeli zorganizuję konferencję z prasą, weźmiesz na siebie prowadzenie śledztwa?

- Silvia wzruszyła ramionami.

- I tak je prowadzę. Zrób, jak chcesz, prędzej, czy później to wypłynie. Ja mówię ci teraz, że ukrywanie tego jest bez sensu. A co do tego, co mamy... Badania kul nie dały kompletnie nic. Nie mamy żadnego śladu poza tą ciężarówką - powiedziała i ruszyła do drzwi - już jej szukamy - dodała i zniknęła za nimi...

Młody, ledwie początkujący dziennikarz z trudem wierzył uszom. Siedzący przed nim mężczyzna właśnie mówił o... cóż, jeżeli miałby to nazwać dziennikarską bombą, to przymiotnik atomowa byłby jak najbardziej na miejscu. Całun Turyński został skradziony a policja ukrywała to przed wszystkim, nie mając w dodatku absolutnie żadnych śladów.

- Cóż, jeżeli to, co pan mówi jest prawdą, to... To będzie olbrzymi skandal. Nie wiem, czy... - dziennikarz szukał odpowiednich słów - to... jest wielkie ryzyko. Jeżeli ta informacja się nie potwierdzi...

- Tak, to jest pewne ryzyko. Ale proszę pomyśleć racjonalnie - powiedział spokojnie wysoki, szczupły brunet - czy naprawdę ktoś chciałby się włamywać do katedry tylko po to, by zniszczyć drzwi?

- Wie pan to akurat rzeczywiście jest zdecydowany argument „za” - powiedział dziennikarz i sięgnął po wysoką szklankę z sokiem - ale nadal nie wiem, czy mój naczelny...

- Jest pan młodym dziennikarzem. Nie marzył pan nigdy o prawdziwym dziennikarskim śledztwie? O temacie, który wywoła prawdziwą aferę?

- Owszem, ale... Gdyby to naprawdę wyszło na jaw, wywołałoby gigantyczny skandal. Poza tym... Pan nie jest policjantem. Skąd pan wie? Jak ma pan dowody? I wreszcie - co z tego pan będzie miał? - mężczyzna się uśmiechnął.

- Widzi pan... Nie wie pan, czy jestem policjantem, czy nie - powiedział mężczyzna - a teraz... - dodał, sięgając do niewielkiej teczki - szybka decyzja.

- To znaczy? - zapytał spokojnie dziennikarz.

- To znaczy - w dłoni byłego policjanta pojawiła się żółta koperta - tutaj są policyjne zdjęcia z wnętrza katedry oraz z kaplicy, w której trzymany był Całun. Poza tym dołączone są wszystkie materiały, jakie ma policja na ten temat. Łącznie z nazwiskami policjantów, którzy prowadzą śledztwo. Bierz pan to, czy też mam iść do konkurencji? - dziennikarz westchnął.

- Biorę - mężczyzna siedzący naprzeciwko niego uśmiechnął się, położył kopertę na blacie stołu i szybko wyszedł z niewielkiej kawiarni...

Silvia spokojnie wyszła ze swojego mieszkania i ruszyła do zaparkowanego przy ulicy Nissana. Była ledwie siódma rano. Gdy stanęła już przy drzwiach samochodu by je otworzyć, w oczy rzucił się jej czerwony, krzyczący tytuł w jednym z dzienników: „Skradziono Całun Turyński!”. Szybko podeszła do kiosku i kupiła dziennik. Wystarczyło, by przeczytała ledwie kilka pierwszych słów:

- Całun Turyński został skradziony. Redakcja ma na to pewne, niepodważalne dowody w postaci policyjnych zdjęć oraz materiałów, zna również nazwiska policjantów prowadzących śledztwo w tej sprawie... - urwała i zakłęła pod nosem. Szybko ruszyła do samochodu. Gdy usiadła za kierownicą, po chwili namysłu sięgnęła pod fotel pasażera i na dachu auta położyła magnetyczną syrenę. Gdy ta zaczęła wyć, Nissan ruszył szybko. Starego trafi szlag...

- Widzieliście? - zapytała Silvia, gdy tylko weszła do niewielkiego pokoju, w której czekali już na nią Sergio, Paolo i Marco. W dłoni trzymała dziennik.

- Tak - powiedział Paolo - widziałem. Wolę nie myśleć, co na to Stary. A wiesz co? Rzecznik policji, który do ciężkiej cholery nic nie wiedział, właśnie się tłumaczy przed dziennikarzami. Z tego, co wiem, Stary już z nim jest. I mamy tutaj czekać - Silvia westchnęła.

- No, to czekając na niego możemy pomyśleć - powiedziała - Paolo, mamy już coś konkretnego? - zapytała.

- Niespecjalnie. Wyobraź sobie, że ciężarówka nie pojawiła się na żadnej kamerze. Sprawdziłszy wszystkie nagrania bardzo dokładnie. Ani śladu - powiedział i wstał z krzesła - popatrz na to - dodał, podchodząc do niewielkiego stołu. Silvia popatrzyła na mapę Turynu, na której widniały liczne czerwone i zielone linie. Zielonych było o wiele więcej. Dostrzegła, że tymi liniami były ulice.

- Widzisz, zielone ulice są objęte monitoringiem. Czerwone linie, to prawdopodobne drogi wyjazdu z miasta spod katedry - wyjaśnił Paolo. Silvia zauważyła, że czerwone linie kluczyły, starannie omijając zielone linie.

- No tak, ale poza tymi czerwonymi, mogli uciekać również innymi ulicami.

- Mogli - powiedział Paolo - ale po pierwsze, jechali trzyosiową ciężarówką o ładowności siedmiu i pół tony, po drugie, uciekali z miejsca przestępstwa. Założyliśmy, że będą chcieli wyjechać szybko i bezpiecznie z miasta. Nawet przez głupią stłuczkę ktoś mógł

lby na przykład zapamiętać ciężarówkę.

- Fakt, ja zapamiętałabym taki pojazd - przerwała mu Silvia - i nie musiałby mnie nawet stuknąć.

- Właśnie. Więc zrobiliśmy tą mapkę opierając się na tym założeniu. Czerwone linie to szerokie, bezpieczne ulice o dużej przepustowości, po których tak duża ciężarówka może jechać w miarę szybko, nie ryzykując pechowego wypadku.

- Dobra robota - pochwaliła go - jeżeli ten, kto odważył się na taki skok, w taki sposób zaplanował ucieczkę, musiał doskonale znać miasto. Może to ktoś miejscowy?

- Może... - powiedział Paolo - a może ciężarówka była przez kogoś pilotowana. Tego też nie możemy wykluczyć. Poza tym nawet, jeżeli to był ktoś miejscowy, to co z tego? Do cholery, Silvia, nie mamy kompletnie nic. No naprawdę. Żadnego śladu, żadnych poszlak, nic.

- Moi ludzie sprawdzają cały czas dokładnie znalezione łuski i pociski - wtrącił Sergio - ale nie liczyłbym na sukces. Brak odcisków, brak śladów. Nic nie mamy - Silvia westchnęła cicho. Z wyraźną rezygnacją - amunicja, jaką można w zasadzie dostać bez trudu w wielu miejscach.

- No tak - westchnął Marco - a ja przejrzałem dokumenty, jakie mamy od świadków. Wiesz, zakonników z katedry i tego jednego Włocha. Za dużo nam nie powiedzieli. Dwunastka ludzi, ubranych w czarne, albo ciemnozielone stroje, zamaskowanych. Ani słowa rozkazu. Cisza. Nawet nie wiadomo, jakiej byli narodowości.

- Tak sobie myślę, że to będzie najgorsze śledztwo w całej mojej karierze. Ale to tylko moje wrażenie - westchnęła i w tej chwili drzwi do sali otworzyły się. Cztery pary oczu popatrzyły na Starego. Jego kamienna twarz nie wyrażała niczego, ale bladzielone oczy płonęły gniewem. Nim jeszcze zamknął za sobą drzwi, rzucił im gniewne pytanie:

- Kto sypanął? - warknął. Nikt się nie odezwał. W końcu Silvia, czując się jakoś odpowiedzialna za Numero Uno, odezwała się pierwsza.

- Nikt z nas - popatrzyła odważnie w oczy komendanta - zachowujemy dyskrecję.

- Więc skąd jest to? - zapytał, wskazując na dziennik, leżący na jednym z krzesel.

- Cóż... - westchnęła, zastanawiając się, czy może pozwolić sobie na nieco bardziej odważne wyjaśnienie, ale w końcu zaryzykowała - mogłabym powiedzieć „a nie mówiłam”. Marcelo, od samego początku byłem z tym, by tego nie trzymać w tajemnicy - komendant popatrzył na nią spojrzeniem pełnym wściekłości a Silvia liczyła na jego kolejny wybuch gniewu.

- Niestety, muszę przyznać ci rację - westchnął - ale to nie zmienia faktu, że... Widzicie, spotkał się ze mną sam naczelny tego dziennika i pokazał mi wszystkie wasze materiały. Ja od razu nałożyłem otoczkę tej sprawie. O tym nie mógł wiedzieć nikt inny poza mną i wami.

- Jakie materiały? - zapytała Silvia, zupełnie zaskoczona.

- Na nasze szczęście wykazał się sporą dawką inteligencji i wyczucia. Nie opublikował wszystkich materiałów ze względu na dobro śledztwa - Marcelo zupełnie zignorował jej pytanie - tym niemniej, wśród nas jest ktoś, kto wydał te wszystkie materiały prasie. Chcę wiedzieć, kto. Oczywiście nie będę was trzymał w niepewności. Osoba, która to zrobiła, wyleci z policji w trybie ekspresowym. Jeżeli natomiast nie dowiem się, kto za tym stoi... - urwał na chwilę i Silvia wiedziała, że szykuje dla nich wszystkich coś wyjątkowo podłego - macie dyscyplinarne nagany. Wszyscy bez wyjątku - skończył i zniknął za drzwiami. Silvia wypuściła powietrze i popatrzyła kolejno po każdym z policjantów, po czym jej wzrok zatrzymał się na Marco. Za jej wzrokiem poszli Paolo i Sergio.

- Nie patrzcie na mnie - powiedział blondyn - to nie ja.

- Nie wiem - powiedziała spokojnie Silvia - i daleka jestem od rzucania oskarżeń. Ledwie kilka razy widziałam cię na komendzie. Nie znam cię. A z Paolo i Sergio już kilka razy współpracowałam przy różnych sprawach. Ale nie wiem, czy to ty, czy ktoś inny. I staram się nad tym nie myśleć.

- To nie ja - powiedział dobitnie Marco - poza tym powiedz mi, co by mi to dało?

- Nie wiem - przyznała Silvia - ale wydaje mi się, że mamy ważniejsze sprawy na głowie. Więc zajmijmy się tym. Raz jeszcze. Co mamy dotychczas?

- To, że kierowca ciężarówki znał miasto. Umiał się przez nie przedostać ponad siedmiotonową ciężarówką szybko i bezpiecznie, nie rzucając się w oczy. Nawet taksówkarzom i kierowcom miejskich autobusów. Musiał więc mieć pilota. Widzisz... Kazałem ludziom zabrać zdjęcia tego Urala i popytać taksówkarzy i zawodowych kierowców, którzy tej nocy mieli kursy autobusami. Jednak nadal nic. Nikt nic nie widział. Jeżeli ten nasz Włoch mówił prawdę... Cholera, ja bym chyba zapamiętał typowo wojskową ciężarówkę z czerwoną gwiazdą na drzwiach i masce - skinęła potakująco głową.

- Silvia, naprawdę nie zamierzasz nic zrobić z tą dyscyplinarką? - zapytał Sergio - nie mam ochoty dostawać w papiery krechę za coś, czego nie zrobiłem - popatrzył wymownie na Marco.

- To nie... - zaczął znów się usprawiedliwiać.

- Nie zamierzam - przerwała mu Silvia - do tych materiałów miała dostęp tylko nasza czwórka oraz twoi technicy - dodała.

- A ten twój przyjaciel? - zapytał Marco - ten złodziej sztuki?

- Rozmawiałś o tym z McFadyean'em? - zapytał oskarżycielsko Paolo i cała trójka popatrzyła na nią. Silvia uśmiechnęła się ironicznie.

- Ktokolwiek przekazał prasie te informacje, miał w tym cel. Który, jak widzę, został osiągnięty. Numero Uno przestanie istnieć, jeżeli nie będziemy umieli zająć się śledztwem na poważnie, a nie bawić we wzajemne oskarżenia - powiedziała - ale tak, rozmawiałam o tym z Michaeliem. Tak, Marco nie był przy tej rozmowie. Tak, Michael wie, że chodzi o kradzież Całunu, jest przecież inteligentnym człowiekiem. Ale nie powiedziałam mu ani słowa o dowodach, skąd miałyby je wziąć? Poza tym... Do Michaela pojechałam razem z Marco zaraz po pierwszym spotkaniu ze Starym. Wtedy jeszcze nic nie widzieliśmy.

- To fakt - powiedział Paolo - przepraszam.

- Więc... ja nie mam pojęcia, co można jeszcze zrobić - westchnęła - chyba poszliśmy wszystkimi możliwymi śladami. A co do dziennikarzy... Włoch wiedział o ciężarówce. Zakonnicy z katedry wiedzieli o wszystkim. Odpowiednia suma pieniędzy zawsze skusi.

- Silvia, są jeszcze chusteczki, jakie znalazłaś... - powiedział Sergio. Silvia westchnęła.

- No są... Niech twoi ludzie... - urwała i popatrzyła na niego - ufasz im?

- Ufam - odpowiedział Sergio, może nieco obrażonym głosem. Silvia pokręciła głową.

- Sergio, przepraszam, to odruch.

- Chusteczki zbadam sam - powiedział - będą na wieczór - dodał i ruszył do drzwi...

Silvia spokojnie weszła do niewielkiego, policyjnego laboratorium, częściowo skrytego w półmroku. Kilka białych stołów było pustych. W laboratorium nie było nikogo, jedynie przy jednym ze stołów stał mężczyzna. Pochylił się nisko nad blatem, ale i tak tylko część światła z dużej lampy padała na niego, nieznacznie oświetlając jego ciemnobraunowe włosy. Silvia podeszła jeszcze bliżej.

- Sergio - powiedziała. Mężczyzna pochylający się nad stołem podskoczył wystraszony i odwrócił się.

- Silvia - westchnął. Uśmiechnęła się.

- A kogo się spodziewałaś? - zapytała z uśmiechem i zerknęła na chusteczki, leżące na stole. Były pokryte drobnym grafitowym proszkiem i Silvia zauważyła, że w kilku miejscach widać było niewielkie, półkolisty kształty odcisków palców - znalazłaś coś? - zapytała.

- Tak - westchnął - całkiem wyraźne ślady, myślę, że uda się coś z nich wyciągnąć - powiedział i popatrzył jej w oczy - a ty jak się czujesz? - Silvia bez słowa przytuliła się do niego i delikatnie pocałowała. Oparła się policzkiem o jego ramię i poczuła, jak ją objął.

- Fatalnie, Sergio. Mam już dość. Stary się na nas wydiera, nie wiadomo, z jakiego powodu...

- No akurat tutaj to ma trochę racji. Widziałem go dzisiaj po rozmowie z burmistrzem. Wyszedł cały błądy.
- No ja wiem... Ale przecież robimy, co możemy - westchnęła - nie powinien się nad nami znęcać. To nie nasza wina. Poza tym...
Ja się obawiam, że nie odzyskamy tego Całunu.
- Wiesz, jaki jest - powiedział cicho. Poczuła, że ją puścił - zobaczymy, co tutaj mamy - westchnął i znów wrócił do chusteczek - jest tu trochę odcisków. Miałas niezłe oko, że je wypatrzyłaś. I jeszcze lepszą głowę, że pomyślałaś, by je zabezpieczyć.
- Wiesz... W tym miejscu przechodzili sanitariusze, niosąc na noszach zakonników. Komuś mogły wypaść z kieszeni - powiedziała
- nie wiem, czy ma to jakikolwiek sens - dodała.
- Zobaczymy - powiedział i przysunął do chusteczek kliszę drogiego aparatu rentgenowskiego, uprzednio pokrywając okolice odcisków ołowianym proszkiem.

Komputer stojący w rogu wydał niewielki dźwięk a drukarka zaczęła wypływać kolejne kartki papieru. Silvia zareagowała wcześniej od Sergio i po chwili trzymała już w dłoni kolejne wydruki. Obejrzała je i podała Sergio. Rzucił fachowym okiem na papier i porównał kilka wydruków.

- Na oko wszystkie są od tej samej osoby. Dokładnie będziemy wiedzieli, gdy wrzucimy to do komputera i sprawdzimy w bazie
- powiedział i zerknął na srebrny zegarek na lewym nadgarstku - ale to już jutro. Jest już prawie jedenasta - Silvia ziewnęła ukradkiem. Była zmęczona.
- No to do jutra, Sergio - powiedziała, pocałowała go na pożegnanie i ruszyła do drzwi. Sergio wyłączył lampę oświetlającą stół, który pracował, po czym zamknął laboratorium na klucz i ruszył do wyjścia. Gdy podszedł do czarnego, sportowego motocykla, jej Micra przejechała tuż obok. Nim Silvia wyjechała z policyjnego parkingu, popatrzyła we wsteczne lusterko i cicho westchnęła. Jej mąż zostawił ją ledwie dwa lata temu. Wyjechał na „kontrakt” i potem Silvia dostała list urzędowy zawiadamiający ją o rozwodzie. „Jaka ja byłam głupia” - to zdanie wiele razy sobie później powtarzała. A z Sergio spotykała się ledwie od kilku miesięcy. I jakoś nie mogła się przemóc, by zaprosić go do siebie na kolację. Przestała o tym myśleć, gdy zrobiło się zielone i budynek komendy zniknął z jej lusterka. Jutro kolejny dzień i zapewne kolejne przykre słowa od Starego, jakie musi zignorować...

- Słuchaj, nie mamy nikogo o takich odciskach w bazie - powiedział Sergio, gdy następnego dnia pojawiła się na komendzie. Silvia nie powiedziała nic. W zasadzie tego właśnie się spodziewała. Pracownicy pogotowia oraz zakonnicy z katedry nie figurowali w ich bazie.

- Tak właśnie myślałam - westchnęła - słuchaj, wezmę sprzęt do zdejmowania odcisków palców i pojadę z Marco do szpitala, gdzie zostali przywiezieni ci zakonnicy - dodała.

- Po co?

- Chcę pobrać odciski palców obecnych tej nocy pod katedrą i znaleźć właściciela tych pechowych chusteczek.

- A nie uważasz, że chusteczki były tam już przed całym tym napadem? - zapytał spokojnie Sergio. Silvia popatrzyła na niego zaskoczona.

- Cholera... O tym nie pomyślałam - westchnęła.

- No widzisz...

- Sergio, załamujesz mnie - powiedziała - nie mamy żadnych śladów.

- Mi tego nie musisz mówić - zaklął paskudnie - dawno nie mieliśmy tak fatalnych wyników. A do tego jeszcze ta afery z dziennikarzami.

- Owszem. Ale afery w sumie przyniosła kilka dobrych rzeczy.

- To znaczy? - zdziwił się.

- Skoro i tak już o tej sprawie wie cała policja, to mamy o wiele więcej ludzi do dyspozycji, którzy wiedzą, czego szukać. Policyjni informatycy już przeglądają Internet. Na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś chciał sprzedać Całun na przykład na jakiejś nielegalnej aukcji. Albo na aukcji, której przedmiotem byłby „wyjątkowo wierna oryginałowi” kopia. A ja... Mimo wszystko pojadę do tego szpitala. Wiesz, chcę uspokoić sumienie, że jednak poszłam wszystkimi możliwymi śladami - powiedziała.

- Jak chcesz - westchnął. Silvia ruszyła do drzwi a przechodząc obok jego biurka zabrała jeden z wydruków.

- O kurczę. Co wy robicie? - zapytała, gdy weszła do pomieszczenia przeznaczonego tylko dla Numero Uno. Byli tam już Marco i Paolo. Na stole leżał stos komputerowych wydruków formatu A4, a oni dwaj porównywali kolejne wydruki z tym, co widać było na ekranach komputerów.

- Wiedziałas, ile jest w Internecie rzeczy związanych z Całunem Turyńskim? - zapytał Paolo - w cholere. A odfiltrowanie stron, które należą do oficjalnych portali edukacyjnych niewiele dało. Właśnie szukamy czegoś, co może nas naprowadzić na jakąś nielegalną aukcję.

- Fajnie... Marco, masz przerwę, jedziemy do szpitala - powiedziała.

- Po co?

- Z tych chusteczek, które znalazłam, Sergio ściągnął wyraźne odciski. Chcę pojechać do szpitala i zdjąć odciski załogi karetki, która przyjechała tej nocy pod katedrę. To pewnie któryś z nich zgubił te chusteczki.

- Dobra - powiedział Marco, z wyraźną ochotą odrywając się od papierowej roboty. Gdy Silvia wraz z nim ruszyła do drzwi, złapała spojrzenie Paolo, pełne wyrzutu.

- Ciebie też bym zabrała, ale ktoś to musi dalej robić - powiedziała z uśmiechem - jak wrócimy, to wam z tym pomogę - dodała i wyszła razem z Marco...

- Dzień dobry, jestem Silvia Gaspare, z policji - powiedziała spokojnie, gdy wraz z Marco weszła do poczekalni pogotowia i nie czekając nawet na reakcję kobiety siedzącej za biurkiem, dodała - chciałabym się zobaczyć z załogą karetki, która została wezwana pod katedrę turyńską w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego września - kobieta popatrzyła na nią zaskoczona, po czym przeniosła wzrok na odznakę. Silvia szybko ją schowała, nieprzypadkowo pokazując służbową broń. Zdążyła się już nauczyć, że zazwyczaj widok policyjnej broni całkiem skutecznie sugerował posłuszeństwo.

- Tak, oczywiście - powiedziała kobieta i chwyciła za mikrofon. Niedługo musieli czekać - zaraz otworzyły się jedne z drzwi i wyszedł z nich wysoki, barczysty mężczyzna, w stroju ratownika pogotowia. Popatrzył na nich badawczym wzrokiem.

- Pani chciała się ze mną zobaczyć? - zapytał.

- Z panem i z obecnymi na miejscu sanitariuszami - powiedziała.

- A o co chodzi? Ja jestem dowódcą tej grupy, która wtedy pojawiła się pod katedrą.

- Chcielibyśmy panu oraz pozostałym sanitariuszom pobrać odciski palców. Chyba, że któryś z pańskich ludzi lub też pan przyzna się do zgubienia chusteczek pod katedrą - powiedziała. Ratownik popatrzył na nią, po czym roześmiał się. Prawdę powiedziawszy, właśnie takiej reakcji się spodziewała.

- Czy ma to jakiś związek z zarzutem zaśmiecania miasta? - zapytał rozbawionym tonem.

- Nie - wtrącił Marco - mogliśmy po prostu wysłać policyjny nakaz o stawienie się w celu złożenia dodatkowych wyjaśnień i zrobić to na miejscu, na komendzie. Chciałbym zauważyć, że przyjeżdżając tutaj, znacząco idziemy panu oraz pańskim ludziom na rękę.

- Czyżby? - warknął w odpowiedzi sanitariusz - z tego, co mi wiadomo ani ja, ani żaden z moich ludzi nie popełnił żadnego przestępstwa, które mogłoby to tłumaczyć. Więc mam pełne prawo odmowy jakichkolwiek zeznań.

- Spokojnie - powiedziała Silvia - chodzi tylko o to, by sprawdzić, czy odcisk palca, jaki znaleźliśmy na chusteczkach należy do pana,

bądź też do któregoś z pańskich ludzi, czy jednak możemy mieć nadzieję, że chusteczki zgubił przestępca uciekający spod katedry. Ani pan, ani żaden z pańskich ludzi nie został o nic oskarżony - dodała - i raczej się na to nie zanosz. Nawet gdyby okazało się, że na chusteczkach są jednak pańskie odciski, lub któregoś z pańskich ludzi... My po prostu będziemy wiedzieli, że nie musimy już dalej iść tym tropem - zauważyła, że na szyi ratownika znajdował się srebrny łańcuszek z drobnymi oczek, utrzymujący niewielki krzyżyk - po prostu w ten sposób będzie nam pan mógł pomóc - ratownik wzruszył ramionami.

- Więc proszę za mną i miejmy to już za sobą - westchnął, odwrócił się i ruszył do drzwi, z których ledwie kilka chwil temu wyszedł...

- Masz coś? - zapytała spokojnie Silvia. Paolo właśnie porównywał na ekranie monitora dwa odciski palców, nieco podobne do siebie.

- Raczej nie - powiedział oschle - nasze bazy nic nie wyłapały. Najpierw zrobiłem porównanie ze znanymi nam złodziejami, ale to nic nie dało, więc przeszedłem przez różne typy do wynajęcia, teraz to już lecę po wszystkich pozostałych. Było kilka podobnych, ale komputer z całą pewnością wykluczył podobieństwo. A ty?

- Tak, jak Marco. Jutro będę wymiotowała komputerem. A poza tym nic. Kilka stron umieściło skąpe informacje o kradzieży, starym jednak unikając słów „stracony” i nadużywając „czasowo zaginiony”. Ale to nic nie daje.

- No... kiepsko, że nie mamy tego odcisku w bazie. To mógł być jakiś turysta, który je zgubił. Albo jakiś mieszkaniec Turynu. Albo zakonnik...

- Zakonników sprawdził Marco. Też odpadli. Ale wydaje mi się, że te chusteczki to faktycznie beznadziejny trop.

- Jutro rano wyślę je do Interpolu - powiedział spokojnie Paolo. Silvia popatrzyła na niego zaskoczona.

- Po co? Szczerze wątpię...

- Ja też - przerwał jej - ale co nam szkodzi spróbować - dodał. Silvia wzruszyła ramionami.

- Znikam, bo jeszcze trochę i zasnę na stojąco - westchnęła - do jutra - odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Silvia, jutro rano, jeszcze zanim my się spotkamy, Stary chce się z tobą widzieć - powiedział Paolo. Silvia popatrzyła na niego.

- Fantastycznie. Nie marzę o niczym innym. Cześć - odpowiedziała, odwróciła się i zniknęła za drzwiami...

Silvia wsunęła klucz do zamka w drzwiach swojego mieszkania, gdy nagle ktoś chwycił ją mocno i czyjaś ręka zasłoniła jej oczy. Szarpnęła się tylko raz, dopóki nie poczuła zapachu.

- Sergio? - zapytała. Mocny uchwyt się rozluźnił i Silvia odwróciła się. Nie pomyliła się - co tutaj robisz? - zapytała. Sergio uśmiechnął się. Silvia popatrzyła w jego oczy i czuła, że całkiem rozmiękła. Wtuliła się w jego ramiona - mam dość tego - poczuła, że objął ją ramionami.

- Wiem, dlatego tutaj jestem - powiedział z uśmiechem. Dopiero teraz zauważyła, że coś trzymał w jednej z rąk - twoje ulubione wino i wszystko, co potrzebne do spaghetti. Masz ochotę?

- Pewnie - powiedziała i otworzyła mu drzwi. Tego wieczoru jednak nie było spaghetti. Jedynie kilka lampek wina i wspólna kąpiel. Ale właśnie tego Silvia potrzebowała - kilku chwil zupełnego oderwania się od problemów śledztwa. Pewnie dlatego następnego dnia obudziła się przed budzikiem. Ale już sama. Sergio nigdzie nie było, za to w całym mieszkaniu unosił się zapach spaghetti. Z uśmiechem usiadła na łóżku, wspominając cudowny wieczór i noc u boku mężczyzny, z którym chyba mogłaby się już związać. Serce przestało boleć po tym, jak urządził ją jej były mąż. Z uśmiechem popatrzyła na budzik. Miała dość czasu, by spokojnie skorzystać z wanny i podgrzać trochę ostygłe spaghetti. Dopiero, gdy wskazówki zegara leniwie wtoczyły się na ósmą, pojechała na komendę z uśmiechem na ustach...

- Właśnie wracam od Starego - westchnęła, gdy weszła do niewielkiego pomieszczenia przeznaczonego tylko dla jej zespołu. Czekali już na nią Paolo oraz Marco - burmistrz wyraża wielkie zaniepokojenie a kancelaria papieska tylko odrobinę większe. Za to ich oburzenie na to, że muszą o czymś tak ważnym dowiadywać się z gazet, było o wiele większe. Znów musiałam świecić oczami za nasz zespół - westchnęła.

- Silvia... - odezwał się Marco.

- Wiem - przerwała mu - to nie jest nasza wina. Wiem przecież, że robimy, co możemy - dodała i rozejrzała się. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma Sergio. Wzruszyła ramionami. Pewnie był w laboratorium.

- Silvia, ja nie o tym - powiedział Marco spokojnie, a ton jego głosu sprawił, że Silvia natychmiast skupiła na nim swoją uwagę. W jego wzroku było coś...

- Co się stało?

- Dobra wiadomość. Nie dostaniemy dyscyplinarek. Zła - zawiesił na chwilę głos, raczej dla zaczerpnięcia oddechu, niż dla zrobienia efektownej pauzy - to był Sergio. Dzisiaj rano odszedł z policji - Silvia popatrzyła na niego, zaskoczona.

- Co? Co ty mówisz?

- Dał Marcelo swoją rezygnację, spakował rzeczy i odszedł - powiedział spokojnie Paolo - to on przekazał te wszystkie papiery prasie. Jakoś specjalnie nie żałuję. Jeżeli zrobił takie świństwo całej policji, to... - Paolo nie dokończył. Silvia wyszła, a w zasadzie wybiegła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o ścianę i oddychała głęboko. Przecież wczoraj... Nic jej nie powiedział. A przecież chyba powinien był? Niemożliwe, żeby to był on. Nie... Raczej... To pewnie któryś z techników podlegających mu, a Sergio czuł się odpowiedzialny i zrezygnował. Sięgnęła po telefon komórkowy. Czekala tak długo, aż włączyła się poczta głosowa. Sergio nie odbierał. A ona nie nagrała się. Nie wiedziała nawet, co powiedzieć. Osunęła się w dół, kucnęła pod drzwiami i skryła twarz w dłoniach. Z jej oczu spłynęły dwie łzy. Nic nie rozumiała. Sergio nagle odszedł z policji, nie mówiąc jej zupełnie nic. A wczorajszy wieczór... Chyba mogła uznać, że właśnie zostawił także ją. Już drugi facet zostawił ją zupełnie samą, nie mówiąc ani słowa wyjaśnienia. Chwyciła się za gardło, gdy poczuła ból. Chciała płakać, ale jakoś... Nie mogła. Z jej oczu wypłynęły tylko dwie łzy. Po chwili wstała i ruszyła do łazienki. Przemysła twarz i po chwili patrzyła w lustro. Spojrzenie brązowych oczu było kompletnie puste.

- Silvia, w porządku? - zapytał Paolo, gdy wróciła do sali.

- Tak, dzwoniłam do Sergio, ale nie odebrał. Nieważne, przecież i tak wszelkie ślady są już dokładnie przebadane. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że informatycy znajdą coś na jakiejś stronie, a jak nie... Trzeba będzie zamknąć nasze śledztwo - westchnęła i popatrzyła na duży kalendarz wiszący na ścianie. Mijał niespełna tydzień od kradzieży Całunu, a ona już myślała o zamknięciu sprawy z powodu niewykrycia sprawcy. Prawdziwa porażka.

- Wiesz, wysłałem ten odcisk do Interpolu. Jeżeli niczego nie znajdą w swoich bazach, dadzą Ci znać po południu. Podałem im twoje namiary - powiedział Paolo. Silvia wzruszyła ramionami.

- Dobra... Ale nie wierzę, by coś to dało. Póki co, zostaje nam tylko jedna możliwość - internetowa aukcja Całunu. Trzeba powiedzieć Staremu, że liczymy się z zamknięciem śledztwa. Tylko że akurat on nie chce o tym słyszeć. Jeżeli zamknę to śledztwo, to będę się musiała liczyć z opuszczeniem policji. Marcelo nie zostawi na mnie suchej nitki. Chyba Sergio też doszedł do takiego wniosku.

- Zobaczymy - powiedział Marco - bo jeden z patroli ponoć dotarł do kogoś, kto widział taką ciężarówkę gdzieś w Turynie. Właśnie go przesłuchują.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz? - zapytała Silvia, patrząc na niego wilczym wzrokiem.

- No teraz - powiedział i popatrzył na zegarek - właśnie powinni powoli kończyć.

- Super - Silvia wstała z krzesła - wreszcie coś pozytywnego. Może jednak nie będzie tak tragicznie - dodała i ruszyła do drzwi.

Cały jej optymizm runął jak domek z kart w ledwie kwadrans później. Wystarczyła chwilką rozmowy, by policja przekonała się, że chodziło o zupełnie inny samochód. Zakładając, że ich świadek, który widział ciężarówkę pod katedrą, mówił prawdę. Ale zgodził się na badanie wykrywaczem kłamstw i... Silvia znów czuła, że stoi przed ślepym zaułkiem.

- Znowu nic nie mamy, co? - zapytała Paolo, siedzącego przy sąsiednim biurku.
- Nawet nie mów. Marco i ja, zresztą, wszyscy liczyliśmy, że tym razem złapiemy porządny trop - wzruszyła ramionami.
- Widzisz, mój ojciec zawsze mówił, że w życiu każdego policyjnego detektywa pojawia się śledztwo, na którym robi prawdziwą karierę albo śledztwo, które jego karierę zakończy. Chyba trafiłmy na to drugie - westchnęła i w tym momencie zadzwonił telefon na jej biurku. Popatrzyła na niego zaskoczona i sięgnęła po słuchawkę.
- Silvia Gaspare, słucham - powiedziała. W odpowiedzi usłyszała angielski. Albo raczej - amerykański, sądząc z akcentu.
- Z tej strony Mike Johnson. Czy to pani nie dalej, jak wczoraj wysłała do Interpolu pewien niezidentyfikowany odcisk palca? - zapytał głos po drugiej stronie.
- Tak, to byłem ja - odparła po angielsku, a Paolo popatrzył na nią zaskoczony.
- Świetnie. Przylatuję do Turynu za dwa dni o dziesiątej przed południem, samolotem z Nowego Yorku. Wtedy porozmawiamy i dowie się pani wszystkiego. To nie jest rozmowa na telefon.
- Rozumiem, w takim razie do zobaczenia za dwa dni - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Popatrzyła na Paolo kompletnie zaskoczona.
- Kto to był?
- Ktoś ze Stanów. Za dwa dni przyleci do Turynu samolotem o dziesiątej. Z Nowego Yorku - powiedziała...

25 września 2005, wieczór.

Bogata oaza spokoju przy Sunset Street daleko za centrum Los Angeles już pogrążała się we śnie. Tylko w kilku domach paliło się jeszcze światło. W końcu przy tej bogatej ulicy mieszkali zazwyczaj bogaci biznesmeni z młodymi żonami i ledwie kilkuletnimi dziećmi. Albo naukowcy, tacy jak Richard Nicholson. Choć miał dopiero trzydzieści siedem lat, mógłby powiedzieć, że lata swojego triumfu ma już za sobą. Przed dwoma laty zakończył niemal pięcioletni projekt, nad jakim pracował jeszcze na studiach wraz z dwoma innymi studentami i profesorem. Cóż, projekt, związany z badaniami nad klonowaniem był niewątpliwie sukcesem. Ale teraz Richie, jak często nazywała go żona i jego przyjaciele, odszedł w cień, niejako na własne życzenie. Pensja, jaką otrzymywał za wykłady na kilku uniwersytetach wystarczała, by utrzymać żonę wraz z córką na przyzwoitym poziomie, gwarantującym Volvo V70 XC Cross Country jako miły dodatek do dużego, parterowego domu. Ledwie kilka minut po jedenastej w nocy ostatnie światła jego domu zgasty i ulicę zalała ciemność. Zwykła, spokojna noc wreszcie w pełni zapanowała wśród ładnych, drogich domów. Wtedy dopiero z cienia, jaki dawał wielki amerykański dąb wyjechała powoli szara furgonetka. Nie miała włączonych świateł i jechała powoli, leniwie tocząc się na szerokich oponach. Powoli skręciła i wjechała na podjazd jednego z domów, stając tuż za srebrnoczarnym Volvo. Boczne drzwi przesunęły się powoli i ze środka wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyglądał na sportowca - wysoki, szeroki z krótko obciętymi włosami. Jego ręce skrzyżowane na piersiach, zniknęły pod połami szerokiego płaszcza. Drugi mężczyzna nie był wyraźnie niższy od poprzedniego, ale zdecydowanie nie tak szeroki, ponadto był ubrany w schludny, czarny garnitur i nienagannie zawiązany krawat. W chwili, gdy podeszli do drzwi, na ulicy zaraz przed domem zatrzymał się czarny Mercury Sable Wagon. Mężczyzna w płaszczu stanął obok drzwi w taki sposób, by nie było go widać przez niewielkie okienko. Ten drugi sięgnął do przycisku dzwonka. Nie musieli zbyt długo czekać; Richie szybko podeszedł do drzwi i uchylił je na krótkim łańcuszku.

- Dobry wieczór. Czy pan Richard Nicholson? - zapytał mężczyzna w garniturze.
- Tak - padła niepewna odpowiedź.
- Najmocniej pana przepraszam za tak późne najście, ale miałem poważne problemy z odnalezieniem pańskiego domu. Przysłano mnie z nowojorskiego uniwersytetu nauk stosowanych z zaproszeniem na wykład - powiedział.
- Dlaczego nie skontaktowano się ze mną telefonicznie? - zapytał Richard, jednak w jego tonie głosu można było wyczuć, że uwierzył.
- No cóż, uniwersytet organizuje konferencję, na której miałby pan być jednym z bardziej oczekiwanych gości. Uznano, że zaproszenie telefoniczne nie byłoby wystarczająco adekwatne do pańskiej wiedzy oraz doświadczenia. Jest pan bardzo szanowany na naszym uniwersytecie. Jeżeli mnie pan wpuści, zajmę panu tylko kilka minut i zostawię foldery z informacjami o konferencji - Richard westchnął nieznacznie.
- Chwileczkę - powiedział, zamknął drzwi i zza nich dał się słyszeć dźwięk zdejmowanego łańcuszka z drzwi. Mężczyzna w garniturze zerknął na czekającego obok drzwi kompana i gdy tylko drzwi się otworzyły, ten pchnął je mocno i wszedł do środka. Nim Richard zdolał zareagować, zobaczył przed sobą lufę pistoletu z nakręconym tłumikiem. Cofnął się przerażony i nie odezwał się nic. Mężczyzna w garniturze z uśmiechem na twarzy wszedł do środka i spokojnie zamknął drzwi. Popatrzył z satysfakcją na pistolet, a potem na naukowca.
- Niestety, tylko to mogło nam zagwarantować pańskie bezpieczeństwo - powiedział spokojnie - ale obiecuję panu, że pistolet nie wystrzeli. A panu, ani nikomu z pańskiej rodziny nie stanie się krzywda.
- Czego chcecie? - zapytał Richard - pieniędzy? Mam w banku, nie trzymam gotówki w domu. Kluczyki od samochodu? Bak jest pusty. Jutro miałem zatankować.
- Spokojnie. Nie chcemy pieniędzy ani samochodu. Chcemy pana.
- Z kim rozmawiasz? - zapytała młoda kobieta wchodząc do niewielkiej werandy. Na widok pistoletu wydała z siebie zduszony krzyk.
- Proszę nie krzyczeć, obudzi pani córeczkę. A ja obiecuję, że nie stanie się nic złego nikomu z państwa.
- Czego chcecie? - warknął Richard, gdy żona podeszła do niego i wtuliła się w niego, przerażona.
- Na początku chcielibyśmy porozmawiać - powiedział spokojnie mężczyzna w garniturze - może usiądziemy? - zapytał i sam usiadł na jednym z krzeseł. Gdy Richard wraz z żoną zrobili to samo, mężczyzna w garniturze skinął na towarzysza, a ten schował pistolet i stanął za nim - a więc na samym początku przepraszam państwo za sposób najścia, ale niestety nie mogliśmy rozegrać tego inaczej. Pragnę jednak zaznaczyć, że nie chcemy państwa skrzywdzić.
- Więc czego chcecie? - powtórzył pytanie Richard.
- Przez prawie trzy miesiące dokładnie analizowaliśmy ogół amerykańskich naukowców i pan wydał się nam najlepszy do naszego zadania. Myślę, że powinien pan potraktować to jak komplement.
- Czyżby?
- Chcemy pana wynająć. Wiemy, nad czym pracował pan dwa lata temu. Potrzebujemy pańskich umiejętności i doświadczenia. Jeszcze dzisiaj wyjedzie pan razem z nami. Niestety nie możemy ze względów bezpieczeństwa pana i naszego, powiedzieć teraz, gdzie pojedziemy, nie mogą też zagwarantować, że w czasie pracy dla nas będzie pan mógł się kontaktować z rodziną. Ale wyjazd ten potrwa nie więcej niż trzy miesiące, w czasie których gwarantujemy pańskie pełne bezpieczeństwo, ponadto pańska rodzina otrzyma pieniądze, jakie zarobi pan, pracując dla nas.
- A co, jeżeli się nie zgodzę na ten wyjazd? - zapytał Richard. Mężczyzna w garniturze uśmiechnął się nieznacznie.
- Jest pan inteligentnym mężczyzną. Myślę, że rozumie pan, że to, co mówię, nie jest propozycją. Musi pan pojechać z nami. I mam nadzieję, że domyśla się pan, że pańska zgoda nie ma tutaj większego znaczenia - mężczyzna w płaszczu chrząknął nieznacznie, ale jasne było, że nie to był przypadek. Chciał przypomnieć o swojej obecności. A w zasadzie - wyraźniej ją zaznaczyć. Zupełnie niepotrzebnie - Richard nader wyraźnie pamiętał czarny otwór lufy pistoletu.
- Czyli w tej chwili jestem porywany? - zapytał Richard. Twarz miał zupełnie bladą, jakby cała jego krew słynęła do stóp.

- Richie... - jęknęła jego żona.
 - Można tak to określić, choć ja nazwałbym to przymusową zgodą. Jak powiedziałem, za pracę dla nas dostanie pan pieniądze. Odpowiednia kwota przepływnie na pańskie konto już dziś.
 - Chcecie kupić mojego męża?! - warknęła kobieta - nigdy!! - mężczyzna w garniturze uśmiechnął się.
 - Zawsze uważałem, że nie należy nigdy dopuszczać kobiet do rozmów o interesach - westchnął mężczyzna - ale dość tej rozmowy, nie mamy już więcej czasu - wyraz jego twarzy nagle się zmienił - ma pan piętnaście minut na pożegnanie się z żoną oraz córką. Potem wyjeżdżamy.
 - A jeżeli się nie zgodzę? - zapytał Richard.
 - Chcemy zabrać pana na trzy miesiące. Zapłacić za pracę dla nas. Zagwarantować pańskie bezpieczeństwo. Ale tylko wtedy, gdy nie będzie pan stawiał oporu. Jeżeli będziemy musieli zabrać pana siłą, cóż... Komuś może stać się krzywda, a tego naprawdę nie chcę - po tych słowach żona naukowca zaczęła płakać.
 - Nie pozwól im na to - powiedziała przez łzy.
 - Uspokój się, kochanie - powiedział - to tylko trzy miesiące, za które dostanę pieniądze.
 - To jest bardzo dobre podejście - powiedział spokojnie mężczyzna w garniturze - ach, zapomniałbym. Telefony nie działają. A za wiadomienie policji... Cóż, zupełnie nic nie da.
 - Co mam ze sobą zabrać? - zapytał spokojnie Richard.
 - Bardzo dobra decyzja - powiedział z uśmiechem nieznajomy i popatrzył na jego bawełnianą piżamę - lubię rozmawiać z rozsądnymi ludźmi. Proszę założyć coś bardziej odpowiedniego. I... jakieś notatki, książki, które mogą być panu pomocne przy pracy dla nas...
 - Ale muszę wiedzieć, co mam robić? - przerwał mu naukowiec.
 - Panie Nicholson, nie bądźmy dziećmi. Od początku studiów interesuje się pan i zajmuje się tylko jedną rzeczą. Cóż innego mógłby pan dla nas robić? - zapytał - piętnaście minut - dodał gniewnym tonem...

- Powiedz to jeszcze raz - ledwie trzydziestoletni policjant przeczesał ciemnobrązowe, krótkie włosy i popatrzył na policjantkę z patrolu, która jako pierwsza przybyła na miejsce. Ta popatrzyła na młodą kobietę siedzącą w otwartych drzwiach radiowozu.
 - Richard Nicholson został porwany. Ale kobieta... Jego żona, mówiła, że porywacze byli... uprzejmi. To nie było żadne brutalne porwanie, tylko propozycja nie do odrzucenia. Dowiedziała się tylko, że ten naukowiec ma dla nich pracować i że to wszystko potrwa trzy miesiące. No i że dostaną pieniądze za jego pracę dla tych dwóch. Jeden z nich miał pistolet, z zeznań tej kobiety wynika, że z tłumikiem. Pracuje z nią już nasz człowiek od portretów pamięciowych, ale nie sądzę, by coś z tego było. Kobieta jest w szoku, nie pamiętała zbyt wiele szczegółów.
 - Jasne - przytaknął jej policjant. Nazywał się Mike Johnson i przybył natychmiast po upewnieniu się, że chodzi o kolejne porwanie - czy wiadomo już coś o porwanym? - zapytał.
 - Tak samo, jak poprzedni dwaj porwani naukowcy, pracował nad klonowaniem. I tak samo, przy poprzednich porwaniach porywacze też zachowywali się uprzejmie, obiecując zapłatę i trzy miesiące.
 - Co się dzieje z tym światem - warknął Mike - fatalna sprawa - dodał. Razem z Nicholsonem, w ciągu zaledwie dwóch tygodni zostało porwanych aż trzech naukowców, wszyscy z Los Angeles. I jak na razie, wszyscy zajmowali się klonowaniem. Jak na razie, bo Mike nie wątpił, że będzie kolejne porwanie. Pytanie tylko, kto miał być następnym celem i kiedy to nastąpi?

- Mike - do jego biura weszła młoda policjantka. Miała ledwie dwadzieścia parę lat, świeżo ukończoną szkołę policyjną a na sobie już cywilny strój. Od ledwie trzech miesięcy była jego partnerką - znalazłam coś interesującego - policjant przetarł twarz i popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem. Dochodziła dziesiąta wieczorem i w zasadzie już kończył pracę na dzisiaj. Miał cholerną ochotę przełożenia tego na jutro.
 - Co masz? - zapytał.
 - Trzej naukowcy, ci, którzy zostali porwani, pracowali kiedyś nad wspólnym projektem. Został zakończony dwa lata temu.
 - Niepowodzenie? - policjantka pokręciła głową.
 - No właśnie nie. Sukces. Projekt miał być eksperymentem, czy uda się coś tam zrobić, nie wiem, nie doczytałam wszystkiego. Najważniejsze jest to, że w tym projekcie brali udział trzej porwani naukowcy i... jeszcze jeden - zmęczenie znikło z Mike'a jak powietrze z przebitej opony. Poczuli, jak jego serce zaczyna pracować szybciej. Wstał z krzesła i sięgnął po sportową kurtkę.
 - Mieszka w Los Angeles? - zapytał i ruszył do drzwi. Policjantka odczytała jego zamiar, odłożyła dokumenty, jakie trzymała w dłoni poza jedną, małą kartką i ruszyła za nim.
 - Tak. Mam jego adres - powiedziała. Mike się uśmiechnął i popatrzył jej w oczy. A potem zaraz ruszył do drzwi. Policjantka ruszyła za nim.
 - Wezwij pod jego dom najbliższe patrole - powiedział Mike, gdy tylko wsiedli do cywilnego Chevroleta stojącego tuż pod posterunkiem. Szybko umieścił na dachu auta syrenę alarmową i ruszył z piskiem opon.

- Do wszystkich patroli w okolicach Beach Street!! - odezwało się radio - pilne wezwanie pod adres Beach Street 24. Po przybyciu zabezpieczyć miejsce, poważnie zagrożenie porwania, pojazd to szara furgonetka - młody policjant sięgnął po nadajnik, podczas gdy jego partner włączył syreny i szybko skręcił na skrzyżowaniu.
 - 15 David, odebrałem, ruszam na Beach Street 24 - powiedział i odłożył nadajnik, gdy policyjny Chevrolet pędził już ponad osiemdziesiąt mil na godzinę.

Gdy kilka chwil później migający kogutami radiowóz pojawił się na pogrążonej w ciszy ulicy, z podjazdu przed domem o numerze 24 zjeżdżała właśnie szara furgonetka. Kierowca popełnił błąd, najwidoczniej nie zauważywszy jeszcze radiowozu i skręcił w jego stronę. Radiowóz zatrzymał się w poprzek drogi i obaj policjanci wyskoczyli z samochodu, kryjąc się za nim, gdy furgonetka zatrzymała się.

- LAPD!! Zgaś silnik i wyjdź z rękami podniesionymi do góry!! - powiedział policjant, wzmacniając głos policyjnym megafonem. W okolicznych domach zaczęły zapalać się światła. Fakt, policyjna syrena zaczęła wyć głośno, rzucając wszędzie niebłiskie i czerwone błyski. Boczne drzwi furgonetki odsunęły się i ze środka ktoś wyskoczył. Ktoś z karabinem w rękę. Rozległ się głośny terkot karabinu maszynowego i obaj policjanci odpowiedzieli ogniem. Mężczyzna wskoczył za zaparkowanego przy drodze Buicka. Drzwi furgonetki zasunęły się z powrotem i ta ruszyła do tyłu z piskiem opon, po czym zawróciła i szybko zaczęła się oddalać. Jeden z policjantów wyskoczył zza drzwi radiowozu i zaczął strzelać do oddalającej się furgonetki, jednak w tej chwili mężczyzna, który wyskoczył z furgonetki wysunął się zza samochodu i wystrzelił krótką serią.

- Johnny!!! - krzyknął kierowca radiowozu, widząc, jak jego partner osuwa się na asfalt. Szybko wymierzył i wystrzelił kilka razy. Mężczyzna, który wychylił się zza samochodu i strzelił do policjanta już miał znów zniknąć za maską wozu, gdy nagle poczuł trzy trafienia. Dostał w żołądek. Karabin wypadł mu z dłoni a on sam runął na ulicę. Nad sobą ujrzał gwiazdy. Drżącą ręką sięgnął do piersi i z kieszeni wyciągnął jeden karabinowy pocisk. Zaciśnął go w dłoń a całą rękę wsunął pod plecy. Drugą ręką sięgnął do niewielkiej, metalowej kuli przymocowanej do zielonej koszuli i po chwili rozległ się brzdęk. Małe, niewielkie kółeczko upadło tuż obok niego, na asfalcie.

- Johnny, Johnny, kurwa!! - krzyknął policjant i podbiegł do leżącego na asfalcie partnera. Przelotnie tylko popatrzył na leżącego przy

Buicku mężczyznę, po czym przyłożył palce do szyi Johnego, sięgając po nadajnik. Wyczuł słaby puls.

- 15 David, funkcjonariusz ranny, karetka na Beach Street 24, karetka natychmiast!! - krzyknął, po czym szybko ruszył w stronę drugiego mężczyzny, celując w niego z policyjnego rewolweru. Jednak gdy zobaczył karabin, leżący prawie dwa metry od przestępcy oraz płamę krwi na zielonej koszuli, powoli opuścił broń. Nagle dostrzegł coś jeszcze. Zaklął głośno i rzucił się na asfalt. Mgnienie oka później niewielki granat, znajdujący się na piersi zastrzelonego mężczyzny eksplodował...

- Jak to się wysadził? - zapytał Mike. Policjant z patrolu popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem. Właśnie przed chwilą zrelacjonował dokładnie wszystko, co tu zaszło i nie miał ochoty tego powtarzać.

- No wysadził się - policjant popatrzył na brązową plamę krwi, zalegającą na asfalcie - granatem. Miał na piersi granat i gdy trzy razy go trafiłem, wyrwał zawleczkę. Cholera, dwie sekundy później i byłoby po mnie.

- Super - westchnął z ironią Mike. Mimo błyskawicznej reakcji policji nie udało się zatrzymać furgonetki. A inni policjanci, przysłuchujący rodzinie porwanego, dowiedzieli się tego, czego sam się domyślał - uprzejmi porywacze, propozycja na trzy miesiące i zapłata. Mike rozejrzał się wokół. Miał już wszystkiego serdecznie dość.

- Nicole!! - powiedział. Policjantka, z jaką tu przyjechał, popatrzyła na niego, po czym szybko skończyła rozmowę z sanitariuszem i ruszyła w jego stronę.

- Nie uwierzysz - powiedziała - ten policjant, który oberwał...

- Żyje? - przerwał jej Mike.

- Nie miał zginąć - powiedziała - pociski, jakich użyli, miały go obezwładnić. Tylko jeden pocisk przebił się przez skórę i zatrzymał się na kości.

- Jak to?

- Pociski miały plastikowe rdzenie. Nie miały zabić - Mike wzruszył ramionami.

- Chociaż tyle dobrego. Jestem padnięty. Jedziemy - powiedział i ruszył w stronę wozu.

- Jest jeszcze coś - powiedziała Nicole, ruszając z nim.

- Co takiego? - zapytał, otwierając drzwi samochodu.

- Ten gość, który się wysadził... Trzymał w dłoni karabinowy pocisk.

- Co?

- Najwidoczniej zanim się wysadził granatem, zacisnął w dłoni karabinowy pocisk i wsunął rękę pod plecy.

- Super - Mike ziewnął ukradkiem - dzisiaj już nie mam sił na myślenie - westchnął.

- No dobra, dostaliśmy już coś od techników? - zapytał Mike następnego dnia, gdy pojawił się na komendzie. Nicole była już obecna i miała dla niego kilka gotowych dokumentów. Popatrzył na nią z uznaniem. Jeżeli się nie wypali, będzie dobrą policjantką.

- No tak. Karabin to AK47. Rosyjski Kałasznikow. W tej chwili analizują pociski. Mamy też odciski palców, ale nasza baza ich nie ma. Twarz... Cóż, granat. Mamy tylko odciski palców, których nikt nie zna.

- Świetnie - powiedział i dodał do Nicole - ale wiesz co? Przynajmniej nikt więcej nie zostanie już porwany - popatrzyła na niego zaskoczona.

- Czemu tak myślisz?

- Ci czterech naukowcy pracowali razem przy jednym z projektów, tak? Więc nie sądzę, by porywacze chcieli jeszcze kogoś. Potrzebowali czterech ludzi, którzy zrobią coś dla nich. Najlepiej, żeby ci ludzie się znali, prawda? A odciski... Nikt ich nie namierzył?

- Nie, nawet ogólnokrajowa baza. Ja... - zawahała się przez moment - pozwoliłam sobie wysłać je do Interpolu - Mike popatrzył na nią gniewnie. Takie decyzje leżały w kompetencji najpierw jego, potem jego komendanta.

- Nie daj w sobie tego zdusić - powiedział po dłuższej chwili namysłu - będziesz kiedyś naprawdę dobrą policjantką. Kiedy mają dać znać?

- Jak najszybciej. Powinno być wiadomo już jutro.

- Świetnie - powiedział - a jak pociski też będą dopiero na jutro, to stawiam ci obiad.

- No to gdzie mnie zabierasz? - zapytała z uśmiechem. Mike roześmiał się i oboje wyszli...

Odpowiedź z Interpolu nie przyszła jednak następnego dnia. Ani nawet kolejnego. Minęło kolejnych kilka dni, zanim Mike uniósł przed oczy faks.

- O cholera - jęknął ze zdziwieniem.

- Co się stało? - zapytała Nicole, podnosząc głowę znad dokumentów analizy balistycznej pocisków.

- To faks z Interpolu...

- Mają odcisk palca!! - powiedziała Nicole i podeszła do niego - kto to za gość?

- No niezupełnie. Oni też nie mają u siebie tego odcisku. Ale nie dalej, jak kilka dni temu dostali ten sam odcisk do porównania. Nie zgadniesz skąd - Nicole się uśmiechnęła.

- AK47 to rosyjski karabin - powiedziała - więc to pewnie...

- Turyn, Włochy - przerwał jej - ale byłeś blisko. Rosja jest na Starym Kontynencie.

- Myślałam raczej o Kubie - przyznała się Nicole - tam też chyba jest rosyjski sprzęt - Mike roześmiał się.

- Ale posłaś dobrym tropem. Kałasznikow jest rosyjskim karabinem - powiedział Mike i dodał, patrząc na faks - ten odcisk pojawił się przy okazji jakiejś kradzieży...

- Całunu Turyńskiego!! - przerwała mu Nicole - było o tym nawet w CNN.

- Może - powiedział Mike - ciekawe, czy ta Silvia mówi po angielsku - dodał z uśmiechem, sięgając po telefon...

Silvia popatrzyła na zegarek. Samolot miał wylądować kilka minut temu. Takie spóźnienie to nic wielkiego przy takiej pogodzie - szyby dużego holu lotniska Caselle były mokre od wciąż padającego deszczu. Dochodziła siedemnasta. Nareszcie. Z kilku głośników podwieszonych pod sufitem usłyszała zapowiedź przylotu samolotu z Los Angeles, lecącego przez Nowy York, Paryż i Berlin. Stała naprzeciwko bramki, z której mieli wyjść pasażerowie podróżujący klasą turystyczną. Sięgnęła po telefon i raz jeszcze popatrzyła na zdjęcie, jakie dostała od Mike'a. Szybko schowała telefon, gdy w bramce pokazali się pierwsi pasażerowie. I on. Wysoki, barczysty szatyn, w niebieskich dżinsach i koszuli, ze skórzaną kurtką położoną na podróźnej torbie. Popatrzył na nią, uśmiechnął się i zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę.

- Mike Johnson, miło mi - powiedział, podając jej dłoń.

- Silvia Gaspare - odparła - ruszajmy - dodała po angielsku i pierwsza weszła na schody prowadzące do podziemnego parkingu - więc jak to się stało, że trafił pan tutaj? - zapytała. Mike popatrzył na nią z uznaniem. Nieźle mówiła po angielsku.

- Cóż, w ciągu ostatnich dwóch tygodni zostało porwanych czterech naukowców. Łączyła ich tylko jedna rzecz - wspólnie pracowali nad jakimś uczelnianym projektem...

- Czego dotyczył ten projekt? - zapytała Silvia.

- Nie wiem - przyznał Mike - nie dostaliśmy jeszcze takich danych, bo projekt był prowadzony wewnątrz uczelni. W każdym razie przy ostatnim porwaniu jeden z porywaczy został zastrzelony, chociaż nie udało się nam udaremnić porwania. Zdjęliśmy odciski palców i trafiliśmy tutaj.

- Rozumiem - powiedziała i sięgnęła do kieszeni skózanego płaszcza. Gdy wyciągnęła kluczyki i wcisnęła jeden z guzików na breloku, Nissan mrugnął kierunkowskazami.

- Cóż, muszę pana uprzedzić, że niestety chyba nie możemy sobie za bardzo pomóc - powiedziała, gdy Micra sunęła w strugach deszczu główną ulicą - bo my też nie wiemy nic o tym odcisku. Obawiam się, że jest to po prostu czysty przypadek. Dwudziestego drugiego września skradziono Całun Turyński. Odcisk znaleźliśmy na paczce chusteczek leżących przed katedrą. Obawiam się, że należy po prostu do jednego z najemników, którzy zostali wynajęci do obu tych zadań. Najprawdopodobniej zupełnie niezależnych od siebie.

- Możliwe - powiedział Mike - ale chyba warto się raz jeszcze przyglądnąć tej sprawie - westchnął - czy wiesz, gdzie ja znajdę o tej porze dobry hotel? - zapytał. Silvia westchnęła.

- Wiem - westchnęła - ale jest już późno, mogę cię przenocować jedną noc, a jutro czegoś ci poszukamy. W mieszkaniu mam akta tej sprawy, pewnie chcesz przejrzeć.

- Ja również wzięłam nasze dane, jakie udało nam się zebrać. Poza tym mam stały kontakt z Los Angeles, tam nadal trwa śledztwo.

- My też cały czas pracujemy - powiedziała Silvia - ale efektów nie widać. Niestety. Ale może razem coś się uda ustalić - westchnęła...

Drzwi skrzypnęły cicho i Silvia pierwsza weszła do swojego mieszkania. Mieszkała niedaleko centrum, w trzypokojowym mieszkaniu. Cóż, lubiła przestrzeń. Mike zrobił krok i spotkał się z pełnym wrogości spojrzeniem dwóch zielonych oczu. Ich właściciel stracił ledwie ułamek sekundy, by przywitać się z Silvą i teraz patrzył czujnie na nieznanego mu mężczyznę. Silvia popatrzyła na Mike'a i roześmiała się.

- Chodź - powiedziała. Mike popatrzył raz jeszcze na siwego kota i ruszył do mieszkania - nazywa się Punto - dodała. Kot popatrzył nieufnie na Mike'a, prychnął gniewnie i zniknął w innym pokoju. Mike wszedł do mieszkania. Za Silvą wszedł do jednego z większych pokoi.

- Kawy, herbaty? - zapytała, podając mu teczkę. Mike usiadł przy stoliku.

- Kawy - westchnął i otworzył teczkę. Wewnątrz był raport z miejsca kradzieży, zeznania świadków, opis broni, amunicji i nieszczęsny odcisk palca, który znaleziono na chusteczkach. Mike przeglądał te dokumenty spokojnie, a gdy pojawiła się Silvia, sięgnął do teczki i wyciągnął z niej kilkanaście stron.

- Tutaj znajdziesz wszystko, co mamy o tych naukowcach i porwaniach - powiedział i zajął się teczką, jaką podała mu Silvia - zdobyłście bardzo dokładne informacje o tej ciężarówce, jak się je wam to udało? - Silvia uśmiechnęła się. Postawiła przed nim filiżankę kawy.

- Cóż, mieliśmy szczęście. Okazało się, że przy placu, na którym znajduje się Katedra z Całunem mieszka jeden hobbysta pasjonujący się ciężarówkami. W nocy widział ciężarówkę pod katedrą.

- To on powiadomił policję? - zapytał Mike - szkoda, że za późno.

- Nie - Silvia pokręciła głową przecząco - Katedra jest teraz remontowana. Obecność ciężarówki była usprawiedliwiona...

- No tak, ale z tego, co tu jest, wynika, że ciężarówka miała na masce i drzwiach czerwone gwiazdy...

- Tak - westchnęła - ale rozmawialiśmy z tym człowiekiem dopiero następnego dnia, gdy nasi policjanci szukali świadków - dodała i popatrzyła na dokumenty, jakie dał jej Mike - ta sama broń - powiedziała, patrząc na analizy balistyczne.

- Owszem - powiedział - dokładnie przeanalizowaliśmy karabin, jaki miał przy sobie samobójca i...

- Samobójca? - popatrzyła na niego.

- Och... No tak. Jeden z porywaczy został na miejscu porwania, dzięki czemu pozostali mogli uciec z naukowcem. Wywiązała się strzelanina. Gdy ten został ranny, wysadził się granatem. Zabawne, że zanim to zrobił, wsunął pod plecy rękę z zaciśniętym w dłoni pociskiem - Silvia popatrzyła na niego i zamknęła teczkę.

- Mój przełożony wyodrębnił osobną grupę do rozwiązania sprawy kradzieży. Jutro cię wprowadzę, ja dowodzę tą grupą - Mike skinął głową.

- Analizując to, co mamy i to, co dostaliśmy od Mike'a, można założyć, że ta sama grupa najemników została wynajęta do wykonania dwóch zadań. Nie wydaje mi się, by oba te zadania miały ze sobą jakieś szczególne powiązanie - powiedziała Silvia na odprawie Numero Uno w ich sali, gdzie Mike również był obecny - można założyć, że kradzież Całunu Turyńskiego była koniecznością dla zdobycia środków finansowych potrzebnych do porwania naukowców. Nie mam pojęcia, po co i jak na razie nie mamy chyba żadnych teorii, dopóki nie dowiemy się, nad czym pracowali ci naukowcy - popatrzyła znacząco na Mike'a.

- Policjanci z Los Angeles w dalszym ciągu nad tą sprawą pracują. Gdy wylatywałem, moi koledzy jechali na spotkanie na ten uniwersytet. Myślę, że wkrótce powinienem dostać dodatkowe informacje - powiedział Mike.

- Świetnie. Więc w tej chwili pozostaje nam tylko czekać. Nie widzę sensu ponownej analizy materiałów, jakie mamy.

- Myślę, że warto też poczekać na dalszy bieg wydarzeń. W czasie każdego z czterech uprowadzeń porywacze mówili, że rodzina dostanie wiadomość od porwanego. Rodziny wszystkich czterech naukowców współpracują z policją czynnie, toteż gdy tylko coś się zmieni, natychmiast zostaną o tym poinformowani.

- Świetnie - powiedziała Silvia - więc po prostu musimy teraz czekać na ruch z drugiej strony. I mam nadzieję, że to nastąpi wkrótce. A teraz idę do Starego, złożyć raport - westchnęła.

I rzeczywiście nie musieli zbyt długo czekać. Niespełna dwa dni później Mike dostał telefon z USA z informacją, że jedna z rodzin dostała list od porwanego naukowca a w dzień później odebrał dokładną kopię listu wraz z raportem. List był wysłany z Helsinek, pocztą lotniczą.

- Świetnie - powiedziała Silvia z kwaśną miną - Turyn, Los Angeles, Helsinki. Ciekawa jestem, co będzie dalej - Mike uśmiechnął się i popatrzył w raport dotyczący listu - ja bym chciała Afrykę - dodała z ironią.

- Raport stwierdza, że list został wysłany pocztą lotniczą i że został nadany w Helsinkach. Z analizy wynika, że nadawca musiał pojawić się na lotniskowej poczcie, żeby nadać ten list. Wiesz, co to oznacza? - zapytał Mike.

- Owszem - uśmiechnęła się Silvia i popatrzyła na zegarek na nadgarstku. Była ledwie dziewiąta rano - Marco, skontaktuj się z policją w Helsinkach. Powiesz im o całej sytuacji tyle, ile muszą wiedzieć. A ja i Mike lecimy do Helsinek - Mike uśmiechnął się - co dokładnie mamy o tym liście? - zapytała, patrząc na Mike'a.

- Cóż, mamy jego dokładną kopię. Zarówno treści, jak i koperty wraz z pieczętkami, co w tym przypadku chyba jest najbardziej przydatne. Treść to po prostu list dla rodziny. Wszystko w porządku, są dobrze traktowani i takie tam.

- Świetnie - powiedziała Silvia - więc bierzemy to i lecimy. Marco, zarezerwuj nam dwa bilety na najbliższy samolot - dodała - ja idę powiedzieć Staremu o planowanej wycieczce. Aha, jeszcze jedno. Marco, jak będziesz dzwonił do Helsinek, przekaz im, że będziemy potrzebować taśm z kamer wideo na lotnisku w Helsinkach. I gdzie jest Paolo?

- Szef gdzieś go wysłał.

- Dobra, my jedziemy na lotnisko. Zadzwoń najpierw tam i załatw nam bilety.

- To nie będzie takie łatwe - powiedział Marco sięgając po telefon.

- No to powiedz, że to kwestia honoru państwa - odpowiedziała i mrugnęła do niego okiem, po czym wraz z Mike'm wyszła z pomieszczenia.

Bezpośredni samolot z Turynu do Helsinek usiadł na płycie lotniska krótko po dwunastej w południe. Gdy Silvia wraz z Mike'm wyszli

do holu dworca, ktoś już na nich czekał.

- Witam - powiedział około czterdziestoletni mężczyzna, podchodząc do nich z odznaką w dłoni - nazywam się Bjorn Laikonen. Nim państwo przylecieli na miejsce, skontaktowałem się już z biurem ochrony lotniska. Taśmy są przygotowane.

- Świetnie - powiedziała Silvia, rezygnując z pokazania swojej „blaszki” - ja jestem Silvia Gaspere, a to Mike Johnson - po powitalnych uściskach dłoni Bjorn znów się odezwał.

- Proszę zatem za mną - powiedział i ruszył szybko w stronę jednych z drzwi opatrzonych napisem „tylko dla ochrony” - mają państwo szczęście. Zwykle taśmy obejmujące pocztę kasujemy po dwóch, trzech dniach.

- Cóż, to dlatego wydałam polecenie moim ludziom, by skontaktowali się telefonicznie. List został wysłany dwa dni temu pocztą lotniczą.

- Więc możliwe, że nadawca jest na taśmach - powiedział znów policjant i wszedł do jednego z biur. Przed licznymi monitorami siedzieli tam dwaj pracownicy ochrony - tutaj są wszystkie taśmy. Cóż, zostawiam je do państwa dyspozycji - powiedział z uśmiechem policjant, siadając na krześle pod ścianą. Silvia z Mike’em podeszli do ekranów i jeden z ochroniarzy puścił taśmę z kamery obejmującej pocztę. Spokojnie patrzyli, jak ludzie, jedni za drugimi podchodzili i odchodzili. Mike parzył na każdego podchodzącego do dwóch okienek poczty, przypominając sobie wygląd mężczyzny, którego policjanci zastrzelili pod domem jednego z naukowców. Nagle na ekranie pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna, ostrzyżony bardzo krótko.

- Stop - powiedział Mike i wskazał na mężczyznę na ekranie - to chyba ten gość - ochroniarz cofnął taśmę kilkanaście klatek i na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny zerkającego w kamerę. Był widoczny w miarę wyraźnie.

- Skąd wiesz, Mike? - zapytała Silvia, patrząc na mężczyznę na ekranie - fakt, że zwraca na siebie uwagę, ale... - nie mogła oprzeć się wrażeniu, że podejrzany wyglądał jak ochroniarz, musiał mieć prawie dwa metry wzrostu i był bardzo szeroki w ramionach.

- Ten porywacz, którego policja zastrzeliła w Los Angeles w czasie porwania wyglądał prawie identycznie. Też „szafa”, wysoki i szeroki, jak typowy ochroniarz. Jeżeli mówimy o grupie najemników...

- Masz rację - powiedziała Silvia i odwróciła się ku Bjornowi - to chyba nasz podejrzany - dodała.

- Doskonale - powiedział fiński policjant - gdy tylko zverfikujemy państwa tożsamości, udostępnimy taśmy - Silvia popatrzyła na niego zaskoczona - och, proszę się nie niepokoić, to tylko standardowe procedury, przez jakie musimy przejść. Kwestia kilku telefonów - dodał.

- Rozumiem - powiedziała Silvia i wraz z Mike’em ruszyli do drzwi. Bjorn wyszedł z nimi. Gdy znaleźli się w holu, fin zaprowadził ich do niewielkiej kawiarni.

- Mogą państwo tutaj poczekać, przyniosę filmy. Potrwa to najwyżej pół godziny - Silvia skinęła głową i usiadła wraz z Mike’em. Mieli kilka chwil wolnego.

- Więc co myślisz...? - zapytała - faktycznie to ten?

- Chyba tak - powiedział Mike - tak mi się wydaje. Prawdę powiedziawszy... Po prostu najbardziej rzucił mi się w oczy. Poza tym ochroniarze przecież znaleźli go na taśmach z innych kamer. Przyleciał z Turynu, wysłał list, po czym wrócił następnym samolotem.

- Fakt - powiedziała i sięgnęła po niewielką filiżankę z kawą, jaką postawiła przed nią kelnerka.

- Wiesz, nadal jestem nieźle zaskoczony. Ten porywacz w Los Angeles... Po tym, jak został trafiony, upadł na plecy, wyrwał zalewczkę granatu schowanego w kieszeni na piersi a drugą rękę wsunął pod plecy, z zaciśniętym w dłoni karabinowym pociskiem - Silvia popatrzyła na niego. Kiedyś coś takiego gdzieś słyszała. Tylko nie mogła sobie przypomnieć, gdzie. Wzruszyła ramionami i znów wypila kilka łyków kawy, po czym poparzyła na dużą tablicę odlotów. Do samolotu lecącego do Turynu mieli jeszcze ponad dwadzieścia minut. Popatrzyła na jeden z kiosków i uśmiechnęła się.

- Zaraz wracam - dodała i wyszła z restauracji, w niespełna kilka minut później wracając z kilkoma pocztówkami. Ledwie usiadła, gdy zjawił się Bjorn z plastikowym pudełkiem na płytę kompaktową.

- Witam państwa - powiedział policjant - to płyta DVD z filmami. Mam nadzieję, że się przydadzą - dodał. Silvia i Mike wstali od stołu.

- Dziękuję - powiedziała Silvia, chowając płytkę do kieszeni kurtki - więc możemy wracać - westchnęła.

- Cieszę się, że mogliśmy pomóc. Życzę miłego lotu - powiedział Bjorn i zniknął...

Późnym wieczorem, gdy Silvia i Mike wrócili do Turynu, oddała płytkę policyjnym informatykom i ledwie piętnaście minut później miała już wydruk klatki filmu z twarzą przestępcy. I natychmiast zwołała spotkanie Numero Uno.

- Myślałam o tym, by poszukiwać tego człowieka listem gończym - powiedziała Silvia, gdy w sali przeznaczonej dla jej oddziału pojawili się wszyscy - ale wydaje mi się, że to przyniesie więcej szkody jak pożytku - westchnęła.

- Fakt - powiedział Paolo - po prostu to tylko sprawi, że ta grupa dowie się, że mamy jednego z nich i... albo ktoś gdzieś znajdzie jego ciało, albo po prostu znikną, jeszcze lepiej się maskując. Zakładając, że jeszcze w ogóle są w Turynie, Silvia.

- Fakt - westchnęła - ale wydaje mi się, że tak. Ten, którego namierzaliśmy, do Helsinek dotarł samolotem z Turynu i tego samego dnia odleciał też do Turynu.

- Moglibyśmy zrobić coś innego - powiedział Mike - po prostu... Niech to zdjęcie znajdzie się w każdym policyjnym radiowozie patrolowym. Dyskretnie, by nie było go z zewnątrz widać, ale by policjanci mieli je cały czas przed oczami. Czasem tak robimy w Los Angeles.

- To jest niezły pomysł - powiedziała Silvia - Paolo, zajmiesz się tym? - zapytała - tylko musisz koniecznie zaznaczyć, że szukamy tego gościa bardzo dyskretnie. Jeżeli ktoś go spłoszy, powyrywam nogi z tyłka - Paolo uśmiechnął się.

- Jasna sprawa.

- Najlepiej by było, gdyby Szybcy byli w pogotowiu. Jeżeli jakiś samochód patrolowy go namierzy, niech oni go przejmą - powiedziała Silvia. „Szybkimi” nazywano policjantów należących do specjalnej grupy pościgowo-rozpoznawczej. Pod tą długą nazwą kryła się szóstka policjantów, zwykle jeżdżących w cywilnych ubraniach na sportowych motocyklach.

- Dobra - powiedział Paolo - jak się domyślam, jeszcze dzisiaj? - zapytał.

- No lepiej by było na wczoraj - powiedziała - koniec spotkania - dodała i poczekała, aż wyjdą wszyscy. W sali został tylko Mike i ona.

- Zawieziesz mnie do jakiegoś taniego hotelu? - zapytał Mike, wstając z krzesła.

- Jeżeli chcesz... - powiedziała - ale nadal możesz zostać u mnie w mieszkaniu... - dodała.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, na większości ulic Turynu było pusto. W końcu była wolna sobota i większość mieszkańców pozostała w domach. Cichy głos silnika policyjnego radiowozu ucichł, gdy samochód zatrzymał się na parkingu pod sporą piekarnią.

- Chcesz coś? - zapytał kierowca radiowozu drugiego policjanta siedzącego na fotelu obok.

- Nie, jestem po śniadaniu - westchnął ten i ziewnął nieznacznie. Ledwie piętnaście minut wcześniej rozpoczęli nudną patrolową służbę. Policjant poprawił włosy koloru słomy i przymknął oczy. W sumie, nie narzekał na tą pracę.

- No to zaraz wracam - powiedział jego partner i wysiadł. Spokojnie ruszył do piekarni, a gdy otworzył drzwi, prawie zderzył się z jakimś mężczyzną. Popatrzył na niego przelotnie. Mężczyzna miał prawie dwa metry wzrostu i był bardzo szeroki. Miał przeciętną twarz, ale policjant był niemal pewny, że już gdzieś go widział. Wzruszył jednak ramionami.

- Przepraszam - powiedział i odsunął się. Uprzejmość była główną wytyczną tego typu patroli, mających na celu głównie pokazanie, że „policja nie śpi” oraz udzielanie ewentualnych wskazówek turystom. Mężczyzna uśmiechnął się, bąknął coś na kształt „nic się nie

stało" po angielsku, ale z wyraźnie wschodnim akcentem i szybko wyszedł z piekarni. Funkcjonariusz spokojnie wszedł do piekarni, ale nim zdążyły się za nim zamknąć drzwi, wybiegł szybko. Wiedział już, gdzie widział twarz mężczyzny, z którym się zderzył - jego zdjęcie miał przecież w radiowozie. Wskoczył do samochodu i sięgnął po radio, od razu podając ulicę, przy której był...

- Silvia, nie uwierzysz - powiedział Paolo, gdy ta wraz z Mike'm pojawiła się na komendzie.
- No pewnie nie. Co się stało? - zapytała.
- Poranny patrol nadział się na tego gościa, którego szukamy. Dosłownie. Jeden z policjantów wpadł na niego w drzwiach piekarni.
- I...? Nie zrobił niczego głupiego?
- Nie, skąd. W zasadzie policjant nawet go nie rozpoznał od razu, tylko wszedł do piekarni i dopiero potem uzmysłowił sobie, że to ten. Jego partner też nie zrobił niczego głupiego. A Szybcy już go pilnują. Dyskretnie. Ale nie ruszył się z mieszkania.
- Świetnie. Nakaz? - zapytała.
- Jeszcze nie mamy...
- Ale będziemy mieli? - przerwała mu - zawsze możemy nakaz pokazać później - mrugnęła okiem - wiesz, że trzeba się spieszyć. I to bardzo.
- Wiem - powiedział Paolo - no to jak, jedziemy?
- Pytanie - powiedziała i ruszyła do drzwi - jedziesz też, Mike?
- Jasne - powiedział.

Ledwie piętnaście minut później czerwona Micra Silvii zatrzymała się na tyłach kamienicy, w której przebywał podejrzany. Od razu też podszedł do nich jeden z Szybkich.

- Cześć, Silvia. Wasz paszerek siedzi na czwartym piętrze, mieszkanko od ulicy. Nie wiadomo, czy jest sam, jednak nikt do niego nie przychodził i nie wychodził. Nie było też żadnych rozmów telefonicznych - Silvia skinęła głową i szybko weszła do środka kamienicy. Wraz z nią poszedł Marco, Paolo i Mike. Policjant z Szybkich miał pilnować frontu kamienicy. Cała czwórka szybko wyszła na czwarte piętro i Silvia wyciągnęła pistolet, opierając się plecami o ścianę po lewej stronie drzwi. Zaraz obok niej stanął Mike, a Marco i Paolo stanęli po drugiej stronie. Kilka już razy robili takie wejścia, ale Silvia i tak czuła już zwiększoną ilość adrenaliny w jej krwi. Chwyciła pewnie pistolet, odblokowała go powoli, by nie zdradził ich najmniejszy trzask, po czym nacisnęła na dzwonek. Gdy puściła przycisk, zaległa głucha cisza. Ledwie kilka chwil później rozległ się charakterystyczny trzask i długa seria pocisków przeleciała przez drzwi, robiąc w nich wielkie dziury. Silvia natychmiast po tym poznała, że była to identyczna amunicja, jakiej używano przy kradzieży Całunu. Popatrzyła na Paolo znacząco i gdy tylko strzelanina ucichła, upadł na podłogę, robiąc mnóstwo hałasu i udając nieprzytomnego. Podziałało. Gdy tylko rozległ się delikatny trzask zamka w drzwiach, Silvia wyskoczyła zza futryny i kopnęła w drzwi, celując w mężczyznę za nimi.

- Policja!! Ręce do góry!! - krzyknęła po angielsku, celując w mężczyznę. Już na pierwszy rzut oka to był ten mężczyzna, którego poszukiwali. Ten, nadal trzymając karabin, popatrzył na nią. Tylko chwilę się zastanawiał, ale zaczął unosić karabin. Nim zdołał jednak unieść lufę kałasznikowa na tyle, by móc w nią strzelić, Silvia trafiła go w ramię. Mężczyzna wypuścił karabin z krzykiem, po czym upadł na plecy i przeturlał się na brzuch.

- Marco, karetka!! - powiedziała, po czym podeszła do leżącego na plecach mężczyzny i mocno pociągnęła jego rękę, zapinając mu kajdanki. Mike zauważył, że mężczyzna jedną z dłoni miał zaciśniętą z całych sił a z drugiej wypadło małe, niewielkie kółeczko. Zareagował natychmiast.

- Wszyscy na zewnątrz!! - krzyknął, gdy Marco i Paolo już wchodzili do mieszkania, a sam chwycił Silvię, pociągnął ją ku sobie i razem upadli na podłogę. Mike zasłonił ją sobą i w tym momencie rozległa się głucha eksplozja, a ciało mężczyzny podskoczyło pod wpływem eksplozji granatu. Dopiero po chwili Mike wstał i podał Silvii rękę.

- Nic ci nie jest? - zapytał. Pokręciła głową. Nadal niesamowicie pischowało jej w uszach, ale... chyba było w porządku. Dopiero po chwili się zreflektowała.

- A tobie? - zapytała, patrząc na Mike'a, zasłaniającego narzutą z łóżka zasłaniając samobójcę.

- W porządku - powiedział Mike i popatrzył na Paolo i Marco, wchodzących do mieszkania.

- Co to było, do ciężkiej cholery...? - zapytał Marco, patrząc, jak jasnobrażowa narzuta szybko ciemnieje od krwi.

- Granat - powiedział Mike spokojnie - tak samo, jak w Los Angeles. Nim zdążyłaś go skuć, wyrwał zawleczkę z granatu na piersi i się wysadził. Z niego nic już nie wyciągniemy. Silvia patrzyła, jak Paolo chodzi tam i z powrotem na zewnątrz kawalerki i rozmawia przez telefon komórkowy. Wzywał już wsparcie i techników a ona sama przez nieznośny pisk w uszach usłyszała dźwięk karetki. Popatrzyła raz jeszcze na ciało zakryte płachtą i potem na Mike'a.

- Dzięki, uratowałeś mi życie...

- Oboje mieliśmy szczęście - powiedział i zdjął kurtkę, jaką miał na sobie. Była do wyrzucenia. Granat sprawił, że były na niej plamy krwi - a ja chyba muszę się przebrać - Silvia popatrzyła wokół, na pokój.

- Paolo...

- Jasne, że tak - westchnął, doskonale ją rozumiejąc - możesz uciekać, jak tylko będziemy coś wiedzieć, damy znać - dodał - ale patrz na to mieszkanie, to technicy będą mieli masę roboty - Silvia uśmiechnęła się nieznacznie. Fakt, w kawalerce panował prawdziwy bałagan, a wybuch granatu, wybijając przy okazji wszystkie szczyby w mieszkaniu jeszcze tylko to pogorszył...

- No to ja spadam. I pilnie czekam na raport. Spadamy, Mike - westchnęła.

Jeszcze tego samego dnia Silvia musiała złożyć raport swojemu przełożonemu, krótko po tym, jak sama mogła przeczytać raport techników. W mieszkaniu jednak nie znaleziono wiele informacji i śledztwo znów nieznacznie utknęło. Jednakże kilka chwil po tym, jak Silvia wyszła od komendanta, Mike odebrał telefon z Los Angeles.

- Silvia, wiemy już, nad czym pracowali ci naukowcy - powiedział spokojnie Mike, gdy wróciła do ich sali.

- Super, oby nam to pomogło - westchnęła i usiadła. Była zła na siebie. Technicy niewiele znaleźli w mieszkaniu, a ona zdecydowanie zawałiła, pozwalając tamtemu mężczyźnie wysadzić się w powietrze.

- Ci naukowcy pracowali nad klonowaniem - powiedział Mike - to był jakiś tam eksperyment dotyczący klonowania.

- Klonowanie? Chyba niewiele na to pomoże... - westchnęła.

- Dlaczego tak myślisz...? - zapytał Marco - zawsze to coś.

- Wiem, Marco. Po prostu jestem zła na siebie.

- Silvia, gość miał karabin maszynowy. A ty trafiłaś go w ramię. To nie twoja wina, że się wysadził. Ja strzeliłbym... Wiesz...

- Rozumiem... Ale popatrzcie... Po co ktoś porywa czterech naukowców, którzy pracowali nad wspólnym projektem dotyczącym klonowania? Z pewnością nie po to, by urządzić sobie naukową konferencję, prawda? A do czegoś takiego potrzebne jest laboratorium. Które chyba nie można sobie urządzić w byle mieszkaniu, nie? - zapytała.

- Może masz rację - powiedział Mike - do tego potrzebna jest spora sala... Duże pomieszczenie. Najlepiej w dużym budynku, ci naukowcy są przecież porwani. Muszą być trzymani pod kluczem. Poza tym ci najemnicy też muszą gdzieś mieszkać. Nie sądzę, by wszyscy mieli wynajęte kawalerki. Poza tym nie wydaje mi się, by grupa najemników...

- Rosyjskich - przerwała Mike'owi Silvia - ci goście to komandosi Specnazu. Albo byli komandosami Specnazu - cała trójka popatrzyła na nią.

- Co? - zapytał Paolo - skąd Ci to przyszło do głowy?

- Mike, ten gość, który się wysadził w Los Angeles trzymał w dłoni karabinowy pocisk, tak...? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, zerknęła do raportu - ten z kawalerki tak samo. Gdzieś kiedyś czytałam, że komandosi Specnazu byli tak szkoleni, by nie dać się złapać. Za wszelką cenę. Wtedy właśnie zaciskali w dłoni karabinowy pocisk, by pokazać, że nie dali się zatrzymać żywcem i... najczęściej używali właśnie granatu.

- No dobra, ale co nam to daje? - zapytał Marco.

- Och... W zasadzie nic. Marco, skontaktuj się z Rosją w sprawie identyfikacji tych komandosów. A Mike, ty mów dalej. Po prostu intrygowały mnie te pociski trzymane w dłoni i nie dawało mi to spokoju.

- No, jak mówiłem, laboratorium musi być w dużym miejscu. Duża sala. Ponadto naukowcy muszą mieszkać na miejscu. Najemnicy też. I jeszcze ktoś, kto nadzoruje to wszystko. Nie chcę wątpić w możliwości Specnazu, ale nie wydaje mi się, by kilku byłych czy nawet obecnych komandosów chciało sobie coś skłonić. Ale w takim razie po co kawalerka...? - zapytał Mike i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej - jeden z nich mieszkał w kawalerce, bo miejsce z laboratorium musi być za miastem. Kontaktowali się telefonicznie...

- Cholera!! - warknęła Silvia - jasna sprawa. Mamy coś o telefonicznych połączeniach z tej kawalerki? - zapytała, patrząc na Marco i Paolo.

- Nie używali zwykłych telefonów. Ale w mieszkaniu znaleźliśmy telefon komórkowy oraz karty sim. Sporo kart. W większości z systemu pre-paid. Niektóre z nich były już na wpół strawione przez kwas, więc chyba mieli je do jednorazowego użytku. Ani na pozostałych, ani na telefonie nie było żadnych numerów. Komórka była regularnie czyszczona. Nasi informatycy z niej wyciągają ile się da, ale nie liczyłbym na sukces. Można by próbować jakoś szukać połączeń, mając czas i miejsce, ale to może potrwać całymi miesiącami.

- No dobra... Ale Mike ma rację. Muszą mieć gdzieś stałą bazę. Duży dom za miastem. Najlepiej odosobniony, by nikt nic nie widział. A ja wiem, kto mi powie, gdzie go mają - powiedziała z satysfakcją.

- Ja chyba też wiem, kto - powiedział Marco - i zapewne tam właśnie się wybierasz, czyż nie...?

- Tak, Marco. Jadę do Michaela McFadyeana - powiedziała z uśmiechem - zostańcie, wróćcie najszybciej, jak będę mogła - dodała, ruszając do drzwi...

Czerwony samochód zatrzymał się przed komendą z krótkim piskiem opon. Mike popatrzył na Silvę, siedzącą za kierownicą. Szybko wsiadł do samochodu i usiadł obok niej.

- Masz? - zapytała.

- Jasne - pokazał jej plecak z mocnymi lornetkami oraz aparatem fotograficznym z dużym obiektywem - gdzie jedziemy?

- Tutaj - powiedziała, podając mu kartkę z adresem - może się okazać, że tam właśnie jest nasze laboratorium - dodała, ruszając szybko z parkingu - z tego, co powiedział mi Michael, na pewno tam. Ktoś kupił to przez Internet, robiąc przelew, kluczki odbierając przekazem pocztowym. Wystarczająco podejrzane nie sądzisz?

- Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? - zapytał Mike - że to chyba nie jest laboratorium z narkotykami. Nie mam pojęcia, co tam będzie, ilu ludzi.

- Fakt, kilka razy już nasza policja zajmowała laboratoria narkotykowych mafii. A to będzie kompletną niespodzianką - powiedziała, sunąc już po nieco pustawych ulicach. Z adresu, jaki zapisał jej Michael wynikało, że posiadłość znajdowała się za miastem, jakieś dwadzieścia kilka minut jazdy - ale zajmą się nimi nasi ludzie z oddziałów uderzeniowych - dodała - a potem pewnie dostaną się tam technicy - westchnęła. Technicy. Minęło już... Około miesiąca, odkąd Sergio ją zostawił. I nie odezwał się, nie zadzwonił ani razu. Ale w sumie... Nie liczyła na telefon. Tylko boleśnie bolało ją jedno pytanie, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi - dlaczego? Co znowu zrobiła źle? Czy za bardzo starała się być z kimś?

- Silvia, ty jesteś sama? - zapytał Mike - wybacz, osobiste pytanie, ale jakoś tak... - roześmiała się. Chyba tylko po to, by ukryć smutek na twarzy.

- Tak... Niespełna miesiąc temu odszedł ode mnie mój facet - westchnęła.

- Przykro mi - powiedział Mike. Silvia wzruszyła ramionami i zwolniła, rozglądając się. Wyjechała już poza miasto i teraz sunęła powoli jedną z dróg idących przez łąki.

- To gdzieś tutaj... - powiedziała do siebie, rozglądając się jeszcze bardziej na boki. Nagle zatrzymała samochód. O mało co nie przegapiła szerokiej, ale schowanej za wysoką trawą drogi. Nie była pokryta asfaltem, a tylko drobnymi kamieniami, w dodatku mocno rozjeżdżonymi. Silvia wjechała na nią i zatrzymała się - poczekaj chwilę - rzuciła krótko, po czym wysiadła z auta. Mike poszedł w jej ślady a Silvia kucnęła przed maską Micry i popatrzyła na drogę. Szerokie, głębokie koleiny były bardzo dobrze widoczne. Uśmiechnęła się pod nosem. Jak nazywała się ta ciężarówka? Chyba Ził. Nie, Ural. Na pewno Ural. Oboje wsiadli do samochodu i Micra ruszyła dalej...

Niespełna kilka minut później samochód zatrzymał się na skraju niewielkiego lasu. W oddali Silvia widziała już światła budynku. Wyłączyła silnik i trzymając w dłoni lornetki wyszła z samochodu.

- Myślisz, że to jest to miejsce? - zapytał Mike, stając obok niej.

- Chyba tak - powiedziała, przykładając lornetki do oczu. Widziała spory, piętrowy dom, utrzymany trochę w starodawnym stylu. Lornetki były naprawdę mocne i widziała większość szczegółów. Pod drzwiami domu prowadziły marmurowe schodki, obok były spore drzwi garażowe, ale zamknięte. Tuż pod ścianą stała duża ciężarówka zakryta brezentem i motocykl.

- Bingo - powiedziała Silvia - to chyba tutaj. Jest ciężarówka, na pewno to ten Ził, ech, Ural. Mylą mi się. Motocykl też jest. A z naszych analiz wynika jasno, że potrzebowali pilota, by umieć szybko przejechać przez miasto. Nagle przypomniał się jej Sergio. Pamiętała, że jeździł na motocyklu. Nie była pewna, ale chyba na czarnym Ducati.

- No to co, wracamy? - zapytał Mike.

- Myślę, że możemy założyć, że to jest tutaj - powiedziała i razem wsiadli do samochodu. Silvia zapaliła silnik, sprawdzając uprzednio, czy światła samochodu były wyłączone...

Następnego dnia Silvia zatrzymała samochód przed kamienicą, w której mieszkał Sergio. W ciągu całego tego czasu, odkąd ją zostawił, kilkakrotnie usiłowała się do niego dodzwonić, ale nigdy nie odpowiadał. Wysiadła z samochodu i podeszła pod drzwi kamienicy. Przed głównymi drzwiami stał jakiś mężczyzna i naprawiał domofon. Silvia go poznała. Był "złotą rączką" od napraw w budynku, w którym miał mieszkanie Sergio.

- Dzień dobry - powiedziała i popatrzyła na niego. Pomyliła się. Nie naprawiał domofonu, tylko wymieniał nazwisko. Pod numerem, pod którym zawsze mieszkał Sergio - mężczyzna mieszkający pod piętnastką... Czy on się wyprowadził się? - zapytała. Monter zmierzył ją wzrokiem.

- Owszem. Jakies dwa tygodnie temu - popatrzyła na niego.

- Co takiego...? - Sergio nie powiedział jej zupełnie nic. Nagle doszło do niej, jak mało o nim wiedziała - a nie zostawił żadnego numeru telefonu, nowego adresu?

- Nie - powiedział - przykro mi.

- Dziękuję - powiedziała Silvia i wróciła do samochodu. Coraz bardziej pewnie zakwitała w jej głowie myśl, że Sergio wcale nie był tym, za kogo go uważała. Ale teraz i tak miała ważniejsze rzeczy na głowie. Wkrótce miało dojść do policyjnego nalotu na dom, jaki obserwowała wraz z Mike'm. To miało być zakończenie całej ich śledczej pracy i miała nadzieję, że się nie pomylili.

28 września 2005 roku.

Drzwi otworzyły się cicho i trzech mężczyźni zmrúżyli oczy. Do niewielkiego pokoju wszedł jeszcze jeden, z niewielką torbą podróżną.

- Steven!! - powiedział jeden z trójki mężczyzn. Nowoprzybły popatrzył po obecnych.

- To wy? Co...? Jak...? Nic nie rozumiem.

- A my właśnie się zastanawialiśmy, kiedy się pojawisz - powiedział znów ten sam mężczyzna. Steven przywitał się ze swoimi trzema kolegami z uczelni, jeszcze z czasów, gdy trzech z nich - Mark Andre, Johny Wilson i właśnie Steven Tellite pracowali wspólnie nad pewnym projektem przy pomocy mężczyzny, który również był w pokoju, a nazywał się Richard Nicholson. Steven usiadł na jednym z czterech łózek, najpewniej przeznaczonym dla niego.

- Więc was też porwali... - westchnął.

- Owszem - odezwał się Mark - porwali, obiecując okres pracy trzech miesięcy. Nie wiem, czy wyjaśnili ci już zasady - westchnął - ten pokój jest dla nas. Jest tutaj łazienka, natomiast posiłki otrzymujemy trzy razy dziennie. Dowolne, wybrane według nas. Nie mam jeszcze pojęcia, nad czym będziemy pracować, ale podobno dowiemy się już niedługo - przerwał mu trzask zamka w drzwiach i te otworzyły się. Do sali wszedł wysoki, szczupły brunet.

- Witam panów - powiedział po angielsku, zdradzając jednak włoski akcent. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi - jak się zapewne panowie domyślają, nikt inny do was już nie dołączy i możemy zacząć realizować nasze umowy - podszedł do niewielkiego stołu i położył na nim arkusz bloku w formacie A4 oraz długopis - macie prawo napisać do swoich rodzin listy. Zapewniam, że zostaną wysłane. Należy jednak pamiętać, że listy owe zostaną przez nas sprawdzone. Jeżeli choć jeden z was zapragnie w jakiś sposób przekazać swojej rodzinie informacje, które mogą nam zaszkodzić, żaden z listów nie zostanie wysłany. Aczkolwiek nie wiem, w jaki sposób moglibyście panowie nam zaszkodzić, bo... wciąż panowie nie wiedzą, gdzie jesteśmy, prawda...? - powiedział mężczyzna i uśmiechnął się, po czym mówi spokojnie dalej - wasze rodziny nie będą mogły na listy odpowiedzieć. To jest już za duże ryzyko. Tym niemniej dowiedzą się, że jesteście panowie cali i zdrowi. Proponuję również zapewnić, że rzeczywiście wrócą panowie do domów po upływie trzech miesięcy. Gdy panowie skończą pisać, proszę zastukać w drzwi. Ktoś je od panów zabierze a potem już będą mogli panowie się zająć swoją pracą. Och, mogą też panowie zaznaczyć, że to jedyny list, jaki będzie wam dane napisać. To również wynika z konieczności ochrony - uśmiechnął się, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi...

- Nie piszesz? - zapytał Steven, podając blok i długopis Markowi. Ten tylko poparzył na niego.

- Nie mam do kogo - powiedział Mark - od dawna jestem sam, moi rodzice zmarli w rok po tym, jak skończyłem studia.

- Och... Przykro mi - powiedział. Mark tylko się uśmiechnął i wstał. Podszedł do drzwi i lekko uderzył w nie kilka razy. Nie musiełi długo czekać - po chwili do pokoju wszedł ten sam mężczyzna, co wcześniej.

- Skończyli panowie? - zapytał i nie czekając na ich odpowiedź, dodał - zatem proszę za mną. Wyjaśnię wam dokładnie, na czym będzie polegała wasza praca dla mnie - szybko zebrał kartki z listami od naukowców, po czym ruszył do drzwi. Naukowcy, chcąc, nie chcąc, ruszyli za nim. Gdy wyszli z ich pokoju, pozabawionego okna, szybko domyślili się, że są gdzieś w piwnicy. Wąski, ciemny korytarz, którym prowadził ich nieznamy mężczyzna, był wypełniony chłodem. Powietrze było nieco zatęchłe i wilgotne, a pod ich nogami przesuwaly się kłębki kurzu. Wreszcie mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami. Duże, metalowe drzwi sprawiały wrażenie ciężkich, nawet pancernych. Nie było widać żadnego zamka, a w drzwiach były wmontowane tylko dwa uchwyty. Obok drzwi była wmontowana mała klawiatura z dziesięcioma cyframi. Dioda obok cyfr świeciła na czerwono. Mężczyzna wstukał pięciocyfrowy kod i gdy dioda zmieniła kolor na zielony, mocno pociągnął drzwi. Intensywnie, białe światło sprawiło, że na chwilę naukowcy nic nie widzieli, jednak posłusznie weszli do środka za mężczyzną. Gdy ich oczy przyzwyczyły się do jasnego pomieszczenia, z ich ust wyrwało się ciche westchnięcie pełne zaskoczenia. Jedynie Mark tylko uśmiechnął się pod nosem. Naukowcy stali w doskonale wyposażonym laboratorium. Pod ścianami stało pełne wyposażenie laboratoryjne, jakiego nie powstydziliby się niejeden uniwersytet. Na środku pomieszczenia stała duża gabłota z czymś w środku. Nieznany im mężczyzna pierwszy podszedł do niej i przeżegnał się, dotykając prawą dłonią czoła, piersi i obu ramion. Gdy zauważył, że naukowcy nadal stoją tuż za drzwiami, które już zdążyły się zablokować, o czym świadczyła czerwona dioda przy klawiaturze zainstalowanej również tutaj, odwrócił się do nich.

- Podejdźcie tutaj - powiedział. Czwórka naukowców podeszła do gabłoty i popatrzyła na płótno z niewyraźnym zarysem ciała jakiegoś mężczyzny.

- Czy panowie wiedzą, co to jest? - zapytał, patrząc na płótno pod szkłem gabłoty. Naukowcy patrzyli na płótno w milczeniu.

- Całun. Całun Turyński - powiedział Johny Wilson po chwili ciszy. W jego tonie słychać było zaskoczenie.

- Tak!! - powiedział radośnie mężczyzna - to najcenniejsza relikwia wszystkich chrześcijan - dodał - najcenniejszy skarb. Płótno, którym był okryty Chrystus tuż po tym, jak został zdjęty z krzyża. Płótno, które zostało nasycone jego mocą oraz... jego krwią - Richard popatrzył na mężczyznę. W jego słowach było coś więcej, niż wiara. Mężczyzna musiał być bardzo wierzącym chrześcijaninem. Albo członkiem sekty.

- To prawda - powiedział pojeźdnawczo, zdając sobie sprawę, że rozmawia z fanatykiem - ale co my do tego mamy? - zapytał - jakie jest wasze zadanie? - mężczyzna uśmiechnął się.

- Ludzkość pokornie czeka na powtórne przyjście Chrystusa. Ludzie czekają, ale równocześnie mają nadzieję, że Jezus nie przyjdzie teraz, nie za ich życia. I dlatego nie widzą jasných wskazówek. Ludzie czekają. Ale Bóg nie każe im czekać. Bóg rozkazuje działać. Oto daje nam możliwość wyboru. Ludzkość może wybrać powtórny moment nadejścia. Może wybrać dzięki temu, że Bóg zostawił nam namacalny ślad po Chrystusie. Całun, w którym okryte było ciało jego jedyne go syna. A Wy... - popatrzył po naukowcach - zostaliście wybrani. Dostapicie szczytu dokonania losu wytyczonego ludzkości przez Boga. Ufam, że jesteście dumni z roli, jaką wyznaczył wam sam Bóg - powiedział mężczyzna - a teraz wyjawię wam wasze zadanie. Dzięki zdobyczy nauki, którą dał nam sam Bóg, będziemy mogli zaprosić Chrystusa do naszego świata. Przywołać go. Sprawić, że znów będzie wśród nas. Znów będzie nas nauczał, nas prowadził i nas chronił. W jaki sposób, pytacie? Dzięki jego krwi. Całun przesiąknął mocą Chrystusa, gdy ten dokonywał zmartwychwstania. Ale przesiąknął też jego krwią, gdy Chrystus schodził do królestwa śmierci. Na Całunie znajduje się jego krew. Wiecie już teraz, co będzie waszym zadaniem? - zapytał mężczyzna, a Richard popatrzył na niego. Już rozumiał. A szybka wymiana spojrzeń z kolegami z uczelni dała mu pewność, że oni też już się domyślili.

- Wiemy - powiedział Richard. On jakoś czuł się odpowiedzialny za swych przyjaciół, na studiach to on był inicjatorem projektu klonowania z materiału DNA wydobytego z martwych tkanek - ale są pewne problemy. Zapewne wie pan, czym zajmowaliśmy się na naszym uniwersytecie. Ale wtedy robiliśmy próby z tkankami, które po śmierci były zamrażane. Całun nie był trzymany w takich warunkach - miał nadzieję, że jego słowa, które przecież były jawnym sprzeciwem wobec zadania, przed jakim ich postawiono, nie wywołają gniewu. Ale jego reakcja zupełnie zaskoczyła Richarda.

- Rozumiem to - powiedział mężczyzna - dokładnie przeanalizowałem wasze doświadczenia. I rozumiem, że wy widzicie problemy. Wasza wiara nie jest tak silna. Ale Bóg wleje w wasze serca wiarę. Jestem tego pewien. Całun okrywał Chrystusa. Wsiąknęła w niego jego moc i jego krew. Bóg dał nam Całun nie po to, by coś mogło się nie udać. Bóg wam pomoże. Wierzę, że wypełnicie zadanie. Teraz zostawię was. To laboratorium jest wyposażone dokładnie tak samo, jak to, w którym pracowaliście na uniwersytecie. Jednak gdybyście czegoś jeszcze potrzebowali, obok klawiatury znajduje się słuchawka intercomu. Wystarczy skontaktować się ze mną. Nie liczą się pieniądze. Teraz was zostawię, byście mogli przemyśleć plan działania. Ja nie znam się na waszej pracy, nie wiem, w jaki sposób powinniście się do tego przygotować. Wierzę jednak, że to Bóg was poprowadzi - powiedział i ruszył do drzwi, ale nim wstukał kod, odwrócił się - och, jeszcze jedna rzecz. W laboratorium jest kamera - popatrzył w róg laboratorium pod sufitem i wszyscy podążyli za jego wzrokiem. Rzeczywiście w rogu znajdowała się mała kamera - jest to również dla waszego bezpieczeństwa. A teraz życzę owocnej pracy - powiedział i wyszedł. W sali zapadła cisza. Mark pierwszy ruszył do niewielkiego stolika w rogu - jego

koledzy z uczelni dopiero teraz zauważyli, że w ogóle tam był. Przed nim stały cztery krzesła, a na nim stały szklanki i różnego rodzaju napoje - od coca-coli po soki w kartonach. Richard pierwszy ruszył za nim.

- To kompletne szaleństwo - powiedział - idiotyzm. Tego nie uda się zrobić!!

- Czyżby? - zapytał Mark - pomyślcie, co możemy zrobić, czego dokonać. Pomyślcie o tym, co będzie, gdy się nam uda - Richard popatrzył na niego zaskoczony. W jego głosie słychać było tę samą nutkę szaleństwa połączoną z fanatyzmem.

- Co ty mówisz, Mark...? Przecież to Całun Turyński - powiedział - jego prawdziwość nie została nigdy ostatecznie potwierdzona. Nie wiadomo, czy to na pewno jest to, co ludzie mówią, że jest.

- Poza tym bardzo jestem ciekawy, Mark, w jaki sposób ten człowiek dowiedział się o naszym projekcie - powiedział Steven - nasz projekt był utajniony, wiedzieli o nim tylko władze uczelni.

- Właśnie - zawtórował mu Johny - skąd wiedzieli? Czy aby nie ty im to powiedziałeś? I w ogóle jak to się stało, co? Przez ciebie tutaj jesteśmy, z daleka od naszych rodzin!! - warknął i chwycił Marka za koszulę - komu nas sprzedajesz?! - ryknął gniewnie.

- Spokojnie - powiedział Richard - złość w niczym nam nie pomoże. Ale ty, Mark, jesteś nam winien wyjaśnienia - Mark ze złością usiadł na krześle, poprawiając koszulę.

- Tak - powiedział - bez wątpienia, gdyby nie ja, nie byłoby was tutaj. Ale za te trzy miesiące dostaniecie pieniądze. Legalne. Wszystko jest legalne, gdy skończycie pracować, legalnie zostaniecie wypuszczeni. Pieniądze, umowa o pracę, wszystko będzie legalne. Nie macie się czego obawiać. A co do tego, jak do tego doszło... Po zakończeniu studiów nasz kontakt się urwał. Znalazłem pracę, miałem żonę i dziecko.

- Ty? - przerwał mu Steven - o niczym nie wiedzieliśmy.

- Owszem - powiedział Mark - bo moje małżeństwo trwało tylko rok. Do wypadku. Na skrzyżowaniu. Teraz to jest zabawne, gdy tak o tym myślę... Przewód hamulcowy wysiadł po takim czasie, jaki przewidział producent. Efektem tego była kilkutonowa ciężarówka, przejeżdżająca po samochodzie mojej żony. Wraz z moim dzieckiem zginęła na miejscu. Podobno kierowca ciężarówki stracił trzy palce z obu dłoni, gdy po wypadku, w szoku, usiłował wyciągnąć z wraku moją żonę i dziecko. Był trzeźwy i... tak naprawdę nie winię go. Ten wypadek był mi potrzebny.

- Co? - zapytał Richard - bardzo mi przykro, nie wiedziałem... - Mark pokręcił głową.

- Ten wypadek był mi potrzebny. Moje życie straciło sens, ale wtedy w moim życiu pojawił się ktoś ważniejszy. Któregoś dnia do moich drzwi zadzwonił człowiek. Szukał dobrego genetyka, nie wiedziałem, po co. Ale poza tym, że znów dał mi życie, dał mi jeszcze coś cenniejszego. Dzięki niemu zobaczyłem moją misję. Bóg mi ją wyznaczył. Zrozumiałem mój cel. I postanowiłem, że będę Mu posłuszny. I tak zacząłem pracować dla tego człowieka. A gdy on powiedział, co będzie moim zadaniem, wyjaśniłem mu, że sam tego nie dokonam. Że potrzebuję pomocy innych naukowców. Zrozumcie mnie!! Gdy nasze zadanie się uda, będziemy sławni. Będziemy mogli pierwsi zobaczyć Chrystusa. Będziemy tymi, którzy zaprosili go do powtórnego przyjscia na Ziemię. Jak apostołowie. Poza tym ten człowiek, mój duchowy opiekun, powiedział, że wynagrodzi tych, kogo wybiorę. Pomyślałem o was. Uznałem, że należy się wam zaszczyt tej misji. Powinniście się cieszyć, że Bóg dał wam możliwość wykonania tego zadania - Mark skończył a pozostali trzej naukowcy patrzyli na niego.

- A co, jeżeli nie będziemy chcieli tego zrobić? - zapytał Richard. Mark popatrzył na niego ze smutkiem.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego. Poświadczyłem za was. Jeżeli odmówicie... Cóż, ten, który odwraca się w świadomości od Boga, nie godzien jest, by żyć. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

- A jeżeli spróbujemy, ale się nam nie uda? - zapytał znów.

- Mój Przywódca wierzy w potęgę nauki daną ludziom od Boga. Ale zna jej granice. Jeżeli nie będziemy mogli tego zrobić, jeżeli się nie uda, wyjaśnię Memu Panu powody porażki. Nie jest grzesznikiem ten, kto nie umie wykonać misji, jaką dał mu Bóg, lecz grzesznikiem jest ten, kto nie wykona jej, nie próbując nawet tego wykonać.

- No to po problemie - powiedział Johny z uśmiechem - wystarczy, że powiesz temu swojemu panu, że tego nie da się zrobić i wracamy do domu - Mark uśmiechnął się gorzko.

- Ty nic nie rozumiesz - powiedział spokojnie Mark - Bóg dał mi tę misję. Wiem, że gdy ją wykonam, wraz z Chrystusem powrócą tych, których straciliśmy. Powróci do mnie moje dziecko i żona. Oddam życie, byle tylko to zadanie się powiodło. A wy... Jesteście teraz ze mną. Na dobre i na złe. Wierzę, że Richard - Mark popatrzył na naukowca - poprowadzi nas teraz tak samo dobrze, jak kiedyś.

- Ale wiesz, że próbowaliśmy klonować organizmy z martwych tkanek, natychmiast zamrożonych po śmierci.

- Wiem. Ale to misja od Boga. I wierzę, że on nam pomoże. A teraz bierzmy się do pracy. Trzy miesiące, to maksymalny czas. Zapewne chcecie wrócić do domów wcześniej - powiedział Mark...

Richard z cichym westchnięciem uniósł głowę znad okularów mikroskopu. Od kilku dni metodycznie przeszukiwali całą powierzchnię Całunu w poszukiwaniu choćby kilku komórek krwi. On sam od samego początku uznał to za stratę czasu oraz pieniędzy, ale Mark naprawdę wierzył w sens ich pracy. Wraz z dwoma pozostałymi naukowcami doszli do wniosku, że Mark musiał dostać się do jakiejś wyjątkowo bogatej sekty. W końcu... Wszyscy oni oglądali w wiadomościach CNN informację o kradzieży Całunu Turyńskiego. A potem ich porwania. To musiało kosztować wiele pieniędzy. Richard był tylko ciekawy, kto za tym wszystkim stał. Przetarł oczy. To było bez sensu. Nawet, jeżeli uda im się jakimś cudem odnaleźć krew...

- Macie coś? - zapytał pozostałych naukowców. Odpowiedziały mu tylko przeczące ruchy głów pochylonych nad mikroskopami. Całe to wyposażenie laboratorium musiało być warte mnóstwo kasy. Zastanawiał się, kto za to zapłacił. I tak naprawdę po co?

- Mam na dzisiaj dość - powiedział.

W dwa dni później również nie mieli nic. Ale jakby nie patrząc, przeszukali dopiero połowę Całunu. W dodatku w tak bardzo niewygodny sposób - mikroskopy o stosunkowo niewielkim powiększeniu musieli ostrożnie położyć na Całunie, by nie uszkodzić płótna. A do tego jeszcze nie mogli sobie ułatwić, pokrywając powierzchnię Całunu substancją świecą w kontakcie z innymi substancjami pochodzenia naturalnego - groziło to uszkodzeniem Całunu. Richard cicho westchnął. W zasadzie im dłużej pracowali nad tą sprawą, tym bardziej nabierał przekonania, że to, co robią, jest słuszne. Sam nie wiedział, dlaczego tak myślał. Może to przez zamknięcie i rozmowy tylko z pozostałymi naukowcami, zwłaszcza z Markiem, który swoim poczuciem misji powoli przekonywał kolegów. Richard westchnął. Uniósł oczy znad okularu mikroskopu. Nadal nic. Popatrzył na zegar. Dochodziła dziesiąta wieczorem. W laboratorium był sam. Raz jeszcze przyłożył oko do okularu i przesunął nieco mikroskop. Wyostrzył. I przed jego okiem pojawiła się brązowa plama zastygłej krwi. Niemal nie powstrzymał się od okrzyku radości. Znalazł. Obrócił rewolwer mikroskopu, zwiększając powiększenie. Zobaczył komórki krwi. Z uśmiechem sięgnął po odpowiednie przyrządy i zebrał trochę zakrzepłej krwi. Z gotową próbką podszedł do elektronowego mikroskopu...

Drukarka po raz nie wiadomo który wypuła kartki. Richard popatrzył na zegar. Była czwarta rano. Pracował całą noc. Choć przez ostatnie cztery godziny po prostu cały czas robił to samo. Testował łańcuchy DNA zawarte w zakrzepłej krwi. Popatrzył na świeżo wypływ z drukarki wydruk i zerknął na stosy kartek piętrzących się pod jego butami. Raz jeszcze prześledził wyniki.

- Mój Boże... - westchnął cicho i nagle poczuł wiarę. Łańcuchy DNA pozyskane z krwi, jaką znalazł na Całunie były zachowane w całości...

1 października 2005 roku.

- Wszystko jest gotowe? - zapytała. Denerwowała się jak jasna cholera.

- Silvia, wiesz, że lepiej być nie może - powiedział Marco. Silvia wiedziała. Poprawiała ciężącą jej kevlarową kamizelkę. Za kilka minut wraz z dwudziestoosobowym oddziałem uderzeniowym miała pojechać na miejsce, gdzie prawdopodobnie byli przetrzymywani naukowcy. I denerwowała się. Okropnie się denerwowała. Ale w końcu... Co mogło pójść źle? Poza tym, że pewnie wszystko, przy odrobinie pecha.

- Wiem, Marco - powiedziała w końcu - jedziemy - wyciągnęła pistolet spod ramienia, przeładowała go z trzaskiem i kciukiem przesunęła blokadę. Zabezpieczony pistolet z powrotem wsunęła do kabury. Wraz z Marco wyszła na korytarz, gdzie dowódca grupy podał jej niewielką słuchawkę. Skinęła głową.

- Wszyscy znają plan? - upewniła się.

- Silvia, pytałaś o to z setkę razy. Wszystko jest dopracowane w szczegółach - Silvia skinęła głową. Najbardziej martwiła ją obecność rosyjskich żołnierzy. Tam mogła być niezła strzelanina. I pewnie będzie.

- Ruszamy. Śmigłowiec gotowy? - zapytała.

- Taaa... - westchnął spokojnie Marco - Silvia, jesteście gotowi, wszystko dobrze opanowałeś - fakt, to ona była dowódcą grupy. Niespecjalnie lubiła takie akcje. Mimo kamizelki, zawsze można zginąć. Nie, żeby się specjalnie bała, ale przecież tylko szaleńcy w ogóle nie czują strachu.

- Jedziemy - powiedziała i wyszła na parking przed komendą. Popatrzyła w rozgwieżdżone niebo. Dochodziła pierwsza w nocy. Podeszła do pierwszego z trzech Fiatów. Duże, transportowe Ducato świetnie nadawały się do tej akcji. W środku każdego z nich zmieściłoby się nawet i dziesięciu policjantów, ale z uwagi na dodatkowy sprzęt, Silvia zdecydowała się użyć trzech samochodów. Miały zatrzymać się pięćdziesiąt metrów od domu, resztę drogi policjanci mieli przemierzyć szybkim biegiem w osłonie trzech snajperów. I dopiero potem nad dom miał nadlecieć policyjny śmigłowiec. Spokojnie patrzyła, jak kolejni policjanci wsiadają do samochodów, opierając się o ściany. W kilka minut później samochody ruszyły...

Trzy Fiaty zatrzymały się na opuszczonej drodze. Tylne drzwi otworzyły się i po chwili na dachach wozów pojawiły się cienie. Na każdym z wzmocnionych dachów samochodów położył się policyjny snajper oraz jego pomocnik. Silvia wyskoczyła z samochodu i popatrzyła na oddział.

- Wszystko gotowe? - zapytała. Trzej policjanci, jacy mieli nadzorować w wozach całą akcję, skinęli głowami. Silvia nie wiedziała, po co tak naprawdę tutaj byli. W budynku nie było żadnych kamer, policjanci w wozie mogli tylko ewentualnie wezwać pomoc. Dlatego antyterrorysty do domu właśnie ruszali w czterech pięcioosobowych oddziałach. Wiedziała, że tam każdy z nich będzie podejmował decyzję samemu. Raz jeszcze popatrzyła na policjantów. Już rozdzielili się na cztery oddziały po pięciu ludzi. Silvia popatrzyła na czterech podległych jej mężczyzn. Każdy z nich trzymał w dłoniach karabinek MP5SD1. Na udach mieli typowe dla włoskiej policji Beretty 92f. Jeden z nich miał dodatkowo niewielką strzelbę Benelli M3 Super 90 Shorty a inny niewielką torbę z kostkami C4.

- Dobra - powiedziała spokojnie Silvia - ruszamy - powiedziała i sięgnęła do radia na ramieniu - raport snajperów - nie musiała długo czekać. Trzej snajperzy szybko podali potrzebne jej informacje. Nie było żadnych strażników a w oknach nie było widać żadnych ludzi. Obserwatorzy z silnymi lornetkami połączonymi z noktowizorami wykluczali błąd. Naciągnęła kominiarkę na twarz i wyciągnęła pistolet. Schyliła się i szybkim truchtem ruszyła w stronę wielkiego domu. Według planów architektonicznych, dom miał mieć cztery piętra. Każdy z oddziałów miał sprawdzić jedno piętro. Były dwa główne wejścia do domu i oddział Silvii wraz z drugim oddziałem zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy. Wykorzystali to, że tuż obok stała duża ciężarówka, przykryta w całości płachtą. Silvia podeszła do przodu ciężarówki. Musiała być pewna. Uniosła nieco płachtę. Na dużych, zielonych drzwiach ciężarówki była czerwona gwiazda. Uśmiechnęła się pod kominiarkę. To była ta ciężarówka. Już miała wrócić pod drzwi, gdy zauważyła coś jeszcze. Czarne Ducati Monster. Dokładnie takie, jaki miał Sergio. Pokręciła szybko głową. Nie miała na to czasu. Teraz osobiste problemy nie mogły jej przeszkadzać. Szybko wróciła pod drzwi i popatrzyła na policjanta ze strzelbą. Ten zdjął broń z pleców i przyłożył do zamka. Czekał. Silvia sięgnęła do radia. Dwa puste kliknięcia nadajnika. Sygnał. Jeszcze chwila i nad domem miał pojawić się śmigłowiec. Nie musieli długo czekać. Gdy Bell Model 206 JetRanger nadleciał nad budynek, świecąc po oknach silnym światłem, policjant nacisnął spust i zamek w drzwiach przestał istnieć. Silvia mocno kopnęła drzwi i do środka wpadli policjanci z jej oddziału. Klatka schodowa była pusta. Silvia pamiętała plan - jej oddział miał zabezpieczyć najwyższe, czwarte piętro. Szybko szła przed siebie, pokonując kolejne stopnie. Patrzyła tylko do przodu, cały czas trzymając dłoń w pogotowiu. Jej boki i tył zabezpieczali policjanci z jej oddziału. Słyszała już gdzieś z dołu okrzyki "policja" i ciche strzały z wyciszonych MP-Piątek. Nagle gdzieś na dole rozległ się jakiś wrzask i seria głośnych strzałów. Silvia wbiegła już na czwarte piętro. Drzwi otworzyły się i zobaczyła w nich rosnącego mężczyznę, ubranego w wojskowe bojówki i koszulę. Zaklął chyba po rosyjsku i uniosł rękę z Kałasznikowem. Silvia zauważyła broń. Odruch, jej palec szybko opadł na spust i przełamał jego opór dwukrotnie. Jej pistolet nie był wyciszony i huknął głośno. Mężczyzna osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie krwawy ślad. Nie mogli ryzykować, pamiętali samobójstwa rannych żołnierzy. W pistolecie Silvii była grzybkująca, bardzo niebezpieczna amunicja. Ominęła skokiem leżącego mężczyznę i wbiegła do korytarza. Usłyszała głośny terkot karabinu i odruchowo padła na podłogę. Długa seria przeszła tuż nad jej głową, trafiając w ścianę i futrynę. Silvia, leżąc, uniosła broń, ale widziała tylko, jak obaj komandosi padają pod kulami policjantów z jej oddziału. Wstała szybko, wymieniła szybkie spojrzenie mówiące że "wszystko jest ok." z jednym z policjantów i ruszyła dalej. Na czwartym piętrze było pięć pokoi i długi korytarz, pogrążony w ciemności. Ruszyła do pierwszy drzwi i pchnęła je. Na łóżku spokojnie siedział jakiś mężczyzna, miał na sobie tylko białą koszulę, przypominającą nieco koszule, jakie zakładają pacjenci w szpitalach. W dłoni miał pistolet. Silvia wycelowała w niego.

- Policja!! Rzuć broń!! Rzuć broń natychmiast!! - krzyknęła. Mężczyzna tylko się uśmiechnął.

- Spóźniliście się - powiedział spokojnie - Boża wola już się wykonuje. Przybyliście za późno - dodał i szybko uniosł broń, skierowaną ku sobie.

- Nie!! - Silvia rzuciła się w jego stronę, ale było za późno, mężczyzna zdążył sobie wsunąć pistolet do ust i nacisnąć spust. Silvia zakląła głośno i wyszła z pokoju. Szybko popatrzyła na kolejne drzwi i ruszyła w ich stronę. Gestami dłoni rozkazała oddziałowi rozdzielić się i sama stanęła tuż obok drzwi. Gdy policjanci wykonali rozkaz, skinęła głową. Do pozostałych pokoi również wpadło po dwóch policjantów, jedynie do najmniejszego drzwi otworzył jeden policjant. Silvia pchnęła drzwi mocno i wycelowała pistoletem w... Sergio. Zatrzymała się bez ruchu, zaskoczona. Sergio nie miał wątpliwości. Nie poznał jej przez kominiarkę, jaką miała na twarzy. Nacisnął spust strzelby, jaką trzymał w dłoni i Silvia poczuła uderzenie w klatkę piersiową, a ogromna siła pocisku rzuciła ją do tyłu. Broń wypadła jej z dłoni a ona sama boleśnie uderzyła plecami o ścianę korytarza i osunęła się na podłogę. Nim zdążyła zareagować, policjant, który razem z nią wszedł do pokoju, nacisnął spust i Sergio kilka razy dostał w klatkę piersiową. Upadł na łóżko i zsunął się z niego na podłogę, martwy. Widziała to, jak przez mgłę.

- Czysto!! - powiedział jeden z policjantów i Silvia, ledwo oddychając, popatrzyła w jego stronę. Czuła się, jakby potrafił ją samochód. Albo ten cholerny Ural. Ledwie oddychała, każdy kolejny haust powietrza był cholernie bolesny. Leżała na wznak, starając się jak najmniej poruszać. Oddychała szybko, ale oddechy były płytkie, to ograniczało ból. Jeden z policjantów kucnął przy niej i przyłożył jej palec do szyi.

- Żyję, kurwa... - jęknęła, wściekła na siebie i usiłowała wstać, ale tylko jęknęła przeciągle.

- Leż - powiedział spokojnie policjant i sięgnął do radia na ramieniu - czwórka czysto. Oficer ranny, potrzebna karetka. Straty obce cztery - dodał. Silvia zrozumiała, że poza trójką żołnierzy i Sergio nie było nikogo. Sergio... Teraz już nie wytrzymała i z jej oczu popłynęły łzy. Na szczęście nadal miała na sobie kominiarkę. Policjant spokojnie podniósł jej broń i zabezpieczył, a potem rozpiął jej kamizelkę. W płycie kamizelki był wbity pocisk ze strzelby. Był prawie cały, Silvia przyjęła na siebie całą jego energię.

- Masz szczęście - powiedział - pocisk zatrzymał się na kamizelce. Pewnie masz połamane żebra - dodał. Silvia oddychała już trochę głębiej, pierwszy szok mijał, a ból był trochę mniejszy.

- Pomóż mi wstać - powiedziała spokojnie.

- Nie ma mowy, zaraz przyjedzie...

- Pomóż!! - warknęła. Policjant wstał i podał jej rękę. Zaciśnęła ją i jęknęła, gdy ją pociągnął, ale wstała. Zaklęła jeszcze raz i zdjęła kominiarkę z głowy. Dotknęła się w miejscu, gdzie trafił ją pocisk. Prawie na środku klatki piersiowej, tuż nad końcem mostka. Kilka centymetrów niżej i już mogła mieć pęknięty żołądek. Zaklęła jeszcze raz i sięgnęła do radia.

- Lider Cztery. Czysto - powiedziała z trudem i sięgnęła po broń, nadal trzymaną przez policjanta. Ten podał jej po chwili. Wsunęła broń do kabury i ruszyła do drzwi - koniec akcji - dodała do radia i dotknęła się raz jeszcze miejsca trafienia. Ból sprawił, że w kącikach oczu miała jeszcze łzy.

Policjanci zostali w domu do samego rana. Laboratorium, jakie odkryli w piwnicy, musiało zostać zabezpieczone i dokładnie zbadać, policjanci odkryli też w nim Całun Turyński. Zginęli wszyscy obecni w domu Rosjanie oraz trzech mężczyzn, ubranych jak ten, który zastrzelił się na oczach Silvii. Jednak uwolnionych zostało trzech naukowców, jeden z nich nie był obecny w domu i nikt nie umiał powiedzieć, gdzie się znajdował. Po stronie policji poważnie ranna była tylko Silvia, z pęknięciem mostka oraz policjant z innego oddziału, który dostał w ramię z Kałasznikowa. Jednak i jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Drzwi sali szpitalnej otworzyły się i Silvia popatrzyła na stojącego w nich Mike'a. Uśmiechnęła się nieznacznie. Jej myśli nadal krążyły wokół Sergio. Wciąż nie rozumiała, co on robił tam i w ogóle po co było tam laboratorium. Naukowcy mówili tylko, że mieli za zadanie potwierdzić autentyczność Całunu.

- Cześć - powiedziała niechętnie. Wkurzało ją, że musiała leżeć w szpitalu, zamiast być na komendzie, tam, gdzie pewnie była potrzebna. Pozostawanie w bezczynności zawsze było dla niej najgorsze.

- Ledwie pół godziny temu technicy wrócili z miejsca - powiedział - pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć - dodał. Silvia uśmiechnęła się i podniosła nieco na łóżku, podnosząc oparcie. Opatrunek na klatce piersiowej nieco zabolął, ale nawet nie jęknęła.

- Co tam było?

- Pełne laboratorium - powiedział Mike, siadając na krześle obok - sprzęt potrzebny do klonowania. Naukowcy natomiast pracowali nad programem klonowania organizmów z martwych tkanek. Ponadto znaleźliśmy też sprzęt bardzo podobny do tego, jakiego używa się do zapłodnienia in vitro. A jeden z ludzi, którzy się zastrzelili, był cenionym ginekologiem - Silvia popatrzyła na niego zaskoczona - poza tym nadal nie znaleźli tego czwartego naukowca, w dodatku pozostali trzej powiedzieli, że on sam z własnej woli zaczął współpracować z porywaczami i tego samego dnia, kiedy zaatakowaliśmy, opuścił rano dom z jakąś kobietą. Nie wiadomo, gdzie odjechał.

- Po co do tego im był Całun...? - zapytała Silvia - Całun, w którym spoczywało ciało Chrystusa i na którym być może mogłyby znajdować się jego tkanki... - Mike roześmiał się szeroko.

- Nie sądzisz chyba, że oni chcieli sklonować...? - zapytał Mike i urwał, wciąż dusząc w sobie atak śmiechu. Silvia uśmiechnęła się, ale przypomniała sobie słowa, jakie powiedział do niej ten mężczyzna, który się zastrzelił. Spóźnili się. Ale na co? Wzruszyła ramionami i na chwilę powróciła do niej ta noc. Sergio. Opuściła głowę. Mike natychmiast to zauważył.

- A ty, Silvia, jak się trzymasz? Słyszałem, że jeden z... - urwał. Silvia otarła jedną łzę ukradkiem.

- Tak, Sergio, człowiek, który mnie postrzelił, znałam go. Był policjantem i był mi... bardzo bliski. Nie rozumiem, co on tam robił, dlaczego zrezygnował z policji. I chyba się nigdy nie dowiem. Ale powoli mi to już przechodzi - powiedziała.

- To dobrze. Kiedy wychodzisz? - zapytał - Paolo mówił, że za dwa dni jest oficjalna gala u was na komendzie. Wiesz, odznaczenie, nagrody i takie tam z okazji rozwiązania sprawy.

- W zasadzie mogłabym dzisiaj - powiedziała - ale powiedzieli, że mam jeszcze zostać na obserwacji.

- Rozumiem i... Cóż, przyszedłem się z tobą pożegnać, Silvia - powiedział Mike - za godzinę mam samolot do Los Angeles. Wiesz, sprawa zamknięta.

- Rozumiem - powiedziała Silvia i uśmiechnęła się. Poczuła satysfakcję. To była dobra robota - więc cóż, miło się pracowało - Mike podszedł do niej i podał jej dłoń. Ucisnęła ją.

- Powodzenia, Silvia - powiedział. Policjantka uśmiechnęła się i Mike wyszedł...

Następnego dnia rzeczywiście Silvia wróciła już do pracy na komendę. Szczęśliwie jednak okazało się, że cała papierkowa została już zrobiona, a gdy była w szpitalu, odwiedził ich wysłannik z Rosji. Rzeczywiście, zgodnie z jej przewidywaniami, Rosjanie, jacy zginęli w laboratorium, były bytymi komandosami sił specjalnych. Inni policjanci zresztą i tak odciążali ją z pracy - klatka piersiowa nadal bolała przy każdym oddechu a na skórze miała ogromnego siniaka. A kolejnego dnia niemal wszyscy policjanci spotkali się w sali konferencyjnej. Miała się tutaj odbyć oficjalne spotkanie z dziennikarzami. Silvia rozejrzała się po sali. Ona wraz z Paolo i Marco siedziała w pierwszym rzędzie. Uśmiechała się. Nie pamiętała, kiedy miała okazję założyć ładną, włoską spódnicę o kolorze jasnego brązu oraz białą bluzkę z krótkimi rękawkami. Miała nadzieję, że komendant wspomni o tym, że to właśnie pod jej przywództwem policja odzyskała bezcenny Całun. Uśmiechnęła się raz jeszcze. Oczami wyobraźni widziała już celujące w nią obiektywy aparatów. Była taka dumna... Gdyby tylko ojciec mógł ją teraz zobaczyć!! Dyskretnie popatrzyła do tyłu. Kilkunastu dziennikarzy już się niecierpliwiło. Konferencja powinna być już zacząć.

- Nie, wszystko jest jak najbardziej w porządku.

- Jesteś tego pewien, Marcelo? - komendant cicho westchnął.

- Tak, panie - powiedział spokojnie - nikt, poza Sergio, nie wiedział, że należę do Zgromadzenia. A Sergio poległ. Niestety. Choć nie kryję tego, jak bardzo jest to nam na rękę.

- To bardzo dobrze. A co z...

- Rozmawiałem przed chwilą z Opiekunem. Wszystko poszło doskonale. Nasz plan się powiódł. Teraz już musimy tylko czekać. Wszystkim pokieruje już teraz tylko Bóg - powiedział - a teraz naprawdę muszę kończyć, panie.

- Dobrze wypełniłeś swoje zadanie - usłyszał komendant, a zaraz po tym połączenie zostało przerwane. Komendant uśmiechnął się i ruszył do drzwi. Gdy tylko je otworzył, jego oczy zaatakowały flesze aparatów. Spokojnie podszedł do kilku mikrofonów.

- Witam serdecznie państwa - powiedział, a w jego stronę natychmiast zostało wycelowanych kilka kamer telewizji. W końcu odzyskanie Całunu Turyńskiego było wydarzeniem na miarę ogólnokrajową, albo i lepiej - nim jednak odpowiem na wszystkie państwa pytania, może sam powiem coś o śledztwie, dzięki któremu Całun Turyński ponownie znajduje się na swoim miejscu. Otóż wiedziałem, że przez tą kradzież cierpi honor naszej policji, naszego miasta, nawet naszego kraju. Całun jest rzeczą świętą dla każdego chrześcijanina - w tym momencie Silvia z trudem powstrzymała się od prychnięcia - rozumiałem, że jego odzyskanie jest sprawą priorytetową. Dlatego właśnie uznałem, że należy stworzyć osobną grupę najlepszych policjantów, mających tylko jedno zadanie. Odzyskać Całun - Silvia uśmiechnęła się i poczuła drażniący ból brzucha. Popatrzyła na Paolo i Marco. Też czekali. To było jej pięć minut. Ich pięć minut. Ojciec byłby z niej naprawdę dumny - dziś mogę powiedzieć, że powołana i kierowana przeze mnie grupa wykonała swoje działanie. Dzięki moim poleceniom, mojemu przewodnictwemu, Całun znów znajduje się tam, gdzie być powinien - Silvia z trudem powstrzymała się od głośnego przekleństwa. Ale w sumie, gdy głębiej się nad tym zastanowiła... Marcelo zawsze starał się ją upokorzyć. I chyba wreszcie mu się udało. Popatrzyła na pasek spódnicy, czy odznaka była dobrze widoczna. Z uśmiechem stwierdziła, że tak.

- Oła! nas - powiedziała szeptem do Marco i Paolo - wychodzimy? - obaj policjanci uśmiechnęli się. Wiadomo było od początku, że szefem Numero Uno była Silvia. Komendant ograniczał się tylko do regularnego opieprzania ich.

- Za tobą, Silvia - szepnął Marco. Silvia uśmiechnęła się i złapała wzrok komendanta. Wstała z krzesła, spokojnie odwróciła się plecami do niego i wyszła z sali w świetle błysków fleszy. Szła tak, by wyraźnie było widać jej odznakę. Za nią wyszli dwaj policjanci. Uśmiechnęła się. Dziennikarze pewnie będą pytać. Och, miała nadzieję, że będą.

- Silvia, co robimy? - zapytał Paolo, gdy znaleźli się już za drzwiami sali konferencyjnej. Silvia popatrzyła na niego.

- Och, ja idę do mojego biurka, napisać rezygnację. Mam dość.

- Wiesz, po tym, jak nas załatwił, nie mamy co myśleć o jakiegokolwiek premii. W zasadzie prawie mu przeszkadzaliśmy w jego śledztwie. A niech tam, też odchodzę. A ty, Marco? - zapytał. Marco patrzył to na Silvię, to na Paolo.

- Komendant... - Marco zaklął - lubiłem go. Wobec mnie był zawsze fair. Ale to teraz - wskazał głową na drzwi do sali konferencyjnej - to było po prostu chamskie. Paolo, masz rację. Niech tam, jesteśmy zespołem. Tylko, co będziemy robić, jeżeli zrezygnujemy z pracy w policji? - Silvia uśmiechnęła się.

- Kto rozwiązał tą sprawę? - zapytała - my. Więc jeżeli poradziliśmy sobie z takim zadaniem, to z czym sobie nie poradzimy? A ja, jak byłem mała, zawsze chciałem być prywatnym detektywem - Marco roześmiał się.

- Uda nam się? - zapytał Paolo.

- Uda się. I nawet już mam nazwę naszej agencji - powiedziała z uśmiechem Silvia...

EPILOG

14 czerwca 2006 roku.

Przed szpitalem w niewielkim Otranto na samym końcu „włoskiego buta” zatrzymało się czerwone Grande Punto. Zza kierownicy wyskoczył młodo wyglądający mężczyzna i skinął na pielęgniarkę.

- Potrzebne będą nosze!! - krzyknął, po czym przebiegł na drugą stronę samochodu. Otworzył drzwi pasażera i pomógł wysiąść młodej kobiecie w zaawansowanej ciąży. W zasadzie chyba właśnie zaczął się poród. Pielęgniarka zareagowała natychmiast i w chwilę po tym podbiegli do niej sanitariusze i pomogli położyć się na noszach. Kobieta natychmiast została odwieziona a mężczyzna podszedł do pielęgniarki.

- Musi pan dokonać niezbędnych formalności - powiedziała spokojnie. Skinął głową. Był na to przygotowany - przede wszystkim, czy pan jest ojcem?

- Nie. Nazywam się Mark. Mark Andre.

- Amerykanin? - zapytała pielęgniarka.

- Tak. Opiekuję się nią. To nie rodzina, ale... bliska przyjaciółka.

- Imię i nazwisko matki? - zapytała.

- Maria. Nie ma nazwiska - pielęgniarka skinęła głową.

- Imię dziecka? - Mark uśmiechnął się. Oto właśnie stał przed tą wspaniałą chwilą, kiedy on sam, własnymi rękoma, realizował plan samego Boga.

- Emmanuel - powiedział. Pielęgniarka odłożyła dokumenty i popatrzyła na samochód - jeżeli to możliwe, chcę być przy porodzie.

- Oczywiście, ale musi przestawić pan samochód - Mark skinął głową i wyszedł przed szpital. Nim wsiadł do samochodu, popatrzył w niebo. Widział nad sobą setki gwiazd. Jedna z nich mrugała do niego wyraźniej niż inne. A może tylko tak mu się zdawało...

MarcinD [GG: 6294310]

Piotr Piątek ::: Przez morza, ku Słońcu

Mężczyzna leżał na swojej wąskiej koi przykryty ciepłą narzutą. Wpatrywał się w otaczający go mrok, cierpliwie czekając na upragniony sen. I tak co wieczór- długo przysłuchiwał się chrapaniu, ciężkim oddechom pozostałych lokatorów kajuty. Nawet monotonny szum morza nie był wystarczającym sojusznikiem.

Nie sposób zliczyć minut poprzedzających ten moment, gdy coraz to cięższe powieki zamykały się na dłuższą chwilę. Znużony szum morza odchodził powolnym krokiem, zaś na jego miejscu rozsiadywały się wygodnie wspomnienia tamtego wieczoru. ...szybko przesuwający się po kartce długopis... dzwonek do drzwi... dziecko przed telewizorem...

x-x-x

-Wstawać! Słońce już dawno wzeszło a wy jeszcze wygrzewacie się w swoich wyrach. Ruszać się, darmozjady!

Krzyki bosmana i walenie w luki kajut były nieodzownym elementem codziennej pobudki. Towarzyszyła temu gwałtowna reakcja ze strony załogi. Marynarze mieli piętnaście minut na doprowadzenie się do porządku. Punktualnie o godzinie 7.00 musieli stawić się na górnym pokładzie. Na spóźnialskich czekało wiadro i szmaty do szorowania statku. Tuż obok niego stał stary bosman, ze złośliwym uśmiechem patrzący na biegnących w jego kierunku ludzi. Brudną ręką jeździł po zarośniętej twarzy, cierpliwie czekając na nadejście regulaminowej godziny porannego apelu. Dopiero wówczas mógł zacząć swoje przemówienie.

-Do łowiska dotrzemy dopiero jutro nad ranem. Sieci i maszyny muszą być przygotowane. Wszystko ma być dopięte na ostatni guzik...- całą załogę zmierzył mrozącym krew w żyłach wzrokiem, po czym dodał starym zwyczajem - Na co jeszcze czekacie?! Do roboty! A może ktoś potrzebuje przerwy na kawę aby się dobudzić?

Mężczyzna stojący na końcu szeregu, jako najmniej doświadczony członek załogi, został przydzielony do pomocy kucharzowi.

Duża misa z ziemniakami, rdzewiejący metalowy taboret i ostry nóż- wszystko było już przygotowane. Mężczyzna posłusznie usiadł na taborecie i zaczął obierać ziemniaki. Czynił to odruchowo, tak bowiem zaczynał się dla niego każdy dzień.

W pomieszczeniu panowała przytłaczająca cisza, przerywana pluskiem ziemniaka wpadającego do wody. Zewsząd otaczały mężczyznę stare, drewniane meble przytwierdzone śrubami do podłoża. Zgromadzone naczynia wielokrotnie przepłynęły równik.

Powieki nadal ciążyły. Mężczyzna nie pamiętał, kiedy ostatni raz obudził się wyspany i wypoczęty. Długo zasypiał, niechybnie czekała go wczesna pobudka. Nie był w stanie dokładnie policzyć ile godzin spał. Organizm jednak mówił, że nie była to wystarczająca ilość.

Poczucie otepienia minęło wraz z wejściem kucharza, który zawsze oznajmiał ten moment krzykiem.

-Co to jest?! Znowu zasypiasz nad ziemniakami?- był nim starszy mężczyzna z podkoszulkiem równie poplamionym, jak fartuch przewiązany wokół masywnego brzucha, jego twarz porastał kilkudniowy zarost - Pospiesz się z tą robotą. Trzeba zacząć przygotowywać obiad, bo jak się spóźnimy to zjedzą nas żywem. Więc nie śpij i obieraj te ziemniaki!

Kucharz otworzył szafkę nad zlewem, przeklął coś pod nosem i poszedł w kierunku magazynu. Mężczyzna nie zrażony zachowaniem przełożonego, kontynuował swoje zajęcie. Mijający czas odliczały mu ziemniaki wrzucane do wiadra z wodą. Kilkakrotnie próbował je policzyć, zniechęcając się przeważnie w okolicy setnego ziemniaka.

Nagle zauważył cień osoby, stojącej tuż za jego plecami. Przekonany o ponownym nadejściu kucharza nie reagował, czekając na dalszy bieg wydarzeń i wiązankę zgryźliwych uwag. Cisza, cień w ogóle się nie przemieszczał. Zaniepokojony mężczyzna przerwał obieranie kartofla, nie zmieniając jednak swojej pozycji. Postać poruszyła się, powoli omijała go z prawej strony. Sparaliżowany strachem nie wiedział co ma robić. Odruchowo dłoń zacisnął mocniej na rękojeści noża. Nie ruszając głową, niepewnie skierował w tamtym kierunku wzrok. Kątem oka dostrzegł osobę w długim płaszczu, zakrywającym nawet stopy i obszernym kapturze założonym na głowę.

Grobową ciszę unicestwił dźwięk upadającego noża. Przerażony mężczyzna nie był w stanie się poruszyć, wydusić z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Tkwił niczym posąg potrafiący znieść wszelkie działania przyrody.

Tajemnicza postać odwróciła się w jego kierunku, podniosła ręce by chwycić za kaptur. Przesunęła go o kilka centymetrów, po czym niespodziewanie zniknęła. Nie pozostawiła po sobie żadnego śladu.

...kobieta w skromnym ubraniu stojąca w drzwiach... schody i korytarz prowadzący do pracowni... przesuwający się metal zasuw w drzwiach...

x-x-x

Wszystkie ziemniaki były już obrane i oczyszczone. Wypełniły wiadro aż po brzeg. „Gdzie się podział kucharz? „ – zastanawiał się mężczyzna.

Wstał i ostrożnym krokiem skierował się ku wyjściu. Długi korytarz dolnego pokładu ciągnący się wzdłuż kajut był pusty. Panowała tam przynębiająca cisza. Jedynie słychać było buty stukające o metalową konstrukcję statku. Mężczyzna szedł w kierunku schodków prowadzących na górny pokład. Tam również nie było nikogo. „Boże, to niemożliwe, gdzie się wszyscy podziali?!“ Na górnym pokładzie zawsze było kilka osób, które go czyściły, przygotowywały sprzęt do połowu ryb lub po prostu wpatrywały się w odległy horyzont. Mężczyzna samotnie podążał wzdłuż statku. Ostrożnie stawiał każdy krok. Próbował wyłapać każdy najmniejszy szmer, lecz nie słyszał nawet szumu morza.

Zdezorientowany podszedł do burty statku, ostrożnie wychylił się i jego oczom ukazało się morze krwi.

x-x-x

- Nareszcie się obudziłeś.

Mężczyzna znajdował się w swojej kajucie, przy koi siedziała córka kapitana. Czasami obserwował ją, jak stała za sterem na mostku kapitańskim. Dużymi błękitnymi oczami wpatrywała się w głąb morza. Ciemne, długie włosy chowała pod zużytą czapkę kapitańską, by nie przeszkadzały jej w odczytywaniu danych z urządzeń nawigacyjnych.

-Kucharz przyniósł cię tutaj, potem powiadomił kapitana. Zemdlełeś, dosyć długo nie odyskiwałeś przytomności.

-Która godzina?

-Dochodzi południe. Jak się czujesz?

Sam nie wiedział. Nie rozumiał, co się z nim stało. Pamiętał tylko postać w płaszczu, zdejmowała kaptur a potem...

-Dzisiaj masz wolne. Kiedy wypoczniesz przyjdź na mostek do kapitana. Gdybyś chciał z kimś porozmawiać ... wiesz gdzie mnie szukać .

Nie wiedział co ma odpowiedzieć. Spoglądał błędnym wzrokiem na córkę kapitana. Po jej wyjściu pozostał sam w kajucie. Intensywnie rozmyślał o całym zdarzeniu. Kim była ta postać?

W którym momencie stracił przytomność? Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Zmęczony próbował zasnąć, jednak bezskutecznie.. Mijający czas odliczał tykaniem zegarka stojącego na szafce przy kojach. Poprzez metalową konstrukcję statku przenikał szum morza oraz pojedyncze wrzaski marynarzy... przede wszystkim bosmana.

x-x-x

-Już pan jest?- kapitan siedział na przymocowanym do podłoża obrotowym krześle, z uwagą śledząc horyzont przez duże szyby

kapitańskiego mostka. Siwa broda i łysina na głowie zdradzały podeszły wiek. Noszony mundur oraz czapka również nie należały do najnowszych. Miejskami był on cerowany, na prawym rękawie widoczne były niewielkie plamy. Kapitan w ustach trzymał tłącą się drewnianą fajkę. Waniliowy zapach tytoniu roznosił się po całym mostku.

-Chciał pan ze mną porozmawiać? – zapytał mężczyzna.

Czuł skrępowanie, ponieważ dotychczas nie rozmawiał z kapitanem na osobności.. Wszelkie sprawy załatwiane były za pośrednictwem bosmana.

-Owszem... jak się czujesz?

-Dobrze...lepiej, to znaczy nieco dziwnie- mężczyzna nadal nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

-Będę z tobą szczerzy. Dzisiejszy obiad był spóźniony. Jak się domyślasz załoga nie była zadowolona, a szczególnie kucharz. Nie chce mieć ciebie za pomocnika. Cóż, dla tego człowieka wystarczy jedna wpadka i koniec.

Mężczyzna milczał. Czuł narastające zdenerwowanie. Jeszcze nie zdążył zrozumieć, co się w ogóle stało, a już ponosił tego konsekwencję.

-Nie bój się – kontynuował kapitan wyczuwając obawy mężczyzny - Nie zamierzam ciebie wysadzić w najbliższym porcie. Muszę tobie po prostu znaleźć inne zajęcie. Niech się przez moment zastanowię...przecież ty byłeś, jesteś znanym pisarzem i malarzem. Bolesne wspomnienia powróciły kolejną falą. - niczym sztylet wbijany bardzo powoli w serce, aby ostatecznie przebić je na wylot. Walka z tymi myślami nie przynosiła większych efektów. Na czole mężczyzny pojawiły się krople zimnego potu. Z trudem powstrzymywał łzy.

-Panie kapitanie, nie wiem czy będę jeszcze potrafił... – odpowiedział wymijająco, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Starszy człowiek cały czas obserwował horyzont powoli pykając fajkę. Dobrze znał historię mężczyzny, przynajmniej tą wersję podawaną w mediach. Pamiętał, jakie było jego zaskoczenie, kiedy odnalazł go na środku morza kurczowo trzymającego się koła ratunkowego. W okolicy pływały resztki rozbitej łodzi. Przyjął go na pokład nikogo o tym nie zawiadamiając.

-Zakończyłeś jeden rozdział swego życia, rozpocząłeś kolejny – zaczął kapitan po dłuższej chwili zastanowienia - Do zapisanych stron możesz powrócić przewracając kartki, ale nie możesz ich zmieniać. Kolejny rozdział czy też czasami księga lub tom, obojętne jak bardzo odmienny od poprzedniego, zawsze tworzyć będzie całość życia. Związaną nie tylko z poprzednim ale i jeszcze wcześniejszym rozdziałem... nawet pierwszymi stronicami. Więzy tych nie można zrywać, należy je odpowiednio wykorzystywać budując dalszą drogę życia. Kierując swoim losem patrzysz przed siebie i widzisz ciemność. Po omacku idąc musisz być przygotowanym na wszystko, na najbardziej zaskakujące przeszkody. To co było, zapisane strony, jest twoim dorobkiem. Spakuj go do worka doświadczenia życiowego i podążaj ostrożnie do przodu.

Kapitan po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzał na mężczyznę, prosto w jego zabłąkane oczy.

-Marynarzu, mianuję ciebie swoim asystentem. Jutro po porannym apelu masz się stawić na mostku, a dzisiaj... masz wolne.

Starszy człowiek ponownie oddał się obserwowaniu horyzontu. Pykając fajkę wypuszczał ustami okrągłe kłęby dymu.

Mężczyzna szedł z mostka i poszedł w kierunku swojej kajuty. Szedł zamyślony, zupełnie nie dostrzegając tego, co się działo wokół niego. Obojętnie mijał marynarzy pospiesznie przygotowujących jednostkę do planowanych połowów.

Stan zamyślenia został brutalnie przerwany niespodziewanym odczuciem chłodu, które dotknęło go po zejściu pod pokład. Odczucie jakby znajome. Narastało one wraz ze zmniejszaniem się odległości do korytarza biegnącego między kajutami. W powietrzu czuć było zapach kwitnących wód jeziora.

Mężczyzna dostrzegł stojącą po środku korytarza postać w płaszczu, z kapturem na głowie. Tym razem nie wywoływała ona u niego strachu. Narastała w nim chęć ujrzenia jej twarzy. „Kim ty jesteś?” Postać uniosła ręce i chwyciła kaptur. Powoli zdejmowała go z głowy. „Pokaż swoją twarz!” Zniknęła, rozplynęła się w powietrzu... cząstka po cząstce.

Mężczyzna podbiegł do miejsca w którym przed chwilą stała postać w płaszczu. Było to tuż przy wejściu do kajuty córki kapitana. Czy to przypadek? Mężczyźnie przypomniały się słowa kobiety: „Gdybyś chciał z kimś porozmawiać ... wiesz gdzie mnie szukać”. Podniósł dłoń by zapukać, jednak zrezygnował. Nie wiedział o co miałby zapytać. O postać która przed chwilą zniknęła?! Uznała by go za wariata.

Wrócił do swojej kajuty. Nikogo nie było w środku. Panująca cisza wzmogła w nim uczucie przygnębienia. Położył się na koi i zamknął oczy. Próbował zasnąć.

...stopniowo ukazująca się nagość ciała przybyłej kobiety... wzmagające się uczucie podniecenia... wijące się połączone ciała...

x-x-x

-Już jesteś?- kapitan spojrzał znad kubka gorącej i aromatycznej kawy- Poczekaaj chwilkę aż dokończę kawę, niewiele zostało. Eh, prawdziwy napój życia. Zresztą nigdzie nam się nie spieszy... mamy cały dzień, może nawet noc. Tam jest twoje nowe stanowisko pracy.

Starszy mężczyzna wskazał na małe biurko na którym leżał duży zeszyt w twardej oprawie oraz kilka długopisów chaotycznie rozrzuconych po biurku.

Mężczyzna zaniemówił. Stał w miejscu wpatrując się w blat stolika. Z trudem panował nad drżącymi dłońmi. Czuł jak złana potem koszula lepiła się mu do pleców. Chciał uciec, jednak nie miał dokąd. Z trudem wykonał pierwszy krok w kierunku nowego stanowiska pracy.

...długopis przesuwający się po kartce papieru... spocone ciało nagiej kobiety... podjeżdżający samochód...

Siedząc przy stoliku spojrzał na okładkę znajdującego się na nim zeszytu.

„Dziennik pokładowy „Obserwatora”

Tom X, Rejs XXXIII, Rok 1999”

-Dobrze, skoro już siedzisz a ja dopilem kawę to możemy brać się do roboty. Od dziś...wczoraj, jesteś moim asystentem a ściślej mówiąc sekretarzem. Będziesz sporządzał dyktowane przeze mnie notatki. Nic nie jest w stanie zastąpić solidnie prowadzonego dziennika pokładowego, nawet te, jak im tam, czarne skrzynki. Otwórz dziennik na zaznaczonej stronie.

Mężczyzna wziął głęboki wdech i otworzył dziennik. Na kartce papieru widniała jedynie dzisiejsza data i położenie geograficzne statku. Wybrał pierwszy z brzegu długopis, pozostałe odłożył na bok.

-Widziałem ptaka lecącego... – zaczął kapitan.

Mężczyzna słuchał tego z pewnym niedowierzaniem. Spodziewał się czegoś zupełnie innego. Szybko zorientował się, że to nie jest żart kapitana i zaczął dokładnie zapisywać wszystkie dyktowane przez niego słowa.

-...nad grzbietami fal, samotnego lecz radosnego- chciwie pijącego nektar wolności. Delikatny wiatr muskał jego pióra i swymi ramionami unosił go w przestworzach.

-Nadążasz z pisaniem?- zapytał kapitan.

-Tak, nadążam.

-Zmęczony złożył skrzydła i usiadł delikatnie na jednej z fal. Teraz morze na swym grzbiecie nosiło ptaka...niczym rodzic chodzący na czworakach po pokoju i noszący na plecach swoje dziecko. Co sądzisz o tym ptaku?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Mężczyzna nie spodziewał się zadawania pytań. Pospiesznie przeanalizował zapisany tekst.

-Beztróski, radosny – wskazywał określenia, które jako pierwsze przychodziły mu na myśl - wolny...żeby życie takie było.

-A czy czasami nie jest? Co czuje dziecko noszone delikatnie na ramionach matki gotowej oddać za nie życie? Dziecko jeżdżące na

grzbiecie ojca poświęcającego jemu każdą wolną minutę swego życia... a przecież nie ma zbyt wiele takich minut.

-A dorosły człowiek... czy wraz z upływem dzieciństwa zanika prawo do szczęścia, wolności?

-Ma własny dom i kochającą żonę, zdrowe dzieci odnoszące sukcesy w szkole. Wystarczającą ilość pieniędzy by nie musieć ich liczyć przed każdym wejściem do sklepu. A wiesz jaki jest najważniejszy warunek szczęścia w dorosłym życiu?

-Nie wiem- odpowiedział mężczyzna nie próbując nawet szukać rozwiązania zagadki.

-Nie chce więcej... nie oczekiwać zbyt dużo i cieszyć się tym co się ma.

x-x-x

-Chłopaki, wrócił sekretarz kapitana!

-Czy mamy mu salutować? Baczność, jełopy!

Ha,ha,ha...

Kabina była pełna ludzi. Załoga zmęczona dniem połowów wylegiwała się na kojach. Kilka osób grało w karty przy stoliku. Ktoś siedząc nieco na uboczu czytał książkę nie zwracając uwagi na pozostałych. W pomieszczeniu czuć było zapach ryb i spoconych ciał.

-Ten był najdłużej w robocie. Ma chłopak kondycję.

-W trzymaniu pióra!

Ha,ha,ha...

Mężczyzna nie zwracał uwagi na złośliwe uwagi członków załogi. Powolnym krokiem podszedł do swojej koi i wygodnie się na niej ułożył. Myślałami był w innym miejscu - przy ptaku opisywanym przez kapitana, wolnym i swobodnie unoszącym się na grzbietach niewielkich fal.

-Zmęczenie odebrało mu głos.

-Sami widzieliście, od razu walnął się na koję. Za kilka minut będzie nam tu chrapała.

Ha,ha,ha...

Nie czuł senności ani zmęczenia, mimo tego próbował zasnąć. Zamknął oczy z nadzieją na szybkie otwarcie się wrót snu. Za nimi znajdowała się ucieczka od mijającego dnia. Następnego poranka obudzi się z oczyszczonym umysłem. Kolejny dzień, kolejne cele i zadania.

Drzwi do krainy snów były wciąż szczelnie zamknięte. Narastający szum morza do pewnego stopnia zagłuszał wrzaski i śmiech współlokatorów kajuty. Nie, to nie miało sensu.

Mężczyzna wstał i równie niespodziewanie jak wszedł, tak i wyszedł z kajuty. Na korytarzu wciąż słyszał donośny śmiech załogi i pojedyncze, głośniejsze wypowiedziane słowa. Stał szukając odpowiedzi na niby proste pytanie- co teraz? W którym kierunku uczynić kolejny krok, w jakim celu tam się udać... Stał ze wzrokiem skupionym w ślepo wybranym punkcie. Zagubiony, czekając na przyjsię osoby, która powie co ma teraz robić. Rozkaz, nakaz, prośba...forma nie była istotna. Kogoś, kto weźmie go za rękę i zaprowadzi w miejsce, gdzie się znowu poczuje bezpiecznie. Tego potrzebował najbardziej - poczucia bezpieczeństwa i spokoju.

Obrócił głowę w prawą stronę i jego wzrok zatrzymał się na kajucie córki kapitana. Z prędkością błyskawicy przez jego umysł przeszły wszystkie wspomnienia związane z jej osobą ... łącznie z zaproszeniem na rozmowę. Już dawno zamierzał z niego skorzystać, nie mogąc zebrać się na odwagę. Nie chodziło tylko o to, że była córką kapitana, ale to było coś więcej.

-Wiedziałam, że przyjdiesz. Czułam nawet, że to będzie ten wieczór.

Zaskoczony przywitaniem usiadł na krześle przy biurku, jedynym wolnym siedzeniu w pomieszczeniu.

-Jak się podobał pierwszy dzień pracy, sekretarzu? Pamiętaj, że to jest niezwykle odpowiedzialna funkcja. Kapitan długo zastanawia się nad każdą osobą, której zamierza powierzyć to stanowisko. Dziennik nie tylko opisuje to co się dzieje, jest także przewodnikiem. Pamiętam jak chowałam się wieczorami w kajucie i czytałam...

-Kim on właściwie jest? - przerwał mężczyzna - Czym jest ten dziennik? Inaczej sobie wyobrażałem tego rodzaju zapisy. Przez moment siedziałem oziębiały, nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

Mężczyzna czuł się swobodnie w obecności właścicielki kajuty. Siedział przy niej z poczuciem pewności, że jest ona tą osobą, której może całkowicie zaufać. Jednocześnie liczył na odnalezienie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Traktował ją jako źródło oczyszczenia umysłu z tego wszystkiego, czego nie jest w stanie usunąć sen i upływający czas.

-Kim?... panem naszego losu - w jego rękach jest nawet nasze życie. On nami kieruje, on o nas dba i my musimy go słuchać. Nie ma mowy o jakimkolwiek nieposłuszeństwie.

Mężczyzna usilnie szukał słów by móc wyrazić swoje myśli.

-On stara się mi coś udowodnić, od samego początku...

-Udowodnić to złe słowo. - wtrąciła kobieta - Kapitan wziął ciebie pod swoją opiekę i stara się sprowadzić na właściwą drogę.

-Właściwą drogę? Czyżbym błędził?

-Nawet nie wiesz jak bardzo. Oddaliłeś się w świat fantazji, tracąc kontakt ze światem rzeczywistym. Straciłeś kontrolę nad własnym umysłem.

Nastąpił kolejny powrót bolesnych wspomnień. Tym razem jednak do pewnego stopnia połączony ze zrozumieniem swego błędu. Pojawiła się nawet chęć cofnięcia czasu i rozpoczęcia wszystkiego od początku.

-Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? - zapytał powstrzymując łzy - Skoro tyle o mnie wiesz. Jezu, ja zasługuje jedynie na potępienie.

Było to pytanie, które powinien zadać już dawno. Jej ciepło odczuwał od samego początku. Od chwili przebudzenia w kajucie po wyłowieniu z dzikiej otchłani morza. Nieprzerwane, nie malejące...

-Ponieważ potrzebujesz pomocy i ja mogę ci jej udzielić. Należy nią otaczać wszystkich potrzebujących w miarę swoich możliwości. Człowiek czasami zapomina, że zwierzęta stadne powinny trzymać się w grupie- zwartej i zorganizowanej, aby przetrwać wśród innych drapieżników.

x-x-x

-Punktualnie- kapitan spojrzał na zegarek przyczepiony do ręki starym, skórzanym paskiem- Tak trzymaj, a daleko zajdziesz.

Już bez obaw i zbędnego czekania mężczyzna usiadł przy swoim nowym stanowisku pracy. Wziął głęboki oddech, aby potem skupić całą swoją uwagę na osobie starszego mężczyzny. Nieco zniecierpliwiony dłuższą chwilą ciszy otworzył na właściwej stronie leżącą na biurku zeszyt. Nie spojrzał na ostatnie zapiski. Nadal czekał.

-Dobrze, widzę, że już oswoiłeś się ze swoją nową rolą. Dzisiaj będzie ciężki dzień. Pogoda może w każdy momencie się zmienić. Cały czas coś wisi w powietrzu. Morze już teraz jest niespokojne. Mam złe przeczucia.

Na twarzy kapitana pojawiła się zaduma. Skupiony patrzył na bezkresną linię horyzontu. Po kilku minutach zaczął kontynuować wczorajszą opowieść. Mężczyzna bezbłędnie wyczuł moment rozpoczęcia pisania. Odruchowo dopisał nową datę obok starej.

-Ptak odczuł ujawniający się głód. Błogość sytuacji brała górę nad rozsądkiem. Mimo wewnętrznego impulsu do określonego działania, nadal lubował się w przyjemności przemieszczania się na grzbietach fal. Głód stopniowo narastał - to nie był już jedynie impuls lecz wewnętrzna potrzeba. Mimo tego ptak nie rozwijał swoich skrzydeł. Nie wzniósł się w powietrze aby wypatrzeć rybę i następnie sprawnie nurkując ją złapać.

Mężczyzna z niecierpliwością czekał na zakończenie opowieści. Oczami wyobraźni widział ptaka o którym mówił kapitan.

-Mijała minuta za minutą- ptak nadal pozwalał unosić się falam... godzina i kolejna... Nagle zwierzę dostrzegło zbliżającą się w jego kierunku płetwę grzbietową wielkiej ryby. Była ona coraz bliżej i stopniowo ukazywał się jej masywny grzbiet.

„Leć! Uciekaj!” - krzyczał mężczyzna w myślach targany emocjami.

-Ptak wyczuwając nadchodzące zagrożenie rozwinął skrzydła i chciał wzbić się w przestworza. Lecz musiał je ponownie złożyć, gdyż był zbyt słaby by polecieć do góry. Osłabiony głodem organizm odmawiał posłuszeństwa. Pozostało mu patrzeć na zbliżającą się rybę... płetwę, grzbiet, oczy, pysk... po chwili już niczego nie czuł- ani głodu ani strachu.

-Nie! Dlaczego?!!- mężczyzna wstał gwałtownie przewracając krzesło.

Bunt zawałdął jego umysłem oraz ciałem. Po policzkach spłynęły strumienie łez. Wzrokiem przepelnionym żalem spoglądał na kapitana.

-Ponieważ pokierował się samą przyjemnością, bez krzty rozsądku i wbrew naturze- głos kapitana był niezwykle poważny, spojrzenie władcze.

Mężczyzna przez moment wpatrywał się rozpaczliwie w osobę starszego człowieka. Targany emocjami oczekiwał pomocy, drogi do wewnętrznej równowagi. Nie mogąc wytrzymać przeszywającego go wzroku kapitana powoli cofał się w kierunku wyjścia. Następnie odwrócił się i pobiegł... bez celu... oby jak najdalej od tego miejsca. Na przemian ukazywał mu się ptak pożerany przez ogromną rybę, sine dziecko na dłoniach żony, krew spływająca szerokim strumieniem po schodach. Obfite rzeki łez spływały po policzkach, w ustach czuł ich słonawy smak. Niczym szaleniec biegł po pustych korytarzach i pokładach. Co chwilę uderzał się o metalowe elementy konstrukcji statku. Biegł szukając drogi ucieczki, której nie było - schronienia, które nie istniało. Ostatecznie zamknął się w swojej kajucie. Położył się na koi, silnie przytulając spoconą i mokrą od łez twarz do poduszki... niczym przestraszone dziecko tulące się do piersi swojej matki.

Podziałało. Z każdą upływającą minutą oddech stawał się coraz spokojniejszy. Serce biło wolniej- rytmicznie, regularnie... nadchodził upragniony spokój.

Tym czasem fale z coraz większą siłą rozbijały się o kadłub statku. Nadeszła spodziewana burza. Wraz z wichrem eksponowała swój gniew wobec intruza. Złowieszczo ciemne chmury pokryły niebo zatrzymując ostatnie promienie słońca. Nastąpiła ciemność przecinały pioruny uderzające coraz to bliżej statku. Nie przymocowane przedmioty swobodnie przemieszczały się po kajucie.

W umyśle mężczyzny niespodziewanie powstał dotąd nie ujawniający się niepokój o los statku, kapitana, załogi... w znikomym stopniu o swój własny. Wstał z koi i natychmiast musiał chwycić się czegoś stabilnego by nie stracić równowagi. Tak też przemieszczał się w kierunku wyjścia z kajuty, następnie po korytarzu - ostrożnie stawiając każdy krok. Stąpił po chłodnej, morskiej wodzie, której udało się wtargnąć do wnętrza statku. Z ogromnym trudem wszedł po metalowych schodkach na górny pokład, co chwilę będąc zalewany przez wdzierające się pod pokład fale.

Żałoga z heroicznym wysiłkiem ratowała siebie, jak i oderwane części statku oraz wyposażenia. Widok ten był przerażający nie tylko z powodu bezpośredniego zagrożenia życia wielu istot ludzkich ale także uczucia bezradności w obliczu szalejącego żywiołu, którego nikt i nic nie było w stanie powstrzymać. Ciała członków załogi miotane były od burty do burty siłą wiatru i przelewających się przez pokład fal- niezliczonej ilości wody morskiej.

Mężczyzna kurczowo trzymał się metalowej konstrukcji, co chwilę odpierając ataki bezwzględnych fal. Uderzały jego wymęczone ciało pokryte przylegającą do skóry przemoczoną odzieżą. Bezradny i przerażony patrzył na walczących resztkami sił marynarzy, których krzyki nieustannie zagłuszał wicher. Patrzył bez nadziei, niczym ptak na zbliżającą się ogromną rybę, przekonany o swym bliskim końcu.

Niespodziewanie jego oczom ukazała się postać w długiej szacie i z kapturem założonym na głowę. Stała stabilnie niczego się nie trzymając na schodkach prowadzących na mostek kapitański. Zniknęła zaraz po tym, jak ją zauważył.

Kierowany złym przeczuciem poszedł we wskazaną stronę. Starał się tam dotrzeć jak najszybciej, ale to nie było łatwe zadanie. Na jego drodze stanęły nie tylko fale systematycznie zalewające pokład lecz także wicher. Zdobywał schodek po schodku, mięśnie miał napięte do granic wytrzymałości. Palce niczym stalowe haki zaczepiał o metalową konstrukcję poręczy, która wbijała się w nie miejscami przecinając skórę.

Szyba na mostku była wybita. Na pokładzie leżało ciało kapitana, z którego głowy wypływał wąski strumień krwi. Obok niego leżał metalowy element konstrukcji statku. Mężczyzna podbiegł do kapitana zapominając o zmęczeniu i narastającym bólu. Kapitan otworzył oczy i spojrzał błagalnym wzrokiem. Poruszał ustami, z widocznym trudem wydobywając się z siebie pojedyncze słowa.

-Żałoga... statek... ster...

Mężczyzna nie potrzebował dalszych instrukcji. Znajdujące się przy nim koło steru kręciło się w nieregularny sposób - to w lewo to w prawo. Bez zastanowienia chwycił je i spojrzał przed siebie. Na horyzoncie spod płaszcza mroku przecinanego piorunami ukazywały się zarysy skał. Mężczyzna odruchowo próbował odbić w lewo, w stosunku do dotychczasowego kursu. Miał tylko jeden cel-ominąć skały, śmiertelne niebezpieczeństwo. Mimo nieludzkiego wysiłku czynił to zbyt wolno. Zarysy skał przemieniały się w rzeczywiste kształty masywnej struktury. Jeszcze kawałek... coraz bliżej... Miał coraz mniej czasu i sił.

Najpierw poczuł ciepły oddech. Następnie większą władzę nad kołem sterowniczym, które szybciej i sprawniej przekręcało się w lewo. Pomagała mu w tym córka kapitana - przemoczona i zmarznięta. Nie słyszał jak wchodziła na mostek, ani jak się zbliżała. Kątem oka widział jej ciało zmagające się z wielkim, drewnianym kołem.

Złowieszcza sylwetka skał była już w pełni odkryta. Była coraz bliżej metalowej konstrukcji statku, powoli oddalała się od środka kadłuba. Niechybnie zmierzała ku jego prawej stronie. Ostre zakończenia skał miały przeciąć konstrukcję statku wzdłuż jego prawej burty, lecz ostatecznie ominęły ją zaledwie o kilka metrów.

Wycieńczony mężczyzna opadł bezwładnie na pokład. Leżał tuż obok córki kapitana. Czuł słony smak potu, który pokrywał całe ciało. Odzież miał poszarpaną, przemoczoną, miejscami poplamioną krwią. Samowolnie zamykały mu się powieki. Nadchodził upragniony sen.

x-x-x

-To był wyjątkowo ciężki dzień... pamięć ma nie sięga do poprzedniego, równie strasznego- mówił kapitan chodząc wzdłuż szeregu utworzonego z członków załogi - Nikt nie zginął, nikt nie doznał poważniejszych obrażeń, statek jest sprawny... a mogło być zupełnie inaczej. To, że tutaj, teraz i na tym statku stoimy zawdzięczamy dwóm osobom. Mojej ukochanej córce oraz memu nowemu sekretarzowi.

Oczy członków załogi skierowały się w kierunku mężczyzny stojącego na samym końcu szeregu. Zapanował szmer, oznaki zdumienia, nieopanowana żądza dodatkowych informacji.

-Ich siła... ta fizyczna jak i psychiczna, opanowanie i upór, zmieniły kurs statku. Z tego dla wielu lub nawet wszystkich ostatniego - wprost na skały, na ten zbawienny, wyrwający nas z paszczy burzy i wichury.

Kapitan zmierzył cały szereg wzrokiem, po czym dodał.

-Wystarczy tego gadania. Do jutra wszyscy odpoczywają. Z samego rana będziemy naprawiać uszkodzenia a potem połowów ciąg dalszy. Nie możemy wrócić do portu z pustymi magazynami.

x-x-x

Wieczór był wyjątkowo spokojny... prawie bezchmurne niebo, idealnie płaska powierzchnia morza i samotny statek rozcinający ją swoim stalowym dziobem. Żałoga spała strudzona dziką walką o przetrwanie... z wyjątkiem jednej osoby.

Mężczyzna powolnym krokiem szedł po górnym pokładzie zmierzając na dziób jednostki. Chaotycznie rozrzucone, oderwane części konstrukcji statku i wyposażenia utwierdzały go w przekonaniu, że to nie był dziwaczny sen. Mężczyzna chwiei wdychał świeże, morskie powietrze, które rozchodziło się po całym ciele. Ból ustąpił, zmęczenie pozostało lecz w przeciwieństwie do reszty załogi nie mógł zasnąć. Opuszkami palców dotykał ran na dłoniach. Na liczne siniaki i inne obrażenia nie zwracał najmniejszej uwagi.

Koniec trasy powstrzymał jego chód. Stał opierając się o kadłub i wpatrywał się w horyzont- magiczne połączenie morza i

nieba. Niby tak bliskie a jednak nieosiągalne.

Niespodziewanie poczuł znajomy powiew chłodu. Nie miał żadnych wątpliwości, że za jego plecami stała tajemnicza postać. Odwrócił się i wówczas ją ujrzał. Stała tak blisko, że mógł usłyszeć jej głęboki i równomierny oddech.

Powoli uniosła ramiona, chwyciła za kaptur i zaczęła go powoli zdejmować... kawałek po kawałku. Serce mężczyzny biło coraz szybciej- nie ze strachu lecz z niepohamowanej ciekawości połączonej z długo narastającym zniecierpliwieniem.

Ujrzał kobiecą twarz o sinym odcieniu skóry. Długie, ciemne włosy schodziły pod płaszcz. Oczy kobiety były bez życia, obojętnie utkwione w jednym punkcie. Pozostałą część ciała ukrywała obszerna szata.

Zaskoczenie nie trwało długo. Jego miejsce zajęło przerażenie. Nie mogąc z siebie wydusić słowa mężczyzna patrzył na stojącą przed nim kobietę... na swoją zmarłą żonę.

Kobieta powoli rozwiązywała sznur okalający okrycie. Gdy supeł zniknął, sznur opadł a wraz z nim szata.

Stało tuż przy kobiecie, równie sine i z tym samym obojętnym wzrokiem. Z ust wystawało mu kilka wodorostów.

Mężczyzna ukląkł, następnie położył się na pokładzie i skulił się w kłębek. Leżąc płakał niczym małe dziecko. Płakał z nie-wyobrażalnego bólu - walcząc z ogniem rozpalonym w jego wnętrzu. Nękała go tęsknota oraz wyrzuty sumienia. Czas, jakby go można było cofnąć! Jakby można było naprawić swoje błędy i grzechy! Nie!... pozostawały jedynie łzy... tęsknota, wyrzuty sumienia i ten przeraźliwy ból.

Ponownie spojrzał przed siebie. Nie było kobiety, dziecka, szaty, sznura... jedynie przyglądająca mu się z zainteresowaniem mewa.

Mężczyzna patrzył na ptaka niczego już nie rozumiejąc, nie będąc pewnym tego co widział.

Ptaka wzniósł się w powietrze. Poleciał szybko znikając z pola widzenia. Mężczyzna pozostał skulony na górnym pokładzie - pogrążony we własnych myślach, zupełnie sam., niczym rozbitek odbywający podróż przez bezkresne morza, ku Słońcu.

-Też nie mogłeś zasnąć?

Przestraszony wstał gwałtownie.

-Wyglądasz jakbyś zobaczył zjawę. To ja, córka kapitana. Poznajesz mnie?

Tak, to była ona... i znowu ten sam ptak na jej ramieniu. Mężczyzna niepewnie podniósł rękę i opuszkami palców dotknął aksamitnej skóry na jej policzkach. Pospieszenie odwrócił się w stronę horyzontu, by ukryć łzy.

Mewa wzbiła się w powietrze, cieszyła się życiem i korzystała z chwili. Dawała się unosić lekkim podmuchom wiatru, szubując z rozwiniętymi skrzydłami. .

Piotr Piątek [ppiatak@wp.pl]

Godz.20.38, 9VII 2001 r.. Ustka

Godz.16.03, 2 VIII 2001 r., Białóżewin

Poprawione: Ustka, 19 listopada 2006 r., godz. 22.15.

Misiael Pierwszy ::: Kolędniczy

CICHA NOC

Płatki śniegu tańczyły lekko na tle ciemnogrnatowego nieba. Ludzie siedzieli w domach grzejąc się ciepłem obecności dawno niewidzianych krewnych. Wigilia Bożego Narodzenia. Jedyny taki dzień w roku. Jednak mało kto zdaje sobie sprawę, że właśnie w tym dniu zagrożenie jest największe - że w dniu poprzedzającym narodziny Mesjasza działanie Złego jest najsilniejsze. Nienazwany wie, że to jego jedyna szansa, by przedrzeć się przez zasłonę, jaką świat został przed nim zakryty. Wie. I działa.

* * *

Tego dnia, tego wieczoru w świat ruszają Kolędniczy. Herod, Turoń, Anioł, Śmierć i Gwiazda. Każde z nich idzie w inną stronę. Każde wie, że nie wolno im zawieść. Że to od nich zależy, czy równowaga pomiędzy Jedynym, a Potępieńcem zostanie zachowana. Herod głębiej naciągnął kaptur. Turoń zacisnął pięść. Anioł opuścił głowę. Nienawiść wykrzywiła wargi Gwiazdy. Śmierć nie zrobił nic. Płatki śniegu tańczyły lekko na tle ciemnogrnatowego nieba.

HEROD

Marta spędzała święta sama. Jak zwykle. Kiedy miała dwadzieścia lat zmarli jej rodzice. Jej mały braciszek, Marcin, odszedł niespełna pół roku później - zabrała go szybko postępująca białaczka. Marta była z nim do samego końca. Patrzyła, jak ciało Marcinka wiotczeje, jak organizm przegrywa walkę z chorobą. Pod koniec wyglądał już nie jak jedenastoletni chłopiec, a jak mały bożonarodzeniowy duszek. Błady duszek o podkrążonych oczach, które już widziały białą dłoń Kostuchy, czochrającą jego, jasne jak pszenica, włosy.

Marta nalała sobie wina. Jeden kieliszek wina, powiedziała sobie. Potem pójdę spać. Tak jak co roku. Żadnych prezentów, żadnych Mikołajów i śpiewania kolęd. Tylko jeden mały kieliszek. I do łóżka.

Usłyszała pukanie do drzwi. Kto puka do w Wigilijny wieczór? Zbłąkany wędrowiec? Święty Mikołaj? Kolędniczy?

Po chwili wahania Marta nacisnęła klamkę.

W drzwiach stała dziwna postać. Gdyby Święty Mikołaj miał krótką, czarną brodę i nosił szary, lniany habit, dziewczyna przysięgła by, że to sam biskup z Mirry nawiedził ją tego wieczoru.

- Słucham? - zapytała uprzejmym tonem.

- Pokuta - powiedział cicho - rani. Zabija. Ale i oczyszcza. Są tacy, którym pokuta nigdy się nie kończy. Postawieni na krawędzi miotają się między ogniem, a wodą, między światłem, a ciemnością, między dobrem, a złem. Musisz odejść. Musisz.

Marta cofnęła się o krok. Przez głowę przelatywało jej setki pytań, jedno znalazło ujście poprzez usta.

- Dlaczego?

- Tak trzeba.

TUROŃ

Andrzej zatoczył się, zachwiał i mało nie upadł.

- Szlag! - zawył, ślizgając się na oblodzonym chodniku. Z kieszeni wypadła i rozbiła się napoczęta już butelka.

- Szlag! - powtórzył, z trudem ogniskując wzrok. Rozejrzał się z wyraźnym zdezorientowaniem. Był pewien, że to właściwa droga do domu. Z drugiej strony, te uliczki są do siebie tak podobne... Pokręcił głową. Obraz ponownie się wyostrzył.

Na horyzoncie pojawił się dziwny kształt. Wyglądał jak skrzyżowanie krowy, małpy i krokodyla. Andrzej przetarł oczy ze zdumienia. Zdradzał wszelkie symptomy delirium *tremens*, aczkolwiek w jego wizji było coś tak brutalnie oczywistego, że z miejsca uwierzył w to, co ma przed oczyma - mimo niesamowitości zjawiska.

Istota zdawała się przepływać ponad chodnikiem. Podpełzła do Andrzeja.

- Więc to ty - powiedziała, kłapiąc absurdalnie szeroką paszczką. Jak ono może mówić, przemknęło przez głowę szokowanego Andrzeja, to niemożliwe.

- Więc to ty - powtórzył stwór, kołysząc się na pałkowatych łapach - Był Poncjusz Piłat. Był Judasz Iskariota. Był Cesarz Neron. A teraz - głos dudnił w uszach przerażonego mężczyzny - teraz coś takiego. Jesteś niczym - dowodem, że rasa ludzka może stoczyć się na samo dno. Po co Jedyny jeszcze na was patrzy? Po co posłał na śmierć Galilejczyka? Po co?

Andrzej zajęczał i cofnął się o krok. Maszkara skoczyła.

Śnieg padał coraz gęściej.

ANIOŁ

Julia tęsknie wpatrywała się w prószący za oknem śnieg. Święta w domu dziecka spędziła w atmosferze wzajemnej życzliwości. Skromne prezenty, dzielenie się opłatkiem, cicho śpiewane kolędy... Być może nie było to wiele, ale siedmioletnia Julia nauczyła się przyjmować wszystko, co niesie los.

Za oknem płatki śniegu na moment ułożyły się w obraz. Sylwetkę. Dziewczynka przyjrzała się uważniej. Sylwetka zniknęła. Julia odwróciła się.

Stojący przed nią mężczyzna ubrany był w oślepiająco białą sutannę. Mimo, iż nie miał skrzydeł, Julia natychmiast rozpoznała w nim anioła.

- Czy... Jesteś aniołem? - upewniła się. Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Moim aniołem? - zapytała drżącym głosem. Tym razem istota zaprzeczyła.

- Jestem tu, by wyznaczyć Strażnika - powiedział anioł melodyjnym głosem - Bóg wysłał mnie, bym ofiarował ci dar, który inni nazywać będą brzemieniem. Albowiem jest to wielkie brzemie i ciężki krzyż. Podejdź tu, dziecko.

Julia posłusznie podeszła do tajemniczego przybysza. Nie zrozumiała jego przemowy, wiedziała jednak, że Bóg nie wysłałby anioła bez ważnego powodu. Istota położyła dłonie na jej głowie.

- Na Marię Magdalenę, na Matkę Teresę. Na Łucję z Fatimy i na Faustynę. Na Tabitę i Przenajświętszą Panienkę. Niech łaska Boża spłynie na to dziecko i ofiaruje mu światło. Oto ostatnia Matka, która przygotowuje swe dzieci na nadejście Pana.

Julia poczuła, jak spływa na nią ciepło - ten rodzaj ciepła, który pamiętała jeszcze niejasno z okresu, kiedy żyli jej rodzice.

Anioł uśmiechnął się smutno.

- Zawierzaj Panu - szepnął i już go nie było.

GWIAZDA

Samochód pędził z zawrotną szybkością. Zapadał zmrok. Marek zaklął i mocniej docisnął pedał gazu. Jego krewni pewnie wyglądają teraz pierwszej gwiazdki, kto wie, czy nie zaczęli już wieczery wigilijnej. Bez niego...

Niebieskie Tico jechało coraz szybciej, Marek denerwował się coraz bardziej.

Nieoczekiwanie coś przyciągnęło jego uwagę - z pobliskiego lasu rzucił się na jezdnię ciemny kształt, wielkości lisa. Mężczyzna instynktownie wdepnął hamulec. Samochód wpadł w poślizg. Ostatnie, co zauważył to gwałtownie zbliżający się pień drzewa.

* * *

Marek ocknął się. Z zaskoczeniem stwierdził, że leży na skraju jezdni. Gdy odwrócił głowę, spostrzegł dymiący wrak samochodu. Wstał, dygocząc, niczym w febrze. podniósł dłoń do czoła. Krew.

- To już koniec - usłyszał głos za swoimi plecami. Odwrócił się powoli. Stała przed nim niewysoka postać - starzec wsparty na lasce zwieńczonej małą, hebanową gwiazdką.

- Zginiesz tutaj, tej nocy twoja podróż się kończy.

To szok, pomyślał rozgorączkowany Marek. Tego człowieka tu nie ma. To tylko moja głowa i...

Gwiazdor uniósł łaskę i szybkim ruchem zakończył niemy wywód.

ŚMIERĆ

Tomasz cieszył się, żegnając gości. Uściskał dawno niewidzianą bratową, podał dłoń szwagrowi. Gdy goście - wciąż rozmawiając - opuścili ciasny przedpokój, Tomasz zamknął za nimi drzwi i wreszcie odetchnął z ulgą. Dobrze, że święta są tylko raz do roku. Nie chodzi tu o to, że nie lubił wigilii Bożego Narodzenia - ale gdy człowiekowi zwali się na głowę tabun krewnych i znajomych... Ale nic. Po herbacie, jak to niektórzy mówią.

Pukanie do drzwi. Pewnie któryś z wujków zapomniał szalika, czy coś...

Mężczyzna otworzył drzwi. Za nimi stał przeraźliwie wysoki mężczyzna w czymś, co Tomasz zidentyfikował jako czarny habit, podobny do tych, które nosili mnisi.

- Dobry wieczór - spod naciągniętego na głowę kaptura wydobył się cichy, aksamitny głos - przychodzę do pana w bardzo nietypowej sprawie.

W dłoni przybysza błysnął nóż.

KOLEDNICY

Płatki śniegu tańczyły lekko na tle ciemnogrnatowego nieba. Ludzie żegnali miłych gości, wiedząc, że następna okazja na spotkanie zdarzy się najwcześniej za rok. Dzieci, przed pójściem do łóżek, łapały ostatnie chwile Wigilii bawiąc się otrzymanymi dziś prezentami. Choinka, spełniwszy swoje zadanie, stała samotnie w kącie pokoju. Resztki wigilijnych potraw zalegały na półmiskach i talerzach.

Śnieg sypał coraz gęściej, jakby Pani Zima miała zamiar zakryć swym srebrnym całunem cały, bez mała, świat. Gdyby ktoś wyjrzał teraz przez okno i wpatrywałby się w nie przez dłuższą chwilę dostrzegłby może pięć tajemniczych postaci podróżujących przez śniegi. Dostrzegłby, że owi pielgrzymi poruszają się z ociąganiem, jakby wcale nie chcieli odchodzić. Wiedzieli bowiem, że następna okazja na spotkanie zdarzy się najwcześniej za rok.

"Hej kołęda, kołęda"

Grudzień 2006

Misiael Pierwszy [misiael1@o2.pl]

Czekała siedem godzin aż on wyjedzie do pracy i aby mogła wreszcie do niego zadzwonić. Siedem godzin siedziała w pokoju wpatrując się w jeden martwy punkt. Tak, była świadoma. Może nawet bardziej niż podczas ostatnich paru dni. Dni, które miały zmienić jej życie.

- Zrobiłam to, rozumiesz?! Zrobiłam!

Środa

Ból istnienia przeradzał się powoli w nienawiść. Wiedziała do czego zmierza i co, prędzej czy później, zrobi. Doskonale zdawała sobie sprawę, że albo ona, albo on. Tylko kogo wybrać? Tego akurat nie wiedziała. Nie potrafiła o tym jednak myśleć. Jeszcze nie teraz. Było zdecydowanie zbyt wcześnie by móc podjąć tą decyzję.

- Kawy? - obudził ją z zamyślenia przyjemny głos. Podniosła do góry głowę i widziała jego. Nie, nie jego, tego drugiego. Jak zawsze uśmiechnięty, jak zawsze miły. Nie mogła się mu przeciwstawić. Wszystko co powiedział natychmiast chciała przemienić w czyn. Niestety, niewiele od niej oczekiwał. No, poza rozmową w przerwie między jednym a drugim zleceniem. Mimo wszystko nie potrafiła mu się oprzeć, nie jemu.

- Czemu nie? - odpowiedziała najsztudniej jak potrafiła skrywając jednocześnie przejaw jakiegokolwiek uczucia, które do niego pała, a które w tych dwóch wyraz mogło bez problemu się zdradzić. Często zastanawiała się, dlaczego nigdy nie powiedziała mu o swojej miłości. Może się bała? A może po prostu chciała żyć złudzeniami, że kiedyś będą jednak razem. Na zawsze.

Rozmawiali jak zwykle o tym samym. O ohydnej kawie, filmie wczoraj obejrzanym, dobrej książce. Czasem ona sprowadzała rozmowę na bardziej intymne tematy, lecz on jak zawsze tego unikał. Przecież miał żonę. Ona męża zresztą też.

Czwartek

Spał jeszcze, a ona, leżąc obok niego, spoglądała w sufit. Zawsze się dziwiła dlaczego właściwie są ze sobą. Czy jest w ogóle cokolwiek, co ich łączy. Poza czternastoletnim małżeństwem oczywiście. Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiali? Oprócz pytań „jak minął dzień?”, „chcesz kawy?”, nie było między nimi żadnej głębszej wymiany zdań. Jak długo można tak żyć ze sobą, a raczej obok siebie? Nie, przecież nie zawsze tak było. Przed trzema laty regularnie zapraszała ją do restauracji, kawiarenek, kin, teatrów... Tak jak podczas tego chłodnego jesiennego wieczoru, gdy wyszli na spacer. Wtedy właśnie po raz ostatni usłyszała, że ją kocha. Ją, nie żadną inną, młodszą, długonogą, zgrabną blondynkę. Właśnie ją, taką jaka jest. Teraz już tego nie mówi. Może ma inną? Codziennie zadawała sobie to pytanie kilka razy.

Spojrzała na niego. Był przystojny i zadbany. Teraz, podczas snu wyglądał jeszcze niewinniej niż zwykle. Wszyscy znajomi powtarzają im jak bardzo do siebie pasują i jak udane małżeństwo tworzą. On chyba też w to wierzył. Ona tak naiwna jednak nie była. Wiedziała, że ich związek się sypie. Chociaż określenie „sypie się” jest może przesadne. Oni po prostu stoją w miejscu. Zatrzymali się całkiem niedawno. Od tego czasu nikt nie wykonał żadnego kroku, ani do przodu, ani do tyłu. To się miało jednak wkrótce zmienić.

Piątek

Jak zawsze o godzinie 11 było najmniej roboty. To jest właśnie ten moment, kiedy czeka się na nowe zlecenia po tym, jak się wykonało te zaległe z poprzedniego dnia. Nie znosiła tej godziny. Siedziała bowiem idealnie naprzeciw niego. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Spoglądał na nią od czasu do czasu i uśmiechał się serdecznie. Tylko on tak potrafił. Bez słów, bez wielkich starań, poprawiał jej zawsze humor. Po prostu był. Niestety, nie dla niej. Ile by dała, by móc być razem z nim. Wiedziała jednak, że jest to niemożliwe. Nie tu, nie teraz.

Sobota

Nienawidziła go. Najszczerzej jak potrafiła, nienawidziła. Tak po prostu, po ludzku. A gdyby go zabić? Może nikt by się nie domyślił? Wybiłaby szybę, spreparowała włamanie i zeznała, że sama była w łazience, podczas gdy usłyszała łomot i bała się wyjść, by zobaczyć co się dzieje. Kto by podejrzewał kobietę w średnim wieku, z własnymi środkami do życia, będącą w „idealnym” małżeństwie.

Brzdęk uderzanego łyżeczką kieliszka wyrwał ją z rozmyślań. Ich dobry znajomy składał im najszczerze życzenia z okazji 15. rocznicy ślubu, którą obchodzić będą w poniedziałek. Nie słuchała dokładnie. Właściwie, to w ogóle nie słuchała. Po co? I tak wszystko było jednym wielkim kłamstwem, na które wszyscy się nabierali. Wszyscy poza nią.

Niedziela

Przywykła już do spędzania tego dnia w samotności. On, jak zwykle, grał z kolegami w golfa. Nieraz chciała wyrzucić wszystkie jego kije. Teraz jednak było inaczej. Cieszyła się, że go nie ma. Zbyt mocno pałała złością do jego osoby. Nie wytrzymałaby, gdyby miała przebywać z nim cały dzień sam na sam.

Poniedziałek

Natychmiast podbiegła do okna, gdy tylko usłyszała hamujący na żwirze samochód. Co on tak wcześniej tu robi? Przecież miał dziś zostać do 20 w pracy. Kluczek załomotał w zamku i usiadła na fotelu tak, by sprawiać wrażenie zaskoczonej.

- Co tu robisz?

- Wyrwałem się wcześniej z pracy, przecież dziś nasza rocznica, 15. Nie pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam...

Wieczór spędzili w domu. Razem, przy świecach, winie i jedzeniu zamówionym przez niego w najlepszej lokalnej restauracji. Starał się jak nigdy. Żartował, opowiadał i interesował się nią. Było nawet lepiej niż kiedyś, gdy jeszcze go kochała. Wszystko to jednak za późno...

Często się budziła w nocy i wstawała do łazienki, toteż on już nie zwracał na to uwagi i spał głęboko. Po czasie człowiek się przyzwyczaja. Dziś jednak to przyzwyczajenie miało go wiele kosztować. Nie, nie wstała z zamiarem zabicia go. Poszła do ubikacji, usiadła na klozecie i będąc na pół świadomą przeszła jej tą właśnie myśl przez głowę. Przeplukała twarz, ale myśl została, chociaż jej rozum pracował coraz klarowniej. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Wiedziała, że to robi.

Kuchnia znajdowała się na parterze. Przeszła cicho po schodach i otworzyła szufladę. Nóż? Nie, tasak. Wróciła do sypialni. Położyła się na moment, jakby chciała ochłoniąć. Jeszcze nic złego przecież nie zrobiła. Szybko jednak wstała i zadała pięć błyskawicznych ciosów prosto w głowę. Nie jęknął nawet. Stała nad nim wpatrując się w resztki twarzy, która nie była już tak ładna, jak wówczas, gdy leżała obok niego i spoglądała nań. Tasak wyleciał z jej ręki. Chwilę potem i ona padła na podłogę. Spojrzała na siebie, na ściany, na pościel. Zrobiło jej się niedobrze. Nie z powodu tego co zrobiła. To krew ją obrzydziła, jego krew, która teraz znajdowała się wszędzie.

Tak siedziała w ciemnej, dużej, gustownie umeblowanej sypialni. Białe niegdyś ściany w tym momencie były tak zaczerwienione, że każdy nieświadomy tego, co się tu stało pomyślałby, że stanowi to stały element wystroju. Nawet tasak jakoś dziwnie wkomponował się w całość. Tylko ona, siedząca na dywanie niemniej czerwonym niż ściany, nie pasowała do tego obrazka. Spędziła tak całą noc. Czekała siedem godzin aż on wyjedzie do pracy i aby mogła wreszcie do niego zadzwonić. Siedem godzin siedziała w pokoju wpatrując się w jeden martwy punkt. Tak, była świadoma. Może nawet bardziej niż podczas ostatnich paru dni. Dni, które miały zmienić jej życie.

- Zrobiłam to, rozumiesz?! Zrobiłam!

- Przepraszam, ale kto mówi?

Maestro ::: Zagubienie

Akt pierwszy – „Śpiesz się powoli”

Jest zimowy wieczór, pada lekki, delikatny śnieg, gdzieś przez centrum wielkiego miasta kroczy człowiek. Człowiek podąża w stronę jednego z pięknie oświetlonych wieżowców stojących naprzeciw starej, gotyckiej katedry. Człowiek jest zamyślony, widać, że coś go dręczy, nie daje spokoju, wysysa z niego resztki człowieczeństwa, krąży niczym trucizna po całym ciele sięjąc spustoszenie w psychice. Co go trapi? Czego szuka? Chyba sam nie jest w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jest zagubiony w świecie, którego nie rozumie... nie rozumie swej bezsilności w świecie agresji, ludzkich tragedii, przeciwności losu. Mężczyzna zatrzymał się przed jedną z wystaw sklepowych. Był to budynek ogromnej sieci sklepów. W środku znajdowali się jeszcze liczni klienci szukający odpowiedniego świątecznego prezentu dla swoich bliskich. Ogarnięci szaleńcami zakupów, nie oglądając się za siebie, przeklinają pod nosem dzień, w którym ktoś wymyślił święta. Cholerna choinka, pieprzone prezenty, debilne pioseneczki śpiewane przez bandę idiotów ślepo wierzących w to, że można jeszcze coś zmienić.

Mężczyzna ruszył dalej pokonując kolejne metry mijając zabieganych ludzi, wszyscy gdzieś się śpieszą, gdzieś pędzą nie zauważając tego, omijają to co najważniejsze... W pewnym momencie człowiek zauważył ławkę stojącą samotnie wśród rzędu drzewek rosnącego wzdłuż ulicy. Mężczyzna usiadł na ławce wpatrując się w piękne, rozgwieżdżone niebo... zamknął oczy – cały świat zamarł, nie było już ludzi, pędzących samochodów, wrzawy miasta. Po chwili do ławki podszedł pewien mężczyzna.

(Bezdomny) „P-p-przepraszam uprzejmie, może poratuje mnie pan kilkoma dolarami, zbliżają się święta, nie mam gdzie się podziać”.

Mężczyzna otworzył zaspane oczy.

(Mężczyzna) „Odejdź! Nie ci nie dam! Zaraz zadzwonię na policję!”

Bezdomny ruszył przed siebie kontynuując bezkresną tułaczkę.

Akt drugi – „Piekło życia”

(Mężczyzna) „Cholerni bezdomni! Czy w tym mieście ta cholerna policja w ogóle pracuje!”

Mężczyzna wstał z ławki i skierował się do wejścia ogromnego wieżowca, podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę – drzwi były zamknięte. Człowiek wyciągnął pęk kluczy, zaczął szukać tego właściwego. Wreszcie natrafił na ten, który pasuje. Mężczyzna ponownie nacisnął klamkę, drzwi otwały się na oścież. Postać powoli weszła do środka nie zapalając światła, szła przed siebie, doskonale wiedziała, gdzie się udać. Budynek był całkiem pusty, nikt przecież nie chciał pracować w święta. Mężczyzna zbliżył się do windy, nacisnął przycisk rozglądając się jednocześnie po pustym, ciemnym pomieszczeniu, jak gdyby szukając kogoś, kto go powstrzyma. Nie można całkowicie wyrzec się ludzkiej natury, ludzkich słabości – one zawsze zostają, gdzieś głęboko w nas. Nagle zabrzmiał sygnał windy, drzwi rozsunęły się ukazując swe wnętrze. Z głośników w środku dobiegała cicha, spokojna świąteczna piosenka.

(Mężczyzna) „Cholera! To znowu ta pieprzona piosenka. Powinni zabić szaleńca, który ją wymyślił” – wykrzykiwał z uporem – „Mam nadzieję, że wszyscy Oni zdechną w piekle, które sami zbudowali!”

Człowiek wszedł do windy, wcisnął przycisk symbolizujący ostatnie piętro dostępne dla pracowników – numer 47. Mężczyzna chwycił poręcz, drzwi się zamknęły. Winda ruszyła...

Po kilku chwilach mężczyzna dotarł na ostatnie piętro. Drzwi ponownie się rozsunęły ukazując długi, mroczny korytarz, wydawał się, że ciągnie się on w nieskończoność, niczym tunel prowadzący w piekielną otchłań... otchłań, w której potępione dusze cierpią wieczne męczarnie płacąc za grzechy przeszłości, bez ratunku, bez szans na powtórne narodziny, bez szans by ponownie rozkwitnąć niczym mały kwiat na łące życia. Człowiek ruszył przed siebie, krok po kroku zbliżał się do celu swej podróży. Nagle mężczyzna stanął przed drzwiami po lewej stronie. Postać otworzyła drzwi i pewnym krokiem przeszła przez próg.

(Mężczyzna) „Jestem już niedaleko. To wszystko wkrótce się zakończy.”

Postać szła nadal, na końcu korytarza znajdowały się schody. Na ścianie obok widniał napis „Na dach”. Mężczyzna zbliżył się do schodów. Skierował się na górę. Po chwili mężczyzna znalazł się na dachu budynku. Podszedł do krawędzi...

Akt trzeci – „Pierwszy, ostatni krok”

Jego oczom ukazał się wspaniały, majestatyczny widok, tętniącego życiem, rozświetlonego setkami światła miasta. Miasta pełnego ludzkich emocji, pragnień, radości, lecz... nie dzisiaj. Dzisiaj wszystkie światła wydawały się jakby zamglone szarą rzeczywistością.

(Mężczyzna) „Anarchia, chaos, korupcja, władza, agresja, bezmyślny zaślepienie wzrok tępych głupców, romantycznych tylko na papierze kozłów ofiarnych, pieprzonych lunatyków śniących na jawie o wiecznej utopii. Są zaślepieni tak bardzo, że chyba sami w to uwierzyli... uwierzyli w bezinteresowność, szczere, bezinteresowne uczucie, przyjaźń i te inne gówna, od których, aż chce mi się rzygać. Lecz dzisiaj... to dzisiaj wszystko się zakończy. Koniec z zagładą, pieprzoną arogancją pieprzonych, zadufanych w sobie psychopatów. Udają, że wszystko jest w porządku. Lecz dzisiaj przestanę tkwić udając bezmyślne dziecko we mgle, czekające na coś czego nigdy nie dostanie. Usłyszcie mnie narody! Zapamiętajcie moje słowa i zapamiętajcie je dobrze! Dzisiejszy dzień stanie się tym, w którym uwolnię się od was, od waszych cholernych poglądów. Od ludzi, którzy zawiedli. Od tych, którzy chcieli stać się bogami tego świata, nie lękając się bogów zaświatów. Od waszych chorych, rozkładających się dusz trawionych przez nigdy niegasnące piekielne ognie. Od waszych dusz skazanych na zapomnienie, niekończącą się tułaczkę, której nikt nigdy nie przerwie. Od waszych dusz pogrążonych w odmętach zamglonych, martwych myśli.”

(Kobięcy głos) „Przeklinasz – „Boże, dlaczego?”. Upadasz pod każdym grzechem. Nie walczysz, dlaczego odrzucasz wszystko, co masz, wszystko, co możesz posiadać, wszystko jeszcze przed tobą. Masz szansę jakiej nie mają inni, zostałeś wyróżniony, po to by istnieć, by zapobiec temu, przed czym sam nie potrafisz się obronić”.

(Mężczyzna) „Kim? Kim jesteś?”

(Kobięcy głos) „Jestem wszystkim i niczym. Jestem miłym wiatrem pieścącym twarz młodej kobiety. Jestem kroplą deszczu upadającą na pomarszczone czoło staruszka siedzącego na ławce. Jestem promykiem słońca, który lekko oślepia małe dzieci grające w piłkę na podwórku.”

(Mężczyzna) „Co to wszystko ma znaczyć?! Pokaż się!”

(Kobięcy głos) „Widzisz mnie codziennie jadąc samochodem do pracy. Jestem miłą panią idącą po chodniku, gromadą niesfornych ptaków fruujących gdzieś pośród drzew w parku, sprzedawcą w sklepie, parą kochanków oddającą się swym dzikim żądzą. Jestem namiętnością, radością, smutkiem, żalem...”

(Mężczyzna) „Mam dość tego cholernego przedstawienia! Przyszedłem tu w konkretnym celu... przez tyle lat szukałem sensu mojego nędznego życia, życia w brudzie świata, w którym przyszło mi dokonywać mojej nędznej egzystencji. Wreszcie po tylu latach zrozumiałem. Zrozumiałem, po co to wszystko? Odnalazłem sens ludzkiego życia... celem życia jest jego koniec. Ludzie są chorobą, która niszczy ten świat. Wszystkie elementy tej układanki uzupełniają się: zwierzęta zabijają by żyć, człowiek żyje by zabijać, niszczyć, trawić wszystko. Człowiek by osiągnąć swój cel potrafi zrównać z ziemią wszelkie życie. W takim świecie przyszło mi żyć... hmm, lecz co to za życie. Powolna, nieunikniona samozagłada każdego z nas.

(Kobięcy głos) „Każdy medal ma dwie strony, to którą wybierzesz jest już tylko twoim własnym wyborem. Nie wszyscy są tacy sami pamiętaj. Każdy dostaje szansę, by przejrzeć przez gęste chmury ludzkich kłamstw. Nie każdy jednak potrafi przejrzeć na oczy uświadamiając sobie, co tak naprawdę jest naprawdę ważne? Niektórzy rzeczywiście są zaślepieni kłamstwami szatanów, lecz oni zostaną za to rozliczeni w swoim czasie. Ty nie jesteś tym, któremu dano władzę wykonywania kar”.

(Mężczyzna) „Masz na myśli Boga? Nie ma żadnego Boga, nasza wiara jest tylko dla nas! Bezmyślnie głoszone modły, ku czci Najwyższego – co za brednie! Rzygać mi się chce, gdy widzę ludzi stojących w kościele... dziwki, mordercy, mężowie maltretujący

żony, młodzi chłopcy gwałcący przypadkowe kobiety, cholerni politycy wciskający pieprzony kit, byle by tylko dopchać się do władzy, alkoholicy przysięgający skończyć z nałogiem, kryminaliści proszący o wybaczenie. Szlag mnie trafia, gdy o tym wszystkim myślę! Muszę zapalić”.

Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Wyciągnął jednego papierosa i włożył go do ust, zapalił go rozkoszując się powstałym dymem. Człowiek schował zapalniczkę do kieszeni spoglądając na pudełko.

(Mężczyzna) „Palenie zabija – hmm... dobre sobie. Mam się przejmować głupim papierosem stojąc na krawędzi dachu wieżowca w jednym z najbardziej zatłoczonych miejsc w mieście. Będę palił i koniec! Nikt mi nie zabroni! W dupie mam te pieprzone chemiczne gówna powoli trawiące moje ciało! Słyszcie! Nie zabronicie mi!

(Kobiety głos) „Nic nie jest bez znaczenia, pamiętaj o tym.”

(Mężczyzna) „Głos, głos, wiecznie głos, pieprzony, kurewski głos! Czegokolwiek bym nie powiedział. Jakiegokolwiek argumentu bym nie przedstawił! On dalej nie daje mi spokoju! Wynoś się! Zostaw mnie! Chcę... być... sam!!!”

Akt czwarty – „Wieczność chwili”

Mężczyzna spojrzął w dół. Jego oczom ukazały się ludzkie sylwetki pędzące gdzieś przed siebie. Mężczyzna podniósł prawą nogę, jakby chciał wykonać kolejny krok.

(Mężczyzna) „Nareszcie nastąpiła chwila, na którą czekałem! W końcu ten pieprzony moment nadszedł. Czas spełniającego się przeznaczenia”.

Mężczyzna wykonał krok do przodu, krok w nicłość, ostatni krok dzielący go od tego, czego pragnął. Mężczyzna zaczął spadać. Nagle świat powoi zaczął zamierać, wszystko zaczęło poruszać się coraz wolniej, aż do momentu, w którym świat „stał” w miejscu”.

(Głos dziecka) „Co robisz?”

(Mężczyzna) „Uwalniam się od wszystkiego, czego nienawidzę.”

(Głos dziecka) „Od czego?”

(Mężczyzna) „O tych zaślepionych ludzi. Od ich bezcelowego życia...” – głos przerywa wypowiedź mężczyzny.

(Głos dziecka) „Każde życie ma jakiś sens. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wystarczy tylko odkryć, co tak naprawdę potrafimy? Co tak naprawdę nas pociąga? Co sprawia, że czujemy się dobrze, coś czemu bez mrugnienia okiem potrafimy się oddać, czerpiąc z tego niekończącą się przyjemność? Celem życia jest znaleźć jego sens. To on jest najważniejszy, lecz dopóki go nie znajdziemy mamy obowiązek zawzięcie go szukać. Musimy próbować wszystkiego, aby odpowiedzieć sobie na pytania: co tak właściwie lubię? Czego pragnę? Za kogo jestem w stanie oddać własne życie, po to by druga osoba istniała nadal?”

(Mężczyzna) „Brednie!”

(Głos dziecka) „Widzę, że ty już dawno straciłeś potrzebny zapal. Przyznaj się. Poległeś! Nie podołałeś wyzwaniu rzuconemu przez życie. Jesteś słaby! Tylko głupiec rezygnuje z życia w ten sposób. To co robisz to nie próba zyskania wolności. To wszystko jest chorym kaprysem rozpieszczonego bachora.

(Mężczyzna) „Milcz!”

(Głos dziecka) „Boisz się, że mam rację! Boisz się tego, że zaślepiłeś się swymi własnymi osądami nie dopuszczając prawdy. Prawdy, która próbuje do ciebie dotrzeć. Prawdy, której się boisz. Prawda?”

(Mężczyzna) „Milcz! Zostaw mnie! Pieprzone kłamstwa, kurewskiego życia. Nie nabierzesz mnie na to! Nie mnie! Nie mnie! Nie mnie!”

(Głos dziecka) „Miałem rację. Stałeś się tym, czego najbardziej nienawidzisz. Jesteś chory, bezmyślnie zaślepiony bezsensownymi myślami. Jesteś obłąkany, żyjesz, gdzieś poza rzeczywistością. Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. Widzisz życie poprzez pryzmat własnego obłądzenia, nie dopuszczając, że może być inaczej, że może być lepiej. Przecież... wystarczy tylko zwykły uśmiech poślany w twoją stronę przez nieznaną osobę, by odzyskać sens życia. Należy dostrzegać drobiazgi, które zazwyczaj nam umykają. Rzeczy, na które nie zwracamy uwagi, a to właśnie na nich powinniśmy najbardziej zależeć. Powinniśmy doceniać je i odpłacać się tym samym. Każdy gest, słowo czy towarzystwo innej osoby powinno być zauważane, ponieważ nigdy nie wiemy, kiedy tak naprawdę stracimy to wszystko na czym nam naprawdę zależy. Czasami uda nam się zrozumieć nasz błąd, lecz wtedy może być już za późno. Nie wahajmy się ani trochę mówiąc o tym, co czujemy, czego pragniemy. Nie ma nic gorszego od siedzenia obok osoby, która nigdy nie będzie z nami. Nie dajmy się pozornej, codziennej szarości, ponieważ jest ona tylko jednym z kolorów, które ofiaruje nam tęcza życia. Pamiętajmy, aby szarość nie przysłoniła nam wielu innych, pięknych barw czekających tylko na to by rozkoszować się ich widokiem.”

Akt piąty – „Uwolnienie”

Po policzku mężczyzny spłynęła łza.

(Mężczyzna) „Masz rację. Ale, czy dla mnie jest jeszcze szansa?”

(Głos dziecka) „Każdy dostaje taką szansę, jednak nie każdy potrafi ją wykorzystać. Ludzie nie potrafią ujrzeć światła, które na nich pada. Dopiero wtedy, kiedy go zabraknie odczuwają, że czegoś im brakuje. Tobie udało się, ponieważ masz czyste serce. Zbłądziłeś po prostu ze ścieżki światła, lecz zbłądziłeś po to by odrodzić się silniejszym.”

(Mężczyzna) „Dziękuję.”

Nagle rozbłysnęło potężne światło pochłaniając wszystko i wszystkich.

(Mężczyzna) „Jeszcze raz, dziękuję.” – wyszeptał.

Światło zniknęło.

(Bezdomny) „P-p-przepraszam uprzejmie, może poratuje mnie pan kilkoma dolarami, zbliżają się święta, nie mam gdzie się podziać”.

Mężczyzna otworzył oczy, ze zdumieniem wpatrując się w bezdomnego.

(Bezdomny) „Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Coś nie tak? Nie ma problemu, już sobie idę.”

(Mężczyzna) „Nie, nie, nie. Proszę poczekać. Pewnie panu zimno? Proszę wziąć mój płaszcz, jest całkiem nowy.”

(Bezdomny) „Ale ja... ja nie mogę tego przyjąć”.

(Mężczyzna) „Bardzo proszę, panu się bardziej przyda.”

Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni wyjmując portfel.

(Mężczyzna) „Bardzo proszę wziąć te pieniądze. Będzie tego jakieś 6000\$. Starczy na dobry hotel.”

(Bezdomny) „O mój Boże! Tyle pieniędzy! Nie wiem jak panu dziękować!”

(Mężczyzna) „Mam nadzieję, że uśmiech i dobre słowo to nieduża zapłata”.

(Bezdomny) „Dziękuję, naprawdę dziękuję. Niech ci się wiedzie synu. Taka dobroć... nie myślałem, że jeszcze kiedyś czego takiego doczekam”.

(Mężczyzna) „Drobiazg”

Mężczyzna szybko wstał z ławki i wbiegł na skrzyżowanie tamując ruch. Zniecierpliwieni kierowcy wyszli z samochodów, wokół zebrał się także duży tłum ludzi. Mężczyzna zaczął krzyczeć: „Wstyďte się, wstyďte mali i wielcy, mimo żeście mierni i nędzni nie zostawajcie z tyłu. Świat pędzi do przodu, rwie ku swym celom nie zapominajmy o tym co najważniejsze – dostrzec tęczę życia!...”

Janek Enem ::: Historia pewnej tradycji

Nagromadzający się śnieg usilnie próbował wdrzeć się do ciepłego domostwa. Dach trzeszczał niczym miotana falami trzydziestoletnia, niekonserwowana łajba i ugiął się pod narastającym ciężarem. Drewniany domek dzielnie bronił się przed zjednoczonymi siłami śniegu i arktycznego wiatru. A w domku brodaty, gruby jegomość bronił się przed nagłą chęcią obudzenia się. Powieki na pomarszczonej twarzy zadrgały i powoli otworzyły się. Nagła-chęć-obudzenia-się wykrystalizowała się w postaci małego elfa, który szarpał pościel.

-Obudź się...

-Czego chcesz?

-Renifery przysłały list z Hollywood.

Stary usiadł na łóżku. Małemu przez chwilę wydawało się, że pierwsza noga, która dotknęła ziemi była bardziej lewa niż prawa. Ale nie przywiązał do tego zbyt wielkiej uwagi. Brodaty przeciągnął się i głęboko ziewnął.

-Pokaż to.

Elf posłusznie podał zapieczętowaną kopertę. Po chwili w powietrze poleciał skrawek koperty i rozbrzmiał dźwięk rozkładanego papieru kredowego, złożonego na cztery. Mikołaj zamruczał pod nosem. Popatrzył znacząco na pokurcza.

-Święty... - Prychnął Eryk, po czym poczłapał w kierunku stołu, na którym leżały okulary. Wziął je w swoje małe rączki i ruszył w stronę Starego. Dość niefortunnie, gdyż potknął się o zagięty dywan i upadł. Okulary wypadły z jego rąk i poszybowały ponad łóżkiem, aby w końcu trafić w gorącą czelusć kominka. To nie był wymarzony poranek. Jeżeli dzień zaczyna się dobrze - kończy się źle. Jeżeli zaś zaczyna się źle... Kończy się tragicznie.

Mikołaj o tym nie wiedział. Miał się o tym dopiero przekonać. Ze stoickim spokojem wstał i podszedł do leżącego posłańca.

-Czytaj.

Przed nosem Eryka pojawiła się gruba ręka trzymająca list. Elf podniósł się, wziął kartkę od Mikołaja i pobieżnie przeczytał.

-Olewają nas. Rudolf podpisał kontrakt na sequel jego pierwszego filmu. Zabiera resztę ze sobą.

-A kto pociągnie sanie?!? - Eryk nadal czytał.

-A! Zapomniałem dodać. Sanie też zabierają...

Mikołaj z wrażenia usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Pomiędzy palcami widać było coraz bardziej czerwieniejącą skórę. Kiedy wydawało się, że nic już nie zdoła uratować spokoju tego cichego miejsca Święty podniósł się i, delikatnie jak zwykle, rzekł.

-Chodźmy zobaczyć jak idą prace w fabryce.

A w fabryce prace nie szły. Można by nawet powiedzieć, że stały. Złośliwi by dodali, że jeszcze paliły papierosa. Wszystkie elfy siedziały w jednym kącie i naradzali się, gdy do jaskini, która została zaadaptowana dla potrzeb fabryki zabawek św. Mikołaja, wszedł właściciel, prezes i zleceńodawca w jednym.

Zdziwiony brodaczek rozglądał się po hali. Po czym jego wzrok spoczął na zebranych elfach.

-Czy ktoś by mógł mi wyjaśnić co się dzieje?

Przed grupę wyszedł mały elf w zielonych ogrodniczkach i skrzeczącym głosem oznajmił:

-Strajkujemy! Nie będziemy dzisiaj pracować! Jesteśmy zmęczeni po półrocznej harówce i bierzemy sobie dzień wolnego!

Mikołaj pokręcił głową.

-Pojutrze dostaniecie całe pół roku wolnego. A teraz zabierać się do roboty! - Zaczynał tracić cierpliwość. Elfy widząc tak zdenerwowanego dyrektora wołały nie ryzykować. Każdy z nich wołał wrócić do swojego zajęcia, niż zobaczyć naprawdę zdenerwowanego świętego.

A święty wrócił do swojego świątecznego zajęcia - do czytania listów. Grube palce przez wieki przystosowały się już do szeleszczącego papieru. Nikt nie podejrzewałby ich o taką zwinność. Mikołaj potrafił wyłuskać najmniejszą karteczkę, a już mistrzostwem było to, jak rozklejał dwie kartki. Robił to tak umiejętnie, że na obydwu pozostawało czytelne pismo, w którym zaczytywał się zaraz potem. Tak było zwykle. Jednak dzisiaj coś szło nie tak. Kartki przelatywały między palcami. Stare okulary ześlizgiwały się z nosa. Żona przeszkadzała z większą częstotliwością niż zwykle. Właśnie weszła z czymś podobnym do odciętego kawałka placka.

-No spróbuj pysiu tego piernika. Nie jest za słodki.

-Nie skarbie... Idealny...

-Ale nie wydaje Ci się...

-Proszę Cię. - Przerwał zniecierpliwiony.

-Przecież widzisz że pracuję.

Wyszła przymykając cichutko drzwi. Źle. Wolałby żeby trzasnęła. Pokręcił głową i zagłębił się znów w listach. Z zadumy wyrwało go coś włochatego. Włochatego i piszczącego. Wzrok Mikołaja spoczął na szczurze, który najwyraźniej wyszedł z szafy.

-Oż Ty!

Doskoczył do szafy z zadziwiającą prędkością i otworzył ją na oścież. Jego oczom ukazał się straszny widok. Worki na prezenty. A raczej to, co z nich zostało. Worki z dziurami, dziury z workami. Właściwie żadnej różnicy. Ciśnienie podniosło się w spokojnej duszy świętego mikołaja. Twarz zrobiła się bardziej czerwona niż czerwień najczerniejsza. Lecz po chwili znowu powróciła do swej naturalnej kolorystyki. Nic chyba nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi świętego. Chyba.

Mikołaj siedział w fotelu przy kominku i miał między zębami dzień. W palcach ścisnął świąteczną kartkę od dziadka. On już pewnie odpoczywa zadowolony przed jutrem. A nasz święty?!? Cóż. Renifery zabrały się z saniami do Hollywood. Elfy nie zdążyły wyrobić się z zamówieniem. Zresztą nie ma nawet gdzie zamówienia zapakować, bo worki są w strzępach. Tak jak i nerwy Mikołaja. Właściwie wystarczy zapalnik...

-WITAJ ŚWIĘTY MIKOŁAJU! - Aż zadzwoniło w uszach od niespodziewanego okrzyku.

W otwartych drzwiach pojawił się aniołek.

-Popatrz jaki piękny śnieg na zewnątrz! Jakie piękne święta się nam szykują! Posłuchaj kołędującego świata. - Rozmarzył się skrzydlaty.

-A właśnie. Przyniosłem Ci choinkę. Zobacz jaka piękna! Gdzie chcesz żeby ją wsadził?

I tak oto mój drogi czytelniku powstała pewna tradycja. Dość stara, związana ze świętami, choinką i wigilijnym stołem. Tradycja aniołka na czubku choinki.

MarcinD ::: Patrząc na świat zielonymi oczami

Drobna dłoń zatrzymała się w ostatnim momencie i brunetka dokładnie zlustrowała drzwi. Tak, z całą pewnością były zamknięte. Więc jak kobieta w redakcyjnym biurze, przed którego drzwiami stała mogła ją usłyszeć? Zrezygnowana nacisnęła na klamkę. Drewniane drzwi z nieprzeźroczystą szybą uchyliły się. Wewnątrz panował niemal pedantyczny porządek. Na samym środku pokoju stało duże, stare biurko, pamiętające jeszcze czasy... może nawet i dwudziestolecia wojennego. Na jego blacie, na samym środku stał laptop, po jego prawej stronie była optyczna mysz, a po lewej podłączona do portu USB podgrzewająca podstawka do kubka oraz brulion z krótką formatu A4, na którym leżał czarny Waterman. Pierwsza kartka brulionu była pokryta delikatnym, lekko pochylonym pismem. Pod jedną ze ścian stała niewielka szafka z kilkunastoma kolorowymi segregatorami, pod drugą niewielka sofa a przed nią mały stolik ze szklanym blatem. Na nim stał duży kubek i elektryczny czajnik do podgrzewania wody. Biurko stało na przeciwko dużego okna, a przy nim, tyłem do drzwi, siedziała wysoka, szczupła kobieta. Jej proste, złote włosy sięgały poniżej łopatek i wyraźnie kontrastowały z czarną koszulą. Blondynka pisała na laptopie niewiarygodnie szybko, klawisze stukają głośno, błyskawicznie uderzane. Brunetka chwilę patrzyła w jej plecy.

- Słucham cię, Paulina - kobieta przy biurku odezwała się pierwsza, nawet nie odwracając się w stronę nowo przybyłej i na moment nie przerywając pisanie. Paulina - ledwie trzydziestoletnia kobieta cichutko prychnęła.

- Maja, wzywa cię naczelny - powiedziała. Klawisze przestały stukać i Maja odwróciła się na obrotowym krześle. Intensywnie zielone oczy zlustrowały dokładnie koleżankę z pracy, choć może słowo "koleżanka" niezbyt tutaj pasowało. Bardziej pasowało raczej "konkurentka", przynajmniej według Pauliny. Na ustach blondynki pojawił się lekko ironiczny uśmiech. Chwilę mierzyły się wzrokiem, po czym pasowe usta Mai otworzyły się.

- Przyjdę - powiedziała - zrobię sobie kawę i przyjdę - dodała. Paulina nawet już nie uśmiechnęła się z ironią.

- Nie omieszkam dokładnie to mu przekazać - warknęła gniewnie i wyszła, zamykając za sobą drzwi, uderzając nimi odrobinę silniej, niż było trzeba. Zła, ruszyła do biura naczelnego. Pracowała w jednym z bardziej poczytnych warszawskich miesięczników dla kobiet. Miesięczniku z klasą. Z charakterem. Od pięciu lat była felietonistką i zajmowała się wywiadami. Udzielała się i starała. To dzięki jej staraniom w miesięczniku ukazało się już kilka wywiadów na wyłączność z aktorami powszechnie znanymi. Niespełna pół roku temu do redakcji dostała się ona. Maja. I niemal od razu dostała własne biuro. Specjalne przywileje. Paulina prychnęła ze złością. Szczepke Mai nienawidziła, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak wszyscy do niej garnęli, tak zabiegali o jej względy. To było po prostu niesprawiedliwe. Oczywiście, musiała przyznać, że Maja miała bardzo lekkie pióro - jej felietony cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, odciekając do redakcji, magazyn powiększył liczbę stałych czytelników o prawie jedną trzecią. Paulina zdawała sobie sprawę z wartości, jaką miała Majka jako autorka tekstów. Tym niemniej jednak szczerze nienawidziła za to na jakich warunkach traktował ją naczelny. Ostry, cholernie ostry facet, który zawsze wiedział, do czego dąży i jaki ma w życiu cel. Ale wystarczyło jedno spojrzenie Mai, by stawał się potulny jak baranek. Paulina przeszła właśnie obok "ściany sukcesu" - miejsca, na którym wisiły najlepsze artykuły z danego kwartału. Maja zdominowała prawie wszystkie. A do tego... Nie pamiętała, by Maja kiedykolwiek pozwoliła jej zapukać do swoich drzwi. Zawsze w ostatnim momencie odzywała się, jakby umiała wyczuć, że ktoś stoi przed jej drzwiami. To było cholernie frustrujące. I jej CV. Paulina skończyła studia na bardzo dobrym, znanym uniwersytecie na kierunku dziennikarstwa. Od zawsze chciała być dziennikarką. A Maja? Nieznana nikomu poza pewnymi kręgami artystka, malująca obrazy i pisząca teksty, po nieskończonych studiach na wydziale artystycznym w Cieszynie. Paulina prychnęła po raz kolejny i zastukała w drzwi naczelnego. Chwilę musiała postać, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że naczelny z całą pewnością ją słyszał. Cóż... Wszyscy wiedzieli, kto miał u niego priorytet. Ale tylko ją to wkurzało, pozostała część redakcji, co ciekawsze, praktycznie w całości kobieta, wprost za Mają przepadała. Ponure myśli Pauliny ucięło krótkie "proszę" usłyszane zza drzwi. Weszła do środka i szybkim spojrzeniem obrzuciła cały pokój naczelnego. Cóż za odmiana, po pedantycznym, ekstremalnie czystym biurze Mai. Na biurku naczelnego - Miłosza Kosterbskiego - panował artystyczny już tylko z nazwy bałagan. Jego służbowy laptop ledwie mieścił się między stertami próbnych artykułów pokreślonych czerwonymi cienkopisami, próbkami grafik czy okładek. Poza wspomnianym laptopem drugą - i już jedyną rzecz, jaką miała stałe, uporządkowane miejsce na biurku szefa była optyczna mysz na wielkiej, niegdyś białej podkładce wielkości formatu A4. Okno, częściowo zasłonięte żaluzjami filtrowało światło zmieniając jego kolor w sztuczny i nieprzyjemny odcień bardziej przypominający ecru niż słoneczną biel.

- Powiedziała, że robi sobie kawę i zaraz przyjdzie - westchnęła Paulina. Szef nawet na nią nie spojrzał, trzymając w dłoni jakąś książkę. Pewnie był w trakcie przygotowywania tekstu do działu książkowego.

- Doskonale - westchnął - nie musi się spieszyć - dodał bardziej do siebie i teraz dopiero spojrzał na brunetkę. Zmierzył ją szybko wzrokiem i rzucił, bardziej od niechcenia niż chęci uzyskania odpowiedzi - masz już dla mnie tekst o nowościach na rynku komórek dla kobiet?

- Pracuję nad nim - powiedziała, nieznacznie się czerwieniąc. Tekst miał być gotowy do końca dzisiejszej nocy, która kończyła się za niespełna pół godziny.

- No to pracuj skuteczniej. Chcę go dzisiaj dostać - rzucił i wrócił do książek. Paulina burknęła pod nosem coś w stylu "będzie na pewno" po czym wyszła. Usiadła przed swoim małym biurkiem w sali i prychnęła gniewnie.

- Hej, rozgniewana kotko, co dzisiaj z tobą? - zapytała najbliższej niej siedząca inna dziennikarka. Drzwi biura Majki otworzyły się i ze środka spokojnie wyszła Maja, niosąc w dłoni bezprzewodowy czajnik. Kasia obserwowała ją pilnie.

- Cholerna młódka - warknęła pod nosem, nie patrząc nawet na Natalię. Ta poszła za jej wzrokiem.

- Nie wiem, co ty do niej masz - powiedziała, też patrząc na Majkę - dziewczyna ma po prostu talent.

- "Nie musi się spieszyć" - warknęła Paulina, parodiując głos jej szefa - ale ja muszę lecieć od razu, jak tylko mnie wzywa.

- Och, daj spokój - westchnęła Natalia - Majka ma po prostu talent. Świetnie pisze.

- Wiem! - powiedziała Paulina - ale to nie znaczy chyba, że wszyscy muszą jej nadskakiwać. Ma własne biuro, chociaż jest zatrudniona jak wolny strzelec. To nie fair.

- Życie też jest nie fair - skwitowała Natalia i wróciła do swojego artykułu. Paulina też popatrzyła na monitor swojego komputera, ale odechciało się jej pisać. Przypomniała sobie, z jaką prędkością Maja uderzała w klawisze. Sama pisała całkiem nieźle na komputerze, w końcu maszynopisarstwo zaliczyła na studiach na najwyższą ocenę, jak zresztą każdy z przedmiotów, ale... Maja naprawdę cholernie szybko potrafiła pisać. Po chwili jednak skupiła się na najnowszym modelu Nokii w różowo - białej obudowie.

Maja tym czasem spokojnie wyszła do łazienki i napełniła czajnik. Naczelny chciał ją widzieć, a to oznaczało co najmniej pół godziny rozmowy. Ponieważ nie miała pojęcia, na jaki temat chciał rozmawiać, mogła liczyć nawet na godzinę. Świetnie się z nim rozumiała i potrafili naprawdę długo rozmawiać. Ale oczywiście bez żadnych podtekstów - Maja już dawno doszła do wniosku, że słowo "singiel" jak najbardziej pasuje właśnie do niej. Nie szukała nikogo. I była z tego cholernie zadowolona. Mieszkała w ślicznej kawalerce w centrum Warszawy a do pracy dojeżdżała autobusem. Nie miała znajomych, poza ludźmi z redakcji. Ale spotkania poza budynkiem redakcji ograniczała do minimum. Gdy poczuła na palcach zimno, rozebrała się. Tym razem chyba wyjątkowo skutecznie musiała się zamyślić - woda wypełniła czajnik po brzegi i zaczęła się z niego wylewać. Z uśmiechem na ustach wróciła do pokoju i włączyła urządzenie.

Natalia popatrzyła na Majkę, która właśnie wyszła z biura, trzymając w dłoni biały kubek. Poczuła zapach kawy i mocniej pociągnęła nosem.

- Chyba pójde sobie zrobić kawy - westchnęła i popatrzyła na siedzącą obok Paulinę - chcesz też?

- Nie - burknęła, zwalczając w sobie usilne pragnienie wypicia czarnego napoju. Dlaczego cokolwiek by nie robiła Maja, inni natych-

miast chcieli robić to samo?

- Wzywałeś mnie? - zapytała Maja, wchodząc do gabinetu naczelnego bez pukania. Ten - ledwie czterdziestoletni brunet, na którego włosach dopiero co zaczynały pojawiać się pierwsze pojedyncze srebrne włosy, popatrzył na nią z uśmiechem i odłożył na biurko książkę.

- Tak, siadaj - powiedział, wskazując wygodne krzesło po drugiej stronie biurka. Majka wykonała jego polecenie, dodatkowo organizując sobie trochę miejsca na postawienie kubka z kawą - właśnie skończyłem to czytać - dodał, podsuwając jej książkę. Majka popatrzyła na nią ciekawie. Czarna okładka, z tytułem w kolorze intensywnie zieleni.

- Patrz na świat zielonymi oczami - przeczytała tytuł i popatrzyła na ilustrację. Przedstawiała niewielki pokój o szklanych ścianach i takim samym dachu. Na środku ilustracji, tyłem, stał chłopak, przytulający szczupłą blondynkę o długich włosach. Usta blondynki były przyłożone do jego szyi, a spod jej warg spływał wąski strumyk krwi. Duże zielone oczy wampirzycy patrzyły jednak wprost na oglądającego książkę. Spojrzenie postaci na ilustracji było jednak bardzo wyraziste i niemal hipnotyzujące.

- No... - przyznała z uśmiechem Maja - to moja - dodała skromnym tonem.

- Twoja - westchnął naczelnny - Kupiłem ją wczoraj. Przypadkiem na nią trafiłem w księgarni. Przez tą ilustrację. Nie wiedziałem, że zanim zaczęłaś pracować tutaj, wydałaś książkę - Maja uśmiechnęła się, przypominając sobie historię powstania tego obrazu i jej język zwilżył nieznacznie wargi - a potem ta historia w rozdziale pierwszym... I wszystkie pozostałe. Coś wspaniałego.

- Dziękuję - powiedziała i pociągnęła łyk kawy. Przyjemny smak rozplynał się w jej ustach, choć gorąca kawa powinna była w zasadzie ją sparzyć - i to dlatego mnie wzywałeś? - zapytała. Naczelnny odwrócił stronę tytułem w swoją stronę i popatrzył na jej okładkę.

- Chciałem osobiście ci to powiedzieć. Zamierzam umieścić ją w naszym dziale z książkami - powiedział.

- Ale to nie jest już wydawnicza nowość - powiedziała spokojnie Maja - nie wiem, czy się nadaje...

- Nadaje się - przerwał jej - do działu z książkami, które nie są nowością, ale które warto przeczytać - dodał i otworzył książkę. Popatrzył na tytuł pierwszego rozdziału.

1. Pocałunek

Spotykał ją kilka razy w tygodniu, w autobusie. Wysoka, szczupła dziewczyna o prostych, złotych włosach sięgających poniżej łopatek. Zawsze ubrana w czerń - dżinsowe spodnie, koszulę, długi płaszcz - wszystko koloru węgla. Na oczach nieodłączne duże, przeciwsłoneczne okulary, założone zawsze, niezależnie od pogody. Gdzie jeździła? Nie miał pojęcia - on, student liczący ledwie dwadzieścia trzy lata, wysiadał po niespełna piętnastu minutach jazdy na przystanku pod swoją uczelnią. Skąd ona jeździła? Tego też nie wiedział. Gdy na przystanku tuż pod jego blokiem wsiadał do „dziesiątki”, ona już była w autobusie. Dwa, trzy razy w tygodniu. Od prawie roku. Nic o niej nie wiedział, a jednak ta dziewczyna fascynowała go. Zawsze stała w tym samym miejscu autobusu - naprzeciwko środkowych drzwi, w miejscu na dziecięcy wózek, opierając się lewym ramieniem o okno, ze wzrokiem wpatrzonym w przelatujące za szybą miasto. Łapał się na tym, że idąc codziennie na autobus, myślał tylko o tym, czy znów ją zobaczy. Nie pamiętał, by ktokolwiek do niej podszedł, by kiedykolwiek trzymała w dłoni komórkę. Od kiedy go tak bardzo zainteresowała? On sam tego nie wiedział. Chyba wtedy, gdy kontroler biletów sprawdzając bilety nawet jej nie zauważył. Przeszedł obok niej, jakby w ogóle jej nie było. Kiedyś nawet z kupionym na targu portfelem poszedł do kasy biletów miesięcznych, pytając o jej adres, bo „zgubiła portfel”, ale kobieta w okienku zupełnie nie kojarzyła wysokiej, szczupłej blondynki, a poza tym rzuciła coś o ochronie danych osobowych i nadal nic o niej nie wiedział. A jednak tajemnicza „blondyneczka”, jak nazywał ją w myślach, coraz bardziej zaprzątała jego myśli.

Wszystko zmieniło się w pewien letni, poniedziałkowy poranek. Jak zawsze usiadł z przodu autobusu, twarzą zwrócony ku niej, zapartkowany za okno, jakby nieobecny. Gdy autobus zatrzymał się na przystanku pod jego uczelnią, z cichym westchnięciem ruszył ku drzwiom. Ale nagły impuls kazał mu się zatrzymać. Nie wysiadł z autobusu. Musiał wiedzieć, dokąd jeździła nieznajoma. Po prostu musiał.

- Przepraszam - dziewczyna zatrzymała się i odwróciła. Przez szkła okularów popatrzyła na stojącego przed nią chłopaka pytająco.

- Tak? - zapytała. Głos zamarł mu w gardle. On, przystojny chłopak, niemający zazwyczaj żadnych problemów w kontaktach z dziewczynami, nie umiał nic powiedzieć. Blondynka, którą prawie od roku widywał w autobusie jednym krótkim słowem pozbawiła go głosu.

- Ja...- wyjąkał - cóż, nie znamy się - jego struny głosowe powoli wracały pod jego panowanie.

- Owszem, nie znamy się - potwierdziła, a w jej tonie głosu słychać było zniecierpliwienie. Była już ósma rano i słońce świeciło coraz mocniej.

- Chciał z ja widywał cię w autobusie i...- urwał na chwilę - cóż, chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś bardzo ładną dziewczyną i szalenie mi się podobasz - dokończył z uśmiechem i ulgą, że wreszcie to z siebie wydusił.

- Dziękuję, to miłe - westchnęła dziewczyna, odwróciła się i ruszyła przed siebie, w wąską dróżkę prowadzącą przez środek parku. Popatrzył na nią zaskoczony i dopiero po chwili ruszył z nią, chowając się w chłodnym cieniu wielkich drzew, rosnących po obu stronach ścieżki.

- Zaczekaj!! - powiedział, ruszając za nią. Zatrzymała się w połowie kroku i popatrzyła na niego wyczekująco - chciałbym... się z tobą umówić - dodał - tak w ogóle, mam na imię Paweł - czy tylko mu się wydawało, że na ułamek chwili na jej ustach pojawił się pogardliwy uśmiech?

- Skąd wiesz, że ja też tego chcę? - zapytała, zupełnie zbijając go z tropu.

- No... Nie wiem. Ale postanowiłem zaryzykować - powiedział z uśmiechem.

- Więc cóż... - westchnęła - nie chcę - dodała i popatrzyła na koniec ścieżki, biegnącej przez cały park położony daleko za miastem - ale możesz spróbować mnie przekonać i przespacerować się ze mną. Za tym parkiem mieszkam - zdjęła okulary i popatrzyła na niego. W jej intensywnie zielonych, wręcz świecących zielenią oczach Paweł dojrzał... coś, co sprawiło, że po prostu musiał iść razem z nią - jestem Maja - wsunęła okulary do kieszeni płaszcza i podała mu dłoń. Gdy Paweł ją uściśnił, na jego twarzy na moment zagościło zaskoczenie - dłoń Mai była zimna jak lód.

W czasie ledwie piętnastominutowego spaceru niewiele się o niej dowiedział, choć rozmawiali przez cały czas. Była malarką, malowała obrazy dla kilku galerii, a choć miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, jej obrazy sprzedawały się w miarę dobrze. Poza tym zdradziła mu tylko tyle, że jej rodzice zginęli dawno temu i nie pamiętała ich zbyt dobrze, a nikogo innego z rodziny nie знаła.

- To jest twój... dom? - zapytał Paweł, gdy spacerowa ścieżka nagle wyprowadziła ich na sporą polanę i chłopak patrzył na rezydencję. Duży, piętrowy pałac sprawiał wrażenie większego, niż był w rzeczywistości. Wyglądał na opuszczony. Ogródek przed nim, jeżeli zarośnięty chwastami i resztkami ozdobnych krzewów spory placyk można było nazwać w ogóle ogródkiem, był wyjątkowo zaniedbany. Czarne oczodoły zabitych deskami okien wręcz odstraszały, a promienie słońca, lekko przesłizgujące się po zardzewiałych rynnach dopełniały przysłowiowy obraz nędzy i rozpaczy. Paweł był pewny, że kiedyś dom był piękny i musiał przyciągać spojrzenia pełne zachwyty. Piętrowy, wielki, z ozdobną fasadą, teraz osypujący się i zniszczoną deszczem. Betonowe schody prowadzące na parter znajdujący się na ledwie dwu i pół metrowej podmurówce były w opłakanym stanie. Nad dwuskrzydłowymi, drewnianymi drzwiami wisi kolorowy herb, choć jego barwy dawno już wyblakły i teraz były tylko umowne. Paweł patrzył na

dom, a po jego głowie przebiegało tysiące myśli. Słyszał o tym miejscu. Podobno jakieś pięćdziesiąt lat temu zamieszkał tutaj jakiś hrabia z rodziną, a w niespełna rok później wszyscy zginęli w tajemniczych okolicznościach i od tego czasu dom był uznawany za nawiedzony. Nigdy nie słyszał, by ktokolwiek tutaj mieszkał po rodzinie hrabiego. Popatrzył na Maję niepewnie.

- No... tak - powiedziała - wiem, jest w opłakanym stanie, ale cóż... Zawsze własny - uśmiechnęła się. Paweł oddał uśmiech. Więc jednak ktoś tutaj mieszkał. Zapamiętał, by nie zawsze wierzyć plotkom.

- Jasne. Jest ładny - Maja ruszyła do środka. Drzwi zaskrzypiały przeciągle, gdy je pchnęła. Paweł zauważył, że nie miała żadnych kluczy.

- Wiesz, dzięki plotkom, jakie krążą o tym domu, nikt tutaj nie zagląda. Mam więc spokój i... cóż, nie zaglądają tutaj nawet bezdomni. Ten dom jest bezpieczny - powiedziała z uśmiechem - zapraszam - dodała do niego i pierwsza weszła do środka. Paweł niepewnie przekroczył próg. Wszedł do dużego holu, sięgającego dachu. Pod przeciwną do wejścia ścianą były szerokie schody, prowadzące na pierwsze piętro. Na środku, na starej, zdeptanej podłodze, wykładanej parkietem, leżał duży, okrągły dywan. Nad nim wisiał stary żyrandol, pokryty kurzem i licznymi pajęczynami. Więcej nie widział, bo okna, zabite deskami, nie przepuszczały zbyt wiele światła, a Maja zamknęła za nim drzwi. Paweł odruchowo sięgnął do przełącznika na ścianie. Rozległo się ciche pstryknięcie, ale żyrandol nie rozjarzył się światłem żarówek.

- Och... - westchnęła - ja... cóż, nie mam światła. Po prostu... Stać mnie tylko na opłacenie wody i gazu.

- Rozumiem - powiedział Paweł i dość niepewnie zrobił kilka kroków. Okrągły dywan był dosłownie zavalony różnymi... rzeczami. Jakieś stare meble, kawałki krzesel, stare szmaty. Podała mu dłoń.

- Chodź, znam na pamięć ten dom. A pracownię mam na piętrze - uśmiechnęła się, pokazując mu białe zęby. Chwycił niepewnie jej dłoń i wraz z nią ruszył na schody, klucząc między starymi meblami leżącymi na podłodze a szerokimi pręgami mocnego światła, przebijającego się przez niewielkie szpary w deskach zakrywających okna. Schody trzeszczały pod ich krokami, ale musiały być na tyle mocne, by oprzeć się niszczącemu działaniu czasu. Gdy Maja pchnęła jedno z drzwi, załało ich blade światło. Gestem zaprosiła Pawła pierwszego i ten jęknął z podziwu, gdy wyszedł na zewnątrz wąskiego korytarza na piętrze. Na zachodnio - północnym rogu domu, na piętrze, był spory balkon. W całości pokryty szklanym dachem, ściany również były ze szkła. W rogu pod ścianą było niewielkie łóżko, obok szafka. Poza tymi dwoma przedmiotami na balkonie były sztalugi, płótna, farby oraz obrazy, ułożone pod jedną ze szklanych ścian. Maja znów założyła okulary i weszła na balkon za Pawłem.

- To mój pokój - powiedziała z dumą - i... moja pracownia. Jedynie miejsce w tym domu, w którym przebywam - Paweł rozglądał się ciekawie i podszedł do jej łóżka, patrząc na obraz zawieszony nad nim. Na obrazie widział ciemny pokój, mężczyznę stojącego przodem do oglądającego obraz, z ustami przytulonej do niego plecami kobiety, stojącej przed nim. Wąska stróżka krwi spływała z jej szyi na dekolt. Kobieta miała założone czarne spodnie i czarną koszulę, a jej twarz... Paweł popatrzył na patrzącą na niego z płótna duże, niemal hipnotyczne, zielone oczy i długie, proste blond włosy. I mocne ręce stojącego za nią wampira, obejmujące ją w pasie.

- To ty, prawda? - zapytał Maję, nadal patrząc na obraz. Blondynka podeszła do niego.

- Na najlepszy z moich obrazów, jakie namalowałam - westchnęła - i pierwszy. Pewnie dlatego nadal tutaj jest. Nigdy go nie sprzedam - dodała i popatrzyła na Pawła przez czarne szkła okularów. Wolnym ruchem je zdjęła, wsuwając do kieszeni płaszcz - wiesz, chyba mnie przekonałeś. O ile nadal chcesz się ze mną umówić.

- Jasne, bardzo mi się... - urwał, gdy ich usta połączyły się w pocałunku. Paweł poczuł, że wargi Mai były lodowato zimne, ale wywołały u niego dreszcz podniecenia. Z przyjemnością oddał jej pocałunek. Poczuł, jak Maja objęła go ramionami i nie przerywając pocałunku oparł dłoń na jej talii. Jęknął z rozkoszą, gdy jej usta spłynęły na jego szyję, poczuł na plecach dreszcz. Nie poczuł jednak, jak dwa długie kły bez trudu przebiły jego skórę...

- Maja? Co ty tutaj robisz? - młoda kobieta zdziwiła się, widząc wchodzącą do galerii blondynkę - byłaś tutaj ledwie kilka dni temu? Nie mów, że znów coś namalowałaś? - zapytała. Maja uśmiechnęła się od nosa tajemniczo, podając jej czarną tubę. Właścicielka galerii otworzyła ją szybko i wyciągnęła rulon, po czym szybko rozwinęła obraz na biurku i westchnęła nieznacznie, po czym popatrzyła na Maję ze zmieszaniem podziwu i obawy. Jej obrazy były dość... mroczne? Niepokojące? A jednak nie zdarzyło się, by którykolwiek z jej dzieł wisiało nie dłużej, jak kilka dni. Z jakiegoś powodu ludzie kupowali jej obrazy. Ten był podobny. Na płótnie uwieczniony był niewielki pokój o szklanych ścianach i takim samym dachu. Na środku płótna, tyłem, stał chłopak, przytulający szczupłą blondynkę o długich włosach. Usta blondynki były przyłożone do jego szyi, a spod jej warg spływała wąski strumyk krwi. Duże zielone oczy wampirzycy patrzyły jednak wprost na oglądającego obraz. Kobieta patrzyła w nie przez chwilę. Do pierwszych myśli o zakupie obrazu. Niemal z trudem odwróciła wzrok od hipnotyzujących oczu namalowanej postaci i popatrzyła na stojącą obok Maję, z założonymi przeciwsłonecznymi okularami. Przyszło jej na myśl, że chyba jeszcze nigdy nie widziała jej oczu. Ale mogła przysiąc, że na pewno były zielone.

- Kiedy go namalowałaś? - zapytała, zwijając obraz z powrotem.

- Skończyłam dwa dni temu.

- Dość szybko, mówiłaś, że pojawisz się dopiero w przyszłym tygodniu.

- Tak, ale miałam... - Maja urwała na chwilę - inspirację - dokończyła z uśmiechem. Kobieta z powrotem wsunęła obraz do tuby.

- A jaki tytuł? - zapytała, choć nie miała nadziei. Zwykle to ona tworzyła tytuły dla obrazów Mai.

- Nazwij go... - Maja przesunęła koniuszkiem języka po wargach. Wciąż pamiętała dotyk ust Pawła - „Pocałunek” - dokończyła i uśmiechnęła się z satysfakcją...

2. Wyższa konieczność.

Podczas deszczu umysły funkcjonują inaczej. Są mniej ostre. O wiele łatwiej je oszukać. Pewnie dlatego wybrał tę noc. Bezksiężycową. Mokną od deszczu. Ulica była pusta, a latarnie przegrywały z gęstym deszczem. Czula już, że spodnie, koszula, nawet wysokie głany były kompletnie przemoczone... Ale przecież nie spodziewała się niczego innego. Czarny, skórzany płaszcz lśnił odbitym od licznych kałuż światłem mijanych latarni. Kaptur, skrywający złote włosy, też był mokry. Popatrzyła w niebo i na chwilę przystanęła. Pozwoliła sobie na chwilę zachwyty, rozkoszowała się kroplami uderzającymi ją w twarz. I wystarczy. Ruszyła, znów idąc szybko ulicą. To była dobra noc na śmierć. Nagle na ulicy pojawiła się taksówka. Kierowca, widząc ją, zwolnił, czekając na jej ruch, ale zignorowała to i stary Mercedes D 124 przyspieszył, znikając za zakrętem. Jeszcze kilkanaście kroków i będzie na miejscu. Miała nadzieję, że nie przyjdzie zbyt późno. Myśląc o celu dzisiejszego spaceru, dotknęła kieszeni płaszczu. Stary, jednostrzałowy pistolet pamiętający chyba epokę muszkietierów, spokojnie czekał. Wiedziała, że jej nie zawiedzie i uśmiechnęła się. Ale zaraz sobie przypomniała, dlaczego jest tutaj, a nie w domu. Już prawie zapominała, jak smakuje krew. Nauczyła się cały swój głód i pragnienie krwi przelewać na płótno obrazów, sprawiając tym samym, że były tak bardzo pożądane. A teraz... Niedawno... Popeliła błąd i musiała go naprawić. Zatrzymała się przed wejściem do krótkiego tunelu prowadzącego pod kamienicą. Widziała tylko czarną płamę. Nie bała się oczywiście. Chyba jedyna rzecz, jaka była w stanie ją poważnie zranić, znajdowała się w jej kieszeni. Dlaczego zdecydowała się na taką broń? Bo była sama. I musiała sobie sama radzić, broniąc przed takimi, jak ona. W jej domu pozostała ledwie połowa srebrnej zastawy stołowej. Ale nie pamiętała, kiedy ostatni raz musiała użyć tej broni. Chyba kilkanaście lat temu. Po chwili wahania ruszyła przed siebie, ale zatrzymała się w połowie kroku. Na drugim końcu tunelu stał duży, czarny wilczur. Warczał na nią, pokazując jej zęby. Z trudem powstrzymała się przed pokazaniem mu swoich. Wystarczyło tylko ruszyć w jego stronę, by instynktownie wyczuł, kim ona jest i uciekł ze skolemieniem. Szybkim krokiem przeszła przez niewielki placyk i stanęła przed budynkiem galerii, w której wystawiała swoje obrazy. Ruszyła do drzwi. Były otwarte, zamek był dosłownie wyrwany z futryny. Westchnęła. Popeliła błąd. Dwa błędy. Nie powinna była pozwolić mu stać się takim, jak ona. A potem nie powinna była tutaj z

nim przychodzić. Ale cóż, była taka samotna. Od pięćdziesięciu niemal laty jej jedynymi towarzyszami było robactwo i nietoperze mieszkające w jej domu. Wyciągnęła z kieszeni pistolet, owinięty szczelnie w reklamówkę. Woda czyniła z niego bezwartościowy kawałek metalu połączanego z drewnem. Jedyna, ale poważna wada. Powoli weszła do środka. Strzepnęła lodowatą wodę z dłoni i z reklamówki wyciągnęła broń. Metaliczny szcęk rozszedł się po zapleczu galerii, gdy odcignęła kurek pistoletu. Rozejrzała się i szybko pchnęła kolejne drzwi. Duża sala, w której wisiały jej obrazy, była pusta. I pogrążona w mroku. Nagle drugie drzwi otworzyły się a ona w ostatniej chwili zdążyła schować się za duże biurko.

- Dokąd mnie ciągniesz? - głos właścicielki galerii rozpoznała od razu. Zmrużyła gniewnie oczy. Magda była jej przyjaciółką. Całe szczęście, że zdążyła - co chcesz mi zrobić? - zapytała znowu.

- To samo, co ona zrobiła mi - drugi głos, wypełniony gniewem, należał do Pawła - ale ja nie będę ci niczego zabraniał. Nie wolno tego, nie wolno tamtego, wolno tylko mieszkać w jej zarobaczonej dziurze - Maja przymknęła oczy i wypuściła cicho powietrze. Nie, nie mogła sobie pozwolić na kolejny błąd. Nie będzie działać pod wpływem emocji. Tylko spokój.

- Nie rozumiem... Mówisz o Mai? - zapytała znów Magda. W odpowiedzi rozległo się tylko ciche uderzenie i odgłos upadającego ciała. Maja wyszła zza biurka, chowając prawą rękę z pistoletem za plecami.

- Paweł - powiedziała. Młody wampir popatrzył na nią, na jej zielone, niemal świecące w ciemności oczy. W odpowiedzi tylko syknął, pokazując jej długie kły. Maja uśmiechnęła się przyjaźnie i spokojnym, powolnym wysunęła w jego stronę lewą dłoń - zostaw ją - dodała - chodź - Paweł patrzył na nią nieufnie, jednak po chwili ruszył w jej stronę. Jej zielone oczy hipnotyzowały.

- Jak mnie tutaj znalazłaś? - zapytał, wysuwając dłoń w jej stronę. Maja uściśnęła ją mocno.

- Domyśliłam się, że tutaj będziesz - powiedziała - co chciałeś zrobić? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- Ja... - urwał.

- Jesteśmy tylko my dwoje - powiedziała Maja - nie może być więcej. Wiem, że to rozumiesz.

- Więc dlaczego mi to zrobiłaś? - krzyknął - zabiłaś mnie!! A potem zrobiłaś coś gorszego, bo zmieniłaś mnie w kogoś takiego, jak ty. Nienawidzę cię!! - usiłował wyrwać swoją dłoń, ale trzymała go mocno. W jej zielonych oczach czał się smutek.

- Wiesz, jak bardzo byłam samotna? Jak bardzo pragnęłam by pojawił się ktoś taki, jak ty? Marzyłam, by wreszcie był ktoś w moim życiu. Ktoś, do kogo mogłabym się przytulić, gdy jest mi źle. Ktoś, z kim mogłabym porozmawiać. Tak, jestem wampirem. Ale mam uczucia. Dzięki tobie ostatnie tygodnie sprawiły, że czułam się szczęśliwa - westchnęła. Popatrzył na nią z pogardą.

- Nienawidzę cię - powiedział. Uśmiechnęła się.

- Przypuszczałam, że tak właśnie będzie. Cieszę się, że mnie nie zawiodłeś - powiedziała i mocno pociągnęła go ku sobie, jednocześnie wystawiając zza pleców rękę. Jęknął, gdy lufa pistoletu wbiła mu się w brzuch.

- Co... ? - popatrzył zaskoczony na jej dłoń, trzymającą pistolet.

- Wyższa konieczność - powiedziała - chyba rozumiesz? - zapytała i naciągnęła spust. Broń huknęła głośno, otaczając ich chmurą siwego, gryzącego dymu a Paweł zrobił coś, czego nie przewidziała - nim srebrna kula pozbawiła go resztki życia, jaka się w nim tliła, jego kły przeorały jej gardło. Upadła na plecy pod ciężarem jego ciała i zacisnęła dłoń na gardle. Usiłowała zawyć z bólu, ale z jej ust wydobył się tylko cichy jęk. Czuła, jak wraz z krwią, uchodzi z niej reszta życia. Poważna rana już zaczęła się regenerować, ale wiedziała, że nie zdąży. Gdy za kilka godzin wszędzie słońce, będzie zbyt słaba, by przetrzymać jego moc i spłonienie. Do jej oczu napłynęły łzy. Nie chciała umierać. Nie teraz, nie tak. Nagle do jej uszu doszedł cichy jęk.

- Magda... - bezgłośnie wyszeptwała imię przyjaciółki. Maja z trudem przewróciła się na brzuch i popatrzyła na budzącą się przyjaciółkę. Wczepiła się paznokciami podłogi i zaczęła pełznąć w jej stronę, pozostawiając po sobie krwawy ślad. Gdy wreszcie dowlokła się do Magdy, jej oczy zachodziły już mgłą. Maja niemal po omacku przysunęła usta do jej szyi. Magda jęknęła przeciągle, gdy poczuła, jak kły wampirzycy przebiły się przez jej skórę. Maja nie zwróciła na to uwagi. To też była wyższa konieczność...

3. Przyjaciółka.

Zielona puszką trzeszczy cicho, gdy nieświadoma moich ruchów, bawie nią, zginiatając nieznacznie palcami. Przyjemnie słodki napój kusí moje zmysły, choć smak jest tylko namiastką tego, co czujecie wy. Patrzę na zieloną puszkę jabłkowego piwa. Przysmykam oczy i widzę we wspomnieniach tamten wieczór. Nie czuję niczego. Żadnych wyrzutów sumienia. Przecież tak musiałam zrobić. Każdy na moim miejscu zrobiłby dokładnie to samo. Paweł... Musiałam go... Nie, nie zabić, on umarł, gdy wysiadł za mną z autobusu... Już wtedy. Musiałam go wyeliminować. Nie mogłam sobie pozwolić na jego istnienie, ściągało na mnie zbyt dużo zagrożeń. On był wampirem. Ja też jestem. Ale on był wampirem, który nie zamierzał trzymać się zasad bezpieczeństwa. Oczywiście wiem, że tak naprawdę nie ma żadnych zagrożeń. Ale ja mam jeszcze zdrowy rozsądek. Rozsądne było, by zniknąć. A Magda... Była moją przyjaciółką. Ale tamtej nocy, gdy Paweł prawie ją zabił, a potem prawie zabił mnie... Wtedy mogła mnie uratować tylko Magda. A właściwie - jej krew. I cóż, nie chcę wracać do tamtej sprawy. Bo prawdziwa historia była zupełnie inna. Paweł włamał się do galerii, zabił Magdę a potem podpalił budynek galerii i sam zginął w pożarze. A ja przypadkiem wszystko widziałam. Strażacy i policja uwierzyli w moje słowa, czemu chyba trudno się dziwić... Kąkami moich ust podniosły się nieco w górę. Magda. Lubiłam ją. Naprawdę. Ale i tak zamierzałam opuścić Warszawę. A ja mam pewne skłonności do palenia za sobą mostów. Choć nie wiedziałam, że tym razem będzie to tak dosłowne. Zerwałam na jakiś czas z malarstwem, rzucając się w wir znajomości trwających tylko jedną noc. Dopiero potem zawędrowałam aż tutaj. Teraz miasto, do którego się przeniosłam, podoba mi się coraz bardziej. Żartem można powiedzieć, że jest największym miastem w Polsce, bo nie mieści się w jej granicach. Ale to tylko żart. Popatrzyłam raz jeszcze na duży rynek. Był pusty. Nie wspominałam? Jest ledwie kilka minut po północy a ja siedzę sobie na ławce, pijąc piwo, oświetlana jedynie światłem kieżycza. Rynek jest piękny. Ma kształt prostokąta a ratusz postawiono asymetrycznie, przy jednym z rogów. Rynek jest częściowo ograniczony zakazami dla samochodów i dzięki temu zadbany. Podoba mi się jedna z uliczek - w całości brukowana, prowadząca lekko w dół, mająca po obu stronach sklepy i sklepiki. Gdy dojdzie się na jej sam koniec, uliczka rozwidla się, skręca w lewo, do przejścia granicznego z Czechami i na prawo, prowadząc do innej części miasta. Poza tym piesi mogą jeszcze iść dalej - na wprost. Duże wzgórce pokryte jest lasem, skrywającym między innymi romańską Rotundę z XI wieku, doskonale widoczną na każdym dwudziestozłotowym banknocie. Piękne miasto. A ja już się w nim urządziłam... Na razie w jednym z trzech akademików dużego uniwersytetu. Cóż, muszę przyznać, że zainteresowało mnie malarstwo. Być może zacznę studiować ten właśnie kierunek. Uśmiecham się znów pod nosem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że bez większego trudu dostanę się na artystyczny wydział. A uzyskanie stypendium również nie będzie stanowiło dla mnie problemu. Raz jeszcze się uśmiechnęłam. Moje zielone oczy otwierają każde drzwi i jest mi z tym cholernie dobrze. Wypiłam ostatni łyk piwa i w dłoni zginiatając puszkę. Prawie nie poczułam, jak aluminium przecięło mi skórę na dłoni. Patrzyłam spokojnie, jak brzegi rany zeszyły się szybko i po chwili w miejscu został tylko mały, biały ślad. Zniknie za kilka dni. Wstałam z ławki i szybkim krokiem ruszyłam przed siebie. Moje glany przyjemnie wybijały rytm na bruku ulicy. Widziałam już z daleka wzgórze z rotundą i wysoką wieżą, choć teraz zasłoniętą wielkimi kasztanowcami. Ulica była całkowicie pusta, mijałam tylko zaparkowane samochody. Ale wcale nie można powiedzieć, że jest cicho. Z kilku okolicznych lokali dobiegała głośna muzyka. Na dzisiejszy wieczór zaplanowałam małą uroczystość. Taką tylko dla mnie. I dla Magdy. Szybko pokonałam niespełna w kilka minut. Brama prowadząca na Wzgórze Zamkowe była zamknięta. Uśmiechnęłam się ironicznie i oparłam dłoń na zimniej kłodce. Cichy, metalowy trzask i brama już była otwarta. Kolejne, szybkie kroki. Szeroki, betonowy, czy też może raczej asfaltowy chodnik prowadzi na szczyt wzgórza. Szybkim krokiem poszłam dalej. Po prawej minęłam rotundę, ale nie zatrzymałam się, idąc dalej. Park był pusty, nie było w nim nikogo. Spokojnie skręciłam nieco w lewo. Zatrzymałam się przed wysokim murkiem widokowym. Widać teraz wyraźnie graniczną rzekę i dachy czeskich domów. Sięgnęłam do wewnętrznej kieszeni czarnego płaszcza i wyjęłam zdjęcie. Byłam na nim. Z Magdą. Patrzyłam chwilę na jej figurę, włosy, twarz, oczy. W chwilę potem wyciągnęłam z kieszeni zapalniczkę. Mały płomyk błysnął wesoło. Musiałam tylko na chwilę przyłożyć do krawędzi zdjęcia. Zajęło się błyskawicznie. Patrzyłam, jak ogień spokojnie zbliżał się do mnie na zdjęciu. W tym momencie rzuciłam zdjęcie przed siebie.

Wiatr porwał je, ale był zbyt słaby, by zagaścić płomień. Patrzyłam, jak mały, złoty, migoczący punkt odlatuje coraz niżej i niżej. W końcu zdjęcie osiadło na wodach Olzy. Uśmiechnęłam się pod nosem i ruszyłam w drogę powrotną. Magda była moją przyjaciółką. Ale była tylko człowiekiem...

4. Święto Zmarłych.

Brodzę w śniegu sięgającym powyżej kostek. Wysokie glany pewnie są już dawno przemoknięte. Szerokie ścieżki na jednym z kilku cmentarzy w moim mieście są tylko w teorii odśnieżone. Mimo późnej pory - bo minęła już ósma wieczorem, jest tutaj pełno ludzi. Wiadomo, dzisiaj Święto Zmarłych. Popatrzyłam na swoje dłonie. Pewnie już dawno powinny być zostać oparzone płomieniem znicza, który niosę. Nie, nikogo tutaj nie mam. Moi rodzice umarli bardzo dawno temu, bardzo daleko stąd. Ale co roku w ten dzień przychodzę tutaj, zostawiam znicz na jakimś wybranym przeze mnie grobie. Zwykle wybieram taki, na którym jest najmniej świec. Dzisiaj to trudne - na niemal wszystkich grobach stoi po pięć, sześć ogników. Cmentarze w tym dniu wyglądają pięknie - rozświetlone tysiącami czerwonych gwiazd, są odbiciem nieba. Ludzie pamiętają o swoich bliskich, którzy odeszli. Przynajmniej dzisiaj. Mijani ludzie przylgają się mi dziwnie. Chyba wiem, dlaczego - jeśli by wierzyć termometrowi na sporym banku, jest prawie piętnaście stopni pod zerem. A ja mam na sobie czarne dzinsy, których nogawki znikają w nonszalancko rozwiązanych, wysokich glanach, czarną koszulę, w dodatku nie zapiętą na ostatni guzik tuż pod szyją i czarny płaszcz, sięgający nieco poniżej kolan, rozpięty. Ale nie jest mi zimno. A przynajmniej, nic takiego nie czuję. Śnieg, padający z szarych chmur pokrywa moje długie, złote włosy. Co jakiś czas muszę je zrzucić, płatki śniegu same nie stopnieją. Moje ciało jest zimne. Jak wszystko wokół. Betonowe pomniki, krzyże, figury aniołów, wszystko pokryte mrozącą kołderką białego puchu. Ha, znalazłam. Spojrzenie moich zielonych oczu zatrzymało się na niewielkim grobie, na którym stał tylko jeden niewielki znicz. Był nieco inny od pozostałych. Prawie płaski, płyta była pochylona pod minimalnym kątem gwarantującym równomierne spływanie wody. Złoty krzyż i kilka liter, układających się w imię, nazwisko, datę. Nie potrafię odczytać spod śniegu, wiem tylko, że tam są. Biała kołderka wybrzusza się troszkę, oddając z grubsza ich kształt. Kucam, kładę mój znicz obok tego, który już tam stał, wstaję. Moje oczy kierują się w niebo. Miliony białych, wirujących gwiazdek powoli spadających na ziemię. Wysunęłam dłoń i patrzyłam, jak płatki śniegu lądowały na zimnej skórze. Patrzę, na ich regularne kształty. Z każdą chwilą robi się ich coraz więcej i więcej. Moja skóra ma taką samą temperaturę, jak padający śnieg. Albo nawet niższą. Nie wiem, jakoś nigdy nie wpadłam na pomysł, by to zmierzyć. Uśmiechnęłam się, zrzuciłam śnieg z dłoni, potem z włosów i płaszcza i odwróciłam się. Mój wzrok oparł się na dużym cieniu na pobliskiej ławce. Nie wyczułam pełni życia. Staruszka umierała. Zamarzała. Ludzie chodzili wokół. Nie zwracali na nią uwagi. Nagle podeszedł do niej jakiś młody człowiek. Chyba gimnazjalista. Rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł mnie, nie chciałam być teraz zauważona. Popatrzył na staruszkę, rozejrzał się raz jeszcze. Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni płaszcza staruszki, wyciągnął niewielką portmonetkę i odszedł. Moje brwi zbiegły się w wyrazie gniewu. Mocno wciągnęłam powietrze, chcąc zapamiętać jego zapach i podeszłam do staruszki. Wyczułam jej życie. Jeszcze żyła, choć była nieprzytomna. Siedziała na ławce, bo zeszytniała z mrozu płaszcz, pokryty śniegiem, utrzymywał ją w tej pozycji. Szybko zrzuciłam z jej ramion śnieg, zdjęłam własny płaszcz i otuliłam ją. Sięgnęłam do spodni po komórkę. Kwestia jednego telefonu. Tak niewiele, by uratować życie. Ironia losu, że robiłam to akurat ja. Gdy dyspozytorka pogotowia odebrała połączenie, rozejrzałam się, szukając oznaczeń alejek. W chwilę potem telefon z powrotem znalazł się w kieszeni. Pogotowie będzie tutaj za kilka minut. Może zdążą. Rozejrzałam się za gimnazjalistą. Pewnie był daleko, ale wiedziałam, że znajdę go bez trudu. Przesunęłam językiem po kłach. Nie byłam głodna. Poza tym mam pewne zasady i nie atakuję dzieci. A do tego byłam pewna, że w jego krwi krążyły kannabinoidy marihuany, albo coś jeszcze gorszego, a to mogłoby na mnie wyjątkowo źle zadziałać. Miałam jednak wielką ochotę zobaczyć, jak ze strachu leje we własne spodnie. Uśmiechnęłam się na samą myśl o tym i szybkim krokiem ruszyłam ku głównej alejce, prowadzącej do wyjścia. Szybko przekonałam się, że miałam rację - w powietrzu nadal unosił się delikatny, niewyczuwalny nawet dla większości policyjnych psów, zapach palonego tytoniu zmieszanego z marihuaną. Uśmiechnęłam się. Odnajdę go bez trudu...

5. Złoty Strzał w imię miłości.

Lubię nocne spacerować. Ulice są puste, pięknie rozświetlone latarniami. I ta wszechobecna cisza... Moje kroki zaszeleściły na ścieżce. Wyszłam zza dużych krzaków i popatrzyłam ławki na ustawione wokół dużego klombu. Wyraźnie czułam zapach kwiatów. Nagle zauważyłam coś jeszcze. Na ławce ktoś siedział. Dziewczyna. Siedziała na ławce skulona, w zasadzie prawie leżała. Wsłuchiwałam się w jej serce i wiedziałam, dlaczego nie odkryłam wcześniej jej obecności. Dziewczyna umierała. Przyspieszyłam kroku i podeszłam do niej. Była ładna. Brunetka, ubrana w gustowną spódnicę i bluzkę z krótkim rękawkiem. Poniżej łokcia miała niewielką ranę. Tuż obok żyły, w którą chyba nawet nie umiała trafić. Obok, na ławce strzykawka, w jednej czwartej wypełniona płynem koloru herbaty. Popatrzyłam jeszcze raz na dziewczynę. Była nieprzytomna.

- Coś ty sobie zrobiła...?? - westchnęłam. Dziewczyna otworzyła oczy i zostałam dosłownie zalana falą uczuć. Znowu ujawniła się moja empatia. Poczułam smutek, żal, ból. Ale największy był smutek. I tak bolesne uczucie zawodu. Kucnęłam przy niej i dotknęłam miejsca, gdzie wkuła igłę. Rozsmarowałam jej krew na swoich palcach, by lepiej jeszcze wczuć się w jej zapach. Działka heroiny, jaką sobie wstrzyknęła, była tak brudna od różnych dodatków, że ledwie wystarczyłaby na odlot pierwszemu lepszemu heroiniście. Ale i tak dla dziewczyny była za dużo. Ona pierwszy raz wstrzyknęła sobie narkotyk. Czułam to po ledwie słyszalnym rytmie jej serca. Pierwszy i ostatni raz. Złoty Strzał. Wyciągnęłam starą N-kę 6310.

- Nie... - wyszeptała dziewczyna i znowu zaala mnie fala uczuć. A w zasadzie jednego uczucia - pragnienia śmierci. Dziewczyna naprawdę chciała się zabić. Uszanowałam jej decyzję i schowałam telefon. Wiedziałam, że dziewczyna umrze za kilka minut.

- Chciałaś się zabić - powiedziałam - dlaczego?

- Mój chłopak... - wyjąkała. Pokręciłam głową. Dziewczyna chciała się zabić z miłości. Wzruszyłam ramionami i chciałam odejść, ale dziewczyna zatrzymała mnie w połowie kroku.

- Zostań, proszę... - odwróciłam się i popatrzyłam na nią, zdziwiona - nie chcę być teraz sama. Usiadłam obok niej i dziewczyna osunęła się na mnie. Oparła głowę o moje uda a ja patrzyłam, jak narkotyk powoli ją zabija.

- Chcesz naprawdę umrzeć? Mogę ci pomóc - powiedziałam, choć nie byłam pewna, czy mój telefon na pogotowie naprawdę zdołałby ją uratować.

- Chcę - powiedziała, a w jej głosie nie usłyszałam nawet jednej nutki wahania. Uśmiechnęłam się. Mogłaby zostać moją przyjaciółką. Na samą myśl o tym moje kły pokryły się jadem. Ale i tak nie mogłam sobie na to pozwolić. Jej krew, a w zasadzie cała chemia, jaką sobie wstrzyknęła, mogłaby być dla mnie bardzo groźna. Poczułam, jak dziewczyna zacisnęła dłoń na mojej ręce. Ile mogła mieć lat...?? Piętnaście, szesnaście? To było jeszcze dziecko. Chciało mi się płakać. Powstrzymałam łzy z trudem.

- Jak masz na imię? - zapytała dziewczyna.

- Maja - powiedziałam, a dziewczyna się uśmiechnęła - wampirzyca Maja - dodałam, choć sama nie wiedziałam, dlaczego. Ale dziewczyna i tak tego już nie usłyszała. A ja nawet nie wiedziałam, jak miała na imię. Nie wiedziałam, jak ją zapamiętać...

Okładka opadła powoli i książka zamknęła się cicho i Miłosz popatrzył na siedzącą na przeciwko niego Maję.

- Przeczytałem te opowiadania jednym tchem. Zaintrygowały mnie, wiesz?

- Dlaczego? - zapytała i uniosła do ust filiżankę. Kawa już dawno wystygła.

- Główna bohaterka, to ty, prawda, Maja? - popatrzyła w oczy naczelnego i uśmiechnęła się.

- W pewnym sensie. Ten zbiór opowiadań jest bardzo osobisty... Można powiedzieć, że jest po części autobiografią, przeniesioną w fantastyczny świat.

- Ale dlaczego wampiryzm? - zapytał Miłosz. Majka uśmiechnęła się.

- A nie uważasz, że wampiryzm fascynuje ludzi? Potężne, złe, nieśmiertelne istoty, pijące krew, tak przerażające, niemal niezniszczalne, a jednocześnie przepełnione jakąś nutką smutku, melancholii, którym nawet należałoby współczuć. Nie sądzisz?

- Chyba tak - powiedział naczelnny i popatrzył znów na książkę, trzymaną w dłoni - a kim był Paweł? - Maja uśmiechnęła się nieznacznie i jej język znów delikatnie zwilżył wargi.

- Pewien mój znajomy. Nasze spotkanie rzeczywiście wyglądało niemal identycznie, jak w rozdziale pierwszym. Ale potem... Coś się skończyło i musiałam zerwać tę znajomość.

- Z powodu Magdy? - Maja pokręciła głową.

- Nie miała tak na imię. Ale masz rację, z powodu przyjaciółki. Ile razy było tak, że facet zdradza z przyjaciółką? - zapytała - jak wspominałam, to nie jest historia prawdziwa, ale raczej... - chwilę szukała odpowiednich słów - bardzo osobista. Zresztą ta historia też ma swój dalszy ciąg.

- Tak - powiedział naczelnny - w rozdziale trzecim. Gdzie wampirzyca Maja zabiła swoją przyjaciółkę...

- Ratując swoje życie znów popełnia błąd, czyniąc Magdę podobną sobie. To takie melodramatyczne - w głosie Majki słychać było nutkę kpiny - to w pewnym sensie moje życie. Taka przyjaźń musi się skończyć, chyba to rozumiesz.

- Tak. I co, dajesz ujście nienawiści w rozdziale trzecim, kiedy Maja wydaje się być zupełnie inna. Zabija swoją przyjaciółkę, bo ta jest dla niej tylko człowiekiem. Wampir, mający w pogardzie ludzi?

- A uważasz, że tak nie jest? - zapytała Maja - z punktu widzenia wampira ludzie są słabi. Podatni na manipulację. Ale z drugiej strony mają uczucia, emocje, wampiry nie.

- Ale Maja w twojej książce też czuje, kocha.

- To tylko namiastka uczuć. Ledwie cienie ludzkich emocji. Ostatnia iskierka ludzkich cech, jaka żarzy się pod lodowatą powłoką ich martwego ciała.

- W każdym razie wampirzyca Maja swoją przyjaciółkę zabija. Okazuje się być zimną zimną, wyrachowaną...- urwał i na kilka chwil zapadło milczenie.

- Suką - dokończyła Maja, widząc, że Miłosz najwyraźniej nie miał odwagi, by powiedzieć to słowo - owszem. Wampirzyca, która jest zła, uważając, że zabiła przyjaciółkę, nie zrobiła nic złego, bo ta była tylko człowiekiem. Specjalnie wprowadziłam takie zakończenie tego rozdziału. By przypomnieć czytelnikom, że Maja jest "tą złą" - dodała i wypila łyka kawy.

- Tak, ale zaraz w kolejnym opowiadaniu pokazujesz, że potrafi współczuć.

- Nie chciałam, by po poprzedniej części została znienawidzona, by ludzie nie zaczęli się jej bać - wyjaśniła z uśmiechem Maja - bohater książki, nawet ten "zły", musi w pewnym momencie wzbudzić sympatię czytelnika.

- I tylko dlatego? - zapytał Miłosz - dobra wampirzyca ratująca staruszkę od śmierci? A ta dziewczyna w parku? Każdy chyba zadzwoniłby po pogotowie. Za wszelką cenę chciałby uratować jej życie - Maja uśmiechnęła się.

- A jeśli ona naprawdę tego nie chciała? Jeźli naprawdę chciała umrzeć? Wszyscy krzyczą o tym, jak ludziom nie wolno decydować za innych w sprawach śmierci. Jak nie wolno pomagać tym, którzy nie mają dość siły by się zabić. Ale jeśli ona chciała naprawdę umrzeć, wampirzyca nie miała prawa wpływać na jej decyzję. Nie miała prawa decydować za nią.

- Ale ta nieszczęśliwie zakochana zrobiła to pod wpływem emocji! To nie było dla niej dobre - Maja znów się uśmiechnęła nieznacznie.

- Nie wiesz, co było dla niej dobre. Czasem lepiej jest umrzeć, niż cierpieć.

- W tym się z tobą nie zgadzę. Tym niemniej jednak książka, zbiór opowiadań... Naprawdę bardzo dobry. Chciałem ci tylko tyle powiedzieć, oboiście - Maja uśmiechnęła się i wstała, doskonale rozumiejąc, że nastąpił koniec rozmowy.

- Przyniosę ci dzisiaj jeszcze mój krótki felieton - powiedziała i trzymając w dłoni pustą filiżankę po kawie, wyszła.

Odprowadzona zawistnym wzrokiem Pauliny zniknęła w swoim gabinecie. Filiżankę po kawie położyła na stolik i usiadła przed komputerem. Monitor był wyłączony, sam zgasł po upływie odpowiedniego czasu bezmyślności. Maja sięgnęła do myszki, ale zawałała się i popatrzyła raz jeszcze na czarnego Watermana leżącego na notesie. Delikatnie chwyciła go w palce, położyła obok i uniosła w górę notes. Popatrzyła na drobne, wyraźne pismo.

6. Jak wieczne pióro.

Drobna dłoń sprawnie prowadziła pióro. Stalówka bezgłośnie sunęła po kartce papieru, pozostawiając cienką, niebieską linię, układającą się w litery, słowa, zdania. W ciszy miejskiej czytelnicy słychać było tylko szelest przewracanych stron w książkach na sąsiednich stolikach. Ona - dwudziestopięcioletnia ledwie kobieta o długich, złotych włosach, zawsze ubrana w czerń nie miała przed sobą żadnej książki. Jedynie blok formatu A4 w kratkę. Nie przychodziła do czytelnicy po to, by korzystać z książek. Była felietonistką. Pisała do jednego z poczytniejszych kobiecych pism, a w czytelnicy zawsze mogła znaleźć ciszę i spokój. Mogła skupić się na pisaniu i umiejętnie przelać na papier uczucia. Jej felietony, zresztą podobnie, jak jej obrazy, cieszyły się sporą popularnością. Popatrzyła na kartkę papieru. Zawsze pisała ręcznie. Zawsze swoim wiecznym piórem. Oryginalnym Watermanem z początków dwudziestego wieku, kupionym gdzieś w okolicach 1916 roku. Na internetowej aukcji, choćby na takim Allegro, pewnie dostałaby za niego całkiem niezłą sumkę, gdyby tylko trafiła na kogoś, kto umiałby docenić takie pióro i schować go do szklanej szkatuły jak drogocenny skarb. Ale ona nie myślała nawet o sprzedaży. Odłożyła pióro i popatrzyła na stronę pokrytą równym, ładnym pismem. Spojrzenie jej niezwykle zielonych oczu przesunęło się na pióro. Niewielki przedmiot, a tak bardzo dla niej ważny. Jej pióro było tak naprawdę jej jedynym przyjacielem. Ale cóż w tym dziwnego, skoro tak naprawdę byli do siebie tak bardzo podobni... Popatrzyła na tytuł swojego felietonu. "Pisząc emocjami". Tym razem pisała o listach. Nie e-listach, wysyłanych przez Internet, ale takich prawdziwych. Nie rozumiała, dlaczego ludzie przestali wysyłać tradycyjne listy. Pamiętała, że kiedyś, dawno temu, ona też je pisała. Zawsze wiecznym piórem. Zawsze niebieskim atramentem. Uważała, że tylko dzięki takim "prawdziwym" listom można drugiej osobie przekazać prawdziwe emocje, prawdziwą część własnej duszy. Właśnie tak i tylko tak - poświęcając czas na wybór kartki, chwycenie w dłoń wiecznego pióra i napisanie tych kilkunastu słów. I jeszcze to oczekiwanie, ta świadomość, że list napisany piórem będzie podróżował kilka dni, że odbiorca nie napisze od razu a jego list również będzie szedł kolejne kilka dni. E-list? Nie-nawidziła tych zdawkowych "Cześć, co u Ciebie? U mnie wszystko dobrze, ble ble ble..." wysyłanych z komputera i dochodzących w przeciągu kilku, czasem kilkunastu sekund. Ale cóż, ludzie tego nie rozumieli. Nie mogli tego zrozumieć. Może dlatego, że żyli zbyt krótko? Cóż zostanie po takim e-liście, zajmującym kilkanaście kilobajtów na dysku komputera...? Po roku, może dwóch zniknie. A list napisany piórem? Wysłany, bezpiecznie ukryty w oSTEMPlowanej na pocztę kopercie? Cóż, ona nadal miała swoje listy. Niektóre jeszcze sprzed obu wojen. I pewnie znaczki pocztowe, jakie były na kopertach, też mogłaby sprzedać z niezłym zyskiem. Ale nigdy tego nie robi. To były jej listy. Teraz już są wieczne. Jak jej jedyny, naprawdę wierny przyjaciel.

Maja obojętnie rzuciła brulion na biurko. Ten, lecąc, lekko trącił myszkę, ale to wystarczyło, by komputer wyszedł ze stanu uśpienia. Popatrzyła na migający kursor. Prawie skończyła przepisywać swoje słowa. Opuściła wzrok niżej i uśmiechnęła się do swoich myśli patrząc na czarne, wieczne pióro. Poczula, jak dwa długie kły delikatnie otarły się delikatnie o jej dolną wargę. Ona też była wieczna. Jak wieczne pióro...

Alaerion ::: Arystokracka intryga z polimorfikiem w tle

Kaylin zamknęła cicho drzwi na taras i zręcznie zeszła po linowej drabinie. Znalazłszy się na ziemi, ruszyła szybko w ciemność.

Światło gwiazd i księżyca padało na jej brązowe włosy, dając im złoty poblask. Dziewczyna poczuła zimny, północy wiatr i zakryła twarz kapturem. Fałdy jej ciemnozielonego płaszcza łopotały na wietrze.

Posiadłości jej rodziny są tak rozległe, że dotarcie do jej ulubionego miejsca rozpacz i rozmyślań zajęło jej jak zwykle- około pół godziny. Miejsce tym od jej pierwszego spaceru po posiadłości był zaniedbany ogród z fontanną, ukryty wśród skartłowaciałych drzew. Z popękanego, porośniętego mchem posągu Angeliona sączyła się nierówno woda, ale mimo zniszczenia, Kaylin uważała go za piękny... Jak wszystko inne w jej oazie samotności.

Przychodziła tu często, zawsze nocą, by uciec od dworu, który uważała za więzienie. Opuszczony ogród był nawet niedaleko lasu, a żywopłot, stanowiący granicę ziem rodowych, był w tym miejscu niski i dziurawy. Dawał poczucie wolności... bo stał na przeszkodzie, by ruszyć w nieznane?... Paradoksalnie, była to właśnie samotność. Jaką miała szansę na przetrwanie w dziczy, bez przewodnika, bez obrońcy?... Nie była słaba ani tchórzliwa - była po prostu rozważna... a w tym lesie za żywopłotem zginęła jej matka... Ukłękła przed fontanną, patrząc w oczy posągowi. Jej własne wypełniły się łzami.

W żarliwej modlitwie opisała "duchowi fontanny", którego imienia nie знаła, swoją mękę, swoją samotność we własnym domu.

Jej matka umarła, kiedy miała trzy lata. Jej ojciec, bogaty i konserwatywny szlachcic, pozwalał jej na wszystko poza opuszczaniem granic swej ogromnej posiadłości, w której Kaylin zdążyła poznać już każde drzewo i każdy kamień, która zdawała się zbyt ciasna dla niej- dziewczyny żądnej przygód. Jej starszy brat, Karael, był o nią niezwykle zazdrosny mimo tego, że sam mógł opuszczać dom do woli. Ojciec kupował jego siostrze masę zbędnych rzeczy, a zdarzało się, że zapominał o swoim synu. Gdy trzeba było wyposażyć świętą łowiecką Karaela- wyposażano bez przeprosin bibliotekę Kaylin. Gdy Karael prosił o magiczny miecz- Kaylin dostawała magiczny łuk. Gdy Kaylin prosiła o cokolwiek, prośby jej brata schodziły na drugi plan.

Dziewczynie nie udało się dojść z nim do porozumienia. Ostatnią osobą, która się nią przejmowała była stara służka, pani Todess, ale nawet jej Kaylin nie zwierzyła się z chęci ucieczki.

Dziewczyna wiedziała o świecie tyle, ile zdołała przyswoić od nauczycieli wynajętych przez ojca, oraz z książek, które pochłaniała w dużych ilościach. Wiedziała, że najbliższe zamkowi Warrotnain miasto leży sto mil na północ stąd i nazywa się Geotrand. Na południe od wzgórza, na którym stał pałac jej rodziny, piętrzyły się nieprzebyte góry, a na zachodzie płynęła Rzeka Lodu. Dookoła Warrotnain rósł las, który w wielu miejscach wyrabano, by postawić podobne, malownicze zameczki i wioski.

Miejscowe rody żyły w zgodzie lub nie, knuły intrygi albo zawierały pokój, najczęściej przez małżeństwo. Wszyscy znali wszystkich, w Rhynglade, Dolinie Dębu i wszyscy nieżonaci marzyli o tym, żeby piękna Kaylin z potężnego rodu Warrotnain stanęła z nimi na ślubnym kobiercu. Dziewczyna nie mogła tego znieść. Najbliższym przystankiem, w którym mogłaby żyć normalnie, był właśnie Geotrand... choć życie przygodą też było kuszące.

Pani Todess opowiadała kiedyś Kaylin, że dawno temu zwiedziła Geotrand i jest to niesamowita metropolia. Mówiła też o posągu Angeliona w zaniedbanym ogrodzie, który bardzo przypominał jej jedną ze wspaniałych rzeźb w stolicy. Mówiło się, że to posąg bohatera, który pomaga z ukrycia.

Kaylin odnalazła ten ogród i polubiła go ogromnie, czując się mniej samotnie w towarzystwie kamiennego bohatera, niż we własnym domu.

Ale tej nocy miała już wszystkiego dość. Klęczała przed bezimiennym bohaterem w nadziei na ocalenie z rutyny swojego życia, w nadziei, że chociaż pomoże jej wpaść na pomysł, jak się wydostać z tej przeklętej pułapki.

Nagle z modlitwy wyrwał ją cichy śpiew. Rozejrzała się. Po drugiej stronie fontanny stała postać w zbroi podobnej do tej, którą miał na sobie posąg bohatera-angeliona. Tyle, że był to elf cienia, o których Kaylin nie czytała zbyt wiele.

Poza zbroją, przybysz miał na sobie płaszcz o barwie swych oczu, które skrzyły się jak srebro w magicznym świetle gwiazd i księżyca. Włosy miał jasne, lecz jego jasnobrązowa cera bardzo z nimi kontrastowała, co jednak zupełnie nie przeszkadzało Kaylin w stwierdzeniu, że jest niezwykle przystojny; rysy miał młodzieńcze i dostojne, szlachetne i łagodne. Na plecach nosił ogromny łuk refleksyjny, przy boku krótki miecz w zdobionej pochwie, zatknięty luźno za czerwoną szarfę, jaką zwykli nosić książęta. Ale u elfów ciemności symbolizuje pewnie coś innego...

Dziewczyna myślała, że ma przywidzenia, ale przecież słyszała pieśń wyraźnie... wydała się znajoma... a elf śpiewał w języku swych braci Wysokiego Rodu, co Kaylin zdołała sobie przetłumaczyć mniej więcej tak:

*W bezgwiazdnej nocy
Szukam gwiazd pomocy,
By odnaleźć zagubiony sen...*

Kaylin wstała i kontynuowała pieśń, łamanym elfickim, nie zważając na zdziwienie elfa:

*Jestem tylko strofą
W pieśni barda,
Której nie słucha nikt...*

Elf, mimo zdziwienia, zaśpiewał następną zwrotkę, a ostatnią zaśpiewali razem:

*Osierociła mnie Gwiazda,
Uklękę i zapłacę,
Lecz nie zgine,
Jeśli ją choć zobaczę!*

*Duchu uskrzydłony!
Spraw by myśli moich cienie,
Stały się tylko wspomnieniem
I odeszły w zapomnienie!*

Pieśń dobiegła końca. Kaylin uśmiechnęła się do elfa i podeszła bliżej. Ten cofnął się, jakby chciał odejść, ale zrezygnował, rozumiejąc, że dziewczyna nie ma złych intencji.

Śpiewała z nim, więc się go nie boi... ale dlaczego?...

- Mam na imię Kaylin - przedstawiła się dziewczyna i ukłoniła się z gracją.

- Jestem Idarian z rodu Resirion - przedstawił się elf. Nie boisz się przedstawiać obcemu i to o tak niemiłym wyglądzie?...

- Niemiłym? Jesteś waść przystojniejszy od hrabi Contbarrow! - odparła szybko. - Pewnie go pan nie zna - dodała zmieszana.

- Nie. Ale dziękuję - odparł elf. - Tak czy inaczej, ciemne elfy są rasą zaliczaną do złych od...

- Dziękuję, miałam już lekcję historii! - przerwała mu dziewczyna. - Równie dobrze można by powiedzieć, że żaden ciemny elf nie zaśpiewałby tej pieśni...

- ... Pieśni Ardriana? - dokończył elf.
 - Tak! Moja służka nie potrafiła sobie przypomnieć nazwy...
 - To dość znana pieśń w Geotrondzie, który chyba jest niedaleko stąd...
 - Był pan w Geotrondzie!? - spytała nagle dziewczyna. - Widział pan Ścieżkę Królów i posąg Ardr...
 - Ardriana Gabryena? Tak, widziałem, tak, byłem w stolicy ludzi, w przebraniu oczywiście. I nie musisz nazywać mnie „panem”. Po prostu Idarian.
 Kaylin przytaknęła, i zaraz zrozumiała jego sytuację. Niemożność pokazania twarzy na ulicy... bo ciemne elfy były rzeczywiście w większości złe i jako takie postrzegane przez inne rasy, za sprawą stereotypu...
 - Co robisz o tak późnej porze poza wygodnym domem, Kaylin? - spytał elf.
 - Nie jestem wygodnicka! - odparła dziewczyna, rumieniąc się nagle. - Jestem więziona we własnym domu!
 Elf uśmiechnął się litościwie i wymownie spojrzał na dziurę w żywopłocie tuż za nimi.
 - Więziona? - spytał rozbawiony.
 - Tak, więziona - odrzekła dumnie dziewczyna. - Co z tego, że nie zakuta w kajdany? Mam iść sama przed siebie? Sama?....
 - Boisz się? - spytał ją elf, ciągle się uśmiechając.
 - Nie! - usłyszał odpowiedź, której się spodziewał. - Strach i rozważa to co innego! Chcę żyć, żyć wolna, a nie umrzeć w tym lesie... ponoć nigdy nie opuszczają go wilkołaki i czają się w nim...
 - ...ciemne elfy? - przerwał jej rozbawiony. - Tak, jeden bywał w tym lesie ostatnio, ale nie robi Ci krzywdy, wkrótce wyrusza w podróż. Wilkołaków nie widziałem od pełni. Zresztą... - elf przerwał, by z kołczanu wyciągnąć strzałę. Jej grot załśnił w świetle gwiazd i księżyca. - Srebro - rzucił niedbale i schował strzałę. - Pozbyłem się kilku, kilka uciekło. Droga do Geotrondu i reszty świata jest dość bezpieczna, nawet dla samotnego wędrowca, o ile zna się odpowiednią trasę i zna się łowieckie triki. Kto Ci naopowiadał o potwornym świecie?....
 - Ojciec... w tym lesie umarła moja matka...
 Na chwilę zapadła cisza. Kaylin obserwowała gwiazdy, a Idarian jej brązowe oczy.
 - Zabił ją wilkołak - dodała po chwili. - Dobrze zrobiłeś oczyszczając las...
 - Przykro mi... moja matka również umarła dawno temu... - dodał cicho. Nie chciał mówić w jaki sposób. - Zginęła przez jeden ze zwyczajów w społeczeństwie ciemnych elfów.
 - Wędrujesz po świecie... powiedz, jaki on jest? Jaki jest... tak naprawdę, a nie w książkach? - spytała cicho dziewczyna.
 - Nie chciałbym opisywać, bo w porównaniu do autorów mądrych ksiąg, nie umiem. Zresztą nie da się tego tak łatwo opowiedzieć... najlepiej poznać go samemu... przy okazji poznając siebie. Spotkajmy się za trzy dni o tej samej porze, a pokażę Ci, jaki jest świat.
 - zaproponował Idarian.
 - Mam ci zaufać? - spytała sceptycznie, choć oboje już ufali sobie instynktownie. Po prostu była rozważna.
 - Możesz tu zostać, jeśli wolisz. Twój ojciec wybierze Ci przystojnego męża, pewnie tego hrabię... Contbarrow, czy jakoś tak. Być może zamieszkaż czas jakiś w jego zamku, potem znowu wrócicie do zamku twojego ojca, który zdaje się być największym w okolicy. - powiedział spokojnie.
 Kaylin popatrzyła na niego wymownie. Możliwość wybrania sobie ukochanego przez uczucie, a nie układy między rodami, była jedną z przyczyn, dla których Kaylin odpowiadała:
 - Zatem do zobaczenia za trzy dni! Będę tuż po zachodzie słońca!
 Dziewczyna pobiegła w stronę zamku.
 Idarian odprowadzał ją wzrokiem, aż zniknęła między drzewami.
 W co się znowu wpakował?
 Nawet, jeśli zdążyli sobie zaufać, jak daleko zajdzie ze szlachcianką, która nie zna świata?...
 Gwizdnął melodyjnie. Po chwili z cienia drzew wyłonił się czarny kruke. Ptak zatrzepotał skrzydłami i przysiadł na ramieniu elfa.
 Nagle dziobnął go w ucho.
 - Aj! Mówiłem, żebyś tego nie robiła Grace!
 - Kraaa! - odpowiedział kruke.
 - Daj spokój! Znowu się w coś wpakowałem...

* * *

Kaylin dotarła do pałacyku bez przeszkód i ominęła strażę, jak zwykle tą samą drogą, przez ogród. Zwinnie przeskoczyła żywopłot, nie zahaczając go nawet skrawkiem płaszcza, i zaczęła się wspinać na taras.
 Na dachu północnego skrzydła poruszył się niespokojnie śpiący mężczyzna. Po głowie uderzał go mały, zaczarowany młoteczek oznaczony literą "K". Mężczyzna zbudził się nagle i chwycił młoteczek, by wyrzucić go w przestrzeń.
 - Marny patent na budzenie. Cholera - zaklął cicho. Bolała go głowa. Spojrzał szybko na taras- w samą porę, by zobaczyć, jak Kaylin zamyka za sobą przeszkłone drzwi. - Wymykamy się? Nieładnie....
 Na drabince pod tarasem świeciły ostrzegawczo kamyczki, z symbolem takim jak na młoteczku, jakby chciały powiedzieć: "wymykała się". Ale nie młoteczek przykuły teraz uwagę Karaela.
 W jednym z okien przeciwnego skrzydła zobaczył swojego ojca, z młoteczkiem w ręku, patrzącego na taras z niedowierzaniem. Tak... kiedy przejdzie mu ból głowy, wywołany niezdatną magią syna, zrozumie, że go nie doceniał. Karael nigdy nie złamał zakazu ojca, zawsze był karny, wierny- nie to, co jego rozpieszczona siostrzyczka, która regularnie wymykała się nocami, wbrew zakazowi ojca.
 "To dla jej dobra... w końcu w tym śmiesznym lasku czają się wilkołaki." - skwitował szyderczo.

* * *

Kaylin obudziła się w swoim pokoju strasznie niewyspana, ale nie zmęczona. Próbowła przypomnieć sobie szczegóły nocy... czy to był sen?... okaże się za trzy dni. Teraz kąpiel...
 Ubrała się w szlafrok i ruszyła do drzwi. Kiedy nacisnęła klamkę, okazało się, że są zamknięte.
 - Co jest...?
 Kaylin rzuciła niedbale kilka prostych zaklęć, którymi miała zwyczaj zaczarowywać drzwi przed wyjściem. Wiedziała, że to nie pomoże, bo wczoraj zdjęła te czary przed snem.
 W pokoju było nieprzyjemnie duszno. Podeszła do okna, bardziej z nadzieją, że przez nie wyjdzie, niż że pozbędzie się gorąca. Obydwie nadzieje zawiodły; okno również było zamknięte. Przez okno zauważyła ojca, rozmawiającego z Karaelem na dziedzińcu.
 - Tato! Karael znowu zrobił mi dowcip! Tato! - krzyczała bezradnie. Nie usłyszał. Albo nie chciał usłyszeć...
 Tylko Karael rzucił jej ostre spojrzenie i podniósł dłoń w kierunku okna. Kaylin, znając jego magiczne beztalencie, nie cofnęła się; jednak tym razem z palców jej brata wystrzeliły zielone iskry, które nagle uderzyły w szybę. Dziewczyna cofnęła się.
 W pokoju zrobiło się chłodniej, ale wypełniła go zielonkawa mgła. Zrobiło się sennie...
 Kaylin zapadła w ciemność.

Obudziła się w pokoju wypełnionym światłem wielu lamp, rozwieszonych pod sufitem. Pomieszczenie było podobne, lecz znacznie większe od tego w którym zasnęła. Przypominało trochę małą salę balową, przerobioną na sypialnię, tylko że w salach balowych

bywają okna, i to duże, a w tej nie było żadnego. Sufit, z którego skrzyły się lampy, był oddalony o kilka metrów. Na środku, przy ścianie, stało ogromne łóżko pokryte baldachimem, a po obu stronach stały zdobione szafy z jej pokoju.

Dziewczyna czuła powagę sytuacji.

W drzwiach po drugiej stronie sali pojawił się jej brat i ojciec. Dali jej znak, aby podeszła. Miała problemy z utrzymaniem równowagi - przez czar brata. Kiedy podeszła, rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

- Złamałaś zakaz swojego ojca, który wszystko robi dla twojego dobra, siostrzyczko. Na wszystko ci pozwalał, wszystko dawał, ale dosyć tego! - rzucił Karael triumfalnie.

- Cicho! - skarcił go ojciec. Karael zamilkł, ale nadal uśmiechał się głupio. Puszył się dumnie w swojej czarnej tunice maga ze złotymi zdobieniami. Był nieco wyższy od siostry i włosy miał zupełnie czarne, podobnie jak charakter, a przynajmniej chciał uchodzić za "mrocznego". Patrzył teraz na Kaylinę spode łba swoimi wylupiastymi oczami, o rozwodnionej, błękitnej barwie.

- Zostaw nas samych! - powiedział mu ojciec. Karael wyszedł, zatraskując za sobą drzwi i potykając się o za długą tunikę. Kaylin nie mogła ukryć uśmiechu, który zaraz zbladł, kiedy przeniosła wzrok na surową minę ojca. On również był od niej wyższy, co potęgowało jego wyniosłe, władcze rysy, pełne szlachetności i mądrości. Oczywiście również naznaczone były mądrością, ale, zdaniem Kayliny, mylnie sprawiał wrażenie mądrego. Dla niej zdawał się być tyranem...

- Tato... przepraszam... ja...

- Złamałaś mój zakaz! - przerwał jej ojciec.

- Przepraszam ale...

- Żadnego ale! - znowu jej przerwał.

- Ty mnie tu więzisz! - wtrąciła dziewczyna.

- Jesteś za młoda na podróż! Świat jest pełen niebezpieczeństw! Tutaj jesteś bezpieczna! - argumentował ojciec.

- Nic nie obiecywałam! Co to za życie, w więzieniu tego dworu? W pełni sztucznych uśmiechów, komplementów, wygod... tak, wadzą mi wygody! Co mi z tego, że wszystko dostaję na tacy? To żadna satysfakcja z życia! Mogłabym zdobyć sławę w świecie, nie potrzebuję sztucznej sławy wśród pysznej arystokracji! Strzelam lepiej niż najlepsi twoi łucznicy!

Ojciec zmarszczył brwi, popatrzył na nią czule.

- Postradałaś zmysły...

- Chcę sama o sobie decydować, jestem dorosła!

- ...jesteś moją córką... - kontynuował spokojnie ojciec.

- Nie jestem dzieckiem! Większa szansa, że coś się stanie temu niezdarnemu magowi, niż mnie, gdybyś mnie puścił chociaż do Geotrondu! - krzyczała Kaylin, wiedząc, że to już nic nie zmieni, że decyzja już zapadła.

- ...zostaniesz tutaj...

- Przecież nie chcę odejść na zawsze, tato! Chociaż jedna wycieczka... raz na jakiś czas... gdzieś dalej... chcę poznać świat!

- ...zostaniesz tutaj, bo świat jest okrutny...

- Skąd mogę to wiedzieć, skoro nigdy go nie zwiedzę? Pozwól mi polegać na sobie, nie na zapewnieniach innych! Sam polegasz tylko na sobie...

- ...dlatego, że polegałem na córce i co z tego mam? Dbam o twoje dobro. Dlatego za trzy dni wyjdiesz za męża... czyli, zdaje się, w piątek wieczorem.

- Nadal możesz polegać... - odparła szybko Kaylin. - zaraz... CO?! - dopiero po chwili do niej dotarło to zdanie. I następne:

- Tak, wyjdiesz za męża za hrabiego Contbarrow - potwierdził beznamiętnie ojciec.

- NIE!!! NIE MOŻESZ MI TEGO ZROBIĆ!!! - krzyczała bezradnie Kaylin.

- Już to zrobiłem - odpowiedział spokojnie. - I tak, mogę to zrobić, wedle naszego prawa.

Kaylin myślała, że oszaleje. Z pięknego snu przeniosła się do koszmaru. Ostatniej nocy elf obiecał, że pokaże jej świat, a teraz jej ojciec, tyran, chce jej odebrać cały ten świat, dając w zamian niechcianego męża. Równie podłego, choć przystojnego, hrabiego Contbarrow.

- Miłego dnia. Nie obraż się, za to, że cię tu zamykam, to dla naszego wspólnego dobra. Hrabia ma kopalnię klejnotu Crynna, którą już niedługo zwiedzisz. Tak lubisz świecidełka... niech myśl o tym cię pocieszy. Masz tu też swoje ulubione książki i kilka nowych, które zamówiłaś ostatnio. Miłego dnia - pożegnał ją ojciec i zatrzasnął drzwi. Kaylin go nawet nie słuchała, tak jak on jej nie słuchał. Nie lubiła klejnotów.

Próbowała teraz przetrwać własne nieszczęście.

- Idarianie... - zdążyła powiedzieć, zanim zapadła w niespokojny sen.

* * *

Tymczasem Idarian spacerował po lesie zastanawiając się, czy dobrze postąpił. Podróżował po powierzchni od lat...ale większość życia spędził pod ziemią. A teraz miałby być przewodnikiem dla kogoś z powierzchni. Zabawne...

Poza tym w Kaylinie było coś takiego co...

"Jesteś mrocznym elfem! Poza tym widziałeś ją tylko raz, tylko raz z nią rozmawiałeś!" - mówił do siebie.

Ech... skoro się zadeklarował, że ją poprowadzi, to słowa dotrzyma.

Przysiadł na kamieniu i wyciągnął miecz. Nie żeby go naostrzyć, bo nic nie było wstanie go stępić, lecz po to, by wyczyścić ostrze.

Z cienia drzew wyszła postać drobnej elfki o jasnobrązowej cerze i bardzo spiczastych uszach.

- Wciąż o niej myślisz? - spytała go trochę piskliwym tonem.

Była ubrana dość komicznie, w dopasowaną do jej niewielkich rozmiarów zbroję skórzaną. Włosy miała zupełnie białe, a tęcza jej oczu błyszczała różowo. Dziewczyna miała słodką, dziecięcą twarz i teatralnie niewinne spojrzenie, skrywające zupełnie psotną naturę. Podskakiwała wesoło, jakby ciesząc się, że jej futrzane naramienniki ruszają się w zabawny sposób.

- Przyznaję. Nic na to nie poradzę - odparł elf.

- To tylko człowiek. Umrze z mniej niż 50 lat - skwitowała szorstko elfka.

- Nic nie rozumiesz! Nie mów o sprawach, o których nie masz pojęcia! - skarcił ją Idarian.

Dziewczyna uśmiechnęła się czule.

- Nie przyjdzie, stchórzy! - odparła odgadując jego niepokój.

- Zobaczymy - odparł Idarian, nie dając wyrwać się z zamyślenia.

* * *

Po przebudzeniu Kaylin spędziła dzień (lub noc, bo nie знаła pory w pomieszczeniu bez okien) na czytaniu książek, modlitwach do bohaterów i bogów, w nadziei, że znajdzie sposób na przebudzenie się z tego koszmaru. Nic nie osiągnęła. Chciała już rzucić się na łóżko z wycieńczenia, gdy zza drzwi usłyszała ciche wołanie:

- Panienko Kaylin!

Dziewczyna odwróciła się natychmiast i widząc w okienku siwą głowę swojej służki, pani Todess. Podbiegła, by ją przywitać.

- Och... Pani Todess! Jak mi ciężko... nie chcę, nie chcę tu gnić całe życie!

- Wiem... nawet mądra głowa nic nie poradzi... pytałam starego pana sędziego, o sprawy ślubu... i zanim zasnął opowiedział mi kilka mądrych rzeczy.

Kaylin przyjrzała się służce. Zaraz zacznie bając... a to poważna sytuacja!

- Todess! Ja...

- Proszę poczekać, może mi się uda coś zrobić jeszcze dla panienki... pan sędzia powiedział, że akt ślubu to poważna sprawa - pani Todess zrobiła poważną minę. - I że związek małżeński w Rhynglade rozwiązać trudno i trudno przerwać ceremonię, zwłaszcza po zgodzie ojca panny młodej i po oświadczeniach. Jutro przyjdzie do pani ten hrabia. Wysłano mnie po to, żebym to pani przekazała łagodnie i tak czynię, ale przekażę coś jeszcze. Jeśli w ciągu całego dnia i nocy po zawarciu ślubu zjawi się ktoś na wyższym szczeblu społeczeństwa, może wyzwąć pana młodego na pojedynek, jeśli panna młoda się na to zgodzi. I zwycięzca zostaje jej mężem. To stare prawo, które powstało po wojnie, kiedy pewien mężczyzna wrócił do domu, po wieści o własnej śmierci i wdowę po nim pojął kto inny - ten nie chciał ustąpić, choć weteran i jego żona nalegali. Tedy stary sędzia rozstrzygnął między prawem, a uczuciem i zdecydował, że skoro weteran ma większe prawa - bo jest szlachcicem, ma prawo wyzwąć złodzieja żon na pojedynek i jeśli wygra, odzyska ukochaną. Weteran tak uczynił i zwyciężył...

- Ale... - wtrąciła Kaylin.

- ...nawet nie zabił tego jegomościa, tylko upokorzył go pozbawiając broni. - dokończyła Todess. - Słucham?

- Pan Contbarrow jest hrabią. Musiałabyś znaleźć co najmniej księcia i to świetnego w szermierce - powiedziała Kaylin roztrzęsionym tonem, na wspomnienie błysku szabli Contbarrowa, na jednym z wygranych przez niego pojedynków.

- Jest ktoś taki... pamięta pani tego elfa, który przybył na targ w naszej wiosce?

- Kelorina? - spytała Kaylin. - Kelorin jest...

- Jest księciem. Zubożałam co prawda, ale na pewno ma serce czyste i nie robi z prawem małżeńskim tego, co pan Contbarrow.

- Niestety, nie mogę go znaleźć... - dodała powoli pani Todess. - Ale wysłałam kilku pacholków na koniach, może nie odszedł daleko... - dodała szybko, nie chcąc zasmucić Kayliny.

Dziewczyna wiedziała, że to nie wypali. Za dużo mogło nie wyjść, a zwinny elf poruszał się w lesie szybciej niż jeźdźcy.

- Dziękuję pani Todess... mam nadzieję, że się uda - powiedziała czule dziewczyna, w duchu tracąc nadzieję.

- Proszę się nie martwić... będzie dobrze. Niestety, nie będę mogła przyjść drugi raz... nie wpuszczą... a już teraz będzie ze mną źle, jeśli zaraz nie wrócę na górę. Będzie dobrze - pani Todess chwyciła rękę dziewczyny przez kraty w okienku drzwi.

"Chciałabym w to wierzyć" - pomyślała Kaylin, kiedy pani Todess zamknęła lufcik w drzwiach i odeszła...

A więc elf... złotowłose Kelorin...

Zaraz... więc rasa nie ma znaczenia w jakże tolerancyjnym prawie Rhynglade?

Nagle w jej umyśle pojawiła się wizja osoby, o której cały dzień myślała. Wizja elfa, ale nieco innego, o mahoniowej cerze... w lśniącej zbroi i czerwonej szarfi... która w krainach zwyczajowo zdobi książęta...

- Idarian! Idarianie!... - krzyknęła na głos. - Pani Todess! Proszę zaczekać! Musi pani iść do starego ogrodu! Pani Todess! - krzyczała Kaylin. Bezskutecznie, jej służka odeszła, by już nigdy nie zobaczyć swojej panienki.

* * *

Następnego ranka (a może wieczora?), do pokoju bez okien wpadło bez zapowiedzi kilku arystokratów. Przewodzili im ojciec Kaylin, Karael i przystojny mężczyzna o płomienistych włosach, ubrany jak zwykle ekstrawagancko i jak zwykle z nieśmiertelną szablą u boku. W razie gdyby ktoś miał ochotę z nim przegrać pojedynek.

- Droga Kaylino! - przywitał ją ojciec, niezrażony jej nieprzygotowaniem. - Znasz już hrabiego Contbarrow, przyszedł tu z nami, bo ma ci oznajmić coś ważnego.

- Dziękuję, Fredericku. Ślicznie panienka wygląda - zaczął hrabia, co wywołało uśmiechy u zgromadzonych. - rzekłbyś... naturalnie.

- Dziękuję panu. Miał pan coś oznajmić? - Kaylina chciała to mieć już za sobą.

- Tak... Droga Kaylino, z rodu Warrotnain...- hrabia podszedł do niej i uklęknął przed nią. - Czy zostaniesz moją żoną?

Kaylin była tak zaskoczona, że zanim zdążyła krzyknąć: "NIE!", jej ojciec odpowiedział za nią:

- Zostanie, bez wątpienia.

- Oby los im sprzyjał - powiedzieli zebrani chórem.

- Zostanę twoją żoną - potwierdziła Kaylin. Jej usta poruszyły się same. Jej zdziwienie szybko ustąpiło, gdy zobaczyła swojego brata w czarnej tunice, stojącego na uboczu, z rękami wyciągniętymi do przodu. Mogła się tego spodziewać.

- Ty plugawy, niewydarzony magu! - zaklęła głośno w kierunku Karaela, tak, że wszyscy spojrzeli w jego kierunku, a ten szybko opuścił ręce. Teraz zwróciła się do narzeczonego - Nie zostanę twoją żoną ignorancie! Wynocha! Wolę zgnić w tym lochu sama!

- Zostaniesz. Jutro staniesz na ślubnym kobiercu - skwitował krótko jej ojciec. - Prawda, panie sędzio? - zwrócił się w stronę młodego chłystka, który wyglądał na najbardziej przekupnego sędziego na świecie. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Panienka jest teraz zobowiązana poślubić hrabiego. Pierwsze słowo się liczy - powiedział sędzia. Niezbyt mu się podobało bycie w centrum uwagi.

Wszyscy wyszli w pośpiechu, nie mogąc znieść krzyku panny młodej.

Kaylin była załamana. Podbiegła do szafy i zaczęła ją przeszukiwać gwałtownie, wyrzucając drogie suknie. Znalazła swój magiczny, cisowy łuk i kołczan pełen zwyczajnych strzał.

Wysztukiwała w drzwi. Strzała pociągnęła za sobą jasną smugę magicznej energii i wbiła się w drzwi z piorunującą prędkością. Drewniana powierzchnia szczytna.

Dziewczyna usiadła na krawędzi łóżka, próbując się nie załamać...

Poczuła, jak jej twarz muska zimne powietrze.

Okno?...

Odwrociła się. Nic... Może na górze?

Odeszła kilka metrów od łóżka. Nad baldachimem zauważyła kratę w suficie, który nad łóżkiem obniżał się do kilku metrów. Wspięła się na jedną z kolumn łóżka i wskoczyła delikatnie na baldachim. Zakolysał się niebezpiecznie... ale zdążyła podejść do kratki.

Szarpnęła nią gwałtownie, a ta ustąpiła. Ze środka ziała ciemność, więc najwyraźniej tunel gdzieś się zaginał... albo był przystopiony.

- Idarianie!

Tunel wentylacyjny był dla niej o wiele za mały, ale nawet, gdyby była mniejsza, nie dałaby rady się wspiąć po gładkiej ścianie.

To na nic.

Baldachim rozerwał się i dziewczyna wylądowała na miękkim łóżku.

- Idarianie! - krzyknęła po raz ostatni. Jej głos odbił się echem w tunelu, ale nikt nie odpowiedział.

* * *

Trzeciej nocy od ich spotkania, Idarian czekał na Kaylin w umówionym miejscu, koło fontanny Ardriana Gabryena. Słońce zaszło już kilka minut temu, a elf nie mógł się pozbyć dziwnego uczucia, którego doznał po raz pierwszy od bardzo dawna.

Martwił się.

Martwił się, dlaczego szlachcianka nie przychodzi o umówionej godzinie, choć mogła to być jedna z niewielu szans ucieczki. Ale jego zmartwienia sięgały dalej, choć nie chciał się do tego przyznać. "Czy mogło jej coś się stać?" - spytał w końcu sam siebie. "Czy ojciec ją zatrzymał? Odkrył spisek?..." Odrzucił tą myśl. Gdyby tak było, prawdopodobnie już wpadłby w pułapkę zastawioną przez jej ojca. Ród Warrotnain... czego zdolał się o nim dowiedzieć z karczmy, w której musiał siedzieć w kącie, zakryty kapturem... Plotki mają w sobie ziarno prawdy...

"Każdy chciałby zostać mężem Kaylin" - powiedział jakiś zwyczajny pijaczek, a mówił głośno, tak, żeby wszyscy w koło słyszeli.

"Słyszałem, że jej brat jest o nią zazdrosny i pewnie niedługo przyspieszy ślub z jakimś napompowanym arystokratą, z hrabią Contycośćam...". Przyspieszy ślub... hm... "Karael to podstępny mag. Jego sługa powiedział mi, że ma już plan, jak zgnać księżniczkę..." - pijak nie zdążył dokończyć i padł.
Dopiero teraz to dotarło do Idariana. Karael!
Gwizdnął na Grace. Kruczycza przyleciała natychmiast.
- Musimy szybko dotrzeć do zamku Warrotnain! Znasz już okolicę, więc prowadź!
Ptak wzleciał w powietrze, wskazując kierunek, krążąc na południe od elfa.
Idarian ruszył biegiem.
* * *

Tymczasem przygotowania do ceremonii i wesołe śpiewy gości, oczekujących dobrej zabawy, zbudziły Kaylin z niespokojnego snu. Zorientowała się, że spała prawie cały dzień.
- Nie! Ty podstępny magu!
Do jej sali weszły służki z suknią ślubną i makijażem. Kaylin podniosła szybko łuk i napięła cięciwę. Służki cofnęły się wystraszone. Strażnik zatrzasnął drzwi.
Kaylin opuściła łuk. To nie ich wina... one nic na to nie poradzą...
Odrzuciła broń i pozwoliła się przebrać i umalować służkom.
"Idarianie" - błagała w duchu, aby przybył i zabrał ją w nieznane. "Jeśli nie byłeś snem... przybądź"
Służki odeszły, a Kaylin zaczęła śpiewać, coraz ciszej, tracąc nadzieję, że ktokolwiek ją usłyszy.

* * *
Idarian dotarł w kilka minut w pobliże zamku. Elfy cienia świetnie widzą w nocy, więc od razu zlokalizował strażników, których było dwa razy więcej z powodu ceremonii. Ominął ich bez problemu.
Grace nie zwracała uwagi strażników, jakby starała się nie krakać i nie łopotać gwałtownie skrzydłami. Zataczała kręgi nad ogrodem, dając znak, że coś znalazła.
Idarian podszedł bezszelestnie we wskazane miejsce. Nie znalazł nic, poza kwiatami i ziołami, o których mocy właściciele pewnie nie mieli pojęcia. Poza tym w ogrodzie nie znalazł nic niezwykłego. Dał znak Grace, żeby podleciała do niego. Kruczycza nadal zataczała kręgi.
Co jest?
Nagle Idarian uświadomił sobie, że coś słyszy. Cichy śpiew... ale skąd on dochodzi?
Rozejrzał się jeszcze raz, skupiając całą moc infrawizji. Podszedł w kierunku, który podpowiadało mu serce i wyczulony słuch. Znalazł źródło melodii: mały kominiek przykryty daszkiem, wystający z krzaku pokrytego ciemnymi kwiatami. Wyciągnął miecz i pozbył się go najciszej, jak potrafił.
- ... osierociła mnie gwiazda... uklękne i zapłacę... - usłyszał strofy piosenki, przerywane łkaniem.
- ...lecz nie zginę, jeśli ją choć zobaczę! - zanucił tak głośno, jak tylko mógł, żeby go nie usłyszeli strażnicy.
- Idarionie! - usłyszał z głębi tunelu.
Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, co zrobić, żeby ich rozmowy nie nakryli strażnicy. Grace przysiadła cicho na daszku kominika. Tak... Grace mogłaby się wśliznąć i przekazać wiadomość...
Elf wyciągnął z płaszcza notatnik, i wydarł z niego stronę. Pisanie po ciemku nie było łatwe, ale zdołał nabazgrać: "Jak dojść do Twojego więzienia? - I." i szybko wcisnął list i pióro Grace. Ta wcisnęła się w kominiek i zniknęła w tunelu. Po chwili wróciła z odpowiedzią:
"Zmuszają mnie do ślubu z hrabią, pomóż! Trzymają mnie na dole, nie wiem jak tu dotrzeć... na pewno jest to najlepiej strzeżona komnata w pałacu! - K."
Idarian zastanowił się chwilę...
"Jak przerwać ślub z hrabią?..." - napisał na karteczce. "znasz miejscowe zwyczaje, na pewno są jakieś kruczki prawne..."
"Jeśli jesteś księciem to możesz w dzień po ślubie wyzwąć hrabię na pojedynek. Niezależnie od koloru skóry i...
W moim pokoju jest ponoć ukryte wejście do lochów... jeśli chcesz mnie znaleźć, musisz wejść na taras(...)" - dotarła do niego odpowiedź.
"Dziękuję za propozycję, ale myślę, że uda nam się to rozwiązać nieco inaczej. Grace zaraz Ci wytłumaczy..." - odpisał Idarian i wyszeptał coś ptakowi. Zakończył głośniejszym zdaniem:
"Gotowość do poświęceń". Grace szybko wleciała do tunelu.

Idarian ruszył w kierunku tarasu, na który zawsze wspinała się Grace. Wspiął się błyskawicznie po drabinie i bezszelestnie dobiegł do przeszkłonych drzwi. Wyciągnął zza pasa sztylet, o bardzo cienkim ostrzu i wyciął całą szybę z framugi drzwi. Położył ją na posadzce tarasu i wskoczył do środka. W środku, jakieś dwadzieścia stóp przed nim, odwrócił się w jego stronę strażnik. Zanim zdążył wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, strzała z łuku Idariana utknęła mu w ramieniu, bez trudu przebijając pancerz. Strażnik padł nieprzytomny na ziemię.
Elf podbiegł szybko i chwycił mężczyznę pod pachę. Był ciężki, ale zdołał go schować w pobliskim pokoju, który na szczęście okazał się pusty. Położył go na łóżku i wyszedł. Pobiegł dalej korytarzem, trafiając przypadkowo na kolejnego strażnika.
"Wszyscy są na ceremonii... szybciej!" - powiedział strażnik i minął Idariana nie zwracając uwagi na jego wygląd.
Co za szczęście...
Elf wszedł do pokoju Kaylin. Był pusty, nie licząc firanek i wykładzin. Meble przeniesiono na dół...
"Przejsście... jakieś ukryte przejście..." - Idarian myślał gorączkowo. Rozwiązanie przyszło samo. Z litej ściany wyszedł mężczyzna ubrany w czarną tunikę. Ruszył ku wyjściu, ale kątem oka zauważył elfa.
- Ki diabeł...- zaklął Karael, wyciągając strzałę z nogi. Amulet, który nosił, powstrzymał truciznę.
- Słynny dziedzic rodu Warrotnain - przywitał go ciemny elf.
- Plugawa bestia - odparł Karael.
- Miło, że masz o sobie odpowiednie zdanie, ale uważałbym na słowa, na twoim miejscu - odrzekł Idarian, celując magowi między oczy. - Tym razem trucizna nie musi zadziałać.
- Pewny swego co? Obłeśne elfy cienia. Tylko zabijać, tylko to potraficie! - krzyknął mag, unosząc dłoń.
Idarian uniknął magicznego pocisku. Zanim zdążył napiąć cięciwę, był zmuszony uniknąć znowu i jeszcze raz i wiele razy jeszcze, zanim odrzucił łuk. Wyciągnął miecz i krótki sztylet.
- Nawet mnie nie draśniesz - zakpił mag.
- Nie drasnę, obiecuję - powiedział chłodno elf. - Nie wybaczyłaby mi tego, ale wierz mi, z chęcią bym to zrobił!
W ręce Karaela pojawił się sztylet.
Elf rzucił się do szalonego biegu wokół maga, który zbliżył się do środka dużego pokoju. Czarodziej miotał w niego różne zaklęcia, kule ognia, pioruny, pnącza, ale nie trafił ani razu. W końcu zmęczył się, a Idarian wykorzystał okazję. Przebiegł tuż koło Karaela, uderzając go ręką w brzuch. Mag odwrócił się, żeby oddać, ale zobaczył, że elf wbiega po ścianie i robi nad nim salto. Nie miał pojęcia, co zrobić na taki ruch, więc tylko ustawił sztylet do parowania w miejscu, w którym spodziewał się ataku.
Idarian wykonał w powietrzu kilka obrotów i wylądował za Karaelem, który obrócił się w niewłaściwą stronę. Elf wytrącił mu sztylet

i przycisnął swój do szyi maga.

- Zrób to... nie zniosę upokorzenia - powiedział Karael.

- Nie jesteś zły. Tylko ubieraj się weselej i nie podkładaj świni siostrze.

- Nie będziesz mnie uczył dobrych manier! - wrzasnął mag.

- Myślę, że jednak będę - elf przycisnął sztylet. - Są gorsze rzeczy niż śmierć - powiedział cicho elf, wykorzystując złą reputację swojej rasy.

- No tak... nie chciałem pana urazić... może pan puścić? To niestosowne, przecież musimy iść na ceremonię - zaproponował Karael.

- Tak, biegnij na ceremonię. Ja się na niej nie zjawię, obiecuję.

Elf zabrał magowi amulety i puścił go.

- Jak mogę ci ufać? - spytał sceptycznie mag.

- Darowałem ci życie, jak obiecałem. Idź.

Mag odszedł kilka kroków i odwrócił się.

- Jeśli się odwrócisz jeszcze raz, zabiję - zagroził elf, pokazując nóż o niezwyklej kształcie, ociekający jadem.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Karael opuścił pokój w pośpiechu, biegnąc do kaplicy.

"Wejście do lochów..." - elf przyjrzał się z bliska ścianie, z której wyszedł mag.

Dotknął jej ostrożnie czubkiem palca. Poczuł, że tu nie ma ściany.

Przeszedł przez iluzję i znalazł się na szczycie ciasno upchanych schodów. "Zapomniał zamknąć przejścia..." - pomyślał elf. Dotarł na sam dół bez przeszkód i znalazł wejście do komnaty, w której więziono Kaylin. Wszedł do środka. Sala była pusta. Podeszedł do łóżka i przyjrzał mu się. Uśmiechnął się szczerze.

* * *

Kaplica rodu Warrotnain była zdobiona pośpiesznie, ale trzeba przyznać, że dekorator dał z siebie wszystko. Lampiony, arras na ścianach, przedstawiające młodą parę... tkacze pracowali cały dzień...

Zebrały się znamienitości całego Rhynglade, wśród nich wielu niedoszłych narzeczonych Kaylin.

Dziewczyna stała już na ślubnym kobiercu, koło swojego przyszłego męża. Wyglądała prześlicznie, a hrabia Contbarrow nie mógł oprzeć się wrażeniu, że się do niego uśmiecha. Piękno jej wspaniałej sukni było przyćmione jej własnym... zwłaszcza, że jej suknia zdawała się być odrobinę za duża...

Kiedy kapłan dotarł do formuły, "(...)czy bierzesz obecnego tu hrabię Contborrow za męża?, Kaylin odpowiedziała:

- Nie.

Wszyscy zamarli. Nie? Jak to?... czy ona oszalała?

Każdy z osobna pomyślał, że sam oszalał, kiedy patrząc wprost na dziewczynę zobaczył, jak jej cera ciemnieje, jej włosy jaśnieją, a w końcu cała jej postać przybiera kształt małej, ciemnej elfki. Suknia była za duża i zaczęła się zsuwać, ale zanim opadła, elfka uśmiechnęła się i ku powtórnemu zdziwieniu wszystkich, zamieniła się w czarnego kruka. Grace odfrunęła pozostawiając w kaplicy ojca Kaylin, hrabiego Contborrow i innych, którzy nie mogli zrozumieć co zaszło.

Do kaplicy wpadł zdyszany Karael. Zobaczył, jak wszyscy wpatrują się w okno.

- Co się stało? Gdzie Kaylin? - spytał głośno. Jakoś nikt nie miał ochoty mu odpowiedzieć...

* * *

Kaylin i Idarian opuszczali właśnie ogród, w którym się poznali, przez dziurę w płocie.

- Co z Grace? - spytała dziewczyna.

- Poradzi sobie - odparł Idarian i uśmiechnął się szczerze. - Na pewno świetnie się bawiła.

Alaerion

ODGRZEWANY KOTLET

*To samolot!
Ale dlaczego leci tak nisko?
To samochód!
To dlaczego unosi się nad ziemią?
To Superman!
Superman nie jest brązowy...
Ha! To kotlet*

Plask!

Bueh... Odgrzewany...



WITAJCIE TOWARZYSZE I TOWARZYSZKI...

Tym razem chciałbym wam przedstawić kotlet wieczorny. Nie jest tak bardzo lekkostrawny jak powinien, ale da się wytrzymać. Na początek pełne pikanterii opowiadanie, które osobniki nieletnie powinny ominąć... KSE rozpala zmysły przed piękną nocą... Oczywiście przydało by się puścić jakąś czułą i ciepłą muzykę... A na koniec czułe i podszyte erotyką opowiadanko Brightwitch... Ta sama zasada co w pierwszym opowiadanku... Przed przeczytaniem przyłóż dowód osobisty do monitora... Polecam na dobranoc...

Z poważaniem

Josif Nikita Konstantynopolitańczykiewicz Nikiforowicz Mychajło
Stay tuned and sodomized...

M.Bizzare ::: Klub Starszych Elegantów

UWAGA! TYLKO OD 18 LAT.

*„[...] I've got it carved in my forehead "Slave To My Sin"
Too violent for the brotherhood to ever take me in
I am a vicious young man oh I am a wicked young man
It's not the games that I play the movies I see the music I dig
I'm just a wicked young man"
Alice Cooper „Wicked Young Man”*

Ekstaza. Słowo tak obce i jakoś dziwnie złowieszcze, jawi się zakazanym. Ale każdy człowiek jej pożąda, przyjemność to siła. Nic nie zniewala tak jak ona, nawet strach musi ulec. Jeśli stałeś się sługą ekstazy, musisz grać w jej grę do końca...

Jestem najbardziej zdeprawowanym człowiekiem, o jakim kiedykolwiek słyszeliście.

A tak mi się przynajmniej wydaje... Zaznałem już chyba każdej legalnej i nielegalnej rozrywki, o jakiej można pomyśleć. Dotychczas nie mam na koncie tylko bezpośredniego, z mojej ręki, morderstwa i pedofilii, jedynych rzeczy, które NIE wydały się atrakcyjne. Prócz tego, robiłem już wszystko, wszystko, o czym potrafię zamarzyć. Mam 36 lat.

Ale robienie WSZYSTKIEGO ma swą poważną wadę. Wszystko zaczęło mnie nudzić. Brutalne sado maso, po którym na moim ciele zostało wiele blizn, przyprowadza mnie o ziewanie. Nie ma już żadnej formy seksu, jaka by mnie ruszała, z kobietami, mężczyznami, nieżywym, każda egzotyczna zabawa, wszystko już smakowałem. Narkotykowe loty nie robią na mnie żadnego wrażenia, barwne tripy po LSD są dla mnie jak banalna bajka Disney'a. Alkohol? To dobre dla przegranych biznesmenów, którzy zapijają dziewiąty z kolei rozwód. Kradzież? Nawet napad na bank nie wzbudziłby we mnie adrenaliny. Nielegalne walki do ostatku sił też już się nie nadają, są za proste. Gwałt? Chyba dla sportu. Nic, nic mnie nie rusza. I to boli.

Bo nadal potrzebuje czegoś, co by mnie zajęło.

Nigdy nie miałem problemu z dostępem do rozrywki. Będąc synem multimilionera, w dodatku zadeklarowanego masona i wyznawcy doktryn satanistycznych, od dziecka widuje się niecodzienne zabawy. Dość rzec, że w wieku czternastu lat posmakowałem wyjątkowo urodziwej pokojówki, z którą mój ojciec zabawiał się regularnie. Od tej pory pęd za seksualną przyjemnością zdominował me młodościowe lata. Przed wywaleniem mnie ze szkoły z internatem za narkotyki i mini-orgie w kwatery chroniła mnie tylko reputacja i pieniądze ojca. No, sobotnie wieczorki z lubiącą być wiązaną nauczycielką też co nieco dały... gdy ojciec "sprezentował" mi po ukończeniu szkoły szefostwo nad jedną ze swoich rozlicznych firm, byłem już stałym klientem każdego przybytku oferującego nielegalne rozrywki w mieście i kilku sąsiednich metropoliach. Kaucje, jakie wpłacono na mnie, gdy wpadałem, wystarczają do kupienia małego państwa. Raz, po wielokrotnym gwałcie, prawie udało im się mnie udupić, ale usmażyli na krześle tylko kilku moich kumpi. Odkąd zmarł ojciec... Nie miałem ŻADNYCH hamulców. Udało mi się pośrednio nawet wywołać konflikt religijno-społeczny w jakimś islamskim kraiku. Zabawnie było oglądać wiadomości.

Tak, jestem chory. Nietrudno chyba zauważyć.

Jak zwykle w pracy, siedzę sobie z nogami chamsko rozwalonymi na stronie. Na stole leży zwyczajowa księgowość moich firm. Na podłodze, obok mego luksusowego i bardzo drogiego fotela, leży bilans przychodu z handlu żywymi organami wprost z Korei. W komputerze mam otwarte aplikacje obliczające ilości przehandlowanych przez jedną z moich firm drogich perfum i piracką stronę internetową z BARDZO wymyślną pornografią, która nie wywołała we mnie nawet cienia podniecenia. Udaję, że coś robię, ale nuda doskwiera. Nie wiem, co robić wieczorem - pojechać na nielegalne walki psów czy na kolację z moją wyjątkowo głupią i wyjątkowo cypatą narzeczoną? Nie wiem, obie perspektywy są tak interesujące jak wykłady z istotności spółgłosek w idiomatyce języka Eskimosów. Siedzę. Siedzę. Chyba zaraz umrę z znużenia. Gdy podpisuję najdroższą odmianę francuskiego wina, jaką dało się wynaleźć, ktoś puka do drzwi.

- Wejść - krzyczę, dla samej przyjemności nakrzyczenia na gościa.

Wchodzi jakiś małolat. W stroju kuriera, śmierdzi smogiem. Aż zmarszczyłem nos, mam bardzo wrażliwe powonienie, od najmłodszych czasów przyzwyczajane do perfum. Mam ochotę podejść do gościa i wywalić mu z mojej stylowej, oryginalnej laseczki lordowskiej z lat dwudziestych, mojego ulubionego ostatnio kaprysu, ale powstrzymałem się. Może przyniósł coś zabawnego?

- Co dla mnie masz? Szybko!

- Tylko to - podszedł do biurka i wręczył mi do ręki jakąś wizytówkę. Popatrzyłem, było na niej napisane tylko KLUB STARSZYCH ELEGANTÓW i jakiś podmiejski adres. Nic więcej.

- Tylko tyle?

- Tak, proszę pana.

- Kto płaci krocie kasy najlepszej i najszybszej firmie kurierskiej, by dostarczyła zwykłą wizytówkę?

- Nie wiem, proszę pana, ja tylko rozwożę...

- Wyjdź natychmiast! Bo zawałam ochronę!

- Ależ...

- JUŻ!!!

Gdy tylko pospiesznie opuścił gabinet z miną idiota, który nie wie, co ma zrobić, wybucham opętającym śmiechem przedszkolaka, który właśnie komuś zrobił paskudnego psikusa. Potem szybko się opanowałem i począłem oglądać wizytówkę. Dziwne, zjeżdżałem już wszystkie legalne i nielegalne snobistyczne organizacje, a o tym klubie nic nie słyszałem.

Potem szybko przerywam, bo najnowocześniejszy panoramiczny telewizor na ścianie biura nadał właśnie reportaż o mnie.

Szatan na szefowskim stołku, co za beznadziejny dziennikarz wymyślił ten tytuł?

To takie schematyczne...

Szukałem wzmianek o tym klubie po całej Sieci, ale nic. Nie mają strony, nikt nie dyskutuje o nich na forach i innych wynalazkach, nawet na tych najnielegalniejszych stronach, co cudem ostały się w trakcie akcji policyjnych, nie było nic. Kompletna dysegzystencja.

Zaczyna mnie to interesować. To już coś.

Postanowiłem wybrać się w sobotę pod adres z wizytówki.

I tak nie było nic ciekawego zaplanowane. Ile można się lubieżnie patrzeć na nagie lesbijki? Zapowiadała się przynajmniej jakaś alternatywa.

Wieczór. Wybrałem jednak opcję kolacji, choć perspektywa rozmowy na "poziomie" z moją lubą napawała mnie obrzydzeniem. Jednak jej ojciec mógłby nie być zadowolony tym, że poza alkową w ogóle się z nią nie spotykam, a że moja firma ma z jego firmą korzystną transakcję... Siedzę więc, w ekskluzywnej restauracji, otoczony elitą tego potępionego miasta. Zajadam się kawiozem, popijam najlepszym winem. Sandra jak zwykle pieprzy o niczym, czego, niestety, można było się spodziewać. Ograniczam się do potakiwania i do niemego podziwiania kroju jej dekoltu. A ona gada, gada, gada...

- Kochanie, a może wybralibyśmy się w przyszły czwartek do DeCarmona, na kolację literatów?

- A co nam po kolacji dla literatów, Sandro? Co mamy tam do roboty? (I tak w życiu nie przeczytałaś żadnej książki o poziomie

wyższym od taniego romansidła...)

- Ale będzie tam Sara, Glenn, Mercedes... Mam taką nową sukienkę...

Gada. Gada. Gada. Potok idiotyzmu. Gdyby nie miała piersi i bogatego ojca, już by mnie tu nie było. Lustruje twarz wkoło. Elity, sami bogacze. Syn burmistrza. Siedzi z jakąś przytłustą córeczką któregoś z bogatych właścicieli konsorcjów. Ziewa ukradkiem. Przedwcześniej zabawiał się w znanym klubie dla fetyszystów, więc tak jak ja tylko czeka, żeby się stąd wyrwać. Nie żebym czuł jakieś braterstwo z nim, ale go rozumiem przynajmniej. Profesor Heisenberg. Rozmawia z towarzyszami o swoich badaniach. Każdy z nich pewnie wie, że Heisenberg bada dogłębnie także smak krwi- jest hemofilem i co tydzień nacina piękne kobiety wynajęte do tego celu za niebagatelne pieniądze i pije ich krew. Ot co, podstarzały wampir-wannabe z tytułem, żalosne. Pani Karloff, znana wdówka, śmieje się z dowcipu jakiegoś gacha. Jest biseksualistką i w jej willi goszczą zarówno kobiety jak i panowie z towarzystwa. Pan Jemensen, kłusownik dla zabawy. Johnny Hansen, morderca prostytutki, niewinny za kasę swej matki, wdowy po producencie akcesoriów komputerowych.

Czasem myślę, że w mej perwersji nie jestem aż tak osamotniony.

Sandra nadal prowadzi o dylematach na temat nowej sukienki, a ja ledwo unikam ziewnięcia. Dochodzę wzrokiem do Sama Peckinsa, siedzi z jakąś kobietą, o ładnie prezentujących się plecach i nogach. Patrzę chwilę i nagle, ignorując towarzysza, kobieta odwraca się do mnie i patrzy, prosto we mnie. Zjawiskowa uroda, dzika i subtelna, elegancka-jednocześnie. Zielone oczy przeszywają mnie - tak, bezbłędnie, nikogo innego - to spojrzenie nie jest przypadkowe. Patrzę więc także i głębia jej wzroku zaskakuje mnie. Świat wkoło zatrzymał się jakby, zwolnił. Nasze spojrzenia przeszywają jak włócznie; i ona, i ja skupieni na sobie. Uśmiecha się. Potem, mrugnawszy do mnie okiem, odwraca się do swego towarzysza i kontynuują rozmowę, jakby nie została przetrwana. Świat przyspiesza do normalności, a ja doznaję dziwnego uczucia pewności, iż znam tą panią.

- Kochanie - oburzonym tonem mówi Sandra - mam wrażenie, że nasz związek zaczyna się robić zimny. Czy twoje uczucia zmieniły się jakoś?

- Ależ Sandro, kocham cię mocniej niż kiedykolwiek. (Kochałbym jeszcze bardziej, jakbyś zgodziła się na zabawy sado-maso w łóżku) Nic złego nam nie grozi, nie myśl nigdy, że cię nie kocham - całuję ją mocno i długo zwieram me wargi z jej plastycznie korygowanymi wargami. (Jej małemu umysłowi pocałunek starczy za ekwiwalent uczuć)

Zanim zdążyłem oderwać się od mojej małej idiotki, tamta zdążyła zniknąć z restauracji.

Mieście kiedyś taki sen, niepokojący i kojący jednocześnie? Sen o tym, że wszystko jest już pod waszą ręką, dostępne nieskończenie i skończenie tak bardzo, że rozrywa was pomiędzy radością a krzykiem? I, jesteście pewni, to jest prawda, teraz lub potem, czas nie ma znaczenia. I jest to nieubłagalne, tak bezlitosne, a jednocześnie porywające. Tak jakby rozkosz ulokowała się w pustce i przejęła część jej zimnej istoty.

Ja mam taki sen często.

Coraz częściej.

Kierowca dojeżdża do willi, która okazała się być naszym celem. Jedziemy chwilę długim, elegancko wybrukowanym podjazdem, zajeżdżamy pod sam dom. Wychodzę i oglądam budynek. Brawa za gust właściciela, budownictwo w stylu jeszcze sprzed I wojny, ładna renowacja, nienagannie utrzymane. Cmokam z uznaniem, po czym oddelegowuję mego kierowcę, wezwę go po wizycie. Niech ma trochę wolnego, haruje jak wół, ma dużą rodzinę. Wiem, bo pozbawiłem niedawno dziewictwa już trzecią jego córkę, równo w jej osiemnaste urodziny. Czekalem, nie jestem pedofilem... Ale była uroczna. No i straszną satysfakcję sprawiło mi patrzeć na jego twarz, kiedy opowiedziałem ze szczegółami, jakie seksualnych zabaw nauczyłem jego córeczki. A on nie może mi nic zrobić, potrzebuje wykarmić, to co płodził. Smutne... Ale pograżam się w myślach, a tu ktoś otworzył drzwi i zaprasza do środka.

- Witam. Pan Seldom przyjąłby pana od razu, ale zapadł nieco na zdrowiu i musi zakończyć wizytę lekarską. Bardzo za to przeprasza i sugeruje uprzejmie, aby zapoznał się pan z klubowiczami i wystrojem wnętrza.

- A kim jest, jeśli można, pan Seldom, nie jestem pedofilem... Ale była uroczna.

- Lord Adam Seldom jest przewodniczącym Klubu Starszych Elegantów.

- Aha, dużo mi to powiedziało...

- Zaprowadzić pana na pokoje gościnne?

- Jeśli musisz...

Lokaj poprosił o podążanie za sobą, więc ruszam przez jasne pokoiki ogromnego domu. Po zostawieniu płaszcza w olbrzymim pokoju-szatni wchodzimy do przerażająco wielkiego hallu, całkowicie pustego i pozbawionego mebli.

- Tu, jeśli pan pozwoli, zostawię pana. Pokoje gościnne to te wszystkie drzwi wokół. Tam klubowicze właśnie spędzają miło popołudnie. Gdy pan Seldom skończy się kurować, przybędę po pana.

Cisnie mi się na usta złośliwa uwaga, ale powstrzymuję się, lepiej nie obrażać służby gospodarza, gdy się go jeszcze nie zna. Może być do niej przywiązany. Stukam tylko nerwowo mą zabytkową laseczką o posadzkę, gdy ten odchodzi w górę schodów i znika w korytarzu. Trudno, czekam chwilęczkę, po czym wchodzę do pierwszego pokoju od lewej. Pokoik jest duży i ładnie umeblowany. Przy stole jacyś czterej starsi panowie w Armanich tną w pokera. Witam się, oni grzecznie odpowiadają i wracają do gry. Ignoruję ich, gdyż w północnej ścianie są drzwi. Naciskam klamkę, otwarte.

Kolejny pokój był identyczny. Z tym, że zasłony w oknach były zasłonięte. I u sufitu wisiała przywiązana za dłonie do żyrandola kobieta. Naga. Ładna. U jej stóp kłębało kilka postaci. Głowami sięgało ku niej kilka postaci, kobiet i mężczyzn, starych i młodych, liżąc... różne partie jej ciała. Ona jęczała ekstatycznie po każdym dotknięciu języka.

Zobaczyłem kolejne drzwi w północnej ścianie.

Przeszedłem obok nich, bez słowa zastanawiając się, jak ta kobieta wytrzymuje wiszenie za nadgarstki. Kolejny pokoik także był identyczny. Zasłony były zasłonięte. Stoje i oglądam, gdyż w pokoiku rozgrywa się przekomiczna scenka rodzajowa. Trzy urodziwe panie, ubrane w lateksowe akcesoria, gorsety i tego typu stuff, stoją w trójkącie równobocznym. Między nimi biega, nagi i z kałgancem na ustach, ujadając rozpaczliwie, starszy mężczyzna, który niebezpiecznie przypomina... burmistrza miasta. Panie biją go intensywnie i sprawnie wierzbowymi witkami. Stereotypowe...

Kolejne drzwi na północy. Domyślam się konstrukcji. Hall otacza szereg pomieszczeń, dokładnie okala go z każdej strony. Może ich być bardzo dużo, gdyż hall jest obszerny. Ten, do którego wchodzę, zajmują starsi panowie w garniturach. Siedzą przy stole i zajądają się słodkościami, rozmawiają o giełdzie i polityce. Jedynym niecodziennym elementem scenki jest młody mężczyzna w damskiej bieliźnie, podający im tace z nowymi frykasami.

Witam się i podążam pospiesznie do kolejnych drzwi.

Były różne pokoje - ciemne, jasne, wilgotne, ciepłe. Niektóre wydawały się nie pasować do willi, do jej układu i piękna. Jakby jakiś groteskowy architekt dodawał niepożądane klocki do układanki. W każdym pokoju panowała mistyczna atmosfera rozkoszy, można było ją chłonąć całym ciałem. Ale, oczywiście, ta rozkosz nie była zdrowa... Czyli była taka, jaka powinna być. W niektórych pomieszczeniach rozgrywały się dantejskie sceny. Jedno było tak ciemne, że szybko, w mroku nieprzeniknionym, macałem za drzwiami. A szukałem ich tak szybko, bo w ciemności wyczuwałem przytłaczającą, ostrą woń... krwi. Niektóre pokoje przypominały swoisty freak show - cyrkowe, groteskowe kreatury-mutanty czy inne potępione strzępy ludzi - uprawiały seks z członkami "klubu". Inne pokoje wyglądały jak dom Bachusa - starzy, dystyngowani panowie upijali się tam do nieprzytomności najlepszymi trunkami, których setki, kosztujące zapewne miliony, zastawiały obecne tam półki. Jeden z pokoiów był nienaturalnie duży, z podestem a la scena, na którym rozgrywał się jakiś ponury dramat, a raczej kabaret, z ludźmi jak marionetki sterowanymi na sznurkach z kon-

strukcji podwieszanej pod sufitem przez jakieś niewidoczne ręce. W innym w mroku wiły się węże, prawdziwe węże, owijając jakąś grubą kobietę, która jęczała z rozkoszy, gdy sploty łuski sunęły po jej ciele. W innym był tylko samotny malarz przy płótnie. Gdy spojrzęłam na powstające malowidło, zobaczyłem jakieś infernalne i pełne krwi wizje.

Niektóre pokoje były puste, ale tam było najdziwniej. Za każdym razem, gdy trafiałem do takiego niezaludnionego pokoiku, czułem jakąś porażającą, niesamowicie intensywną obecność, jakby ktoś stał obok mnie. Ściany miały nie tylko oczy, ale i wolę.

Pokoje wywoływały we mnie obrzydzenie, niektóre wręcz druzgocąco zaprzeczały mojemu poczuciu estetyki, wysmakowanemu i wyuczonemu przez lata. Inne były piękne, tak piękne, że aż zapiera dech. Widziałem w nich straszne istoty, niemal nieludzi, obłeńskie karły, zdeformowane kobiety, gnijących od środka starców. Ale było też tam mnóstwo pięknych kobiet, do odurzenia pięknych, ich urodą można by się upijać. One kusily, ukazywały małe raje, słodkie i piękne, ale też złe do cna, pod zasłoną sielanki. Takie, jak ja kocham najbardziej. W niektórych pokojach nie mogłem wytrzymać sekundy. W innych chciałbym zostać wieki. Rozkosz ukazywała obie swe strony gościom tej dziwnej posiadłości.

Pokoje ciągnęły się jak labirynt, jakby to nie była zwykła rezydencja, lecz jakiś zapomniany, zakazany kompleks, kompleks jam zła, mini-światów ekstazy.

Prawie godzinę wędrowałem tymi pokoikami. A było ich dużo. I w niemal każdym widziałem ekstremalne nagromadzenie perwersji, zbrodni i wyszukanych sposobów na odczuwanie rozkoszy. Za większość można było dostać co najmniej dożywocie, widziałem tam gwałty i narkotyki, inne tego typu przeciwieństwa waszej etyki. Widziałem tam nawet kilka rzeczy, które MI były jeszcze nieznane, a moja wyobraźnia jest bogata. Sama świadomość, że takie jeszcze istnieją, podnieciła mnie nieźle. Hmm... te chińskie tortury. Jak ja mogłem jeszcze tego nie spróbować?

Właśnie wychodzę z ostatniego pokoju, a pierwszego licząc od prawej. Hall nadal jest pusty. Cisza zalega w domu, ściany nie przepuszczają do hallu z pokoi ekstatycznych jęków "klubowiczów". Czuje się zezłoszczony, że nikt mną się jeszcze nie zajął. Czekam. Nagle dywan pode mną zapada się i niespodziewanie zaczynam lecieć w dół.

Ładuję na słomie! Tfu, JA na słomie. Jest ciemno, nic nie widzę, czuje tylko wilgoć wkoło. Zanim oczy przyzwyczajają się do światła, czuje czyjeś dłonie na sobie. Wiele dłoni. Rozbierają mnie, ciągną za spodnie, marynarkę.

- Hej, to Armani, prymi...

Nie zdążyłem dokończyć, ktoś przyłożył mi do ust maskę tlenową. Poczulem śmieszny zapach i nagle świadomość ulotniła się gdzieś.

Ognie palą się wkoło, a ja w kręgu siedzę, na wysokim podeście. Ciemne sylwetki wkoło, straszne i przyciągające. Czuję zew, potężny zew rozkoszy. Delektuję się zewem i pragnę opowiedzieć. Wyciągam ręce ku obiektom pożądania, nieokreślonej przyjemności, ale spadam z wzniesienia, w tłum czarnych rąk...

Obudziłem się, na słomie. Jestem nagi, zimno mi, a to nigdy jeszcze nie zdarzyło się, chyba że jako część jakiejś rozrywki. Poczulem się zażenowany i zły. Oczy już widzą co nieco. Znajduję się w jakiejś kamiennej klitce o podłodze wyłożonej rzeczoną słomą. Nade mną widzę zarysy kraty, tędy zleciałem. Przede mną są metalowe drzwi, zapewne zamknięte.

Jakby się wymknąć? Sytuację mam patową...

Po kwadransie z rozmyślenia wyrwał mnie szczęk klucza w zamku. Drzwi otworzyły się, wstają i gotują się do walki. W drzwiach ukazuje się wysoki, szpakowaty mężczyzna. Jest ubrany w długą, czarną szatę. Spod jej kołnierza wystawał kołnierzyk od białej koszuli.

- Nie próbuj walki, jest nas wielu... tutaj.

- Dobra, a co będzie dalej?

- Zobaczysz, jeśli pójdziesz ze mną.

- Dasz mi ubranie?

- Jest ci zbędne.

- Hej...

Ale on ruszył. Chcąc nie chcąc ruszam za nim. Za drzwiami jest korytarz, na pozór pusty, ale w ścianach są otworki i zdaje mi się, że kilka par oczu obserwuje wnętrze przez nie. Idę za kolesiem, korytarz jest oświetlony pochodniami, ale nie próbuję wyrwać żadnej. Chyba trafiłem na sektę z gatunku "uwaga, lubią sztyletować".

Korytarz kończył się kolejnymi drzwiami. Przechodzimy przez nie.

Za nimi znajduje się duża, oświetlona świecami sala. Zajmuje ją krąg skupionych wokół czegoś, zakapturzonych, czarnych "mni-chów". Gdy podchodzimy z mym przewodnikiem, tłum się rozstępuje. Widzę teraz, że skupiają się wokół marmurowego podestu, na którym leży naga dziewczyna. No tak, można się było spodziewać... Nie mam czasu na dalsze kontemplacje, gdyż tłum domorosłych "satanistów" porywa mnie i transportuje na miejsce obok podestu, obmacując nachalnie me nagie, dość zadbane dodajmy, ciało. Gdy jestem na miejscu, wykorzystuję okazję, by obejrzeć dziewczoję.

Przywiązaną do podestu jest Sandra, moja narzeczona.

Tak, to ona. Blond loki, duże piersi, które tak chętnie obmacywałem. Zakneblowana (nie może gadać już głupot) i związana za ręce i nogi, przez brzuch przewiązana liną, sprawnie przytroczoną do podestu. Trochę ją obili. Wydaje się nie dostrzegać mnie. Nagle obok mnie staje jakiś bardzo stary facet w fioletowej szacie i w kapturze. Odzywa się słabym, świszczącym głosem:

- Witaj i weź - podaje mi ogromne ostrze, o zdobionej listkami winnymi rękojeści, zdobione dziełko sztuki o zabójczym wykończeniu stałą - to narzędzie.

- Czy wam chodzi o...

- Zabij ją teraz, przeszyj jej pierś - kultysta zdawał się podniecać własnymi słowami.

- O nie, nie. Jestem dewiantem, ale nie plamię się krwią osobiście. Szczególnie własnej narzeczonej. Ja się do kultu nie piszę, sami...

- Widzisz tu jakieś wyjście? Musisz ją zabić, głupcze.

- Nie...

- Tak!

Ludzie wkoło, zakapturzeni, falują, wzdychają z oburzenia. Głosy ich, ciche i nieubłagane, zmuszają do zbrodni i obiecują jakieś zimne, ziemskie piekła, jeśli zawiodę

Zmuszony obecnością tłumy niezbyt sympatycznych panów, którzy przeszywają mi wzrokiem plecy, podchodzę z nożem do Sandry. Ona odwraca ku mnie głowę. Patrzy z nadzieją. Nie zrobię tego przecież, myślę sobie. To NIE bawi.

- ZABIJ!!! - krzyczą kaptownicy.

Nie... unoszę ostrze pod presją. Spogląda mi w oczy, ufność pokładana we mnie zmienia się w przerażenie tak zwierzęco proste... Patrząc osłupiał i nagle... w mej głowie... moja siła i dominacja, zawiedzenie ostatniej nadziei osoby bez szans na ratunek... i to, że kiedyś myślała, że się bardzo kochamy... na Boga, ta sytuacja zaczyna mnie... podniecać!

Zanim zdążyłem mrugnąć, ma ręka sama wbiła sztylet w jej pierś. Serce zamarło.

Poczulem się niebiańsko. Tłum zaczął klaskać.

Nagle porwał mnie znowu tłum dłoni. Lecę jak na jakimś koncercie, niesiony falą rąk. Stawiają mnie przy ścianie, z rękoma we

krwi, oszołomionego nowym doświadczeniem. Sala cichnie wraz z ostatnim oddechem Sandry. Patrę się tępo na zimny kamień ściany przede mną.

Nagle ściana rozsuwa się jak automatyczne drzwi. W środku jest... kabina nowoczesnej windy. Zostaję wepchnięty do środka i winda rusza.

Winda zatrzymuje się, wysiadam.

Znajduję się w dużej sypialni. Piękne wnętrze, drewniana "tapeta", złozenia na suficie i drogie obrazy na ścianach. Po lewej wielki kominek, rozpalony. Obok niego telewizor, na ekranie sala pełna czarnych kultystów z martwą Sandrą na środku. Bawią się właśnie jej ciałem. Po prawej jest wielkie okno, ukazujące panoramę dzikiego, nieuporządkowanego parku wokół willi. Na ścianie równoległej do windy wielki barek, pełen win i whisky. Przy nim stoi piękna dziewczyna w lateksowym stroju pielęgniarki, spod krótkiej mini wystają podwiązki, łączące się z pończoszkami na jej kształtnych nogach. Na rękach ma rękawiczki chirurga. W jej oczach czai się żądza. Gdy lustruję ją wzrokiem, oblizuje się lubieżnie. Znam ją, ona była wtedy w restauracji. Nie daje jednak po sobie poznać, jak jestem zaskoczony. Na wprost niej, tuż przede mną, zajmuje środek ogromne łóżo z baldachimem, bogato zdobione i wyłożone czerwona materią, kilkanaście poduszek.

Na łóżu siedzi mężczyzna w przedwojennym szlafroku. Jest stary, bardzo stary, twarz ma wysuszoną i pomarszczoną, ręce z kieliszkiem w ręku trzęsą się lekko. Resztki włosów, plamy na skórze. Tylko oczy głęboko zielone, tchnące lisia przebiegłością.

- Rita, wyjdź, zostaw nas - odzywa się stanowczo do dziewczyny, głosem nie znającym sprzeciwu i mocnym, nie pasującym do wiekowego oblicza. Ona słucha, zostaje sam na sam ze starym. On pokazuje mi ręką, bym zajął fotel obok łóża. Siadam.

- Pan Adam Seldom, jak sądzę?

- Tak, ale daruj sobie ceremoniał. Oczekiwałem cię.

- Mogę ostać ubranie i obmyć dłonie?

- Nie trzeba, tu jest ciepło, a do widoku krwi DAWNO się przyzwyczailem. Brawo. Śpiewając wręcz zdałeś test.

- Jaki test?

- To na dole, ty głupcze. Próbę noża!

- To był test?

- To była ostateczna próba twych kwalifikacji. Może wina? Naprawdę boski rocznik.

- Tak, proszę - stary podniósł się, zaskakująco sprawnie podszedł do barku i nalał wina do dwóch kieliszków. Wrócił, podał mi wino i usiadł na łóżu. - Jakie moje kwalifikacje sprawdzaliście?

- Kwalifikacje do twego nowego zajęcia.

- Nie wiem nic o żadnym moim zajęciu? Oświeć mnie, panie Seldom, co ja mam niby robić?

- Zając moje miejsce.

- Ja? Jako prezesa tego "klubu"?

- Niekoniecznie - stary wstaje i podchodzi do okna. - Jako faktycznego, nieoficjalnego prezesa... tej planety!

Wybucham gromkim i szczerym śmiechem.

- Nie, mówię teraz poważnie. Czy myślisz, że przypadkiem się tu znalazłeś? Masz niesamowite szczęście. Siedzisz i pijesz wino z osobą, z którą nikt nie chce się spotkać, ale każdy mimochodem jej służy...

- Czyli z...?

- Z Szatanem.

- Co? - niemal zakrztusiłem się winem. - Masz mnie za głupca?

- Myślisz naprawdę, iż jestem starym przywódcą jakiejś durnej sekty?

Odwrócił się. Nagle robi mi się zimno nie wiem, czemu. Kominek nadal płonie. Za oknem światło jakby przyciemnia się. Patrę w oczy starego, ich zieleń wciaga.

Nagle...

- STARCZY, Boże, przestań! Co ty robisz? Co widziałem?

- Przedsmak wieczności, mój przyjacielu.

- Ty... nie. Nie wierzę.

- Musisz. Mogę zrobić znacznie więcej, jeśli wolisz.

- NIE! Starczy. Słucham cię już grzecznie. Czego ode mnie chcesz?

- Jak już mówiłem - stary siada na łóżu - Chcę byś zajął me miejsce.

- Zaraz. Jeśli dobrze rozumiem, mam zająć twoje miejsce i stać się... Diabłem?

- Nie używaj tego ludycznego i pospolitego miana, jesteśmy istotami na poziomie. Urzędowo zwę się Szatan, ale jak wolisz, jestem Samael, Jad Boga. Tak, chcę, byś zajął me miejsce.

- Hej, znam swoją wartość i pochlebiasz mi, ale... o co ci właściwie chodzi?

- Ech, tłumaczenia. Każdy taki jak ty nie pytałby nawet. Dobrze, objaśnię.

Siadł po turecku, wyjął z kieszeni cygaro i zapalniczkę i zapala je

- No więc, od początku Ziemi rządzą Piekłem, jak wiesz zapewne z Biblii. Wypędzono mnie z Niebios, więc logiczne jest, że założyłem konkurencyjny interes - dym z cygara wypełnia wonią otoczenie - i od czasu Ewy, której hojnie obdarzone przez mego konkurenta córki tak adorujesz, kuszę, zwodzę i generalnie podkopuję boski plan. Znam tysiące, miliony dróg grzechu, tworzę i sam zaznam NIESKOŃCZONYCH rozkoszy.

- Więc w czym haczyk?

- W zmęczeniu materiału. Całe eony istnienia to dużo. Toczenie wiecznej batalii wymaga cierpliwości. Tylko widzisz, mi to już wszystko zbrzydło. Zawsze działać, zawsze zwodzić, czynić zło całej planety swoją domeną. Rozkosze, zabawy, bunt, to było zajmujące, ale tysiąclecia to dużo czasu. Apokalipsy jak nie było, tak nie ma, Bóg siedzi sobie na górze i bimba na wszystko, a ja dźwigam ciężar opieki nad planetą na sobie, ciągle musząc obdarowywać ją zapobiegającym stagnacji grzechem. To może męczyć, a ja jestem niewyobrażalnie stary, widziałem Wielki Wybuch i początki BYCIA.

- Interesujące...

- Widzisz, kiedyś było inaczej. Byłem, jakby to rzec, idealistą. Wiecznym buntownikiem, panem rozkoszy. Wierzyłem, że Boga da się podkopać. Prowadziłem świętą wojnę. I widzisz, że niezbyt blisko do jej rozstrzygnięcia. Teraz czasy są inne. Kiedyś moimi sługami i przyjaciółmi byli ludzie oddani sprawie, cierpiący za drogą potępienia, świadomi wagi swych uczynków. Ale ostatnie wieki przyniosły, że tak się wyrażę, komercje mej drogi. Zamiast zdesperowanych i szukających prawdy, teraz do mnie zwracają się znudzeni biznesmeni i żądne wrażeń małolactwo. Z Pana Światła i Prawdy przerodziłem się w swoistą atrakcję dla zdeprawowanych bogaczy. I nikt inny mnie nie chce... Widzisz, wasza epoka mnie przerosła i nie czuje się dobrze. Grzech stał się wam tak powszechny i zwyczajny, że nie potrzeba mnie do podszeptowania i zwodzenia. Stałem się zbędnym...

- I gdzie w tym moja partia?

- Ty jesteś inny. Jesteś najbardziej zdeprawowaną duszą, jaką znalazłem, ale nie pozbawioną sprytu, inteligencji i elegancji. Widzisz, ja jestem stary elegant, dbam o estetykę i klasę. W tym jesteśmy podobni. Ty jednak jesteś dzieckiem tych nowych czasów, rozumiesz ten "trend", tę nową twarz grzechu. Jesteś jednym z tych nędznych perwersów, ale ty masz jednocześnie to, o czym oni już zapominają - styl. Ty nawet pełzając przed bijącą cię dominą masz szarm i godność. I to sprawiło, że tu jesteś. Ja nie nadaję się do XXI wieku, jestem niepoprawnym idealistą i nie odnajduję się w waszej dżungli. Ty będziesz idealny. Gdy spełniłeś próbę, udowodniłeś, że z morderstwa bliskiej osoby możesz wziąć przyjemność i zimno nie mrugnąć nawet, wiem już, że jesteś perfek-

cyjny. Ja chcę emerytury, spokoju, jest tyle światów do zwiedzenia... poza tym, chcę ujrzeć minę Adonai, gdy spojrzy w Piekło i mnie nie zastanie, to będzie szok.

- Ale skoro ty się tak zawiodłeś, jaki jest gwarant, że ze mną nie będzie tak samo?

- Ty jesteś bardziej przywiązany do rozkoszy i nawet nie wiesz, ile z niej jeszcze nie posmakowałeś. Biorąc mój urząd, dostajesz dostęp do wiecznej przyjemności, a z twoją wyobraźnią horyzonty masz nieograniczone. Roboty jest niewiele, teraz ludzkość, politycy i telewizja sami cię wyręczają, nie musisz kiwnąć palcem. Tylko siedzisz i karmisz zmysły. Nie podnieca cię to? Widzę, że tak...

Zaciąga się cygarem, teraz wydaje się młodszy, weselszy.

- To jak z umową? Daję ci władzę, bezdenne moce, niezły stołek, możliwość ingerowania w tryby tego świata, właściwie bycie jego osią, bo wszystko kręci się wokół grzechu. Daję szlachetny, anielski rodowód i nieśmiertelność, wiedzę ponad poznanie i wiele innych aspektów mojej egzystencji, których nawet nie zrozumiesz. Jak, umowa?

Wyciąga do mnie dłoń. Myślę, głaszcząc bródkę zakrwawioną dłonią. On patrzy z wyczekiwaniem, ogień płonie na dnie jego oczu niemal jak w kominku obok nas. Szatan niecierpliwie patrzy na mnie. Samael, eon, najsilniejszy anioł Boga. Myślę, poważnie i głęboko. Wtem na mej twarzy rozkwita iście diaboliczny uśmiech.

- Mówiłeś o NIESKOŃCZONYCH rozkoszach, tak?

*„Passion is a strict lord
He is also its humble slave”
Arcturus „Master of Disguise”*

M.BIZARRE (Mareck)

Brightwitch ::: Opowieść z wyspy Lesbos

Pierwszy dotyk. Radość ze spotkania dwóch dłoni. Najczulsza ze wszystkich pieszczota koniuszków palców...

Iwona uśmiecha się na wspomnienie tamtej chwili. Na Agatę zwróciła uwagę od razu. Spodobały jej się brązowe oczy Agaty, czarne włosy do ramion. I uśmiech. Uśmiech, w którym bez wątpienia ktoś zamknął słońce. Tak ciepłego, jasnego uśmiechu Agata nie widziała nigdy...

Ten uśmiech trwał w pamięci Iwony. Zrósł się z nią. Stał się jej dobrym duchem. Motywem przewodnim. Motorem do działania. Nadzieją. Wszystkim, co niesło otuchę. I ból. Iwona pragnęła tego uśmiechu. Chciała, żeby był jej.

I właśnie wtedy Agata podeszła do Iwony. Tak zwyczajnie. Iwonie przemknęło przez myśl, że ona by się na to nie odważyła, ale szybko zapomniała o swoich obawach. Agata wyciągnęła dłoń, przedstawiła się, powiedziała kilka grzecznościowych formułek. Powiedziała też coś, co sprawiło, że świat na chwilę wstrzymał oddech. Przynajmniej świat Iwony... Powiedziała: Ja też od razu zwróciłam na ciebie uwagę. A potem zaprosiła Iwonę do pobliskiego baru. Bar był zwyczajny, może nawet zaniedbany. Ale Iwonie wydawał się najpiękniejszym miejscem. Długo rozmawiały. O życiu, swoich doświadczeniach, nawet, o dziwo, o polityce. Jakby chciały wchłonąć wzajemnie swoje poglądy, zainteresowania. Jakby od tego zależał los ludzkości. Kiedy się rozstały Iwona czuła jakby straciła ważny narząd. Serce. Albo żołądek. Choć, czy żołądek jest taki ważny? - myślała Iwona naiwnie. Chciała tylko zobaczyć Agatę jeszcze raz. Trudno uwierzyć, ale przez szczęście, które czuła przebiegała się tęsknota. Przecież przed chwilą ją widziała - Iwona zgaśniła się w myślach.

Zasnęła z obrazem delikatnej dziewczyny przed oczami.

Następnego dnia znowu się spotkały. I następnego. I jeszcze jednego. I jeszcze. I jeszcze. I... Iwona przestała liczyć. Dla niej te spotkania stały się tym, czym dla wierzących modlitwy. Stały się możliwością zjednoczenia z bóstwem. Możliwością zjednoczenia. Możliwością zjednoczenia. Iwona żyła tylko tymi chwilami. A kiedy się kończyły żyła wspomnieniami tych chwil. Często budziła się w nocy. Szukała wtedy w rozgrzanej pościeli swoich wyobrażeń. Szukała słońca. Agata była słońcem...

Czasami Iwonie było trudno. Łóżko wydawało się za duże, zimne. Przesuwała dłonią po brzuchu chcąc ugasić tęsknotę. Ciało nie słuchało jej prośb. Próbowала zasnąć, ale gdy tylko zamykała oczy widziała ogień. Trawił ją. Albo widziała ciemność. Oplatała ją szczelnie. Każdy skrawek ciała. Niekiedy widziała też ogromne usta. Natarczywe, brutalne. Chciały ją wchłonąć. Agata.

- Jesteś mi potrzebna. - powiedziała Agata. Odgarnęła kosmyk blond włosów z czoła Iwony. Wpatrywała się w jej twarz, jakby zamknęto w niej tajemnicę długowieczności. Ludzie zawsze łaknęli życia, a Agata wierzyła, że dostanie swoją szansę na życie. Iwona poczuła się zmieszana. Nie rozumiała tych słów. Nie rozumiała siebie. Pocałowała Agatę.

Pierwszy pocałunek. Światło. Dużo światła. Jakby ktoś pozapalał wszystko, co tylko można było zapalić. Iwona poczuła ciepło gdzieś w środku swojego ciała. Nigdy się tak nie czuła.

- Ja... ja nie jestem... nie mogę być... - jęczała Iwona. Ciągle jeszcze czuła wargi Agaty. Takie, jakich pragnęła każdej nocy. Nagle zaczęła się bać tego, co odkryła w sobie. Agata przytuliła ją. Iwona odzyskała spokój ducha. Świat stracił stabilność na chwilę, ale teraz znowu był normalnym światem. Światem Iwony. Światem jej straconych planów. Światem jej przyszłości. Jeszcze nie wie, co z nią będzie. Ale chyba nie może być źle...? Zaproponowała Agacie, żeby się do niej wprowadziła. Nie pomyślała o tym, że to nierozsądne. Pomyślała tylko, że wreszcie łóżko nie będzie za duże. Zimne. Cholernie puste. Już nie będzie się budziła rozpalona, nie mogąc ugasić pragnienia. Już nie będzie przyciskała ust do poduszki.

Bała się trochę. Ich pierwsza wspólna noc. Agata uspokajała ją, mówiła, że mogą poczekać. Ale Iwona nie chciała czekać. Wiedziała już, jak to jest kochać się z mężczyzną. To nie było nic rewelacyjnego. Żaden z jej partnerów nie potrafił dać jej rozkoszy. Przebijali ją. Mocniej. Szybciej. Wolniej. Delikatniej. A potem opadali zmęczeni. Iwonie wydawało się to niedorzeczne. Egoistyczne samce. Agata na pewno uczyni ją szczęśliwą. Jej Agata... Iwona przytuliła się do Agaty. A potem świat zmalował, stał się okrucieństwem, tylko po to, by po chwili wybuchnąć.

Długo leżały w milczeniu. Iwona nie potrafiła zasnąć. Była szczęśliwa. Tak, szczęśliwa. Rozmyślała o tym, co się zdarzyło. I wtedy poczuła lęk. Przedziwną obawę, że coś stało się nieodwołalne, że klamka zapadła i nigdy już nie będzie tak samo. Do tej pory tego nie czuła.

- Nie jestem twoją pierwszą, prawda? - zapytała cicho. Agata usiadła na łóżku. Patrzyła przez chwilę na Iwonę, po czym pochyliła się do jej ucha.

- Pierwszą nie, ale najważniejszą. - uśmiechnęła się odwzajemniając uśmiech Iwony. Znowu milczały. Iwona patrzyła na sufit nad swoją głową.

- Wiesz... Moja mama zawsze chciała, żebym związała się z przystojnym blondynem. Miałam mieć gromadkę śliczniutkich dzieci... Zawsze bałam się ciąży. Nigdy nie lubiłam dzieci... Ona nigdy nie zaakceptuje tego, co teraz się ze mną dzieje... - Iwona poczuła pod powiekami piekące łzy. Zacisnęła oczy. Po policzkach spłynęły jej dwie krople. - A ja chciałabym jej powiedzieć... Jestem taka szczęśliwa! - roześmiała się gwałtownie. Mokre policzki rozciągnęły się w ślad za wargami.

- Moi rodzice już wiedzą. Ojciec przyjął to w miarę spokojnie. Nigdy nie byłam dla niego ważna... - Agata przypomina sobie tamtą chwilę. Zimne oczy ojca, obojętny ton. Ależ, dziecko, powiedział, to tylko twoja sprawa. Mnie od tego nie miesza, mówił. - Matka zaś... matka... - Agacie trudno mówić. Tak chciała mieć w niej oparcie... - Ona nie chciała mnie znać. - Iwona głaszcze swą partnerkę po policzku. Dotyk jej ciepłej dłoni wpływa na Agatę kojąco, bo już po chwili uśmiecha się lekko.

- Uważasz, że nie powinnam mówić tego rodzicom?

- Nie znam ich. - Agata odpowiada cicho. Ciągle ma żal, że zostawiono ją wtedy. Potrzebowała oparcia. Potrzebowała akceptacji.

- Ale sądzę, że byłoby lepiej gdybyś tego nie robiła.

Iwona trudno pogodzić się ze słowami Agaty, choć rozumie ją doskonale. Rozumie nieufność, jaka się w niej zrodziła. Mimo to postanawia porozmawiać ze swymi bliskimi.

Agata obejmuje Iwonę w talii. Szepcze coś. Iwona ruchem głowy przyznaje jej słuszność. Na twarzy Iwony widnieją czarne smugi. Agata przytula mocno Iwonę. Zaciska pięści. Milczą. To milczenie ma dodawać sił, ale Iwona źle się z nim czuje.

- Powiedz coś... - prosi - Czuję się taka samotna.

- To minie, kochanie. Naprawdę. - Wiedziała, że tak będzie, myśli Agata, ale nie chce wypowiadać tego głośno. - Masz mnie, pamiętaj. - szepcze.

- Mam tylko ciebie... - Iwona ociera oczy - Cholera, makijaż mi się rozmazał... - próbuje powiedzieć to hardo, ale łamie jej się głos - Dlaczego ludzie są tacy okrutni...? Dlaczego...? - po jej twarzy znowu spływają łzy. Agata zamyka oczy. Nie wie co powiedzieć, jakich użyć słów. Zaciska pięści mocniej, aż do bólu. Tak chciałaby pokazać matce Iwony, że jest idiotką, że nie można ranić własną głupotą... Ale nie może nic zrobić...

- To było takie... okrutne... - Iwona próbuje wrócić do tamtej chwili, gdy przekroczyła próg swojego byłego domu, gdy już złęk-
niona, ale szczęśliwa opowiadała matce o swoich uczuciach. - Usłyszałam tylko... - milknie na dłuższą chwilę - Wynoś się stąd, tak
powiedziała... Wynoś się dziwko, lesbo jedna... - Agata wykrzywia twarz w ironicznym uśmiechu. Ludzie są tacy głupi, myśli. Całuje
Iwonę lekko. - Nie dała mi żadnych szans... - kontynuuje Iwona - Kiedy zamykałam za sobą drzwi usłyszałam, że jestem nikim...
- Agata zaciska dłonie na ramionach Iwony gwałtownie.
- Nikt nie ma prawa tak mówić! - krzyczy - Nikt, rozumiesz? Jesteś wartościowym człowiekiem, ładną dziewczyną! Nikim może być
tylko ktoś tak głupi jak twoja matka! - Agata czuje, że nie powinna mówić tego ostatniego zdania, ale nie potrafiła zapanować nad
sobą.
- Nie mów tak, proszę... - Iwona opuszcza głowę i w tym geście Agata dostrzega lojalność i miłość. Nie dziwi się temu, wie jak to
jest.
- Przepraszam. - podnosi lekko głowę Iwony - Przepraszam, poniosło mnie. - Ale Iwona nie słucha jej przeprosin. Powtarza tylko
dwa słowa.
- Miałaś rację... Miałaś rację...

Brightwitch

Konrad Staszewski ::: Opowieści z Przeklętej Doliny :: Część 5

"Podróż"

Furman nawet nie zdążył zatrzymać koni, gdy pierwszy mężczyzna wyskoczył na chodnik. Jego, do niedawna jeszcze lśniące, czarne buty rozchlapały kałużę na boki. Ubrany w długi, czarny płaszcz mężczyzna zaklął pod nosem i krzyknął do swoich towarzyszy, aby się pośpieszyli.

- A zapłata? - Zapytał bezceremonialnie furman.

Mężczyzna, który pierwszy wyskoczył na chodnik, odwrócił się do niego myśląc, że to pytanie było skierowane tylko do niego i odparł zaczepnie:

- Za chwilę wracamy. Chyba, że nie chce pan na nas czekać. A może ma pan coś na sumieniu i woli nie stać przed gmachem tej instytucji?

Przy tych słowach mężczyzna w płaszczu spojrzał wymownie na swego rozmówcę. Ten spojrzał tylko na drzwi wejściowe do budynku i nic się już nie odezwał. Nasunął tylko kaptur na głowę, jakby dla niepoznaki.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się pod wąsem i ruszył w stronę wejścia. W międzyczasie z furmanki wysiedli pozostali mężczyźni. Wszyscy wyglądali tak samo, tak samo byli ubrani - jakby należeli do jakiegoś stowarzyszenia. Ale furman wolał nie wiedzieć za dużo. Odetchnął z ulgą gdy wysiedli.

Przyprawiali go o głębię skórki, chociaż sam nie wiedział z jakiego powodu.

- A jeśli go już nie będzie? - Mężczyzna nie był tak pewny siebie jak ten, który rozmawiał z furmanem i teraz siedł tuż przed nim. Był młodszy ale bardzo przypominał go nie tylko z wyglądu. Miał podobne, tylko nieco łagodniejsze rysy twarzy i tak samo zimne i przenikliwe oczy.

- I tak go znajdziemy, synu.

- Panowie do...? - Zagadnął ich strażnik pilnujący parteru. Mężczyźni spojrzeli na siebie równocześnie, po czym przenieśli wzrok na uniform młodego obrońcy prawa. Strażnik poczuł się bardzo nieswojo. Cofnął się o kilka kroków i znalazł się w pomieszczeniu, które służyło za recepcję a z zewnątrz wyglądało jak dobrze zaopatrzony sklep z bronią. Sięgnął pod ladę jakby szukał pistoletu. W rzeczywistości jednak starał się wymacać dłonią dzwonek alarmowy.

- Nie chcieliśmy Pana przestraszyć tym najściem. Szukamy detektywa Mothmana. Wie o naszych odwiedzinach. - Gładko skłamał młodszy z mężczyzn. Gdy wypowiadał te słowa nawet powieka mu nie drgnęła. Sięgnął do kieszeni i wolno, ale zdecydowanie zbliżył się do "budki" strażniczej. Guardianowi, widocznie mało jeszcze doświadczonemu w pracy, kropelki potu wystąpiły na czoło i zaczęły trząść się ręce. Ubrany w płaszcz mężczyzna położył mu na biurku jakąś małą karteczkę. Strażnik spojrzał na nią i odetchnął nieco spokojniej. Mógł się domyśleć, że to prawnicy: świdrujące, zimne oczy i energiczny, zdecydowany chód, zimne rysy twarzy. Obrazu dopełniał ich ubiór - te buty z najlepszej skóry, bawełniane długie płaszcze, teraz rozpięte i śnieżnobiałe koszule musiały kosztować majątek. Jeden z nich miał jakąś teczkę, pewnie z dokumentami. Guardian uspokoił się nieco, przypomniał sobie plotki o Panie J.M., jak mówiono o detektywie Mothmanie, krążące wśród pracowników całej Guardian Street. Może nie powinien się dziwić jego gościom.

- To taka mała klitka na...

- Znajdziemy - Przerwał mu "mężczyzna od wizytówki" i odwrócił się w stronę swoich towarzyszy. Wszyscy w milczeniu ruszyli ku schodom prowadzącym na piętra.

- "Smith'n'Smiths Lawyer Co." mogą mi się jeszcze kiedyś przydać" - Pomyślał strażnik chowając wizytówkę do kieszeni spodni i spojrzał na zegarek stojący na biurku. Otworzył zeszyt i zanotował skrupulatnie godzinę odwiedzin prawników.

Minęli kilka korytarzy i pokoi nim dotarli do gabinetu detektywa. Mijani przez nich pracownicy nie zwracali na nich większej uwagi, widocznie mieli pełne zaufanie do strażnika na parterze, albo byli tak zadufani w sobie, że nikt nie ośmielił się zaatakować w jakimkolwiek sposób siedziby stróżów prawa.

Przybywszy stanęli przed drzwiami detektywa i spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- "A jednak się spóźniliśmy." - Pomyślał Gvidon patrząc na kawałek kartki przyklejony tuż pod metalową plakietką z inicjałami detektywa.

- Kazał posprzątać gabinet. Może ktoś nas uprzedził ale nie sądzę, żeby znalazł rękopis albo zdjęcie, ojcze. Może wejdziemy i sami poszukamy? - Zapytał młodszy z mężczyzn. Pozostali spojrzeli wyczekująco na Gvidona.

- Nie mamy na to czasu Samuelu. Musimy go znaleźć zanim wyjedzie do doliny. Mam dziwne przeczucie, że ktoś mu pomaga.

Zbiegli po schodach na parter i, nie zatrzymując się nawet przy strażniku, wybiegli z budynku. Furman czekał tam, gdzie go zostawili.

- Ruszaj! - Rzucił ostro Gvidon wskazując do furmanki jako ostatni.

- Jedziemy do jego posiadłości? - Stukot kopyt prawie zagłuszył pytanie.

- Nie. Złapiemy go na nabrzeżu.

Furman zrozumiał, że ma się kierować do portu.

Pierwszą myślą, jaka teraz krążyła mu po głowie było jak najszybciej spakować bagaże i odnaleźć Cagliostro. Nic nie zwróciło jego uwagi - ani uchylona furtka na podwórzu, ani ślady błota zostawione na klatce i schodach - a może nie chciał ich widzieć. Myślał tylko co powinien spakować.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie i stanął zaskoczony przed swoim gabinetem, nie mogąc złapać oddechu ani wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Jego wzrok wędrował z jednej zapakowanej i zamkniętej szczelnie skórzanej walizki, na której widniały wyszyte inicjały J.M. na drugą z inicjałami N.M. Pomiędzy nimi widział parę wypolerowanych butów. Ich właściciel stał wparty o grawerowaną laskę ze złotą rączką i uśmiechał się najwyraźniej zadowolony i dumny z siebie.

Detektyw zebrał w sobie resztkę siły i rzucił się na niego i rękami chwycił za kołnierz. Stracili równowagę i wpadli do gabinetu. John przygniótł przeciwnika do ściany i uniósł do góry. Tamten poczerwieniał na twarzy ale nie zmienił wyrazu oczu i nie wypuścił laski z ręki. Żaden wyraz skrzywienia, bólu, złości ani zaskoczenia nie przebiegł przez jego oblicze.

- Gdzie jest moja siostra?! - Wysapał. W jego oczach tliły się iskierki szaleństwa. - Mów, łajdaku!

- W Przeklętej Dolinie. - Wykrztusił z siebie Cagliostro.

- Zabiję Cię!

- Jeśli Ci się uda. - Na wargach hrabiego pojawił się ironiczny uśmiech. - Ale wątpię czy ją wtedy odnajdziesz.

Detektyw puścił Cagliostro, nie chciał popełnić morderstwa, poza tym tylko hrabia wiedział gdzie jest Nikki.

Hrabia poprawił płaszcz. John nie wiedział co ma robić, złapał się za głowę.

- Pomyślałem, że lepiej będzie jak wyjedziemy jeszcze dzisiaj. Spakowałem nasze bagaże.

Słowa hrabiego nieco otrzeźwiły Johna.

- Ale tu jest tylko walizka Nikki i moja a...?

- Moja jest w przechowalni na dworcu. Pociąg mamy za godzinę.

- Ale nie mogę tak zostawić... - Wahał się jeszcze detektyw.

- Tu chodzi o życie Nikki.

John w odpowiedzi chwycił walizki i zbiegł po schodach. Hrabia podążył tuż za nim. Zostawili domostwo na pastwę losu. Detektyw tylko pozamykał drzwi i furtkę. Gdy znaleźli się na ulicy krzykiem wezwali powóz. Wrzucili bagaże na sam tył i wsiedli do środka.

- Zawieź nas na dworzec! Co koń wyskoczy! - Krzyknął John siadając wygodniej. Gdy zamykał drzwiczki usłyszał świst bata i rżenie paru koni. Z miejsca ruszyli galopem.

- Pogoda nam sprzyja. - Rzekł niby od niechcenia Cagliostro. John wyjrzał przez okienko - nawet nie wiedział kiedy słońce zatrzymało się w zenicie.

Ulica w połowie była jeszcze zamarznięta a w połowie już zablocona.

John nic się nie odezwał. Postanowił milczeć całą drogę i przeanalizować zaistniałą sytuację. Nie wyglądała ona zbyt ciekawie: najpierw zaginięcie matki, potem tajemnicze przesyłki, zniknięcie Nikki, a teraz wyjazd z nieznanym i podejrzanym. Ale John miał dużo czasu na refleksje ponieważ stacja Jednego Szlaku znajdowała się na drugim końcu miasteczka.

Ukradkiem tylko zerkał na wyniosłego towarzysza podróży.

- "Kim Ty naprawdę jesteś?" - Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie ale wiedział, że najbliższe dni, a nawet godziny, mogą przynieść mu wiele niespodzianek nie bardzo przyjemnych. Nie wiedział czy hrabia zdaje sobie sprawę, że jest bacznie obserwowany.

Zdawało mu się, że Cagliostro specjalnie nie patrzy w jego stronę. Jakby tendencyjnie zamknął oczy i udawał, że śpi.

Cagliostro obudził się w momencie gdy wjechali na brukowaną uliczkę prowadzącą na stację. Spojrzał na detektywa i uśmiechnął się jak gdyby cieszył się z jego widoku.

- Chyba dojeżdżamy. - Mothman próbował odgonić od siebie złe myśli. W tej samej chwili woźnica zatrzymał konie.

- Jesteśmy na miejscu. - Detektyw rozpoznał głos młodego lekarza. - "Dziwny zbieg okoliczności." - Pomyślał.

Wysiadł z powozu a za nim lekko wyskoczył hrabia. Oparł się o swoją łaskę i przyglądał się w milczeniu jak woźnica zdejmuje ich walizki i kładzie je na chodniku.

- Proszę zanieść je na peron. - Powiedział sucho hrabia.

- Myślę, że wystarczająco nam Pan już pomógł. - Odpowiedział detektyw. Swoje słowa skierował do lekarza ale wzroku nie spuszczał z Cagliostrowa. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy przed pojedynkiem. W międzyczasie młody mężczyzna podniósł walizki i skierował się na peron.

Cagliostro i detektyw patrzyli na siebie w milczeniu. Mothman odwrócił się od hrabiego i także poszedł na dworzec. Odchodząc krzyknął przez ramię:

- Albo zdążysz albo jadę sam!

- I tak sam nie pojedziesz!

- "Zobaczmy". - Pomyślał.

*

- Przekłeta Dolina? - Marynarz był wyraźnie zdumiony. Patrzył na kilku mężczyzn stojących koło niego. Nie wiedział czy ich pytanie powinien traktować jako żart czy pytali poważnie. Inni marynarze, siedzący nieopodal i pijący piwo z kufli, usłyszawszy ich rozmowę nie mieli najmniejszych wątpliwości i śmiali się do rozpuku.

Jeden z nich, mimo tego, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, podszedł do nich i oparł się o Samuela. Otoczył go ramieniem i chuchał mu prosto w twarz. Jego towarzysze śmiali się na całe gardła.

- Chcecie dopłynąć do Przekłêtej Doliny? - Zagadnął. - To bardzo daleka podróż. Widzisz przyjacielu, właśnie stamtąd wróciłem i do tej pory cierpię na chorobę morską.

Marynarz pozieleniał na twarzy i zrobił taką minę jakby miał zamiar wypluć swoje wnętrzności wprost na Samuela. Ale jego twarz nagle zmieniła kolor z zielonej na trupio bladą i oczy rozszerzyły się ze strachu, gdy mężczyzna w czerni wyjął spod płaszcza rewolwer i przyłożył mu lufę do brzucha. Teraz nikt już nie odważył się uśmiechnąć. Przedstawienie przestało być zabawne.

Przyglądający się temu zdarzeniu marynarze, pomału, krok po kroku zaczęli podkładać się do stojących przed nimi mężczyzn w czerni. Ale któryś z nich widocznie zauważył kąciakiem oka jakiś ruch, bo odwrócił się w stronę skradających się i jednoznacznie sięgnął ręką pod płaszcz. Marynarze nie zauważyli, że w czasie rozgrywającego się widowiska przyjechały jeszcze dwa powozy i wysiedli z nich inni, ubrani także na czarno mężczyźni. Teraz już nie było ich czterech ale tuzin. Marynarze byli całkowicie zdezorientowani: niektórzy złapali się za głowy mniemając, że oszaleli, kilku uciekło a pozostali wrócili do swoich kufli pozostawionych w kantynie.

- Do przekłêtej Doliny nikt nie pływa dla przyjemności i mało kto stamtąd powraca. Każdy, kto ma tam wypłynąć najpierw spisuje testament. Poza tym to daleka podróż. - Powiedział poważnie stary marynarz. - Nikt z Wami nie popłynie. A odpowiadając na Wasze pytanie: z tego portu, nie tylko dzisiaj ale w ciągu kilku ostatnich dni nie wypłynął ani jeden statek do Przekłêtej Doliny, o którym bym nie wiedział. A Wy się nie boicie? - Zapytał.

- Nie. - Odpowiedział twardo Gvidon, ten sam, które rodzice kiedyś, przypadkiem znaleźli się w Przekłêtej Dolinie i pozostali w niej już na zawsze; ten sam, który się w niej urodził i wychował. - A jak możemy się do niej dostać? - Zapytał chociaż znał już odpowiedź.

- Balonem albo pociągiem.

Wsiedli do powozów nie odwracając się ani nie dziękując marynarzom. Gvidon dobrze wiedział gdzie jest dworzec. Z Samuelem i kilkoma innymi pojechał na stację Jednego Szlaku a pozostałe furmanki porożjeżdżały się w przeciwnych kierunkach.

Młoda jasnowłosa dziewczyna wsiadła do wagonu. Pociąg był podstawiony - tak jakby tylko na nią czekał. Znalazła wolne miejsce koło jakiejś starszej kobiety, czytającej Wiejskie Wieści i usiadła nie pytając jej o pozwolenie. Nie zwracała uwagi na ciekawskie spojrzenia innych pasażerów ale zdawała sobie sprawę z tego, że nie codziennie widzi się kogoś jadącego do Przekłêtej Doliny bez jakiegokolwiek bagażu.

Siedząca naprzeciwko niej kobieta, ubrana nieco jak mniszka w czarny habit, nawet na nią nie spojrzała. Gazeta drżała jej w rękach gdy przewracała kolejne strony. W pewnym momencie Nikki mignął przed oczami nagłówek gazety: "Bestialskie zabójstwo młodej dziewczyny".

*

Wnieśli bagaże do pociągu w momencie gdy już ruszał. John odwrócił się do lekarza, żeby mu podziękować ale ten już zdążył wyskoczyć, w ostatniej chwili gdy pociąg nabierał szybkości. Detektyw zobaczył go przelotem na stacji. Przeniósł bagaże do wolnego przedziału i usiadł przy oknie.

- "A jednak nie zdążył". - Uśmiechnął się na samą myśl o Cagliostro. W wyobraźni widział go wybiegającego z bagażem z przechowalni i dobiegającego na stację w momencie gdy pociąg już zniknął na zakręcie.

- "Teraz pewnie stoi oparty o tą swoją łaskę i wyciera pot z czoła".

Mothman zamknął oczy i spróbował się wyciszyć. Może nawet udałoby mu się zasnąć gdyby nie usłyszał ogłuszającego niemalże dźwięku otwieranych drzwi. Jak z najgorszego koszmaru do przedziału wszedł lekkim krokiem Cagliostro. Na jego twarzy nie było widać żadnego śladu zmęczenia. Z uśmiechem na twarzy postawił swoją walizkę obok bagaży Johna.

- Zdażyłem. - Powiedział z taką beztróską w głosie jakby to było coś najzwyklejszego na świecie. Zdjął płaszcz i Mothman ze zdziwieniem stwierdził, że hrabia ma na sobie czyściutkie, świeże ubranie, jakby odebrane prosto od krawca. John nie wiedział kiedy jego towarzysz podróży zdażył się przebrać w krwistoczerwoną, szytą według najnowszej mody koszulę, ze złotymi zapinkami; spodnie tego samego koloru o rozszerzanych ku dołowi nogawkach, zakończonych falbanami i przykrywających wypolerowane trzewiki. Przy tym ubraniu nawet jego twarz wydawała się być jakby młodsza a ostre rysy łagodniejsze. Tylko oczy nadal pozostawały tajemnicze i nieprzeniknione.

- Czekaj nas ekscytująca podróż.

- Nie rozumiem. - Odparł, zaskoczony detektyw.

- Mam okazję poznać miejsce, o którym krążą niesamowite opowieści.

- Z naszej wcześniejszej rozmowy zrozumiałem, że kiedyś już tam byłeś Hrabio.

- A ja, że nasze kontakty przestały już być takie oficjalne, Detektywie.

Mothman poczuł się jakby dostał w twarz ale nic się nie odezwał. Cagliostro ze stoickim spokojem kontynuował:

- Nie przeczę, byłem tam nieraz ale powiedzmy, że... - Zamilkł jakby chciał odpowiednio dobrać słowa. - Moje podróże odbywały się na nieco innych zasadach.

- Czy w tym także pomagali Twoi mocodawcy?

- Poniekąd ale nie zagłębiajmy się w szczegóły. Musimy mieć do siebie trochę zaufania a i tak obaj mamy jakieś tajemnice i póki co niech tak zostanie. Wkrótce poznasz moich przyjaciół.

John, nie wiedząc czemu, jeszcze raz spojrzał głęboko w oczy swojemu rozmówcy - były inne i mimo woli go przyciągały, jakby chciały mu wyjawiać jakąś tajemnicę skrywaną przed całym światem i przez całe lata. Poczuł się nagle bardzo znużony.

- "Pewnie to ten monotonny dźwięk jazdy". - Pomyślał. Jego zmysły się przytępiły. Jak za sprawą zamkniętych szczelnie drzwi przestał cokolwiek słyszeć. Oczy same mu się zamknęły. Zmuszając się jeszcze do karkołomnego wysiłku, na chwilę otworzył je i ujrzał, siedzącego naprzeciwko siebie i patrzącego na niego wyrozumiale Cagliostrowa. Zdawało mu się, że ma swoje de ja vu ale to wrażenie minęło tak szybko jak się pojawiło.

Niespodziewanie przed jego oczyma napłynęły obrazy, które do tej pory starał się wyrzucić z pamięci.

Znów stał przed lustrem i przyglądał się swemu odbiciu. Nieraz zastanawiał się jak będzie wyglądał w przyszłości. W pokoju przylegającym do salonu, przebierała się jego młodsza siostra. Wiedział, że w przyszłości będzie musiał się nią zajmować ale ta przyszłość wydawała się jeszcze taka daleka. Była między nimi różnica wieku kilku lat ale patrząc w lustro nie widział już dziecka tylko dorastającego młodzieńca i był z tego dumny. Młody i silny pragnął złamać świat ale nie wiedział jeszcze, że już niedługo to świat złamie jego.

Wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno. Jego matka biegła boso po ogrodzie i wchłaniała pierwsze zapachy wiosny. Ta kobieta była dumą całego rodu.

- John! - Zawołała dostrzegając go w oknie. Jej głos był tak dźwięczny jak śpiew słowika. - Niech Nikki pomoże mi zebrać kwiaty do wazonu!

Taki obrządek odbywał się u nich w domu co roku. Gdy odszedł od okna ponownie usłyszał krzyk ale nie był to już krzyk ich matki. Obudził się. Czuł, że drży z wrażenia.

- "To tylko zły sen". - Tłumaczył sam sobie. Jakby w odpowiedzi usłyszał kolejny kobiecy krzyk. Dochodził z pociągu. Rozejrzał się dokoła ale nigdzie nie dostrzegł Cagliostrowa.

C.D.N.

Konrad Staszewski

Tajga1805 ::: Anna :: Część 5 i 6

- Ta latarka nic, a nic nam nie pomaga.- Scott dotykał przedmiotem ściany, chociaż snop światła biegł dalej, jak gdyby nie zważając na przeszkodę.- Sądzę, że jedyne, do czego może być przydatna, to odnaleźć nasz punkt orientacyjny. A dalej proponuję iść po omacku.- Zgasił.

- Jeżeli natrafimy na schody, to trzeba będzie tam coś zostawić, jakiś przedmiot. A może nawet coś poukładać wzdłuż ścian, żeby orientować się w przestrzeni.- Luc wyciągnął z kieszeni garść monet.- Położę to na pierwszym stopniu, będą odbijały światło.

- Obejdźmy cały teren jeszcze raz. Skoro przeoczyliśmy schody, to może i coś jeszcze umknęło naszej uwadze. -Arturro zwilżył językiem wargi.- Czy zauważyliście, że nic nie jedliśmy od czasu wylądowania tutaj?

- Może i tak, ale ja i tak nie czuję głodu...-Głos Scotta był na równi zdziwiony, co kaprała.- Śmiesz mnie tylko, że to ty o tym wspominałeś.

- Bo lubię jeść!- Pellegrini śmiechem skwitował swoje odkrycie.

Cała trójka posuwała się wzdłuż ściany trzymając jedną rękę na ramieniu sąsiada, drugą opierając o ścianę. W sytuacji, w której się znaleźli, bardziej mogli polegać na dotyku. Wzrok był złudny. W świetle widzieli jedynie samych siebie i rzeczy do nich należące, wszystko inne, za wyjątkiem podłoża było całkowicie przezroczyste, bez konturów, płaszczyzn, cieni. Odkryli to przypadkiem, kiedy Scott świecił latarką po pozostałych osobach. Żadna z nich nie miała cienia...

- Może źle szukamy. Może nie powinniśmy chodzić tylko dookoła, środek tego lotniska też zasługuje na zbadanie.-Pelegrinni miał jak zawsze swoje własne spojrzenie na rzeczywistość.- Ta przestrzeń wedle obliczeń ma tyle długości, że F-18 spokojnie wylądowałby i wystartował...

- I po starcie polecą świecą w górę, bo inaczej rozwali się o niewidzialne ściany, co?- Scott pochwycił myśl przyjaciela,- To również może być maszyna pionowego startu, a może i nie jedna? Skąd do głowy ci przyszło lotnisko?

- Z lotniskowca. Aleks, sam spójrz. Orientacyjna szerokość to dwieście pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów, długość będzie gdzieś z dziesięć kilometrów. Prawie każdy samolot tu wylądował, a duże ogranicza tylko szerokość skrzydeł. Psia krew! Niech mnie jasna krew zaleje, jeżeli źle to kombinuję. Popaprane UFOle zrobiły sobie ukryte lotnisko w jakieś dżungli.- Kaprał dał upust swoim rozmyślaniami.- Ta młoda mówiła, że przedzierała się przez gęsty las i zeszła po schodach... A ja tu do k... nędzy żadnych schodów nie widzę!

- Aleś się rozgadał?- Scott zmarszczył czoło.- Może masz i rację... Schodów też nie ma, a to wcale nie znaczy, że ich nie było.- Rozmyślał na głos.- Jesteśmy już blisko kobiet, twoje lotnisko obeszlśmy i zero kolejnych odkryć...

- Błąd!- Odezwał się cichy do tej pory Luc.- Jestem pragmatykiem i twierdzę, że choć ścian nie widać, to jednak wyczuwa się, że były wykuwane w skale-zniżył głos do szeptu. To dziwne, że o tym pomyślałem dopiero teraz. Te ściany wcale nie są gładkie.- Dołączył.

- Co mamy o tym myśleć?- Scott również szeptem zapytał naukowca.

- Teraz jeszcze nic. Za chwilę, jak dojdziemy do naszych rzeczy, spróbuję odłupać trochę tej skały. Może to nam da coś do analizy...- Luc pomyślał teraz, ile by dał za przyrządy pomiarowe...

- Idziemy, gadamy, gadamy. Ja to jeszcze o czymś pomyślałem...- Odezwał się Pelegrinni- Może to nie wypada, ale myślę o Annie. Po jaką chorobę szła w las w tym stanie. To mi wygląda na ósmy, no siódmy miesiąc ciąży. Nie wiem, ale uważam, że powinna być przy mężu, chłopaku. Szykować wyprawkę dla dziecka, a nie ciskać się w tarapaty! Albo jest kretyką i ma nie równo pod kopułką, albo zabiła chłopca, który się nad nią znęcał i teraz ucieka od odpowiedzialności. Nic innego nie ciśnie mi się pod móżgownicę...- Kaprał miał najwyraźniej wisielczy nastrój.

- A wyobraź sobie sytuację: Maltretowana, bita poniżana przez męża, ucieka od niego. Albo jadą samochodem, mają wypadek i ona traci pamięć a teraz błądzi po lesie- Scott sparodiował sarkastyczny głos Pelegrinniego.- Kolejne. Jest na wycieczce w parku krajobrazowym, gałąź spada jej na głowę i traci kierunek. Albo przespała się z żonatym pastorem i gonią ją wyrzuty sumienia...- Śmiał się dalej.

- Dobra, dobra. Poddaję się. Zapomniałem, że jak się uprzesz, jesteś gorszy gaduła ode mnie.- Skapitulował Pelegrinni.- Teorii może być wiele. Anna sama nam powie, co się stało, jak się obudzi. Zapal latarkę, czy nie widać naszego obozu.- Dodał.

- Masz nosa!- Snop światła oświetlał obóz w odległości około dwudziestu metrów.

Aleks przełożył latarkę do drugiej ręki i swobodnym krokiem ruszył w stronę kobiet. Obie spały na prowizorycznym legowisku, Anna mocnym snem kobiety umęczonej, skulona w kłębek, i okryta puchową kurtką Scotta. Pochrapywała lekko. Anabelle położyła się obok niej i też drzemała. Jednakże, gdy podeszli mężczyźni podniosła głowę z niemym zapytaniem w oczach...

- Nic! Niczego nie znaleźliśmy Ann.- Luc patrzył gdzieś przed siebie.- Chcę tylko jeszcze coś sprawdzić. Faktura tych ścian jest dziwna, przepuszcza światło, choć w dotyku to jest lita skała. Czy mamy coś, czym można by było odłupać jakąś próbkę?- To pytanie skierował do Aleksa.

- Sądzę, że coś się da wykombinować. W plecaku Anny widziałem jakiś nóż, a i Arturro ma zawsze jakieś narzędzia po kieszeniach, prawda?- Mrugnął na przyjaciela.

- Nie! No młotka to ja nie mam..., Ale szczypce uniwersalne i śrubokręty są, nawet mały przebijak. Znajdźcie mi materiał, to zbuduję odrzutowiec! Skwitował ze śmiechem...

Podszedł do ściany i zaczął ją obstukiwać i sprawdzać fakturę pod palcami. Za chwilę zaczął przymierzać przebijak do jednego miejsca i energicznie parokrotnie uderzył weń szczypcami. Wszyscy usłyszeli odgłos sypiących się odłamków, nawet dość sporych rozmiarów.

- To teraz tylko je pozbierać! Tylko jak, skoro ich nie widzę.- Pelegrinni uklęknął na jedno kolano i zaczął zagarniać rękawem po podłożu.

- W dotyku normalne kamienie, poczekajcie, chyba mam już wszystkie.-Mówił przeczesując jeszcze palcami cały względnie teren.

-Aleks, albo mi poświeć latarką, tylko na ręce, albo...- Sięgnął ręką do kieszeni, chwilę poszukał w jej przepastnej głębi i wyjął zapalniczkę benzynową.- Sprawdzę, czy jeszcze działa to cacko.

Parokrotnie potarł kamieniem, aby iskry zajęły knot, ale to, co zobaczył, aż nim otrzęsło ze zdziwienia. Z resztą podobny efekt odczuli wszyscy widzowie tego zdarzenia. Na drobne odłamki leżące najbliżej zapalniczki spadło parę iskier, gdy te eksplodowały silnym błyskiem świetlnym. Wybuchy, choć niewielkie, bo i z jakich małych drobin powstały, wskazały jednoznacznie na potencjał całości. Luc patrzył to na miejsce zderzenia, to na twarze współtowarzyszy, odchrząknął lekko, podrapał się po brodzie.

- No to lotnisko możemy sobie wykluczyć.- Skwitował.- Sądzę, że taki efekt dałoby zmieszanie siarki z magnezem i ziemią okrzemkową... Tylko to tutaj jest w jednym składniku, w jednym kamieniu... Wychodzi na to, że siedzimy we wnętrzu olbrzymiego zapalnika!

* * *

Na ekranie komputera powstawały co rusz kolejne wykresy sinusoidalne. Crig już od dłuższego czasu siedział przed klawiaturą i coś uporczywie przeliczał.

-To jednak nie UFO. Przy tej długości fali nadajnik musi się jednak znajdować na Ziemi. Zaraz, tylko gdzie?- Wystukał polecenie i ukazała się mapa Ameryki. Po kolejnych komendach zmniejszała się skała, za chwilę widział tylko swój Stan. Po kolejnej komendzie na monitorze ukazała się siatka maksymalnego zasięgu jego stacji.

Crig chwycił słuchawkę telefonu, wystukał numer do znajomego:

-Michael? Świetnie, że cię zastałem. Włączyłbyś nasłuch na fali? Chcę namierzyć jedną stację nadawczą. Nie, nic poważnego, tylko

może jakiś dzieciak się bawi. Tak? To Świetnie, startujemy!- Odłożył słuchawkę i podszedł na powrót do radia:
- Tu VOB01223 . Nadaję do nieznanego, z którym zyskałem kontakt o godzinie dziewiątej siedemnastie. Powtarzam...
Cisza trwała dłużej niż w trakcie pierwszego kontaktu, ale po upływie czterech minut cała historia powtórzyła się. Wypowiedź Criga przetworzona jak gdyby przez syntezator mowy została odesłana w eter... W chwilę po tym usłyszał w radio kod wywoławczy Michaela.
- Mamy go! Prześle ci moje współrzędne do kompa. Ale skoro to dzieciak, to ma bogatego tatuśka. Taki sprzęt! Trzymaj się.
Crig podszedł do komputera i włączył skrzynkę e-mail. Dane naniósł na siatkę mapy. Teraz patrzył, jak na monitorze rysuje się wektor do przecięcia fali. Tymczasem z nie wyłączanego radio, w głośniku znów dał się słyszeć przetworzony głos:
- "Mamy go! Prześle ci moje współrzędne do kompa..."
- "Dzieciak lubi się droczyć? Ale już nie długo."- Pomyślał chłopak.
W tej chwili komputer robił stopniowe powiększenie skali, pominął Kleveland, Sandusky, i kiedy Crig myślał, że zatrzyma się w Lorian, wektor posunął się w głąb lasów. Daleko, daleko w głąb lasów po drugiej stronie jeziora Erie.
- Detroit, nie wiedziałem, że tak daleko sięgnę,- Szepnął chłopak, patrząc jak urzeczony w ekran.- Co?- Krzyknął.- Tam jest las, olbrzymi las! Dzieciak może nadawać tylko z miasta, a nie z głębi lasu?! Przecież to musi być potężna antena...

* * *

- Generale, z dotychczasowych informacji, testów i analiz wnioskujemy, że jest to sztuczny twór, nie pochodzący bezpośrednio z Ziemi. - Ruff stał w swobodnej pozycji przed przyjezdnym.- W dokumentacji zamieszczono dodatkowo wszystkie teorie dotyczące taflí. Jedną jest najbardziej prawdopodobną i za nią przemawiają dane symulacji komputerowej.- Podszedł do telewizora i uruchomił DVD.- Materia jest tak zagęszczona, że w pierwszym momencie trudno było rozwiłać strukturę. Ja nie powiem tego naukowo, ale wszystkie ziemskie komputery mieszczą się na obszarze zero koma sześć hektara.
Nie znamy jeszcze źródła zasilania. Profesor Simpson twierdzi, że jest to albo wyrafinowana maszyna do zabijania, albo winda... Do nich...- Umilkł patrząc na ekran, na którym właśnie widoczny był "efekt wody" i znikający transporter robota.
- Co mam przekazać Prezydentowi?- Generał, człowiek, po którym widać było, że ambicje przywódcze schował dawno temu do szuflady, siedział za biurkiem i powoli pykając z fajki to zerkał na ekran, to przeglądał kolejne strony raportu.- Cofnie pan do momentu rozpoczęcia znikania i puści spowolnione!
Ruff wraz z Generałem patrzyli na pierwszą małą falę rozchodzącą się od gąsienic robota. Ruch jej był spokojny, jak gdyby ktoś bawił się galareta. Następna była trochę wyższa.
- Fascynujące, to rzeczywiście daje złudzenie wody.- Generał patrzył jak zahipnotyzowany.
Wtem Ruff zatrzymał obraz. Na ekranie widoczna była pierwsza fala powracająca. Nie dochodziła do miejsca, skąd rozpoczęła swoją wędrówkę. ColdTop włączył poklatkowo odtwarzacz. Już kolejny pływ zatrzymał się w tym samym miejscu, sięgając jednak wyżej, a następnie jeszcze wyżej, nie dochodząc jednak do samego obiektu. - Jasne! To zakrywa, ale jednak nie "topi"! Tam powstaje kopuła dookoła wszystkiego, co się tam znajduje. Panie Generale, uważam, że przydałaby się jeszcze jedna wyprawa w tamten rejon, tym razem jednak, trochę inaczej zorganizowana!- Pułkownik wyglądał jak człowiek, który jest zdecydowany na wszystko.
- Ale ja tak nie uważam. Dotychczasowe straty, to czterech ludzi i robot warty czterdzieści milionów dolarów. Nawet nie wiemy, czy nasi ludzie żyją, a pan uważa, że należałoby jeszcze kogoś wysłać.- Generał spojrzał na oficera, jak gdyby z zapytaniem: "pan oszalał?".
- Panie Generale nie sądzę, że należałoby wysłać kogokolwiek.- Ruff chwycił za oparcie krzesła, obrócił do siebie i usiadł okrzaskiem.- Zorganizowałem tutaj całą bazę z pańskiego polecenia. Cały sztab ludzi, naukowców, techników, żołnierzy czeka beczynn timer na rozwój wypadków, bo to, co mamy do tej pory, nie wynika od nas. To są tylko suche badania i sugestie. Ja proszę o ostatni eksperyment. Pójdę tam sam, ze sprzętem, który ja uznaję za odpowiedni i jeżeli nie powrócę, wtedy pan zrobi to, co uzna za stosowne.- Patrzył w oczy przełożonego, cały czas ścisnąc w swojej potężnej ręce oparcie krzesła. Głos miał cichy opanowany, ale słychać było w nim pełne zdecydowanie, upór, z którego był znany.- Sprawdził mnie pan misji i twierdzą, że w tym wypadku też sobie poradzę.- Dokończył opuszczając głowę.
-Co chciałby pan zabrać ze sobą majorze?- Dowódca nie miał ochoty odciągać od postanowień tego człowieka, o którym zawsze mówił, że jest jego "Asem w Rękawie", a wiedział, że jest uparty nawet za cenę złamania rozkazu.- Zastrzegam jedynie, że za miesiac mam odejść na emeryturę, a chciałbym jeszcze coś dopisać do listy pana zasług.
- Niewiele, Generale. Coś wynajdę u naszych naukowców a resztę zabiorę z domu.- Skwitował ColdTop.

* * *

- Co ja tu robię? Pierwsza randka i bliskie spotkania trzeciego stopnia. Wiesz Steve, już się nie boję. Ani tych ścian, których nie ma, a są, ani tego, że nie mogę wrócić do domu.- Łzy Trixi mówiły coś z gołą odmiennego.
- Przestań! Słyszysz, przestań...- Steve wstał od ogniska.- To wszystko nie tak. Tu ściana, tam ściana, do samochodu nie dojdiesz i boję się, że skoro wejdę do wody, to z niej nie wyjdę.- Machinalnie zaczął bawić się małym, płaskim kamyczkiem podniesionym sprzed linii wody.
Byli już tutaj od trzech godzin. Kiedy doszli do miejsca po starym ognisku Beata spostrzegła, że niewidzialna bariera jest cały czas o dwa metry za nimi i około pięciu na boki. Palenisko było oddalone może o sześć kroków od wody, ale oboje bali się pokonać tą odległość. Rozłożyli swoje plecaki. Steve rozwinął koc, a Trixi przygotowała posiłek.
Na szczęście w przestrzeni, którą teraz dysponowali było ustawionych parę stosów drzewa, dzięki czemu chłopak nie męczył się zbyt długo z rozpaleniem ogniska i przygotowaniem czegoś do picia. Zjedli, śmiejąc się ze wszystkiego, udając, że to, w czym się znaleźli wcale nie istnieje. Ale to, co dzieliło ich od reszty otoczenia, było realne.
Steve rzucił kamieniem po taflí wody, puszczając kaczkę. Płask, płask, płask. Otoczek delikatnie prześlizgiwał się po płaszczyźnie dalej i dalej, aż gdzieś może za dziewiątym razem zanurzył się w głębinie.
-No to, chociaż przed nami ściany nie ma!- Skwitował.
- No to może ja pójdę popływać?- Beata podeszła do brzegu jeziora i przykucnęła wpatrując się w dal.- Wiesz, ja tak myślę, czy czasem nie zostaliśmy tu przyprowadzeni specjalnie. A jeżeli mamy wejść do wody?
- Tylko, jeżeli z niej nie wyjdziemy?- Chłopak podszedł do ogniska.- Dobrze Trixi, ty teraz idź popływać, a ja posiedzę przy ognisku. Jak tylko coś się będzie dziać, od razu wyjdź z wody.
- Dobrze mój obrońco!- Beata pokazała swoje równiutkie zęby w szerokim uśmiechu.- Ale teraz się odwróć, abym mogła się przebrać w kostium.
Steve zaczął łamać patyki z najbliższej sterty i dorzucać je do ognia, choć dzień był naprawdę upalny. Usiadł na ziemi, wpatrując się w ogień i począł rozmyślać o obecnej sytuacji.
"Złapało nas coś w pułapkę. Są to niewidzialne ściany i oddzielają nas od lasu i od samochodu. Czy samochód ma w tym jakieś znaczenie? A może ktoś zadbał o naszą własność? Kto za tym stoi? Rosjanie, Chińczycy, Korea? A jeżeli Beata ma rację, i w to są zamieszani przybysze z innej planety? Czy mamy oboje wejść do wody?"
- Beata, jaka jest woda?- Zawołał do dziewczyny oddalonej o około siedem metrów od brzegu.
- Płytko i mocno nagrzana!- Krzyknęła i zanurkowała wystawiając rękę nad wodę.- Widzisz? Chodź do wody! Drugi raz nie będę zapraszać...- Jej figlarny głos w zupełności go chyba przekonał.

Szybko zrzucił z siebie spodnie, koszulkę i z rozbiegu wskoczył w fale. Jeden, dwa, trzy kroki i... Stracił grunt pod nogami. Całym ciężarem ciała zanurzył się w toni. Lubił pływać i był świetnym nurkiem, więc w nagłym przebiegu postanowił, że skoro dziewczyna zrobiła mu psikusa, odpłaci jej pięknym za nadobne.

Mając zapas powietrza, nie wynurzył się od razu, tylko popłynął pod powierzchnią w kierunku, gdzie orientacyjnie powinna płynąć Trixi. Jakoś za chwilę ujrzał jej ciało unoszące się na powierzchni. Zbliżył się jeszcze bardziej, odwrócił na plecy i ostatnią długość przepłynął wykonując delikatne tylko ruchy nogami, dłoni używając jako stateczników poziomych, podobnie do łodzi podwodnej. Przesuwał się powoli od stóp, wzdłuż nóg, pasa, aż zrównał się pod wodą z Beatą. Zauważył jeszcze, że ona trzyma głowę nad wodą i rozgląda się dookoła, i... Że za moment spróbuje zanurkować, i zamknął oczy, wstrzymując wszelkie ruchy ciała.

Beata wiedząc, że pływa najlepiej z całej klasy, śmiała się w duchu. Widziała Steve'a, jak ten pozbywa się odzieży, jak przeskakuje przez najbliższy stos drzewa i jak wbiega do wody. Ona sama przy pierwszym zanurkowaniu stwierdziła, że ma pod sobą głębie bez dna, ale nie przerażało jej to zbytnio: "Steve chwalił się, że pływa dobrze, to zaraz wypłynie i pościgamy się trochę". Ale on nie wypłynął. Chwila, potem druga...

- Czemu nie wypłynął? - Rozglądała się na boki. - Steven, bez jej! - Uporczywie patrzyła na przestrzeń przed sobą i wyobrażając sobie, jak chłopak wyskakuje nad wodę prychając i zlorzecząc, i... Ale nic. - Steve, to nie jest śmieszne? - Mruknęła. - A może nie jesteś dobrym pływakiem? - Nagle przeszył ją lęk, że jeżeli jej świeżo upieczona sympatia zachłysnął się wodą, to równie dobrze może teraz pograżać się w głębinie, a ona nawet nie wie, jak głębokiej...

- No to idę po ciebie! - Wyrwał się jej, nabrała potężny haust powietrza i szybkim ruchem spięła ciało, aby jak najgłębiej zanurkować...

Na powierzchni pokazały się najpierw nogi Beaty, a tuż za chwilę potężna ilość pęcherzyków powietrza, uwolnionych silnym skurczem przepony. Oboje wypłynęli w tym samym czasie. Oboje silnie kasłając i wypływając wodę, która w sekundzie dostała się do buzi, z tą jedną różnicą, że chłopak uśmiechał się od ucha, do ucha, a dziewczyna jeszcze przecierała oczy.

- Ty, ty orko, ty!... Płastugo! - Krzyczała Beata pomiędzy kolejnymi kaszlnięciami. - Co ci wpadło do głowy, żeby mnie tak przerazić? Jak mogłeś? - Wyrzucała z siebie lawinę słów.

- Chociaż mogłaś szepnąć słówko, że jest kapinkę głębiej, niż pokazałaś. - Wyszczrzył zęby w swoim najprzymilniejszym uśmiechu... - A swoją drogą... Zgrabna jesteś!

* * *

- Czego możemy się spodziewać? - Głos inspektora był jak gdyby przepełniony pustką. - Co w ogóle ma się wydarzyć?

- Wszystko i nic! - Brzmiała odpowiedź. - To, co może się stać, przekreśli wasz byt. To, co możecie zrobić przy użyciu waszej technologii jest niczym.

Pokój, jeżeli tak można nazwać to pomieszczenie, był owalny. Panował tu gęsty, aż wyczuwalny mrok, przytłaczający wręcz swoim ciężarem. W paru punktach, bardziej dla orientacji, niż dla rozjaśnienia ciemności paliły się słabe diody. Za niewidocznym stołem konferencyjnym, ustawionym na środku pomieszczenia w profilowanych fotelach siedziało jedenaście postaci. Jedną z nich był inspektor, który chciałby w tym momencie zapomnieć, że słyszy te słowa.

- Na jaką pomoc możemy liczyć z waszej strony? - Pytał dalej.

- Tam, skąd przybyli, zostawili tylko roje meteorytów. My znaleźliśmy ich zamiary i wiedzieliśmy, czego mamy szukać. Długo obserwowaliśmy ich w Iresse, to jest według waszego nazewnictwa Gwiazdozbiór Malarza. Oni zajmują tylko układy podwójne z planetą, na której stężenie azotu i tlenu jest większe, lub równe waszej. Planety, jak wasza, służą im tylko za energię do kolejnych podróży. - Głos był rzeczowy, jednakowoż cały czas beznamiętny, jak gdyby sztuczny.

- Sądę, że rozumiem. To według tego, ile czasu nam zostało i czego mamy szukać? - Inspektor zadał kolejne pytanie. Wiedział, że ten dialog może uchronić Ziemię przed agresją. Mężczyzna, który wprowadził go do tego pomieszczenia, przestrzegał, że może zadawać pytania tylko tyle razy, ile osób znajdować się będzie na sali.

- Oni dbają o swoje byty. Jeden był już wcześniej na waszej planecie. Szukajcie cząstki po nim pozostawionej. Materię i przestrzeń układają w tylko dla nich potrzebne struktury. Szukajcie czterech. Zmuszą was do uruchomienia bomby, gdy będą gotowi. - Brzmiała odpowiedź.

"Nie tak, jeszcze nie tak" - Inspektor był w panice myśli - "Jakie teraz pytanie mam zadać? Ile jeszcze ich mam?"

- Jak wygląda ładunek? - Spytał.

- Punkt, który do niego prowadzi, jest waszą zagadką. Jest też detonatorem, który chcą, abyście uruchomili. Zapalnik pozostawił byt. - Mówił matowy głos...

- Co uruchamia detonator? - Inspektora nie zadowoliła odpowiedź i zapragnął, choć jedną z rzeczy odkryć, które może uda się najszybciej odnaleźć.

- Determinacja i wasz strach. - Tylko trzy słowa były odpowiedzią.

"Błąd." - Konkludował mężczyzna, który wiedział, że tylko to, czego się dowie, uratuje Ziemię. - "Straciłem. Zostały cztery pytania a niewiadomych tysiące."

6

Anna śniła. Przypominała sobie sceny nastoletnich lat swojego życia. Jak kolorowy film, w którym grała główną rolę.

Jest ostatni raz w obserwatorium. Przegląda zdjęcia z utrwalonymi na nich konstelacjami, pojedynczymi gwiazdami i obiektami w kosmosie. Zrobione za pomocą różnych teleskopów, przy użyciu wielu technik. A to przez filtry, a to po obróbce komputerowej... Niekiedy jedna gwiazda utrwalona jest na siedmiu, czy ośmiu fotografiach, i za każdym razem wygląda inaczej.

Profesor zabawia się z nią wypytując co jakiś czas o dany obszar nieba:

- Aniu, jaki to układ? - McKeenlay podał jej fotografię leżącą na jednej ze stert źle wykonanych odbitek.

- Psy Gończe, tu jest plama, a powinniśmy zobaczyć dwie małe gromady. - Ania wskazała ołówkiem na przyciemniony kawałek zdjęcia w prawym, dolnym rogu.

- Tak. To wybierz teraz losowo pięć zdjęć i opowiedz o nich? - Astronom trzymał w ręku zdjęcia sięgnięte z tej samej sterty.

- To jest Jednorozec, o tutaj jest gwiazda magnetyczna, tutaj pokazał pan grupę gwiazd okołobiegunowych. Następna to Altair, Hesperia, ale to jest zdjęcie robione zwykłym aparatem. A tutaj jest Gwiazdozbiór Malarza, tu jest gwiazda, która kiedyś o sobie da znać, jako pierwsza. - Recytowała dziewczynka.

- Która gwiazda, pokaż? - Naukowca zaintrygowało spostrzeżenie małej Ani.

- Zaćmieniowa. Tam nawet jest układ planetarny, siedem planet, trzydzieści dwa księżyce i obręcz asteroidalna. - Ania uparcie wpatrywała się w punkt, który niczym szczególnym się nie wyróżniał.

- Tak twierdzisz? - Astronom zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś. - To ciekawe. Ten obszar nieba będziemy badać dopiero po czyszczeniu teleskopu na orbicie. Ale skoro tak twierdzisz? - Patrzył na odbitkę. - Chyba jednak zaczynam wątpić, aby mogło być inaczej... - Mruknął okiem.

Kolejny film.

Była Zima. Anna pierwszy raz w życiu poleciała samolotem, a właściwie nawet dwoma... Raz w tygodniu do jej miejscowości przylatywała awionetka. Klara z ciężkim sercem zezwoliła wreszcie, po długich namowach, na wyjazd piętnastoletniej pannicy na okresową naukę dla wybitnie uzdolnionych. Przed Anią ukazał się prawdziwy ogrom przestrzeni.

Już sama Cesna, kiedy wzbiła się w powietrze z nią na pokładzie, wywarła na dziewczynie przejmujące wrażenie. I choć awionetka była tak mała, że nawet najmniejszy podmuch wiatru wprawiał ją w wibracje, rzucało nią na boki, do góry i w dół, to widok, jaki rozciągał się za oknem, całkowicie rekompensował te niewygody podróży.

Po wylądowaniu w Detroit, dziewczyna miała niespełna dwie godziny do odlotu następnym, tym razem już rejsowym samolotem. Szczęściem, już od dawna miała wykupione do odległego o ponad dwa i pół tysiąca kilometrów San Diego, więc czas pozostały spędziła na zwiedzeniu butików i obserwacji ludzi, dążących w różnych kierunkach po wielkim lotnisku.

Kiedy już weszła na pokład rejsowego Boeinga, doznała dziwnego uczucia. Zdziwienie, strach, fascynacja, jak taka wielka maszyna może się wzbić w powietrze?... Dzięki swojemu czytaniu, znała zasadę działania silników tego kolosa. Wiedziała wręcz wszystko o wszystkich mechanizmach i urządzeniach pokładowych. A jednak, co innego znać wszystko z książek, nawet tych specjalistycznych, a co innego odczuć to na własnej skórze...

Lot tak długi, wcale jej nie męczył. W kinie na drugim poziomie obejrzała jakiś film, zjadła lunch, i zaczęła czytać zabraną ze sobą książkę. Nawet nie wiedziała, kiedy usnęła. Stewardessa obudziła ją pytaniem, czy podać coś do picia i informacją, że wylądują już za około pół godziny.

Port lotniczy w San Diego był dużo skromniejszych rozmiarów, i nawet załatwianie wszelkich formalności nie nastęrczało tylu kłopotów, co mile ją zaskoczyło.

Z lotniska to już tylko chwila jazdy podstawionym mikrobusem do obserwatorium astronomicznego w Mount Palomar. Jak zahipnotyzowana patrzyła na olbrzymi teleskop, przy którym miała spędzić najbliższy semestr.

Następna retrospekcja. Znowu jest w swoim mieście. Idzie samotnie główną ulicą, nie zaczepiana przez nikogo, koleżanki, znajomych... Mija niską zabudowę centrum, ze sklepami i pustymi o tej jeszcze porze kafejkami. Idąc dalej zgubiła gdzieś za sobą coraz bardziej oddalone od siebie domy na peryferiach. Potem łąny kukurydzy, i pszenicy... Szła jak gdyby we śnie, nie czując zmęczenia, ani przebytej odległości. Przed nią otworzył się las, otoczył ze wszystkich stron, zakrył koronami niebo.

Kiedy się ocknęła, w pierwszym momencie nie wiedziała, gdzie się znajduje. O czym myślała do tej pory? O niczym szczególnym, o jakichś błahostkach, bez znaczenia... Szła leśną szosą i teraz dopiero poczuła ogrom zmęczenia. Przystanęła na chwilę, rozejrzała się dookoła. Gdzie teraz jest, jak daleko? Która jest godzina, osiemnasta, a może dwudziesta?

- Jak daleko mam do domu i czy zdążę przed zmierzchem?- Zamyśliła się.

Nie jechał żaden samochód, jak na złość było o wiele później, niż sądziła. Ciemny był las, kiedy go opuszczała, a dopiero pszenica na polach rozjaśniona bladym jeszcze księżycem dodała otuchy.

Droga wiodła prosto, bez żadnych zakrętów. Anna uniosła głowę do góry i tak zapałzona w gwiazdy migające do niej przyjaźnie szła równym, można by powiedzieć spacerowym krokiem w stronę odległego miasta.

Noc była ciepła, to ziemia oddawała teraz to, co nagromadziła za dnia. Gwiazdy, Konstelacje, Planety, Galaktyki. Właśnie z gwiazd chciała usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Tam gdzieś daleko one właśnie są ukryte. Czuła to, nie wiedząc czemu, całym swoim jestestwem.

Anna od dawna miewała sny o kosmosie. Z niepojętych dla niej przyczyn śniła o jakichś niezrozumiałych historiach z kosmosu. Rozmowach z nieznanymi, opowiadaniach, jak gdyby z komiksu, mapach niewiadomego pochodzenia, za to nadzwyczajnie dokładnych. Kiedy chodziła do obserwatorium, wszystkie wiadomości uzyskane w ten niezrozumiały dla niej sposób, potwierdzały się, a najdziwniejsze, że wiele z nich dopiero czekało na odkrycie.

- Gwiazdy! Czemu ja?!

* * *

- To na pewno nie dzieciak. To coś większego.- Mruczał pod nosem Crig.- Może należałoby tam kogoś wysłać? Niech to sprawdzą policja, FBI, czy ktoś jeszcze ważniejszy. Policja odpada, bo za mały zasięg... A jak powiadomić innych? W lesie, nadajnik jest w głębokim lesie. No pomyślimy... E! To chyba tylko braciszek pomoże...- Crig podszedł do telefonu i wystukał na tarczy numer swojego brata.

- Halo?- Zapytał głos w słuchawce.

- Marek? To ja.- Chłopak usiadł na krześle, ramieniem przytrzymując słuchawkę.- Jak można skontaktować się z Federalnymi, albo nawet wyżej?

- A tobie, co odbiło? Cały czas myślisz o tym UFO? A posprzątałeś?- Starszy brat zaczął się cicho śmiać.

- Ty zawsze to samo. Proszę, przestań być, choć na chwilę "tatuśkiem", a zostań bratem,- Głos się Crigowi załamał.- No to jak?

- Jak chcesz, to zaraz nas namierzają, ale to ty beknieś za wszystko, a ja będę ci przysyłał lody do więzienia...- Odpowiedział Marek, wiedząc, że i tak jego młodszy brat dowiedziałby się tego, co on sam wiedział. I jeżeli nie od niego, to od kogoś, kto nie wiedziałby może, jak się potem z tego wykaraskać.- To jaką bombę masz do przesłania?- Zapytał bawiąc się słowami.

- Prawdziwą! Sygnał nie pochodzi z Galaktyki, tylko z głębi lasu! I to jest silny sygnał, taki, że rzadko kto może mieć taką moc.- Entuzjastycznie wykrzyknął do słuchawki Crig.

- A co, jak będzie niewypał? Wyśmieją i nie powiedzą nikomu. Zapomnij o Prezydencie i rozgłosie...

- Prezydencie, prezydencie,- Przedrzeźniał Crig.- Ja myślę, chociaż o sprawdzeniu tego, a nie donoszeniu do Prezydenta. Ty jak powiesz?

- Prezydencie! Pamiętaj, że jak ta bomba nie wybuchnie, to On ci nie podziękuje, a USA wszyscy wyśmieją, i nawet służby specjalne ci nie pomogą...- Marek bawił się zdenerwowaniem młodego.

- Marek! Ja chcę tylko, aby to ktoś sprawdził, a ty wyjeżdżasz mi tu ze Stanami, służbami, Prezydentami.- Crig był coraz bardziej poirytowany.

- Co powiedzieć, jak powiadomić, już to zrobiłeś! Tylko do kogo pierwszego przyjdą, do ciebie, czy do mnie, do kopalni.

- Przecież ty nie pracujesz w ko...- Crig chciał coś powiedzieć...

- To się zamknij. Właściwie to mogą już nagrywać i namierzać...- Marek rozłączył telefon. Odłożył słuchawkę i zaczął się śmiać do rozpuku, czym zwrócił uwagę kolegów w studio.

- Co tak rżysz?- Spytał któryś z nich.

- Właśnie na prośbę brata wypowiedziałem trzy magiczne słowa, tak, że w najbliższym czasie mogą wylądować tu federalni i o mnie wypytywać. Dzieciak coś odkrył w radiu i myśli, że jest jedyny, który wie o tym.- Marek popatrzał po kolegach.- Dobra chłopaki, przeciwiczymy jeszcze ten kawałek.

Crig trzymał jeszcze przez chwilę słuchawkę telefonu zanim ją odłożył. W zupełności nie mógł pojąć, o co chodziło jego bratu z tą pracą w kopalni. Przecież Marek od prawie ośmiu lat pracował jako muzyk sesyjny, i jak sam mówił, nie potrafiłby zarabiać inaczej, a tu mówi o górnictwie... Z resztą w Pittsburghu17;u nie ma żadnej kopalni! A może jest?...

* * *

Ze służbowego Chylslera Selesin machnął identyfikatorem przed strażnikami stojącymi przed prowizorycznie ustawioną bramą, oddzielającą wraz z płotem teren bazy od reszty świata.

- Jest jeszcze generał?- Zapytał.

- Tak jest!- Padła służbowa odpowiedź.

- To powiadomcie, że jadę z czymś ciekawym!- Nacisnął pedał gazu i powoli wjechał przez uchylone skrzydło.

Od chwili, kiedy ColdTop dostarczył mu raport z dokładnymi instrukcjami, potajemnie, szyfrowanymi kanałami rozesał polecenia

służbowe, stawiające wszystkie instytucje mogące przyczynić się do rozwikłania zagadki, w stan pełnej gotowości. Jakoż nie trzeba było czekać długo na wyniki.

Kiedy sprawa rozbija się o bezpieczeństwo narodowe, a zadanie przewyższa możliwości pojedynczych jednostek, wszystkie organy, czy to wojskowe, rządowe, czy instytucje cywilne, odbierają na tych samych falach... I w przenośni i dosłownie. Najgorsze jest zawsze ryzyko, że coś może wyjść poza wyznaczone ramy, jakaś informacja źle podana, może ktoś zdradzić! Taki incydent może zaważyć nawet na całosci. Ale nie, nic nie zakłóciło do tej pory tego porządku. Wszystkie trybiki olbrzymiej maszyny działały bez zarzutu.

Major niezgrabnie wygrzebał się z samochodu. Poprawił mundur, sięgnął jeszcze po teczkę z dokumentacją i trzasnął drzwiami auta. Zawsze żartował, że to jego jedyny wóz służbowy, do którego dość luźno jeszcze wchodzi. Poprzedni nie miał ruchomej kierownicy...

- Co masz? - Na schodach baraku stał Ruff.

- No! Nasi przyjaciele mają coś ciekawego, a może to tylko fałszywy trop. - Selesin patrzył na teczkę, z oznaczeniem "Ścisłe tajne". - Dostałem to dwie godziny temu, a szpaki doniosły, że też wybierasz się w nieznane.

- A jakie to szpaki? Przecież wczoraj wieczorem dopiero rozmawiałem z generałem? - Spytał majora ColdTop mrużąc oczy przed promieniami słońca.

- A on już zdążył pociągnąć odpowiednie sznurki. - Uśmiech Selesina mówił sam za siebie. - Koledzy z Federalnego przekazali nam teczkę, do której niestety nawet ja nie mam prawa dostępu. I wyobraź sobie, że ona jest dla ciebie. - Wręczył aktówkę.

Obaj weszli do budynku. Przez całą długość korytarza nie odzywali się, sporadycznie salutując przechodzącym koło nich, jak cienie, innym oficerom. Pułkownik zastukał do drzwi jednego z pokoi gościnnych, a po usłyszeniu przyzwolenia, wszedł do środka, z czy to kurtuazji, czy po koleżeńsku przepuszczając w pierw majora. Generał siedział jak poprzednio za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Widząc przybytych kiwnął ręką, nakazując "spocznij", i wskazał stolik, na którym poustawiane były różne butelki z alkoholami. Zakrył na moment słuchawkę:

- Dla mnie też, - A do telefonu. - Dobrze. Wstrzymam go do pana przybycia. Przyjechał właśnie major Selesin z waszą dokumentacją. Co? - Krzyknął cicho po chwili, słysząc wypowiedź rozmówcy. - Tak, ma pan rację. To rzeczywiście ważne. Czyli czekamy. Czołem. - Odłożył mikrotelefon na widełki.

Przez chwilę patrzył po pokoju, jakby niewidzącym wzrokiem. Wypił ze szklanki potężny łyk Whisky, odetchnął głęboko, a dopiero po tym wszystkim spojrzał na przybyłych.

- Ruff. - ColdTop machinalnie wstał z miejsca. - Niech pan siedzi. Pański eksperyment przesunie się trochę w czasie, ale teraz też uważam, że powinien pan poczekać i sprawdzić, dlaczego. Oczekujemy tylko pewnego gościa z FBI, który wie więcej od nas, i jeżeli to prawda, co twierdzi, nawet możemy liczyć na ciekawą pomoc.

- Kiedy on się zjawi? - Pułkownik popatrzał na teczkę od Selesina. - Sądzę, że w tym gronie mogą to otworzyć?

- To interesujące! - Generał podszedł do stolika z napojami i napełnił sobie szklaneczkę. - Wam też panowie? Jak mówię, to interesujące, bo inspektor twierdzi, że macie ten sam priorytet dostępu... A to oznacza, że wyższy od mojego? - Popatrzał przenikliwym wzrokiem na pułkownika. - Czy coś panu wiadomo?

- Nic. - Padła odpowiedź.

- Tak sądziłem. Tateczka zawiera dokumenty przyznające panu te uprawnienia. Co pan teraz uczyni, my musimy się podporządkować. Interesujące... - Usiadł z powrotem w fotelu. - Właściwie, to może usiądzie pan zamiast mnie tu, za biurkiem, to już raczej nie powinno być moje miejsce... Mówiłem, że pragnę dotrzeć do emerytury, widząc kolejny pana sukces. Chyba już go widzę i szczerze gratuluję. - Sięgnął po papierosa do mosiężnej szkatułki stojącej na biurku. - Panu nie proponuję, bo wiem, że nie pali, ale może major się poczęstuje?

Selesin z lekkim niedowierzaniem skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

- Generale, to jeszcze nie sukces, ale dziękuję. Jak pan wie, z Georgem od dawna jesteśmy przyjaciółmi, a i pana za takiego uważam. Proszę, więc, byśmy przeszli, jeżeli wyrazi pan zgodę, na "per ty". - Skinął głową w stronę dowódcy. - Przed wami tajemnic nie mam, więc pozwólcie, że otworzę.

Przełamał pieczęć na okładce teczeki i otworzył, wysypując zawartość na stolik. Były tam dwie tak samo zalakowane koperty mini-dysk. Podszedł do komputera i po włożeniu do kieszeni czytnika płytki, wystukał komendę startu.

- Pułkownik Stuart Ruff, proszę podać kod dostępu - Z głośnika usłyszeli męski głos, brzmiący podobnie do ścieranych dwóch płyt chodnikowych. Kiedy ColdTop wystukał hasło na klawiaturze, usłyszeli dalszą część przekazu.

- Dysk zawiera materiał o najwyższym stopniu utajnienia. Rozmowa z przedstawicielami innej cywilizacji, dotycząca zagrożenia planety. Po zapoznaniu się z materiałem, proszę zniszczyć dysk. Koperta pierwsza zawiera upoważnienia i kody dostępu ósmego stopnia. Druga zawiera dokumentację przekazaną przez cywilizację Seborian o zniszczeniach innych obiektów przez agresorów.

Wszyscy trzej oficerowie popatrzeni to na monitor plazmowy, to na siebie. Spodziewali się wielu nowych informacji, ale dane otrzymane od inspektora FBI zaskoczyły każdego z nich. Ruff schował kopertę z nominacją do wewnętrznej kieszeni marynarki, sięgnął po kolejną z materiałami od obcych i przełamał plombę. W środku znalazł plik fotografii holograficznych i foliową torebkę na materiały dowodowe zawierającą jakieś kruszywo, właściwie tylko dlatego wyczuwalne, że umieszczone w tym opakowaniu. Z głośników w tym czasie słyszeli głos Riazaniego.

"- Szukać czterech części, co jest czwartą częścią?

- To klatka, nią się nie musicie przejmować. Gdy tylko udaremniczę inicjację ładunku, klatka przestanie nią być.

- Jaki cel?, Dlaczego chcą zniszczyć Ziemię?

- Planeta taka, jak ta jest ciałem kosmicznym o młodej strukturze geologicznej. Uwolniona podczas eksplozji energia, zostanie skumulowana w silnikach ich statków i pozwoli przenieść się do innego punktu w przestrzeni. Są podróżnikami, w swojej misji nie biorą pod uwagę słabo rozwiniętych technicznie cywilizacji. Nie jesteście zagrożeniem.

- Dlaczego wy chcecie nam pomóc?

- Jesteśmy zawsze. My badamy i pomagamy. Podróżujemy w przestrzeni, bo nasz dom też został zniszczony. Jesteśmy we wszystkich naszych światach jednocześnie, ale nie zawsze zdążymy pomóc, gdyż to zależy tylko od tego, czy chcecie tej pomocy.

- Czy czeka nas zagłada, czy bomba eksploduje?..."

Na ekranie monitora, rozjaśnionym tylko kilkunastoma jaśniejszymi punktami nie nastąpił żaden ruch. Zielonkawe kropki zaczęły zniknąć jedna po drugiej i to ostatnie pytanie Riazaniego pozostało bez odpowiedzi...

- No i co na to powiecie? - Ruff przeglądał zdjęcia i podawał je generałowi.

- Jak potężne są te statki, że tylko siła takiego wybuchu pozwala na start? - Spytał Selesin patrząc na holografie przedstawiającą białą kulę eksplozji kosmicznej na tle odległych planet i gwiazd.

- Pytanie powinno brzmieć inaczej. Czy możemy się bronić przed ich zamiarami? - Generał patrzył na inne holo obrazujące rzeke meteorytów powstałą na skutek zagłady planety.

- Nie sądzę. - Ruff podawał kolejną holografie. - Odpowiednie pytania do tej sytuacji brzmią: jak ich odesłać nie skazując siebie i gdzie oni teraz są?

Ogór ::: Rozważania niespełnionego literata

„Twórczość Grahama Mastertona dawniej i obecnie”

Nostalgia to słowo, którego znaczenie zaczynamy rozumieć dopiero w miarę upływu czasu. Im jesteśmy starsi, tym częściej zastanawiamy się, jak dane rzeczy robiło się kilka – bądź kilkanaście – lat temu. Wspominamy naszych znajomych sprzed lat, porównując ich z obecnymi. Analizujemy nasz wewnętrzny rozwój osobowościowy, jednocześnie zastanawiając się nad tym dokąd zmierzamy i kim się stajemy. Mi osobiście bardzo często zdarza się, że podczas samotnego siedzenia w pokoju przywołuję obrazy z najgłębszych zakamarków pamięci. W takich chwilach myślę nie tylko o tych ludziach, którzy z jakiś powodów odeszli, ale także o tym w jaki sposób zmienia się świat dookoła mnie. Podczas takich momentów normalną koleją rzeczy staje się to, że moje rozważania docierają do literatury i pisarzy, którzy od najmłodszych lat dzieciństwa dostarczają mi rozrywki.

Najczęściej dzieje się to wtedy, gdy odwracam głowę od monitora, aby spojrzeć na zapełniony regał z książkami. Patrę na te wszystkie grzbiety – jedne grubsze, drugie cieńsze – z uśmiechającymi się tytułami i gdzieś na dnie serca czuję obezwładniającą mnie nostalgię. Pisarzem, o którym najczęściej zdarza mi się myśleć, jest Graham Masterton, lecz nie dlatego, że w większości dominują u mnie jego powieści – pod tym względem stanowi mniejszość, a na czele plasuje się Stephen King. Zastanawiam się nad tym twórcą, ponieważ od kilku już lat martwi mnie spadek jakości jego opowieści – dodać trzeba również sentyment, ale zacznijmy od początku.

Moja przygoda z horrorem zaczęła się mniej więcej w szóstej klasie podstawówki, a zaraził mnie nim kolega z klasy. Początkowo czytałem takie hitowe serie jak „Szkoła przy cmentarzu”, „Ulica Strachu” czy „Gęsia skórka”. Wtedy odbierałem to jako mistrzowski przykład pokreconych lektur z dużą dawką mocnych wrażeń. Nawet nie wiedziałem w jakim błędzie byłem! Wszystko się zmieniło, kiedy na półce z literaturą grozy – w dziale dla dorosłych – ujrzałem cieniutką powieść nieznanego mi wówczas autora – Grahama Mastertona. Nosiła tytuł „Kostnica” i już sam opis na okładce (mówiący o tym, że do biura jednego z miejskich urzędników przychodzi facet twierdzący, że jego dom oddycha) wywołała we mnie szybsze bicie serca. Chciałem ją przeczytać, ale bibliotekarka spytała się mnie czy mam odpowiednie pozwolenie od rodziców. Niestety nie miałem, ale to nie powstrzymało mnie od wypożyczenia „Kostnicy”. Rodzice w tamtym okresie mojego dzieciństwa zajmowali się wieloma sprawami i nie zaprzętały się tym, co czytałem – ważne, że w ogóle to robiłem. Po krótkiej rozmowie wyrazili zgodę i na drugi dzień mogłem cieszyć się z „Kostnicy” niesionej pod pachem.

Do dzisiaj pamiętam emocje, jakie targały mną podczas lektury. Najpierw niedowierzanie, później strach, a na końcu chęć zapoznania się z resztą twórczości Grahama Mastertona. Tak zaczęła się moja przygoda z prawdziwym horrorem – na Stephena Kinga pora przyszła w kilka miesięcy później.

Po oddaniu „Kostnicy” pojawił się kolejny problem, a mianowicie okazało się, że w osiedlowej bibliotece nie ma więcej książek tego autora. Trudo było mi się z tym pogodzić, lecz po niepełnym miesiącu dowiedziałem się, że moja matka pracuje z fanem Mastertona na jednej zmianie. Jak już się zapewne domyślicie, zacząłem starać się o jego kolejne powieści. Na szczęście facet nie robił problemów z pożyczaniem, więc wkrótce w moje ręce wpadały coraz to inne horrory.

Z każdą następną książką Mastertona mój podziw dla jego umiejętności straszenia rósł. Czasami, patrząc na tajemnicze okładki, przechodził mnie dreszcz podekscytowania i grozy. Pisarz ten wprowadził mnie w świat pełen potworów i demonów żyjących na każdym kroku, brutalnych morderstw, duchów, obłudno-wyuzdanego seksu czy różnego rodzaju mrocznych legend. Z horrorów Mastertona, od mniej więcej początku lat siedemdziesiątych do połowy lat dziewięćdziesiątych, niemal wszystkie zdumiewały, przerażały oraz fascynowały. Za wypadek przy pracy uważałem tylko „Podpalaczy ludzi” (w nowym wydaniu znanych jako „Wyznawcy płomienia”) i słabego „Dżina”. Nawet opowiadania ujęte w zbiory potrafiły wzbudzić dreszczyk u czytelnika – na pewno do końca życia będę pamiętał „Danie dla świń”, będące według mnie jednym z najlepszych opowiadań w historii horroru.

Moim zdaniem najlepsze powieści Grahama Mastertona to: „Zakłęci” (obłądana historia o ludziach zaklętych w ścianach), „Drapieżcy” (opowiada o prastarej rasie żyjącej przed wiekami na Ziemi – jeśli jesteś fanem Lovecrafta, to koniecznie przeczytaj!), „Manitou” oraz dwie późniejsze kontynuacje, „Demony Normandii” (nie wiem dlaczego, ale podczas czytania tej książki odczuwałem największą grozę – może z tego powodu, że nie lubiłem wtedy tematyki satanistycznej), „Bezsenni” (dla ludzi o mocnych nerwach, potrafiących wytrzymać opisy bardzo brutalnych zbrodni) oraz „Geniusz” (thriller z kapitalną fabułą). Do tego spisu można by dołączyć naprawdę wiele innych powieści, takich jak: „Walhalla”, „Tengu”, „Kostnica”, „Diabelski Kandydat”, „Zjawa”, „Wizerunek zła”, „Rytuał”, „Wyklęty” itd. Również thrillery zasługują na nie mniejsze uznanie; oprócz „Geniusza” warto sięgnąć po „Ikon”, „Głód” oraz „Kondora”.

Okres twórczości Mastertona z początku lat siedemdziesiątych do mniej więcej połowy lat dziewięćdziesiątych jest przykładem alternatywnej drogi, którą podążał współczesny horror. Czytelnicy nie przepadający za Stephenem Kingiem zaczytywali się w opowieściach tego angielskiego pisarza. Jeszcze inni sięgali po książki obydwu twórców, popadając od skrajności w skrajność. Kluczem do sukcesu Mastertona w tamtych czasach stały się oryginalne pomysły, świetny styl, wyraziści bohaterowie, humor, brutalność i spora ilość akcji. W jego powieściach z tamtych lat widać pasję pisania, a także równocześnie „chęć dania pogłowia czytelnikowi”, aby po przeczytaniu pierwszych stron nie mógł przestać myśleć o danej powieści; tym bardziej, że większość napisana jest zgodnie z maksymą, iż opowieść musi zaczynać się od trzęsienia ziemi, a później napięcie powinno stale rosnąć.

Niestety, z biegiem czasu zauważałem u Mastertona spadek formy. Nie bez powodu za najlepszy okres jego twórczości uważam lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte i połowę lat dziewięćdziesiątych. Jego ostatnią naprawdę dobrą powieścią jest „Dziecko ciemności” z akcją osadzoną w Polsce! Mamy w niej wszystko, za co uwielbiam Mastertona – napięcie, humor, fascynującą legendę odpowiednio przerobioną na użytek horroru. Później, ku mojemu smutkowi, następował powolny spadek formy pisarza, przez co stwierdziłem, że pasja wypaliła się, a on sam pisze po to, aby więcej zarobić.

Niepokojące objawy zobaczyłem już w pierwszej odsłonie cyklu „Rook”. Niby była to opowieść ciekawa, potrafiąca wciągnąć jak za dawnych lat, ale styl stał się mniej obrazowy, co wyszło powieści (oraz kolejnym) na złe. Czytało się to dobrze, ale co z tego, skoro nie czułem tego ducha, co w przypadku choćby „Zaklętych” czy „Kostnicy”. Wtedy wziąłem to za chwilowy spadek formy, lecz niestety myliłem się. Kolejne powieści z cyklu nadal prezentowały się nijak do poprzedniego dorobku, choć jeszcze nie były takie najgorsze. Apogeum kiczu – innego słowa nie potrafię na to znaleźć – przyszło wraz z twórcami pokroju „Szatańskich włosów” oraz „Bonnie Winter”. Masterton musiał to pisać z myślą o czytelnikach lubiących się śmiać z horrorów, a nie dla tych pragnących mocnych wrażeń. Sceny straszne wypadają blado, a już sama tematyka sprawiała, że zaśmiewałem się do rozpuku. „Bonnie Winter” momentami trzyma jeszcze jakiś poziom (lecz jak na Mastertona jest nudna po prostu!), ale już „Szatańskie włosy” doprowadzały mnie do szewskiej pasji. Po dziś dzień pytam się, czym autor się kierował – mam przynajmniej nadzieję, że nie uważa tego „dzieła” za dobre, bo jeśli tak, to sam siebie okłamuje. Na plus mogę zaliczyć tylko dwa opowiadania dołączone do „Bonnie Winter” – mowa o „Bazgrołach” i „Szamańskim kompasie”. Czytając je „widziałem” dawnego Mastertona, którego tak kiedyś podziwiałem za umiejętność łączenia fikcji z rzeczywistością.

Zawsze wydawało mi się, że pisarz w miarę upływu czasu rozwija się. Widać to u Stephena Kinga i Jamesa Herberta czy także twórców reprezentujących inne gatunki literackie. Ze smutkiem musiałem stwierdzić, że w przypadku Mastertona wcale tak nie jest. Jego współczesne horrory są wtórne, słabo napisane i... nudne. Z przykrością patrzę jak legenda obrasta pajęczyną, coraz bardziej zachodząc kurzem. Jedyne, co trzyma poziom, to thrillery oraz poradniki; nie wiem, jak sprawa się ma z powieściami historycznymi, ponieważ na naszym rynku wydano tylko „Dziewiczy rejs”. Jakiś czas temu zrezygnowałem z wypożyczania i kupowania kolejnych powieści Grahama Mastertona, ponieważ nie chce do reszty zepsuć sobie postrzegania jego twórczości. Czytałem tylko kilka opowiadań z nowego zbioru (między innymi „Anty-Mikołaja”, który przyjemnie mnie zaskoczył), lecz po najnowszą książkę „Krew Manitou” raczej nie sięgnę. Boję się nie przytłaczającej grozy, ale tego, że w końcu stracę cały szacunek dla autora. Przykre to, lecz niestety tak to wygląda w moim odczuciu.

Obecnie ograniczyłem się do wspomnień, sięgających kilku lat wstecz, kiedy z taką pasją czytałem kolejne horrory Grahama Mastertona. Pamiętam te wypieki na twarzy, szybciej bijące serce i drżące palce przerzucające kolejne kartki. Przypominam sobie zachwyt nad stylem – tak odmiennym od tego, co prezentuje Stephen King. Przez to wszystko ze smutkiem patrzę na obecną twórczość Mastertona. Zadaje sobie pytanie, jak można marnować taki talent i dorobek, lecz nie umiem znaleźć odpowiedzi. Pozostaje wierzyć, że może kiedyś to się zmieni.

Do niedawna Graham Masterton był dla mnie pisarzem alternatywnym do twórczości Króla, przez co zawsze w wolnych chwilach bez oporu sięgałem po jego powieści. Obecnie wole powspominać dawne czasy, albo wrócić do starszych książek. Dlatego nostalgia jest dobra od czasu do czasu, ponieważ oprócz pięknych obrazów z przeszłości, potrafi przynieść ze sobą tyle uczuć związanych z autorem, któremu w dużej mierze zawdzięczam rozwój literacki oraz potrzebę tworzenia własnych historii.

Ogór
gaau@wp.pl

KONIEC

***Dziękujemy wszystkim, którzy dotarli
do tego miejsca i zapraszamy do lektury
następnego numeru!***